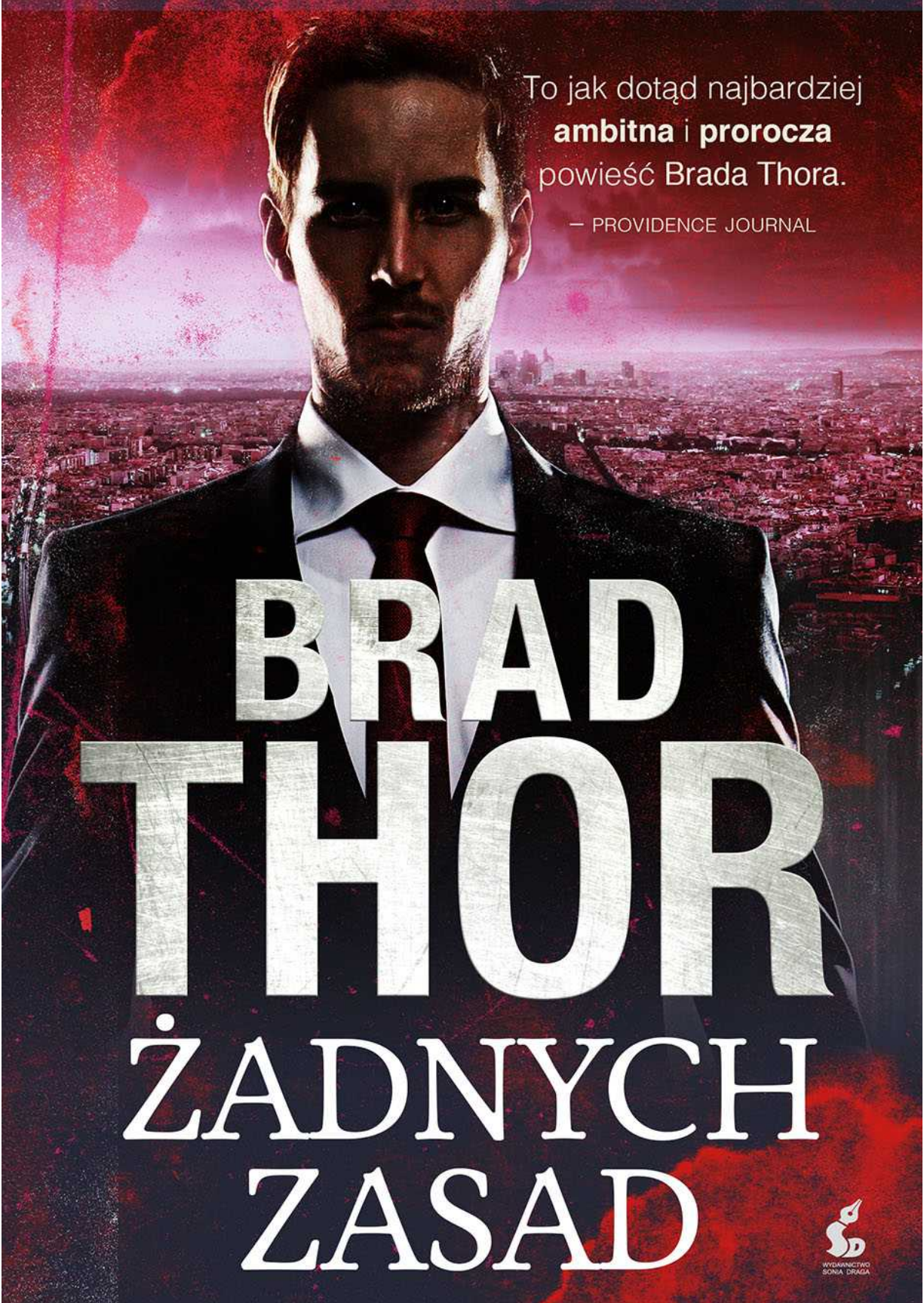


To jak dotąd najbardziej  
**ambitna i prorocza**  
powieść Brada Thora.

— PROVIDENCE JOURNAL

# BRAD THOR

## ŻADNYCH ZASAD



To jak dotąd najbardziej  
**ambitna i prorocza**  
powieść Brada Thora.

— PROVIDENCE JOURNAL

# BRAD THOR

## ŻADNYCH ZASAD

  
WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA



# BRAD THOR

## ŻADNYCH ZASAD

Z języka angielskiego przełożył  
Radosław Madejski



Tytuł oryginału:  
CODE OF CONDUCT

Copyright © 2015 by Brad Thor  
Copyright © 2018 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga  
Copyright © 2018 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Łukasz Błaszczyk  
Korekta: Edyta Malinowska-Klimiuk, Maria Zając, Kamila Majewska

ISBN: 978-83-8110-529-3

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!  
*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.  
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice  
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28  
e-mail: [info@soniadraga.pl](mailto:info@soniadraga.pl)  
[www.soniadraga.pl](http://www.soniadraga.pl)  
[www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga)

E-wydanie 2018

Skład wersji elektronicznej:

**virtualo**  
[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

# Spis treści

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Podziękowania



*Mojej nadzwyczajnej agentce, Heide Lange.  
Co za przygoda! Dzięki za każdą wspaniałą chwilę.*

„Jeśli musisz złamać prawo, zrób to, żeby przejąć władzę”.

JULIUSZ CEZAR

# Prolog

WASZYNGTON, DYSTRYKT KOLUMBII

Kiedy wyciekła wiadomość, że prezydent trafił na obserwację do szpitala Marynarki Wojennej w Bethesda, wybuchła panika. Skoro prezydent Stanów Zjednoczonych nie ustrzegł się przed wirusem, nikt nie był bezpieczny.

Scot Harvath wyminął jadący przed nim samochód i przemknął przez skrzyżowanie, kiedy zmieniały się światła. Ruch na ulicach gęstniał. Pogłoski o kwarantannie sprawiły, że ludzie rzucili się do sklepów, żeby zgromadzić zapasy.

– Nie musimy tego robić – odezwała się kobieta, która siedziała obok niego.

Miała na myśli, że on nie musi tego robić. Też mógł wyjechać. Nie musiał zostawać w Waszyngtonie.

– Już to uzgodniłem z Jonem i jego żoną – odparł. – Będziesz u nich bezpieczna.

– A ty?

– Dam sobie radę. Dołączę do ciebie, kiedy tylko będę mógł.

Kłamał. To było niewinne kłamstwo, wymyślone, żeby poprawić jej nastrój, niemniej jednak kłamstwo. Mówiło się już o wstrzymaniu ruchu lotniczego. Dlatego jeszcze dziś musiał ją stąd wywieźć.

– A jeśli przesadzamy? – spytała.

– Nie przesadzamy.

Lara nie wątpiła w jego słowa. Znała prognozy. Nawet najbardziej optymistyczne scenariusze były przerażające. Ucierpieć miały przede wszystkim miasta. Szpitale już pękały w szwach, a oblegali je skądinąd zdrowi ludzie, przekonani, że wykazują niektóre z objawów. Dochodziło do tego, że naprawdę cierpiący pacjenci, jak ci z zawałem serca czy ostrym atakiem astmy, nie mogli liczyć na pomoc. A miało być tylko gorzej.

Władze miast, miasteczek i wiosek w całym kraju gorączkowo szukały rozwiązań, które pozwoliłyby im w dalszym ciągu zapewniać mieszkańcom

podstawowe świadczenia i uporać się ze spodziewaną liczbą zwłok zmarłych – szokującą, nawet gdyby prognozy sprawdziły się tylko w połowie. Bez powodzenia.

Należało liczyć się z tym, że ratownicy sami będą padać ofiarą wirusa, albo zostaną w domach, żeby chronić swoich bliskich, więc stopniowo zaczną się wykruszać. Wkrótce służby ratunkowe przestaną działać. Potem to samo stanie się z wodociągami i elektrowniami. Oraz szpitalami, aptekami i sklepami spożywczymi, których większość zostanie splądrowana i zrównana z ziemią. Zapanują chaos i anarchia.

Na przetrwanie mogli liczyć jedynie ci, którzy wykazali się jako taką przecznością i przygotowali się zawczasu. Jednak nawet oni nie mieli żadnej gwarancji. Było jasne, że śladem apokaliptycznego jeźdźca na siwym koniu przybędzie kolejna plaga, równie niszczycielska jak śmierć – wszyscy ci, którzy postanowią skorzystać na całym tym zamęcie.

Nagle zza rogu wyjechały dwa chevrolety suburbany w barwach Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego i na sygnale pognały w ich stronę. Chociaż Harvath gwałtownie odbił w prawo, żeby zjechać im z drogi, i tak od kraksy dzieliły ich centymetry, kiedy rozpędzone białoniebieskie SUV-y, ścinając zakręt, przemknęły tuż obok.

Lara obróciła głowę i powiodła za nimi wzrokiem.

– Jezu! – krzyknęła. – Widziałeś to? Omal nas nie staranowali.

Chaos zapanował już oficjalnie.

Zanim Harvath zdążył odpowiedzieć, rozdzwoniła się jego komórka. Odebrał i słuchał przez chwilę.

– Dobrze – odparł. – Będziemy za dziesięć minut. – Rozłączył się i wcisnął mocniej pedał gazu. – Samolot już wylądował – zwrócił się do Lary. – Kiedy dojedziemy na miejsce, wszystko będzie gotowe.

Zbliżając się do lotniska Reagan International, a konkretnie do terminalu obsługującego prywatne loty, zobaczył mrowie potężnych luksusowych sedanów i czarnych limuzyn. Nie on jeden dostrzegł w porę, co się święci. Ci, którzy mieli szansę wydostać się z miasta, właśnie z niej korzystali. Nie chciał utknąć na parkingu, więc zjechał na pobocze w pobliżu wejścia i wyskoczył z samochodu, żeby wyjąć bagaż Lary. Podniósł tylną klapę SUV-a, po czym wybrał sekwencję pięciu przycisków na cylindrycznym zamku i wysunął jedną z pancernych szuflad.

– Zabrałam służbowy pistolet – odezwała się Lara. – Mam też odznakę i zapas amunicji.

Nigdy nie rozstawała się z bronią. Wiedział o tym. Sięgnął do szuflady po małą skrzynkę z czarnego tworzywa i podał ją Larze.

– Na wszelki wypadek.

Podważyła zaczepy i uniosła wieczko.

– Telefon satelitarny? – zapytała.

Harvath pokiwał głową.

– Jeśli sytuacja jeszcze się pogorszy, sieć komórkowa nie przetrwa długo – wyjaśnił.

– Czy tam w ogóle będzie zasięg?

– Kiedy wyjedziesz z Anchorage, na dobrą sprawę możesz wyłączyć komórkę. Na miejscu nie ma zasięgu, ale możesz dzwonić przez wi-fi.

Zdjął tylną klapkę aparatu i pokazał jej przyklejony na odwrocie pasek taśmy z zapisanym numerem telefonu satelitarnego, który nosił w swoim plecaku ucieczkowym. Był to ich awaryjny środek kontaktu, na wypadek gdyby wszystko inne zawiodło.

Zamknął samochód i niosąc jej torbę, doprowadził Larę do budynku centrum obsługi pasażerów. Wewnątrz rozgrywały się dantejskie sceny.

W hali piętrzyła się sterta walizek, a bogaci klienci usiłowali wymusić na personelu przyśpieszony start swoich samolotów. Z gwaru rozmów Harvath wyłowił nazwy najróżniejszych punktów docelowych – Jackson Hole w Wyoming, Eleuthera na Bahamach, Kauai na Hawajach czy Kostaryka – gdzie zapewne mieściły się ich wakacyjne rezydencje, w których mieli nadzieję schronić się przed epidemią. W tłumie wypatrzył jednego z pilotów odrzutowca, oddał mu bagaż, po czym oboje pozwolili poprowadzić się w stronę wyjścia.

Kiedy znaleźli się na pasie startowym, Harvath nie chciał przedłużyć pożegnania. Zależało mu, żeby Lara jak najszybciej znalazła się w powietrzu. Wziął ją w ramiona i pocałował, ale ten gest wydał mu się dziwnie chłodny. Myślami był już daleko od lotniska. Skupiał się na niebezpiecznym zadaniu, które go czekało.

– Jeszcze nie jest za późno – odezwała się Lara, chociaż wiedziała, że to nieprawda.

– Musisz już lecieć – odparł. Pocałował ją kolejny raz i wyswobodził się z jej objęć.

– Odprowadź mnie jeszcze na pokład.

Hałas pracujących silników zagłuszył sygnał, ale Harvath poczuł wibrację w kieszeni. Wyjął komórkę i odczytał wiadomość. Teraz naprawdę

musiał się pośpieszyć.

– Nie mogę – powiedział i pocałował ją po raz ostatni. – Daj znać, kiedy dotrzesz na miejsce.

Potem odwrócił się i odszedł z powrotem w stronę budynku.

Kiedy znalazł się w hali, wybrał numer, z którego przyszła wiadomość.

– Jesteś tego pewien? – spytał.

– Na sto procent – odpowiedział głos w słuchawce.

– Ile mam czasu?

– Może kilka godzin. A może kilka dni. Co zamierzasz zrobić?

– A co ty byś zrobił? – zapytał Harvath.

– Uporządkowałbym swoje sprawy i miałbym nadzieję, że koniec będzie bezbolesny.

# Rozdział 1

PROWINCJA ITURI  
DEMOKRATYCZNA REPUBLIKA KONGA  
TYDZIEŃ WCZEŚNIEJ

Potężny samochód terenowy przedzierał się przez mrok. Zbliżał się świt i nad prowadzącą przez dżunglę drogą wisiała mgła.

Scot Harvath wyjął komórkę i znów odtworzył nagranie. Ile już razy je oglądał?

Sto? Dwieście?

Obraz trząśł się i momentami był nieostry. Na wyświetlaczu widać było grupę ludzi w kombinezonach ochronnych, wchodzących do niewielkiego budynku kliniki medycznej. Potem błyski płomieni wylotowych, gdy otworzyli ogień. A potem kompletny bezruch.

Ten krótki film został przysłany e-mailem do CARE International, organizacji dobroczynnej z siedzibą w Stanach Zjednoczonych, która ufundowała budowę kliniki. Natychmiast trafił do założyciela CARE, biznesmena i filantropa, Bena Beamana.

Przez kilka kolejnych godzin Beaman usiłował skontaktować się z kliniką Matumaini na wschodzie Konga. Nikt się nie zgłaszał. W końcu wcielił w życie plan awaryjny i skontaktował się z najwyższym rangą urzędnikiem Departamentu Stanu, jakiego znał. Ale ponieważ na terenie placówki nie było obywateli amerykańskich, dyplomaci niewiele mogli zdziałać. To „nie leżało w ich kompetencjach”, jak poinformował Beamana jego znajomy. Obiecał zadzwonić w tej sprawie do kilku osób, ale poradził mu, żeby wiele sobie nie obiecywał.

Beaman traktował swoją organizację jak wielką rodzinę. Atak na jednego z jej członków był atakiem na wszystkich. Nie miało dla niego znaczenia, czy był to ktoś z Kinszasy, czy z Kansas City. Skoro Departament Stanu nie mógł nic zrobić w tej sprawie, musiał poszukać pomocy gdzie indziej.

Tylko gdzie? Nawet gdyby znał kogoś w FBI albo CIA, najprawdopodobniej również spotkałby się z odmową. Sprawa jakiejś małej

kliniki zagubionej wśród afrykańskiej dżiczy nie leżała w niczyich kompetencjach. Ale przecież musiał istnieć ktoś, kto potrafi coś na to zaradzić.

Beaman zaczął się nad tym zastanawiać.

Kiedy ze szpitala CARE w Afganistanie została porwana lekarka, wynajął pewnego wyjątkowo przedsiębiorczego człowieka, który poleciał tam, żeby ją uwolnić. Właśnie takiej pomocy teraz potrzebował.

Musiał zadzwonić do kilku osób, zanim udało mu się wytropić Scotta Harvatha, zatrudnionego z prywatnej agencji wywiadowczej, która nigdzie się nie reklamowała. Nie musiała.

Dawniej Carlton Group zajmowała się głównie nieoficjalnymi zleceniami, które przyjmowała za pośrednictwem Departamentu Obrony. Jednak obecnie jej agenci najczęściej przeprowadzali tajne operacje powierzane im przez Biały Dom i Centralną Agencję Wywiadowczą. Kiedy firma przechodziła trudny okres, nie miała innego wyjścia, jak korzystać z każdej nadarzającej się okazji do wykonania zlecenia, ale te czasy należały już do przeszłości. Teraz rzadko współpracowała z prywatnymi kontrahentami, a jeżeli się to zdarzało, musiał istnieć poważny powód.

Podobnie jak Lekarze bez Granic, pracownicy CARE docierali tam, gdzie tylko nieliczni mieli odwagę i ochotę się zapuszczać. Zakładali swoje placówki w najuboższych zakątkach Trzeciego Świata, od Mumbaju do Mogadiszu, gdzie nie tylko leczyli tubylców, ale również pomagali miejscowym służbom medycznym w podnoszeniu kwalifikacji. Byli życzliwymi ludźmi, którzy robili dużo dobrego dla bliźnich w potrzebie, a wykonując swoją pracę, nie raz zetknęli się z przemocą.

Na przestrzeni lat kilka razy dochodziło do napaści na placówki CARE. Ich pracownicy traktowali poważnie kwestię bezpieczeństwa, ale mieli ograniczone możliwości finansowe w tym zakresie. Chcieli przeznaczyć możliwie jak najwięcej pieniędzy na pomoc ludziom. Na tym polegała ich misja.

Planowali otworzyć dwa kolejne szpitale w Kongu, ale Beaman chwilowo wstrzymał to przedsięwzięcie. Postanowił najpierw wyjaśnić, co się stało z Matumaini.

Chociaż rządowi Stanów Zjednoczonych nie podobało się wykorzystywanie organizacji pozarządowych do tajnych operacji, założyciel Carlton Group miał w tej kwestii inny pogląd. Nawiązał już współpracę z paroma organizacjami tego typu, ale żadna z nich nie



dorównywała CARE International. Gdyby ich skaptował, zyskałby bezcenną przykrywkę. Co więcej, Beaman zaoferował mu sówitą zapłatę. Zadanie było niebezpieczne, a założyciel CARE zdawał sobie sprawę z ryzyka. Postawił tylko jeden warunek. Chciał, żeby całą akcją pokierował Scot Harvath.

W związku z tym już na samym początku pojawił się problem. W zasadzie Harvath był nieosiągalny. Pracował w szaleńczym tempie i właśnie doprowadził do końca piekielnie trudną operację w Syrii. Na ten czas wszystkie sprawy w kraju pozostawały w stanie zawieszenia i dotyczyło to również jego życia osobistego.

Jego partnerka mieszkała w Bostonie, a on pod Waszyngtonem, nieopodal Alexandrii. Już sama ta odległość wystarczająco utrudniała im życie. Jednak szanse na przetrwanie ich związku niemal całkowicie przekreślał fakt, że Harvath wiele razy zmieniał ich wspólne plany albo wyjeżdżał za granicę, nawet jej o tym nie informując. Niedawno uprosiła go, żeby zarezerwował dla niej tydzień i trzymał się tego terminu, choćby walił się świat. Harvath wykroił urlop ze swojego kalendarza i udał się do Carltona, żeby uzyskać jego błogosławieństwo. Otrzymał je.

Mieli rozkoszować się plenerami Nowej Anglii w jesiennej szacie. Lara wystarała się w swojej pracy o tydzień wolnego w tym samym czasie. Wynajęła idealny domek nad jeziorem i poprosiła pośrednika, żeby zamówił dwie skrzynki ich ulubionego wina. Pomyślała, że to będzie wspaniała niespodzianka. Wyobrażała sobie, że po drodze wstąpią do swojego ulubionego sklepu i zrobią zapasy, żeby oszczędzić sobie późniejszych sprawunków, a kiedy dojadą na miejsce, wino będzie już na nich czekać. Przez wielkie okno w sypialni będą mogli podziwiać paletę jesiennych barw. Właśnie tego potrzebowali.

Kiedy Reed Carlton, czyli Stary, jak nazywał go Harvath, zadzwonił do niego, od razu przeszedł do rzeczy.

– Jutro rano masz spotkanie w moim gabinecie. Przyjdź o wpół do ósmej i załóż garnitur.

Nie ulegało wątpliwości, że szykuje się coś poważnego, ale Carlton nie zdradził żadnych szczegółów. To było dla niego typowe. Ten stary as wywiadu zawsze ujawniał tylko tyle informacji, ile jego zdaniem inni potrzebowali. Harvathowi to nie przeszkadzało. Zdażył się przyzwyczaić. Zresztą był już jedną nogą na wakacjach i nie mógł się doczekać wyjazdu do Nowej Anglii.

Rankiem następnego dnia zjawił się w siedzibie Carlton Group w Reston w stanie Virginia z kubkiem kawy w ręku, ubrany w grafitowy garnitur od Ralphi Laurena, białą koszulę i ciemnoniebieski krawat. Podczas ostatniego pobytu za granicą musiał się ograniczyć do ćwiczeń wytrzymałościowych, przez co stracił około pięciu kilo, chociaż zachował wysportowaną sylwetkę. Jego błękitne oczy kontrastowały z opaloną twarzą, a jasnobrązowe włosy spłówiały nieco od słońca. Stojąc przed lustrem, pomyślał, że wygląda bardziej jak student z Południowej Kalifornii, który większość czasu spędza na plaży, niż ekskomandos Navy SEALs i tajny agent, walczący z terrorystami.

Kiedy wszedł do sali konferencyjnej, Stary już tam czekał i przedstawił go Benowi Beamanowi, szefowi CARE International. Kiedy Harvath zamienił z gościem kilka słów, pytając, jak się miewa lekarka, którą uwolnił w Afganistanie, Carlton poprosił ich, żeby usiedli, i nakierował rozmowę na zasadniczy temat.

Beaman, który przyniósł ze sobą laptop, uruchomił krótki pokaz slajdów. Przedstawiły budynek małej kliniki, jej personel oraz pacjentów, głównie rodziny z dziećmi. Jej nazwa – Matumaini – pochodziła z języka suahili i oznaczała nadzieję. Klinika, położona w głębi dżungli niedaleko granicy z Ugandą, była jedynym punktem opieki medycznej w promieniu przeszło dwustu kilometrów. Posiadała izbę chorych z piętnastoma łóżkami, gabinet zabiegowy i mniejsze o połowę laboratorium oraz niewielką aptekę.

Prezentację wieńczyło nagranie z ataku na ośrodek. Beaman uruchomił odtwarzanie i spojrzenia trzech par oczu wbiły się w monitor. Kiedy krótki film dobiegł końca, dyrektor CARE zamknął laptop i rozparł się na krześle.

– To wszystko, co wiemy – oznajmił.

Carlton włączył wielki płaski ekran umieszczony na ścianie za stołem konferencyjnym.

– To najnowsze zdjęcia satelitarne, jakie udało nam się zdobyć – wyjaśnił.

Za pomocą małego pilota powiększył obraz i ekran wypełniła niewielka polana wykarczowana w gęstej dżungli. Na środku stał samotny budynek małego szpitala. Dookoła nie było widać niczego, co zdradzałoby jakiegokolwiek oznaki życia.

Stary uniósł dłoń z wyprostowanym palcem wskazującym, jakby chciał powiedzieć: „Ale to jeszcze nie wszystko”. Naciskając guziczki na pilocie, przesunął obraz na północny zachód od polany. Na ekranie, u podnóża

wzniesienia, ukazało się coś, co przywodziło na myśl długi osmalony wykop. Wydobywały się z niego smużki czarnego dymu.

– Domyślcie się, co to jest? – zapytał. Beaman pokręcił głową.

– Wygląda jak palenisko – rzucił Harvath. – I to ogromne.

– Zgadza się. – Carlton przytaknął. – A jak sądzisz, co tam zostało spalone?

– Raczej nie śmieci.

Dyrektor CARE International przez chwilę wodził wzrokiem między swoimi rozmówcami.

– Myślicie, że ktoś tam spalił zwłoki? – odezwał się ściszym głosem. Stary wyłączył ekran z obrazem satelitarnym.

– To mogło być cokolwiek.

– Ale jeśli to były zwłoki? – drążył Beaman. – Jeśli to ciała kobiet i dzieci? Naszego personelu i pacjentów? – zapytał i spojrzał na Harvatha. – Skoro to nie śmieci, to co?

Harvath odwiedził w swoim życiu tyle spustoszonych przez wojnę miejsc, że nawet nie potrafiłby ich wszystkich spamiętać. Widział potworności, które przechodziły wszelkie wyobrażenia. Jego zdaniem o wartości społeczeństwa świadczyło tylko jedno – to, jak troszczy się o swoich najsłabszych członków, zwłaszcza o kobiety i dzieci.

Zdjęcia satelitarne wypalonego rowu przywołały falę wspomnień, z których żadne nie było przyjemne, z których żadnego nie chciał pamiętać. Jednak było w tym wszystkim coś dziwnego. Próbował określić, co to takiego, ale ponieważ nic nie przychodziło mu do głowy, zepchnął tę myśl na drugi plan.

– Pan Carlton ma rację – orzekł. – To mogło być cokolwiek.

Przez chwilę Beaman sprawiał wrażenie, jakby nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Ale jesteśmy zgodni co do tego, że najprawdopodobniej nie są to śmieci.

Harvath spojrzał na swojego szefa, a potem przeniósł wzrok z powrotem na dyrektora CARE International i pokiwał głową.

W sali zapanowało niezręczne milczenie.

– Panie Harvath – odezwał się w końcu Beaman. – Chciałbym wyjaśnić... Muszę wyjaśnić, co tam się stało. Jestem to winien tym ludziom, wszystkim moim ludziom. Nie mam wątpliwości, że poczułby się pan tak samo, gdyby coś takiego spotkało zespół, za który pan odpowiada.

Harvath zaczął rozumieć, dokąd to wszystko zmierza. Beamanowi zależało, żeby to on pokierował tą operacją. Oczywiście gdyby zamienili się miejscami, Harvath zrobiłby wszystko, żeby wyjaśnić, co się stało z ludźmi, za których odpowiada. Ale tutaj nie chodziło o jego ludzi. Tutaj chodziło o pracowników CARE International i sprawa była o wiele bardziej złożona. Nie wystarczyło ot tak polecieć za ocean i sprawdzić, co się dzieje.

Kongo było najbardziej zabójczą strefą konfliktu na świecie. W ciągu niespełna dwudziestu lat toczące się tam nieprzerwanie walki pochłonęły pięć i pół miliona ofiar. Ten nękany najazdami sąsiadów i wojnami kraj przypominał beczkę prochu stojącą w pobliżu ogniska. Określenie sytuacji w tamtym regionie mianem niestabilnej było grubym niedopowiedzeniem.

Jednak związane z tym zagrożenia stanowiły tylko jeden z wielu problemów, jakie dostrzegał Harvath. Nasuwało się również mnóstwo pytań bez odpowiedzi. Nikt nie miał pojęcia, kto przysłał do CARE to tajemnicze nagranie, a co gorsza, nikt nie potrafił wyjaśnić, dlaczego uzbrojeni ludzie, którzy weszli do kliniki, mieli na sobie kombinezony ochronne.

Jak twierdził Beaman, Matumaini była małym ośrodkiem specjalizującym się w medycynie rodzinnej. Nie leczono tam chorób stwarzających zagrożenie epidemiologiczne. Nie pozwalało na to zbyt skromne zaplecze. Szczytem możliwości były mniej skomplikowane zabiegi chirurgiczne. Personel wiedział, że jeśli pojawi się jakiś nadzwyczajny problem, należy wezwać pomoc. Jednak nikt w centrali CARE nie odebrał takiego wezwania.

Harvathowi nie podobało się to ani trochę. Nie znosił błędzenia po omacku, a tutaj piętrzyło się zbyt wiele niewyjaśnionych wątków. A poza tym nie było ani chwili do stracenia. Zdawał sobie sprawę, że im dłużej potrwa przerzucenie zespołu do Konga, tym trudniej będzie znaleźć świeży trop. Jeżeli nie zaczną działać szybko, mogą nigdy nie dowiedzieć się, co zaszło i kto jest za to odpowiedzialny.

W jego głowie po raz kolejny zagościły drastyczne wspomnienia. Najbardziej wstrząsające były obrazy pomordowanych rodzin. Na własne oczy widział, do czego zdolne są potwory. Wiedział, jak daleko potrafią się posunąć, kiedy nikt ich nie powstrzymuje. W tym przypadku potwory były ucieleśnieniem wyrafinowanego zła. Ich ofiarami padli nie tylko chorzy i niedołąźni, ale również ci, którzy się nimi opiekowali.

Potem powrócił myślami do swojego urlopu w Nowej Anglii, ale była to tylko przelotna refleksja. Już dokonał wyboru. Uważał to za swoją

powinność. Oprócz niego w Carlton Group nie było nikogo, kto podjąłby się tego rodzaju zadania, mając tak mało czasu na przygotowanie. Gdyby się nie zgodził, operacja w ogóle nie doszłaby do skutku. Departament Stanu nie zamierzał kiwnąć w tej sprawie palcem, a na pomoc ze strony FBI i CIA Beaman też nie mógł liczyć. Harvath był jego jedyną nadzieją.

Czekała go typowa robota na wariackich papierach, polegająca w dużej mierze na improwizacji, ale był pewien, że sobie poradzi. Był również pewien, że zdoła wszystko wytłumaczyć Larze. Powinna zrozumieć, że nie miał wyboru i musiał przełożyć ich wyjazd do Nowej Anglii. Spędzą te wakacje w innym, może nawet bardziej uroczym miejscu. Wszystko się ułoży.

Kiedy już podjął decyzję, rzucił się w wir przygotowań. Logistyka, wyposażenie, fundusze, wsparcie... Wszystko to było chaotyczne, ale Harvath uwielbiał takie wyzwania, bo mierząc się z chaosem, był w swoim żywiole. Na pożegnanie Stary wydał mu jeszcze jedno polecenie:

– Dostań się na miejsce, a potem wynoś się stamtąd najszybciej, jak się da. Dwadzieścia cztery godziny później znalazł się na terenie Demokratycznej Republiki Konga. W ciągu dwunastu kolejnych godzin skompletował zespół, z którym wyruszył na północ w stronę Matumaini.

Wyszedł z trybu odtwarzania wideo i zanim schował smartfon do kieszeni, zajrzał jeszcze do skrzynki wiadomości tekstowych, a potem uruchomił mały przekaźnik, za pomocą którego łączył się z siecią satelitarną. Tuż po lądowaniu napisał do Lary, że szczęśliwie dotarł na miejsce. Nie doczekał się odpowiedzi, ale próbował oddalić od siebie tę myśl. Musiał całkowicie skupić się na zadaniu.

Spodziewał się, że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, długo tu nie zabawią. Przynajmniej tak to sobie wyobrażał. Wyobrażał sobie również, że uda mu się nakłonić Larę do odwołania, czy, jak to ujął, przełożenia ich wspólnego urlopu. Nie przyjęła tego dobrze. Ale Scot Harvath miał ten fatalny nawyk, że wmawiał sobie pewne rzeczy, nawet jeśli wiedział, jak bardzo mijają się z prawdą.

## Rozdział 2

Zespół Harvatha składał się z czterech Brytyjczyków. Wszyscy byli weteranami SAS i dawniej pracowali w prywatnej firmie najemniczej o nazwie Ridgeback, działającej w Kenii. Ale ponieważ w Kongu nie brakowało pieniędzy i zleceń, zwolnili się, żeby założyć własny interes.

Swoją czteroosobową spółkę nazwali Extremis. Harvath nigdy wcześniej nie zetknął się z nimi osobiście, ale znał ich doskonale referencje. Dołączył do Patricka Ashera i Mike'a Michaelsona w Lumumbashi, gdzie załadowali swój sprzęt na pokład samolotu, który wynajął dla nich jeden z pracowników CARE.

Asher, czyli Ash, jak zwracali się do niego koledzy, był szefem grupy. Miał czterdzieści kilka lat i w pewnym sensie przypominał Harvathowi Starego. Był serdeczny, ale skupiał się wyłącznie na pracy. Od razu przeszedł do rzeczy, nie tracąc czasu na żarty czy pogaduszki. Roztaczał wokół siebie aurę powagi, którą wzmagały jego siwiejące włosy i czarne oczy.

Z kolei Michaelson, zwany Mickiem, sprawiał zupełnie inne wrażenie. Był krępy, muskularnym trzydziestolatkiem o ogolonej głowie, która opierała się na tęgim jak pień karku. Wszystko go bawiło. W ciągu dziesięciu minut od powitania zdążył poklepać Harvatha po plecach co najmniej trzy razy.

Po załadowaniu sprzętu polecili na północ, do Buni, stolicy prowincji Ituri. Tam czekali na nich dwaj pozostali członkowie zespołu – Simon Bruce i Evan „Eddie” Edwards. Kiedy Harvath ich zobaczył, zrozumiał, dlaczego Mick, wspominając o nich podczas podróży, używał określenia „Duet Brutali”.

Obaj byli zwałistymi facetami po trzydziestce, mieli grubo ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i szerokie bary. W przeciwieństwie do swoich ziomeków z Lubumbashi nosili zarost. Ale nie był to byle jaki zarost. Harvath w życiu nie widział tak rozłożystej i ogniście rudej brody jak ta, która zdobiła twarz Simona, upodabniając go do przerośniętego drwala. Z

kolei Eddie ze swoją wypielegnowaną kruczoczną hiszpańską bródką wyglądał jak żywcem wyjęty z reklamy rumu Captain Morgan. Kongo faktycznie było nowym Dzikim Zachodem.

Simonowi i Eddiemu towarzyszył miejscowy pomagier, młody i szczupły Kongijczyk, którego nazywali Jambo, co w języku suahili oznaczało po prostu „cześć”. Ponieważ jego prawdziwe imię było niemożliwe do wymówienia, a Jambo witał każdego z szaleńczym entuzjazmem, jego pseudonim się przyjął.

Na pasie startowym czekały dwie białe toyoty land cruiser, których silniki pracowały na jałowym biegu. Jedną mieli podróżować ludzie, a druga była przystosowana do przewozu ładunku. Oba samochody miały opony terenowe i wyposażenie pozwalające na jazdę po bezdrożach: wyciągarki, podnośniki i górne chwyty powietrza.

Podobnie jak lokalny pomocnik, z którego usług Ash korzystał w Lubumbashi, Jambo zadbał, żeby nikt z personelu lotniska w Buni nie przeszkadzał im podczas przeładunku. Kiedy przenieśli cały sprzęt, Harvath wręczył Ashowi magnetyczne plakietki na karoserię, w które zaopatrzył go Beaman. Umieszczone na nich napisy głosiły, że pojazdy należą do CARE International, a ich pasażerowie wypełniają oficjalną misję humanitarną. Plakietki ozdobiono także małymi symbolami czerwonego krzyża. Członkowie zespołu dostali również naklejki przedstawiające przekreślony kontur AK-47, które umieścili na bocznych szybach. Kiedy załadowali do środka i przytwierdzili do bagażników dachowych cały swój sprzęt, opuścili lotnisko i skierowali się w stronę stolicy prowincji. Jambo zarezerwował dla nich pokoje w najlepszym w mieście hotelu. Hotel Bunia był dwugwiazdkowy i otoczony wysokim murem, a wjazdu na dziedziniec strzegła solidna brama, co przemawiało na jego korzyść, podobnie jak bar z piwem i stół bilardowy. Jak na lokalne standardy był to szczyt luksusu. Ku zaskoczeniu Harvatha okazało się, że hotelowa kuchnia serwuje nawet w miarę przyzwoite dania chińskie i indyjskie. Chociaż parking mieścił się na ogrodzonym terenie, Jambo zwerbował dwóch swoich krewniaków, by pilnowali samochodów nocą.

Po dopełnieniu formalności meldunkowych i przeniesieniu najcenniejszych elementów wyposażenia do pokoi wszyscy członkowie zespołu zebrali się w hotelowym barze. Właśnie podano im pierwszą kolejkę piwa, kiedy w drzwiach stanęła ostatnia z osób biorących udział w operacji.

Była wysoką blondynką, ubraną w obcisły zielony podkoszulek i jeszcze bardziej obcisłe szare spodnie. Zawieszona na tasiemce okulary przeciwsłoneczne kołysały się między jej piersiami. Miała muskularne ramiona i opaloną skórę, a nieregularny szlaczek piegów kontrastował z idealnym kształtem jej nosa. Chociaż w barze panował półmrok, jej oczy o przenikliwym spojrzeniu jarzyły się zielonym blaskiem. Rzuciła plecak na podłogę obok stołu bilardowego i przedstawiła się swoim towarzyszom. Chociaż widziała ich po raz pierwszy, zachowywała się pewnie, bez cienia skrępowania.

Zanim Jessica Decker została lekarką, pracowała jako korespondentka wojenna. Aż nazbyt dobrze wiedziała, jakie zło ludzie potrafią wyrządzać sobie nawzajem. Widziała dosyć cierpień, zwłaszcza w Kongu, i doszła do wniosku, że chciałyby robić coś więcej, niż tylko o nich pisać. To dlatego porzuciła dziennikarstwo i poszła na studia medyczne.

Po niespełna roku współpracy Beaman powierzył jej zadanie założenia kliniki Matumaini. Później wykonała trzy kolejne misje w tym regionie. Znała te tereny i tych ludzi lepiej niż ktokolwiek inny. Właśnie była w trakcie otwierania jednej z dwóch kolejnych placówek CARE – przychodni w pobliżu Kinszasy – kiedy całe przedsięwzięcie zawieszono.

Beaman uznał, że w obecnej sytuacji przyda im się jej pomoc, a Carlton przyznał mu rację. Harvath był innego zdania, ale został przegłosowany. Stary zdecydował, że Decker nie tylko będzie ich przewodniczką, ale w razie potrzeby zakamufluje ich działania.

Nawet Ash i jego ludzie nie do końca zdawali sobie sprawę, co się dzieje. Wiedzieli tylko, że zatrudniono ich, żeby eskortowali transport środków medycznych i dwoje pracowników organizacji humanitarnej w drodze do prowincji Ituri. Był to niebezpieczny teren i przedstawiciel CARE International poinformował go, że ich konwoje dwukrotnie padły ofiarą rabunku. Zarząd CARE nie chciał, żeby to się powtórzyło. Ash zapewnił, że wraz ze swoim zespołem zrobi wszystko, co w ich mocy, żeby temu zapobiec. Był raczej pewny, że to nie będzie trudne zadanie. Ale potem z samolotu w Lubumbashi wysiadł ten Amerykanin.

Harvath miał wypisane na czole, że służył w jednostce specjalnej. Ash zorientował się od razu, że za ich zleceniem kryje się coś więcej. Dyskretnie dał znać każdemu ze swoich ludzi, żeby mieli się na baczności. Kiedy pojawiła się ta kobieta, sytuacja stała się jeszcze bardziej skomplikowana.



Decker była niezwykle atrakcyjna, zbyt atrakcyjna jak na Kongo – niespokojny kraj, gdzie ludzie nade wszystko cenią sobie dobra materialne i są gotowi wiele zapłacić lub zrobić, żeby dostać to, czego chcą. Nie pasowała do tego miejsca, a mimo to zachowywała się jak na swoim podwórku. Poza tym już zaczęła z nimi pogrywać. Koszulka, która eksponowała jej biust, opięte na pośladkach spodnie i ten starannie nałożony makijaż – na tyle stonowany, że sprawiał wrażenie, jakby go wcale nie było – wszystko to układało się w jedną całość i zwiastowało kłopoty. Ash zaczął się zastanawiać, czy dobrze postąpił, przyjmując to zlecenie.

Harvath też nie wiedział, co myśleć o ich nowej towarzyszce. Nie spodziewał się kogoś takiego jak ona. Beaman pokazał mu broszurkę CARE, w której znajdowało się jej zdjęcie. Było nijakie, wykonane w plenerze, i ani trochę nie przygotowało go na to, co zobaczył w rzeczywistości. Choć tak naprawdę nie miało to większego znaczenia. Jej obecność przypominała mu tylko, że nie miał w tej sprawie nic do gadania.

Decker przywitała się ze wszystkimi i podeszła do baru, żeby złożyć zamówienie. Harvath miał ochotę odprowadzić ją wzrokiem, ale powstrzymał się od tego i spojrzał na ludzi Asha. Brytyjczycy przypominali sforę dzikich psów gotowych rzucić się do walki o sztukę mięsa. W Kongu białe kobiety należały do rzadkości, a z pewnością niewiele było takich – jeśli były w ogóle – które prezentowały się jak Jessica Decker. Skoro Harvath miał tego świadomość, ona też musiała, a to oznaczało, że doskonale wiedziała, co robi. Nie miał nic przeciwko temu. Niektórzy komandosi SEALs słynęli z podbojów seksualnych, którym oddawali się po godzinach w trakcie misji zagranicznych. Czemu kobiety miały być gorsze? Zdawał sobie sprawę, jak trudno jest wytrwać w związku, kiedy spędza się tak wiele czasu z daleka od domu.

Cokolwiek doktor Decker robiła w wolnym czasie, nie powinno go to obchodzić. Dopóki nie przeszkadzało to innym, postanowił nie przejmować się całą tą sprawą.

Zjedli dobrą kolację, pograli trochę w bilard i ustalili godzinę porannej zbiórki. Harvath wstał od stołu jako pierwszy. Musiał jeszcze odpisać na kilka e-maili i chciał wziąć prysznic przed snem. Kupił w barze dwie butelki piwa na wynos, życzył wszystkim dobrej nocy i wrócił do swojego pokoju.

Gdy o czwartej nad ranem wyszedł na parking, ludzie Asha już ładowali sprzęt i sprawdzali samochody przed wyjazdem. Temperatura spadła do kilkunastu stopni i powietrze było rześkie. W nocy padał obfity deszcz i gruntowa droga przed hotelem zamieniła się w czerwoną błotnistą breję.

Kiedy Harvath włożył swój bagaż do jednego z land cruiserów oznaczonego jako LC1, obok niego pojawiła się Jessica Decker. Wyciągnął rękę po jej plecak i również umieścił go w środku. Uśmiechnęła się i podziękowała mu.

– Czy gdzieś tu można dostać kawę? – zapytała.

– Kawa, tak. Jest kawa – powiedział Jambo, wychodząc z hotelu z dwoma dużymi termosami. – I śniadanie też.

Wskazał głową na idącego za nim kelnera, który niośł tacę z plackami naan wypełnionymi pastą z jaj, ryżu i sera, podgrzany w kuchence mikrofalowej i zawiniętymi w folię jak kanapki na drogę. Harvath wziął sobie dwie porcje.

Kiedy pakowanie sprzętu dobiegło końca i samochody były gotowe do podróży, Ash kazał wszystkim wsiadać. Dwie toyoty wyjechały z hotelowego dziedzińca i skierowały się na północ.

Z ponad stu sześćdziesięciu tysięcy zaznaczonych na mapie kongijskich dróg tylko dwa procent miało utwardzoną nawierzchnię, z czego tylko połowa była w dobrym stanie. Oznaczało to, że dotarcie w jakiegokolwiek miejsce w Kongu było niesamowitą mordęgą. Poza terenem kilku większych miast podróż stawała się jeszcze bardziej uciążliwa. Nieliczne trawiaste pasy startowe wymagały regularnej pielęgnacji, a te, które powstały na wykarczowanych terenach dżungli, prawie bez wyjątku zostały porzucone przed wielu laty. Misjonarze przyjeżdżali i wyjeżdżali, a natura zawsze upominała się o swoje.

W dotkniętym nędzą kraju o siedemdziesięciomilionowej populacji i powierzchni dorównującej amerykańskiemu Środkowemu Zachodowi każdy chciał się obłowić. Dotyczyło to zwłaszcza pogrążonej w anarchii wschodniej części Konga, gdzie różne bandy rebeliantów sprawowały kontrolę nad prawie każdą dziedziną życia. Ponieważ dzienny zarobek wynosił około dolara, a kałasznikow kosztował pięćdziesiąt dolarów, tubylcy szybko stali się kreatywni. Za sprawą tej kreatywności podróż samochodem była jeszcze bardziej stresująca.

Ash skontaktował się przez radio z Duetem Brutali, jadącym z tyłu w drugim land cruiserze, którym podróżował również Jambo i większa część

wyposażenia.

– LC Jeden do LC Dwa. Pięćdziesiąt metrów przed nami szlaban. Wszyscy zachować spokój.

W tej części kraju wystarczyło zagrozić drogę jakąś kłoda, liną albo dostatecznie długim kawałkiem łańcucha i przy tak zaimprovizowanym szlabanie każdy mógł założyć swój punkt poboru opłat. Zazwyczaj obsadę stanowili rebelianci, zdemoralizowani gliniarze albo żołnierze, którzy dorabiali sobie do marnego żołdu. Podobno w niektórych takich punktach roczny dochód sięgał nawet siedmiuset tysięcy dolarów. Oczywiście było to zwykłe wymuszenie haraczu, a ludzie, którzy parali się tym procederem, stosowali rządy silnej ręki. Na wypadek gdyby ktoś chciał sforsować szturmem taki posterunek i przejechać bez płacenia, na dalszym odcinku drogi czekała się druga grupa. W zależności od ukształtowania terenu takie zasadzki znajdowały się sto metrów albo kilka kilometrów dalej. Było to niezawodne zabezpieczenie. Można było nie zatrzymać się przy szlabanie, ale nikt nie wiedział, w którym miejscu spodziewać się zasadzki. Beztroscy podróżni tracili życie, a ich ciała umieszczano przy drodze jako przestrożę dla każdego, komu przyszłoby do głowy wymigać się od zapłaty.

Ash przybliżył temat Harvathowi i Jessice Decker, kiedy wyjeżdżali z Buni. Chociaż nie miał najmniejszej ochoty płacić bandytom, był zdania, że kwotę stu dolarów za dwa samochody trzeba po prostu wliczyć w koszty podróży.

Chociaż cały czas jechali po wybojach, Jessica przez większość drogi spała, opierając głowę na zwiniętym polarze, który przycisnęła do szyby w tylnych drzwiach. Prawdopodobnie nauczyła się tego, przebywając w różnych strefach działań wojennych, gdzie przydaje się umiejętność regeneracji sił przy każdej sprzyjającej okazji. Najważniejsze było, żeby wiedzieć, w którym momencie się obudzić. Kiedy samochód się zatrzymał, od razu otworzyła oczy.

– Co się dzieje? – zapytała.

– Pobór opłat – rzucił Mick z przedniego siedzenia. – Nie przejmuj się. Śpij dalej.

Ash wymamrotał coś pod nosem.

– Co to za jedni? – zainteresował się Harvath.

– Wyglądają na regularną armię. Rzucimy im parę banknotów na tacę i pojedziemy dalej.

Siedzący z przodu Brytyjczycy opuścili szyby. Harvath miał nadzieję, że się nie mylą. Jednak w wyglądzie tego posterunku było coś, co budziło w nim złe przeczucia, chociaż nie potrafił dokładnie określić, co to takiego.

## Rozdział 3

Pierwszy z żołnierzy, który podszedł do ich toyoty, wyglądał na zdenerwowanego. W obu rękach ściskał kurczowo swojego AK-47.

– *Medecins?* – zapytał, potrząsając bronią. – Lekarze?

Mówił po francusku, w języku urzędowym Demokratycznej Republiki Konga.

– *Oui* – odpowiedział Harvath, wychylając się zza placów Asha.

Szkołę podstawową, w której się uczył, prowadziły francuskie zakonnice. Oprócz wychowania fizycznego język francuski należał do nielicznych przedmiotów, w których osiągał dobre wyniki.

– *Allez* – rozkazał żołnierz, po czym szarpnął za klamkę i otworzył drzwi po stronie Harvatha. – Wysiadać.

– Wszyscy zostają w samochodzie – zarządził Ash.

– Nie – zaprotestował żołnierz łamanym angielskim. – Lekarz wysiada.

Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, Jessica Decker otworzyła drzwi po swojej stronie i opuściła nogi na drogę.

– Stój. – Harvath próbował ją powstrzymać, ale było za późno.

– To ja jestem lekarzem – oznajmiła Decker. Kongijczyk skierował wzrok z powrotem na Harvatha.

– A pan nie jest lekarzem?

– Ja... Ja jestem...

– Już powiedziałam – przerwała mu Decker, wyciągając z plecaka apteczkę. – To ja jestem lekarzem.

Żołnierz zatrzasnął drzwi po stronie Harvatha i zaczął okrążyć land cruisera.

– Doktor Decker – odezwał się Ash. – Proszę natychmiast wsiąść z powrotem do samochodu.

Ash i Mick nosili przy uchu połączone z nadajnikami radiowymi procesory dźwięku, wykorzystujące technologię przewodnictwa kostnego. Ich towarzysze w drugim samochodzie musieli zapytać, co się dzieje, bo Harvath usłyszał, jak Mick wyjaśnia:

– Na razie nie wiadomo. Nic nie róbcie.

– Ktoś potrzebuje pomocy – powiedziała Decker wyniosłym tonem. – Na tym polega moja praca.

– A moja praca polega na tym, żeby zapewnić wam bezpieczeństwo – odparł Ash. – Kimkolwiek jest ten potrzebujący, może poczekać na pomoc jeszcze pięć minut, dopóki wszystkiego nie ustalimy. Nigdzie pani nie pójdzie.

– To są żołnierze kongijskiej armii.

– Tego nie wiemy. Proszę w tej chwili wracać na miejsce.

Lekarka zignorowała jego słowa i ruszyła przed siebie. Ash miał powtórzyć polecenie, gdy usłyszał, jak otwierają się drzwi za jego plecami. Harvath wysiadł z samochodu i pozostali żołnierze momentalnie unieśli broń. Ich dowódca obrócił się i wymierzył w niego lufę swojego kałasznikowa.

– Co pan robi?

– Uspokójcie się. – Decker rozłożyła ręce, apelując do wszystkich o opamiętanie. Spiorunowała Harvatha wzrokiem. To było dobre pytanie. Co on, do cholery, robił? Czterej Brytyjczycy w land cruiserach też musieli się nad tym zastanawiać.

– Jestem asystentem lekarza – powiedział, zakładając czołówkę, którą wyjął ze swojej torby.

Włączył latarkę i pokręcił głową. Mocne światło oślepiło kilku żołnierzy, którzy unieśli ręce, żeby zasłonić oczy, i obrzucili go przekleństwami.

– Jeśli będziemy potrzebować asystenta, to pana zawołamy. Proszę wracać do samochodu – warknął dowódca.

Po tych słowach chwycił Jessicę Decker pod rękę i poprowadził w stronę dżungli. Mając przed sobą rząd rozwścieczonych ludzi z karabinami, Harvath mógł zrobić tylko jedno. Niechętnie zajął z powrotem miejsce na tylnym siedzeniu land cruisera.

– Kompletnie jej odbiło – stwierdził Ash.

Harvath zdążył już wyrobić sobie własne zdanie na temat doktor Decker, ale nie był to odpowiedni moment na dyskusję.

– Spójrzcie na ich buty – powiedział, a Brytyjczycy postąpili zgodnie z jego sugestią. – Są nie do pary. Dwaj z nich noszą tenisówki.

Ash zaklął cicho.

– Może te mundury należą do kongijskiej armii, ale ci faceci na pewno nie.

– W takim razie co to za jedni? – odezwał się Mick.

Harvath wskazał głową na dwóch uzbrojonych mężczyzn, którzy stali najbliżej.

– Ci tutaj, podobnie jak tamten, z którym poszła Jessica, mają identyczne tatuaże. Coś w kształcie kobry.

– O psiakrew – szepnął Ash. – To rebelianci. FRPI.

W Kongu działało tyle zbuntowanych frakcji, że bez ściągawki nie dało się wśród nich rozeznąć. Przed wyjazdem Harvath załadował całą listę do smartfona i podczas lotu starał się przyswoić jak najwięcej informacji.

– Frakcja? Front? – próbował rozszyfrować skrót.

– Siły Oporu Patriotycznego w Ituri. To z francuskiego – wyjaśnił Mick, spoglądając na umundurowanych ludzi. – Mają główną siedzibę w Buni. Nigdy nie słyszałem, żeby grasowali na tej drodze, a tym bardziej żeby przebierali się za wojsko. Pewnie rozpaczliwie potrzebują gotówki.

„Czegoś na pewno rozpaczliwie potrzebują”, pomyślał Harvath.

– Jak bardzo są groźni? – zapytał.

– FRPI? Bardzo. Gwałty, masowe morderstwa, narkotyki, co tylko zechcesz... Ale niepokoi mnie ten tatuaż. Ci tutaj to specjalna grupa uderzeniowa. Coś w rodzaju gwardii republikańskiej. Zajmują się wszystkim, od ochrony swoich przywódców po zastraszanie cywili.

– I przypuszczalnie dlatego tkwią tutaj ze swoim rannym, zamiast pojechać do szpitala w Buni. To się źle skończy.

– Nigdy nic nie wiadomo – odparł Mick.

– Posłuchaj, tym rebeliantom właśnie trafiła się nie lada gratka. Nie dość, że lekarka, to jeszcze bardzo atrakcyjna. Nie pozwolą jej odejść. A jeśli tym rannym jest jakiś herszt FRPI, za którego głowę wyznaczono nagrodę, sprawa dodatkowo się komplikuje.

– A jeśli się mylisz? – zapytał Mick, nie odrywając wzroku od rebeliantów.

– A jeśli nie? – odparł Harvath.

– To będą chcieli się nas pozbyć – wtrącił Ash.

– Mają nad nami przewagę. Będą musieli tylko zakopać ciała i podpalić samochody. Takie rzeczy tutaj to nic nowego, prawda?

– Tak, zwłaszcza w przypadku FRPI.

– Więc im dłużej tu tkwimy – ciągnął Harvath – tym gorzej dla nas. Ci tutaj w każdej chwili mogą dostać rozkaz przez radio i otworzyć do nas ogień. Musimy natychmiast przejąć kontrolę. Jaką mamy broń?

– Otworzyć ogień, przejąć kontrolę... Kim ty, do cholery, jesteś? – zapytał Mick, obracając głowę w jego stronę.

– Waszym klientem.

W lusterku wstecznym Harvath zauważył spojrzenie Asha, który przyglądał mu się badawczo. Samiec alfa zawsze potrafi rozpoznać podobnego do siebie. Brytyjczycy zorientowali się, że nie jest zwyczajnym klientem, kiedy tylko go zobaczyli. Harvath nie mógł dłużej trzymać ich w niepewności. Jeśli mieli wyjść z tego cało, musieli współpracować. Postanowił uchylić rąbka tajemnicy.

– CARE przysłała mnie tutaj, żebym ocenił sytuację – powiedział. – Chcą otworzyć dwie kolejne placówki w Kongu.

– Czego ma dotyczyć ocena?

– Bezpieczeństwa.

– A gdzie służyłeś?

– SEALs. Oddział Drugi, a potem Szósty. Ash nie odrywał wzroku od jego oczu.

– Widać to po tobie – odezwał się w końcu.

Harvath nie wiedział, co miała oznaczać ta uwaga. Ale zanim zdążył odpowiedzieć, dowódca najemników dodał:

– My mamy po Glocku, a pod twoim siedzeniem jest strzelba.

– Da się ją wydostać bez wstawania?

– Nie, a poza tym jest zbyt głośna. Nie wiadomo, ilu ich jeszcze kryje się w dżungli albo dalej przy drodze. Huk mógłby ich tu ściągnąć.

– Pistolet też robi hałas.

Ash skinieniem głowy dał znak Mickowi, który wskazał ponad ramieniem Harvatha.

– Za tobą jest skrzynka z częściami samochodowymi – powiedział. – W środku znajdziesz dwa filtry paliwa z przerobionymi gwintami, które można nakręcić na lufę.

Prowizoryczne tłumiki. Sprytne.

– Co jeszcze macie?

– Brutale też mają Glocki – odparł Ash. – I karabinki szturmowe.

– Jakiego typu?

– Kałasznikowy, jak nasi przyjaciele na drodze.

– Czy możecie dyskretnie podać mi swoje pistolety?

Mick z powrotem obrócił do przodu ogoloną głowę i nie odrywając wzroku od żołnierzy, powoli przesunął swoją broń do tyłu między fotelami.



Po chwili Ash zrobił to samo. Starając się nie zwracać na siebie uwagi, Harvath ostrożnie sięgnął do tyłu i wymacał skrzynkę z częściami samochodowymi. Szybko wyjął z niej dwa filtry paliwa. Wyciągnął również leżącą za siedzeniem dodatkową apteczkę.

– Jak to zamierzasz rozegrać? – zapytał Ash.

– Widzisz tego trzeciego z lewej? – Harvath zaczął przykręcać pierwszy z prowizorycznych tłumików. – Tego z brudnym bandażem na ręce? Ten opatrunek nie był zmieniany od dłuższego czasu, jeśli w ogóle. To mi daje świetny pretekst, żeby do nich podejść.

– A co potem?

– Podprowadzę go pod wasze reflektory, żeby obejrzeć tę rękę. Jeśli mi się uda, poproszę o pomoc jego kumpli i dam im coś do potrzymania, żeby ich zająć. Na mój znak włączysz długie światła, a wtedy wyjmę pistolet i zaczniemy grać. Tych po stronie kierowcy biorę na siebie.

– A Mick zdejmie pozostałych. Harvath pokiwał głową.

– A co z innymi? – drążył Brytyjczyk. – Nie mamy pojęcia, ilu ich tu jeszcze jest.

– Będziemy się nad tym zastanawiać, kiedy rozprawimy się z tymi trzema. Ash rozważał przez chwilę jego odpowiedź.

– W jaki sposób dasz nam znak? – zapytał.

Harvath przełożył z powrotem między fotelami pistolet Micka z przykręconym tłumikiem. Usuwając część wyposażenia z apteczki, w której zamierzał ukryć drugiego glocka, znalazł małą latarkę. Osłonił ją dłonią i nacisnął przełącznik, żeby się upewnić, czy działa.

– Kiedy zobaczycie, że wyciągam latarkę, wypatrujcie dwóch krótkich błysków.

Wtedy odczekajcie dziesięć sekund, a potem włączcie długie światła i ognia.

– To wszystko?

– Tak, to wszystko – odparł Harvath.

Ash połączył się z kolegami w drugim samochodzie i przekazał im przez radio plan działania. Kiedy otrzymał potwierdzenie, znów odnalazł w lusterku wstecznym spojrzenie Harvatha i pokiwał głową.

Nadszedł czas na wcielenie planu w życie.

## Rozdział 4

Gdy tylko Harvath otworzył drzwi land cruisera i zaczął wysiadać, żołnierze podnieśli krzyk, każąc mu wracać do środka. On jednak zignorował to polecenie i z uśmiechem na twarzy ruszył w ich stronę. Na ramieniu miał zawieszoną apteczkę, a w rękach trzymał kilka tamponów i buteleczkę z płynem dezynfekującym. Skinął głową w stronę żołnierza z zabandażowaną dłonią i zaproponował, że zmieni mu opatrunek, jeśli on pozwoli mu później pójść w krzaki za potrzebą.

Jeden z Kongijczyków uniósł kałasznikowa, jakby chciał strzelić do Harvatha, ale jego ranny kolega kazał mu się uspokoić. Musiało mu bardzo zależeć, żeby ktoś zajął się jego ręką.

Harvath stanął w snopie światła, które rzucały reflektory toyoty, i przywołał żołnierza gestem, a potem zasugerował jego towarzyszom, żeby również podeszli i mu pomogli. Posłuchali go. Zawiesili broń na paskach i wzięli od niego materiały opatrunkowe, które im podał.

Nawet lekki dotyk sprawiał, że ranny krzywił się z bólu. To nie było zwykłe draśnięcie. Harvath zorientował się od razu, że wdało się zakażenie i rana ropyje. Odwijając delikatnie bandaż, zapytał żołnierza, który mógł mieć nie więcej niż dwadzieścia lat, co mu się stało. Młody mężczyzna wyjaśnił, że dłoń zsunęła mu się na ostrze, kiedy używał maczety. Kongijskim rebeliantom maczety służyły zwykle do urządzania straszliwych rzezi. Harvath wolał nie dopytywać o szczegóły.

Opatrunek nie był zmieniany od tygodnia. Kiedy Harvath odsłonił ranę, już sama woń zgnilizny nie pozostawiała wątpliwości, że ręki nie da się uratować.

– Jest bardzo źle? – zapytał żołnierz po francusku.

Trzymając go za nadgarstek, Harvath obejrzał jego dłoń z obu stron.

– Potrzebujemy więcej światła – powiedział i pociągnął młodego rebelianta w stronę samochodu, skinieniem głowy dając znak dwóm pozostałym, żeby szli za nimi.

Kiedy wszyscy znaleźli się w upatrzonym miejscu, Harvath udał, że jeszcze raz przygląda się okaleczonej dłoni, a potem oznajmił towarzyszom rannego, że potrzebuje ich pomocy. Wyjaśnił, że nie mają pod dostatkiem środka dezynfekującego, dlatego jeden z nich musi polewać nim rękę kolegi, a drugi trzymać pod spodem czysty tampon, na który będzie ściekał płyn. Dzięki temu będą mogli później jeszcze raz przemyć ranę, wyciskając nad nią nasączoną gazę.

Dla ludzi, którzy żyli w niewyobrażalnej biedzie, takie metody nie były niczym nadzwyczajnym. Żeby jeszcze bardziej odwrócić ich uwagę od siebie, Harvath powiedział im, żeby obserwowali, czy podczas przemywania wydzieliną z rany zmienia kolor. Dla lepszej widoczności kazał wszystkim przykucnąć w świetle reflektorów. Potem sięgnął do apteczki. Widząc to, jeden z rebeliantów wzdrygnął się nerwowo, ale kiedy Harvath pokazał mu małą latarkę, uspokoił się i z powrotem skupił uwagę na ręce kolegi.

Harvath po raz ostatni potoczył wzrokiem dookoła, żeby zapamiętać pozycje pozostałych Kongijczyków. Potem kazał jednemu ze swoich pomocników jak najwolniej polewać ranę płynem z buteleczki, a jego koledze, trzymającemu pod spodem tampon, przypomniał, żeby postarał się nie uronić ani kropli.

Wyprostował się, przełożył latarkę do lewej dłoni i obrócił się tak, żeby błysk był widoczny tylko dla Asha i Micka. Wsunąwszy prawą rękę do apteczki, zacisnął dłoń na rękojeści glocka, po czym szybko nacisnął przełącznik na końcu obudowy latarki i zaczął odliczanie od dziesięciu. Kiedy rozbłysły długie światła land cruisera, trzymał już wyciągnięty pistolet i zaciskał palec na spuście.

Trzej rebelianci tuż przed nim tworzyli zwartą bryłę, a ich głowy były ustawione w jednej linii. Harvath zaczął od tego, który trzymał buteleczkę, a potem przesunął lufę w dół. Trzy śmiertelne strzały w niecałe dwie sekundy. Zanim ciała zdążyły osunąć się na ziemię, Harvath już trzymał uniesioną broń i mierzył w stronę pozostałych Kongijczyków. Jednak Mick okazał się równie zabójczym strzelcem. Wszystkie jego pociski trafiły w cel.

Mimo to Harvath podszedł do leżących żołnierzy, żeby się upewnić, czy nie żyją. Wszyscy byli martwi. Brytyjczycy dołączyli do niego i szybko oczyścili miejsce strzelaniny. Ogołocili zabitych z broni i amunicji, a jedyną krótkofalówkę, którą przy nich znaleźli, przekazali zadziwiająco

spokojnemu Jambo. Potem ukryli zwłoki w zaroślach po przeciwnej stronie drogi. Życie ludzkie w Afryce, a zwłaszcza w Kongu, było niezwykle tanie.

– Co zamierzasz zrobić z doktor Decker? – zapytał Ash.

Harvath przede wszystkim od początku był przeciwny jej udziałowi w ekspedycji. Po tym, co zrobiła, miał ochotę zostawić ją tutaj na pastwę losu, ale nie mógł tak postąpić. Wiedział, że to on będzie musiał zająć się jej uwolnieniem.

Wiedział również, że osławione prawa Murphy’ego sprawdzają się w Afryce bardziej niż w jakimkolwiek innym miejscu na świecie. Jeżeli coś może się nie udać, nie uda się na pewno, zwłaszcza w Afryce. Zwłaszcza w Kongu. Kiedy przyglądał się zdobyczej broni, w jego głowie zaświtały dwa rozwiązania taktyczne.

W przypadku pierwszego manewru musiałby rozstawić Asha i jego ludzi na odcinku pomiędzy drogą a miejscem, w którym spodziewał się znaleźć Jessicę Decker. Po jej odbiciu strzelcy osłanialiby ich odwrót, przyłączając się do nich kolejno i wycofując w stronę samochodów. Jednak ten ostatni punkt był szczególnie narażony na działanie prawa Murphy’ego.

Oba land cruisery powinny na nich czekać z silnikami na chodzie, gotowe do natychmiastowej ucieczki. Nie mogli przewidzieć, ilu rebeliantów rzuci się za nimi w pościg. Byłby to dla nich wyrok śmierci, gdyby po powrocie odkryli, że coś się stało z ich jedynym środkiem transportu. Nie mogli zostawić samochodów bez opieki.

Chociaż Harvath słabo znał Asha, wiedział, że nie spodoba mu się jego plan. Brytyjczyk był porządnym facetem i żołnierzem. Na pewno też chciałby wziąć udział w tej akcji, ale Harvath nie mógł tego od niego oczekiwać. To nie byłoby w porządku. Zbyt wiele zataił przed nim i jego ludźmi.

Zdecydował się na drugi manewr.

## Rozdział 5

Ash popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– W życiu nie słyszałem większej głupoty. Masz do dyspozycji czterech facetów z sił specjalnych i robisz z nich parkingowych? Rozum ci odjęło?

– To typowe dla SEALs – odparł Harvath. – Nie traktuj tego osobiście.

– Akurat. Nie masz pojęcia, co cię tam czeka. Jeśli zrobi się gorąco, będziesz potrzebował wsparcia.

– Daj mi radio. W razie czego was wezwę.

– Nie wątpię, Supermanie – mruknął Ash, idąc po krótkofalówkę. – Cholerni Amerykanie.

Chociaż nie podobał mu się ten pomysł, zdawał sobie sprawę, że to odpowiednie rozwiązanie.

Harvath podszedł do Simona i Eddiego. Z podziwem patrzył na ich szybkie ruchy. Wyczuwał wręcz rywalizację między nimi, kiedy rozbierali na części karabinki zabitych rebeliantów, czyścili każdy element i błyskawicznie składali z powrotem. Od sprawnego działania tej broni zależało życie, a w tym przypadku życie Scota Harvatha i Jessiki Decker.

Używając mocnej taśmy izolacyjnej, Mick połączył magazynki w pary, tak że po wystrzeleniu zawartości pierwszego z nich wystarczyło go obrócić do góry dnem, żeby załadować następny. Zdawał sobie jednak sprawę, że jeśli dojdzie do sytuacji, w której Harvath będzie musiał zmieniać magazynki, to znaczy, że znalazł się w tak poważnych tarapatach, że zapas amunicji i tak na niewiele mu się przyda.

– Twoje radio – powiedział Ash, który wrócił, trzymając w ręku zestaw łączności. – Nie krępuj się i korzystaj.

– Nie omieszka. – Harvath umieścił w uchu wkładkę z bezprzewodową słuchawką.

Po szybkim sprawdzeniu radia Harvath upchnął po kieszeniach kilka magazynków do glocka i zarzucił na ramię sześć kałasznikowów. Ważyły całkiem sporo, ale zdarzało mu się dźwigać dużo większe ciężary. Pocieszał

się myślą, że będzie mu lżej, kiedy znajdzie się w pobliżu Decker. Lepiej coś mieć i nie użyć, niż potrzebować i nie mieć.

– To też ci się przyda – rzekł Ash, wręczając mu garść małych laseczek ze światłem chemicznym.

Harvath podziękował mu, a potem odwrócił się bez słowa i ruszył tam, gdzie wśród zarośli zniknęła Jessica Decker.

Wielka zaleta żołnierzy SAS polegała na tym, że podchodzili do walki w taki sam sposób jak żołnierze amerykańskich jednostek specjalnych. Wygrywał nie ten, kto myślał szablonowo i kierował się zasadami narzuconymi przez innych. Należało odrzucić utarte schematy i wyznaczyć własne zasady bez względu na to, do jakich metod uciekał się przeciwnik. Dlatego ludzie Asha nie tylko znaleźli sposób na skonstruowanie tłumików do pistoletów, ale również weszli w posiadanie gogli noktowizyjnych. Przedzierając się przez dżunglę w całkowitej ciemności, Harvath błogosławił Brytyjczyków za ich przedsiębiorczość. Gdyby nie gogle, musiałyby używać latarki, a to byłoby równoznaczne z uprzedzeniem rebeliantów o jego wizycie. Z uwagi na to, co planował, nie chciał, żeby się go spodziewali. Zależało mu, żeby element zaskoczenia zadziałał na jego korzyść.

Wprawdzie nie padało, ale nie robiło to większej różnicy. Wszystko było mokre i krople deszczu wciąż skapywały z liściastej kopuły nad jego głową. Lasy deszczowe w Kotlinie Konga gromadziły tyle wody, że wykształciły własny mikroklimat i były nazywane zielonymi płucami Afryki.

Harvath często przeprowadzał akcje w dżungli i nigdy mu się tam nie podobało. Nie znosił wilgotnego zaduchu. Wolał pustynne płaskowyzę. Duże wysokości i niskie temperatury odpowiadały mu o wiele bardziej. Dżungla była jednym wielkim zagrożeniem. Musiał uważać zarówno na przeciwnika, jak i na całą masę istot, które tylko czyhały, żeby go pożreć.

A poza tym zewsząd dobiegały różne odgłosy, które zlewały się ze sobą w jedną symfonię. Hałas był tak wielki, że nie pozwalał zebrać myśli, nie mówiąc o nasłuchiwaniu sygnałów, które mogłyby świadczyć o nadciągającym niebezpieczeństwie. Nie dało się rozróżnić, czy źródło dźwięku znajduje się kilka metrów dalej, czy tuż obok, a w ciemności było to jeszcze trudniejsze.

Ścieżka, którą szli lekarka i prowadzący ją żołnierz, wyglądała na uczęszczaną i wydeptaną roślinność nie utrudniała marszu. Kiedy Harvath

ukrył pierwszy z karabinków i zaznaczył to miejsce świetlikiem, jego myśli wciąż zaprzętała złość na Jessikę Decker.

Lekarka przedkładała szczytne idee ponad instynkt samozachowawczy. Harvath, który polegał głównie na instynkcie, miał już okazję spotkać się z osobami jej pokroju. Ich zachowanie nigdy nie kończyło się dla nich dobrze, a w strefie działań

wojennych nazbyt często ściągało kłopoty również na wszystkich dookoła. Nie zamierzał dopuścić, by do tego doszło i w tym przypadku.

Zapuszczał się coraz głębiej w dżunglę, ukrywając po drodze kolejne AK-47. Wiele by dał za plecak pełen min Claymore, ale to, czym dysponował, było lepsze niż nic. Rozmieszczając broń przy ścieżce, musiał polegać na swoich przecuciach, gdyż nie mógł przewidzieć, ile drogi ma jeszcze przed sobą. Kiedy wybrał miejsce, w którym zamierzał ukryć ostatniego kałasznikowa, usłyszał ludzkie głosy.

Wszystkie mięśnie w jego ciele stężyły, gdy stał w całkowitym bezruchu i nasłuchiwał, próbując nie tylko rozróżnić słowa, ale również ustalić, w jakiej odległości znajdują się rebelianci i czy idą w jego stronę. Bezszelestnie zszedł ze ścieżki i przykucnął. Przycisnął do piersi glocka z tłumikiem i położył palec na spuście, gotowy w każdej chwili oddać strzał.

Każda sekunda wydawała się długa jak minuta. Krople wody spadały na jego głowę i na szerokie liście rosnących dokoła krzewów, wśród których się ukrył. Brzmiało to jak deszcz bębniący o płachtę namiotu i poza tym trudno było cokolwiek usłyszeć.

Harvath zdołał jedynie rozróżnić dwa głosy, oba męskie, które zbliżały się do niego. Jego palec zaczął powoli pokonywać opór spustu. Dopiero kiedy dwaj mężczyźni znaleźli się prawie obok niego, dało się wyraźnie dosłyszeć ich słowa, ale mówili w języku, którego nie rozumiał. Szli jeden za drugim i najwyraźniej byli sami. Oprócz nich na ścieżce nie było nikogo. Harvath wystrzelił i oba pociski ze stłumionym sykiem przecięły wilgotne powietrze, pędząc do celu. Martwi Kongijczycy, każdy z niewielką dziurą pośrodku czoła, zwalili się w mokre zarośla. Łoskot upadających ciał i ekwipunku zgiął pośród panującego w dżungli hałasu.

Harvath zabrał im broń i odciągnął zwłoki na tyle daleko od ścieżki, by nie dało się ich zauważyć przed świtem, który niestety szybko się zbliżał. Potem ruszył dalej. Po chwili znalazł to, czego szukał. Czterdzieści metrów przed sobą dostrzegł wartownika. Rozprawił się z nim tak samo jak z jego

dwoma kolegami i odciągnął ciało na bok. Nie zauważył, aby ktoś jeszcze pilnował małego obozowiska.

Okrążając niewielką polanę od zachodu, naliczył trzy brezentowe namioty. Żadnych ognisk. To był zimny biwak. Najwyraźniej rebelianci nie chcieli zwracać na siebie uwagi.

Przez dłuższą chwilę Harvath trwał w bezruchu i nasłuchiwał, próbując ustalić, w którym z namiotów może znajdować się Decker. O jego głowę zaczęło uderzać coraz więcej kropel i zorientował się, że nadciągnął deszcz. W oddali przetoczył się huk grzmotu. Mógł liczyć, że przy odrobinie szczęścia burza opóźni nadejście dnia i zatrzyma rebeliantów w namiotach.

Dociekanie, od którego namiotu zacząć, nie miało sensu. Lekarka mogła być w każdym z nich. Postanowił sprawdzić je kolejno. W chwili gdy już miał wyłonić się z zarośli, coś przykuło jego uwagę. Rozpięta tuż przy ziemi linka.

Gdy dotarł do jej końca, znalazł prymitywną, ale zabójczo skuteczną minę przeciwpiechotną; linka była przywiązana do zawleczonego granatu, który tkwił przymocowany do pnia drzewa. Zużył już wszystkie świetliki, więc nie mógł oznaczyć tego miejsca. Ostrożnie przekroczył linkę i zakradł się do obozu.

Ulewny deszcz tak skutecznie zagłuszał jego kroki, że Harvath nawet sam ich nie słyszał. Mógł się tylko domyślać, że wewnątrz namiotów hałas jest jeszcze większy. Podszedł do pierwszego z prawej i przez chwilę nasłuchiwał, ale oprócz bębnienia kropel o brezent nie wyłowił żadnych innych odgłosów. Uchylił zasłonę przy wejściu i zajrzał do środka. Zobaczył sześciu mężczyzn. Wszyscy spali, a obok posłań spoczywały ich karabiny. Potwierdziły się dwie z jego najgorszych obaw.

Po pierwsze, nie miał już wątpliwości, że natrafili na coś poważniejszego niż zwykła garstka rebeliantów, którzy wymuszają haracz od podróżnych. Po drugie – na co wpadł, jeszcze siedząc w samochodzie – kimkolwiek był człowiek, który potrzebował pomocy lekarza, musiał to być ktoś, kto nie mógł udać się do zwykłego szpitala.

W następnym namiocie znajdował się magazyn. Harvath znalazł tam stertę cięższej broni, która na pierwszy rzut oka przypominała granatniki, parę skrzynek amunicji, trochę prowiantu i zapas wody.

Do sprawdzenia został mu ostatni namiot. W myślach już układał plan ewakuacji. Zanotował w pamięci, że wycofując się z obozu w stronę ścieżki prowadzącej przez dżunglę, będą musieli uważać na pułapki z granatami.



Przy trzecim namiocie przystanął jeszcze raz i wytężył słuch, ale oprócz deszczu nie dosłyszał niczego. Wziął głęboki oddech i trzymając broń gotową do strzału, odchylił zasłonę. W środku zastał czterech ludzi, ale tylko dwaj z nich spali. Pozostali byli zajęci sznurowaniem butów i natychmiast unieśli głowy.

Strzelanie w goglach noktowizyjnych było niesłychanie trudne, zwłaszcza że musiał poruszać się bardzo szybko. Pierwszą kulę posłał zbyt nisko, trafiając rebelianta w szyję, więc kiedy przestrzelił głowę jego towarzyszowi, skierował lufę z powrotem ku niemu i dokończył dzieło. Taki sam los spotkał dwóch pozostałych, którzy cały czas spali.

Nigdzie nie było śladu Jessiki Decker ani Kongijczyka, który ją wprowadził.

## Rozdział 6

Gdzie ona, do cholery, się podziewa? Harvath ukrył się z powrotem między drzewami, wymienił magazynek pistoletu i próbował zebrać myśli. Jeżeli dowódca patrolu rebeliantów nie przyprowadził Decker do tego obozu, to dokąd ją zabrał? Jeszcze dalej w głąb dżungli? Ale po co? Żeby ją zgwałcić? Albo zamordować?

To nie wchodziło w grę. Kongijczycy potrzebowali lekarza i byli gotowi zabrać ze sobą Harvath, który zgłosił się jako pierwszy, zanim Decker wszystko popsuka. Więc dokąd poszli? Gdzie ukrywał się ten, który potrzebował pomocy? Dlaczego nie było ich w obozie?

Wyteżał umysł, szukając odpowiedzi. Dlaczego nie umieścili rannego tutaj? Po co mieliby zakładać drugi, osobny obóz, który również wymagał zabezpieczenia? Czyżby ten człowiek cierpiał aż tak bardzo, że jego krzyki nie pozwoliłyby innym spać? To dlatego znajdował się gdzie indziej? Czy był jakiś inny powód?

Dlaczego umieszcza się kogoś w odosobnionym miejscu? Żeby go odizolować.

Harvath poczuł, jak po plecach przebiegają mu ciarki. Dobrze wiedział, że to nie z powodu deszczu i zimna, choć wolałby, żeby tak było. Cały czas wychodził z założenia, że mają do czynienia z kimś, kto został ranny w walce. A jeżeli chodziło o coś zupełnie innego? Jeżeli tego człowieka trawiła jakaś choroba?

Ta myśl przyprawiła go o kolejny dreszcz. W Kongu choroba mogła oznaczać wiele rzeczy, ale żadna nie zwiastowała niczego dobrego. Musiał odnaleźć Decker i jak najszybciej zniknąć z tego miejsca.

Idąc po własnych śladach, przekroczył rozpiętą tuż nad ziemią linkę i okrążył obóz. Gdyby nie wypatrywał podobnych pułapek, nigdy nie natrafiłby na wąską ścieżkę, która prowadziła dalej w głąb dżungli. Ruszył tym tropem, starając się iść jak najszybciej, najciszej i najostrożniej. Po niecałych dwóch minutach znalazł to, czego szukał. Oddział zakaźny.

Samotny namiot stał na środku małej polanki, która została niedawno wykarczowana wśród gęstwiny. Z wnętrza sączyło się światło. Kiedy podszedł bliżej, do jego uszu dobiegły strzępki rozmowy. Usłyszał również, że ktoś wymiotuje.

W jego myślach przewijało się jedno słowo, które było powszechnie uznawane za wulgarne. Najchętniej zawróciłby w miejscu, ale wiedział, że nie ma wyboru.

Decker wpakowała ich wszystkich w niezłą kabałę.

Uniósł gogle noktowizyjne i odczekał chwilę, pozwalając oczom przywyknąć do ciemności. W idealnym świecie podłożyłby ogień z tyłu namiotu, a potem zajęłby dogodną pozycję, żeby wystrzelać wszystkich, którzy wybiegną, z wyjątkiem Decker. Ale to nie był idealny świat, a on nie mógł sobie pozwolić na zaalarmowanie pozostałych rebeliantów. Pomyślał też o innym fortelu, ale nie miał czasu ani tym bardziej ochoty na szukanie jadowitego węża, którego mógłby wrzucić do środka, żeby wywołać popłoch. Wolałby sobie nie wyobrażać, jak wielkie pole do popisu miałyby tutaj prawo Murphy'ego. Była to jedna z tych akcji, które musiał przeprowadzić w najprostszy sposób.

Podszedł do namiotu z gotowym do strzału pistoletem w jednej ręce, a drugą sięgnął do płachty zasłaniającej wejście. Ale ledwie zdążył ją chwycić, ze środka wyłoniła się czyjaś dłoń i złapała go za nadgarstek. Szarpnął mocno w dół, żeby pozbawić przeciwnika równowagi, i kiedy w szczelinie pojawiła się głowa rebelianta, Harvath zobaczył na jego twarzy kawałek materiału przypominający maskę chirurgiczną. Wycelował i nacisnął spust, po czym wepchnął martwe ciało do środka.

Błyskawicznie omiótł wzrokiem wnętrze namiotu, oceniając sytuację. Drugi Kongijczyk w takiej samej masce właśnie sięgał po swojego kałasznikowa. Trzeci miał pod ręką maczetę i właśnie ją podnosił. Harvath zastrzelił ich obu i ruszył dalej przed siebie. Czwarty stał obok łóżka polowego, na którym leżał pacjent – mężczyzna z długą blizną biegnącą w poprzek czoła – i w uniesionej ręce trzymał butelkę z kroplówką. Był potężnie zbudowany i nie okazywał ani cienia strachu, za to posłał Harvathowi mordercze spojrzenie. Wyglądał tak, jakby miał zamiar wszcząć alarm, ale nie zdążył wydobyć z siebie głosu. Kiedy dwa pociski ugodziły go w klatkę piersiową, a trzeci w głowę, runął bezwładnie na ziemię.

Jednak żaden z tych czterech ludzi nie był tym, który uprowadził Jessicę Decker w głąb dżungli. Za to sama lekarka siedziała w głębi namiotu. Ręce i nogi miała skrepowane, a w jej ustach tkwił knebel.

Jako zwolennik ograniczania kontaktu radiowego do minimum Harvath podał uprzednio Brytyjczykom kilka haseł, którymi miał posłużyć się podczas akcji. Uzgodnili, że o ile nie dojdzie do jakiejś krytycznej sytuacji, nie będą się z nim porozumiewać, żeby nie rozpraszać go zbędnymi wezwaniami. Teraz Harvath użył słowa, za pomocą którego oznajmił swoim towarzyszom, że znalazł i uwolnił doktor Decker.

– Omaha – powiedział do mikrofonu.

W jego słuchawce rozległ się podwójny trzask, kiedy Ash potwierdził odbiór informacji umówionym sygnałem.

Trzymając palec wskazujący przy swoich ustach, Harvath pochylił się i wyjął knebel z ust lekarki, a potem rozwiązał jej ręce i nogi.

– Możesz się poruszać? – zapytał szeptem. Decker pokiwała głową.

– Dobrze – odparł, pomagając jej wstać. – Gdzie jest człowiek, który cię tu przyprowadził?

– Nie wiem. Zadał mi kilka pytań o wyposażenie medyczne i chciał wiedzieć, co przewozimy, a potem gdzieś poszedł.

Harvath połączył się z Brytyjczykami i powiedział im, żeby mieli się na baczności.

– A ten to kto? – zapytał, wskazując na mężczyznę leżącego na łóżku polowym.

– Ich dowódca.

– Co mu jest?

– Bez badania laboratoryjnego nie mogę tego stwierdzić. To może być wszystko, zwykła grypa albo nawet żółta febra.

– Przeżyje, jeśli nie trafi do szpitala?

– Być może. Ale bez odpowiedniej diagnozy to nic pewnego. Harvath podniósł apteczkę Jessiki Decker i podał ją właścicielce.

– Idź tuż za mną. Stawiaj kroki dokładnie tam, gdzie ja, i rób to, co mówię.

Zachowuj się cicho. Zrozumiałas?

Lekarka ponownie skinęła głową.

Harvath zgasił lampy naftowe i z powrotem założył gogle noktowizyjne. Kiedy jego wzrok przyzwyczaił się do upiornego zielonego obrazu, podprowadził Decker do wyjścia. Rozchylił brezentowe zasłony i przez

chwilę lustrował okolicę. Upewniwszy się, że jest bezpiecznie, odsunął się na bok i dał lekarce znak, żeby wyszła na zewnątrz. Kiedy wykonała jego polecenie, odwrócił się i dwa razy strzelił w głowę dowódcy rebeliantów. Żadnych niedokończonych spraw.

Wymienił magazynek i ruszył tą samą drogą, którą przyszedł, bardzo uważnie wypatrując pułapek. Zagrożenie stanowiło również co najmniej siedmiu uzbrojonych w broń maszynową Kongijczyków. Tamtymi sześcioma w obozie, jeśli jeszcze spali, nie przejmował się tak bardzo jak tym siódmym, który dowodził patrolem przy drodze i uprowadził Decker. Ten człowiek mógł przysporzyć CARE poważnych problemów. Harvath zdawał sobie sprawę, że jeśli pozwoli, by sprawa pozostała niedokończona, dając mu ujść z życiem, rebelianci z FRPI nie spoczną, dopóki nie dokonają zemsty.

Zbliżali się do obozowiska, kiedy w słuchawce rozległ się głos Asha.

– Oni już wiedzą, że tam jesteście – rzekł Brytyjczyk. – Musicie się wynosić. Harvath chciał go zapytać, skąd ma tę wiadomość, ale przypomniał sobie, że Jambo dostał krótkofalówkę rebeliantów i monitorował ich łączność.

– Zawróćcie i odjedźcie pół kilometra – powiedział. – Gdyby chcieli was dopaść, będą musieli przejść ten kawałek drogą.

– Was też to dotyczy – zauważył Ash.

– Może nie. Pośpieszcie się. Dotrzemy do was najszybciej, jak się da.

Harvath przyspieszył kroku, ale kiedy zbliżyli się do miejsca, w którym wcześniej natrafił na prowizoryczną minę, zaczął stąpać ostrożniej. Ponieważ wtedy nie miał czym zaznaczyć tego miejsca, upłynęło trochę czasu, zanim znów ją znalazł. Decker zgodnie z jego poleceniem przecięła rozpiętą w poprzek ścieżki linkę, podczas gdy on przytrzymał zawleczkę.

Pomyślał o wrzuceniu granatu do namiotu, w którym znajdował się magazyn broni i amunicji, ale szybko z tego zrezygnował. Nie wiedział, ilu rebeliantów na nich poluje. Miał tylko jeden granat i mógł go potrzebować w decydującym momencie.

Kiedy okrążali obóz, zauważył wybiegających z namiotu Kongijczyków; tych samych, którzy wcześniej spali. Korzystając z przewagi, jaką zapewniały mu ciemność i gęstwina, zatrzymał się na chwilę, żeby oddać dwa strzały. Oba były celne i na ziemię osunęły się dwa kolejne trupy. Zanim ich towarzysze zorientowali się, co zaszło, Harvath i Decker znikli

wśród drzew. Mimo to rebelianci zaczęli gorączkowo pruć seriami w stronę dżungli, gdzie w ich mniemaniu ukrywali się napastnicy.

Rozpętał się chaos i na tym właśnie zależało Harvathowi. Im bardziej zdezorientowany, niepewny i zestresowany przeciwnik, tym lepiej dla nich obojga. Ludzie wytrąceni z równowagi nie myśleli jasno i zazwyczaj popełniali błędy. Właśnie dlatego podczas szkolenia komandosi SEALs byli wyczerpani brakiem snu i narażeni na ciągłe napięcie. W ten sposób uczyli się przystosowywać do ciężkich warunków i przewyżczać trudności. Nawet nie myśleli o możliwości porażki.

Gdy Harvath i Decker przedarli się wreszcie przez zarośla i wyszli na prowadzącą do drogi ścieżkę, za plecami usłyszeli odgłosy pościgu. Musieli jak najszybciej odsadzić się od rebeliantów, którzy prawie deptali im już po piętach. Dotarłszy do miejsca, w którym leżał ukryty pierwszy z karabinków, Harvath kazał lekarce iść dalej, a potem podniósł AK-47, odwrócił się i nacisnął spust. Opróżnił pierwszy ze sklejonych taśm magazynków, obrócił go i załadował kolejny. Tym razem też celował w głąb ścieżki, a potem puścił dwie serie po bokach, licząc, że uda mu się trafić tych, którzy próbowali zejść z linii ognia. Kiedy wystrzelał całą amunicję, pobiegł w ślad za Decker.

Ten manewr dał im dwadzieścia sekund przewagi. Harvath powtórzył całą operację, kiedy odnalazł kryjówkę z drugim kałasznikowem, a potem robił to samo z następnymi, za każdym razem nie mając pewności, czy jego pociski trafiły któregoś z Kongijczyków. Dwie długie serie do ostatniego naboju i odwrót. Kolejne dwie długie serie i znów odwrót.

Zbliżając się do miejsca, w którym leżał ostatni AK-47, Harvath musiał podjąć szybką decyzję. Od drogi dzieliło ich około pięćdziesięciu metrów. O ile dżungla zapewniała im schronienie, o tyle na otwartej przestrzeni stanowili dużo łatwiejszy cel. Mogliby teraz odbić w bok i przedzierać się przez gęstwinę równoległe do drogi, żeby pod osłoną zarośli dotrzeć tam, gdzie wycofały się land cruisery, ale to za bardzo spowolniłoby ich ucieczkę. Harvath zastanawiał się, czy powinni razem wyjść na drogę i próbować dobiec do samochodów, czy Decker powinna pobiec sama, podczas gdy on postara się zatrzymać pościg.

Miał jeszcze dwa pełne magazynki do glocka, nie licząc tego, który tkwił już w rękojeści pistoletu, a w trawie czekał ukryty kałasznikow z dwoma magazynkami. Miał również granat, ale z niego mógłby skorzystać dopiero wtedy, gdyby udało mu się ściągnąć przeciwników w jedno miejsce.

Dopóki byli rozproszeni w dżungli, nie mógł wyrządzić im większej szkody. A tam, gdzie znalazł jeden granat, mogło być ich więcej. Spodziewał się, że rebelianci mogą ich użyć, kiedy podejną bliżej.

Zadecydował, że jeśli na drodze nikt nie będzie na nich czekał, zaryzykuje odwrót wspólnie z Decker. Zawsze mogli schronić się z powrotem w dżungli, gdyby zaszła taka konieczność. Mógł użyć ostatniego kałasznikowa, żeby zapewnić im bezcenne sekundy przewagi.

Kiedy zziajani dobiegli do ostatniego świetlika, Harvath sięgnął tam, gdzie powinna leżeć broń, ale jej nie znalazł.

## Rozdział 7

Zanim Harvath zdążył zareagować, Jessica Decker znów stała się zakładniczką. Za jej plecami stał ten sam rebeliant, który przedtem uprowadził ją w głąb dżungli. Lewą ręką trzymał ją za szyję, a prawą dłoń zaciskał na chwycie pistoletowym kałasznikowa, którego lufę przystawił do jej pleców. Drugi karabinek miał przewieszony na pasie przez ramię.

Harvath rozważył swoje możliwości. Żadne rozwiązanie nie wydawało się dobre. Nie miał szans na celny strzał. Mógł jedynie ratować własną skórę. Kiedy unosił glocka, w jego myślach znów zagościło to nieparlamentarne słowo.

– Rzuć broń! – rozkazał Kongijczyk. – Rzuć broń, bo ją zabiję! Zabiję ją!

Twarz lekarki wykrzywił grymas przerażenia. Wpatrywała się w Harvatha, a jej oczy wyrażały nieme błaganie o ratunek.

– Jeżeli ją zabijesz, wtedy ja zabiję ciebie. Rozumiesz mnie?

– Rzuć broń! – powtórzył krzykiem rebeliant. – Zabiję ją! Naprawdę ją zabiję!

Trzymając pistolet w wyciągniętych rękach, Harvath starał się jak najdokładniej skupić wzrok na celu.

– Teraz policzę do dziesięciu. Jeżeli jej nie puścisz, strzelę do ciebie.

– Proszę – jęknęła Decker płaczącym tonem.

– Przestań się ruszać – ostrzegł ją Harvath i ignorując kolejne pogrożki, zaczął odliczać. – Jeden. Dwa. Trzy...

Pocisk z wytłumionego pistoletu Micka wszedł w czaszkę rebelianta tuż za lewym uchem. To zadziało jak przerwanie obwodu elektrycznego. Mężczyzna był martwy, zanim jego ciało zważyło się bezwładnie na ziemię. Decker, która nie zauważyła wynurzającego się z cienia Brytyjczyka, nie miała pojęcia, co się stało. Wiedziała tylko, że napastnik, który jeszcze przed chwilą stał tuż za nią i przyciskał ją do siebie, nagle znikł. Dopiero kiedy się odwróciła i zobaczyła swojego wybawcę w goglach noktowizyjnych i z takim samym zestawem radiowym, jakiego używał



Harvath, wszystko pojęła. Nawet gdyby wiedziała, co powiedzieć, nie zdołałaby wykrztusić ani słowa. Była w szoku.

Pościg był coraz bliżej i nadlatujące od strony ścieżki kule zaczęły świstać nad ich głowami, wbijając się w pnie drzew i szatkując liście.

– Zmywajmy się stąd – zakomenderował Harvath.

Mick wręczył mu karabinek zabitego rebelianta, a sam wziął ten z dwoma magazynkami.

– Wy idźcie – powiedział. – Ja trochę ich zajmę.

Harvath pokazał mu uniesiony kciuk i ciągnąc za sobą Decker, ruszył, ile sił w nogach w stronę drogi. Kilka metrów przed końcem ścieżki przewrócił ją na ziemię i nakrył własnym ciałem. Huk ciężkiej broni maszynowej przebijał się nawet przez odgłosy strzelaniny za ich plecami. Brzmiało to jak wielkokalibrowy browning i dobiegało od strony drogi.

Początkowo Harvath myślał, że rebelianci ściągnęli taki arsenał, żeby rozprawić się z nim. Jednak po chwili w jego słuchawce rozległy się głosy Asha i Brutali, którzy poinformowali go, że właśnie znaleźli się pod ostrzałem.

Zsunął się z rozciągniętej na ziemi Jessiki Decker.

– Umiesz się tym posługiwać? – zapytał, unosząc rękę, w której trzymał kałasznikowa.

Lekarka przez chwilę patrzyła na niego pustym wzrokiem, zanim pokiwała głową. Harvath podniósł ją i oparł plecami o drzewo, tak że siedziała przodem do ścieżki, którą przyszli.

– Jeśli kogoś tu zobaczysz, strzelaj do każdego oprócz Micka. Zrozumiałaś? Kiedy Decker ponownie skinęła głową, upewnił się, że nabój tkwi w komorze, wręczył jej broń i ruszył w stronę drogi.

Browning strzelał krótkimi seriami, między którymi następowały długie przerwy, jakby strzelec starał się oszczędzać amunicję albo broń sprawiała mu problemy. Dla Harvatha nie miało to znaczenia. Zamierzał wykorzystać te odstępy bez względu na to, czy ich przyczyną była trudność w namierzeniu celu, czy jakaś usterka.

Zatrzymał się na skraju dżungli i wtedy go zobaczył – jeden z tych cywilnych pick-upów przerobionych na pojazdy wojskowe, które nazywano potocznie wozami technicznymi. Ten miał oliwkowozieloną karoserię, zamontowany na pace ciężki karabin maszynowy i przyczepione z tyłu kanistry z zapasem paliwa. Obok strzelca stali dwaj inni rebelianci, a

pozostali dwaj siedzieli w szoferce. Samochód stał mniej więcej w tym samym miejscu, w którym wcześniej zatrzymał się ich land cruiser.

Lufa browninga wypluła kolejną serię i Harvath natychmiast się domyślił, dlaczego rebelianci nie ruszają się z miejsca. Na takim dystansie nie tylko mogli prowadzić celny i śmiertelnie skuteczny ostrzał ze swojego karabinu, ale również znajdowali się poza zasięgiem broni, którą dysponowali Brytyjczycy. To była bardzo nierówna walka, ale Harvath zamierzał to zmienić.

Czekał przyczajony w zaroślach i gdy znów rozległ się huk wystrzałów, zerwał się i wybiegł na drogę.

W życiu jest bardzo niewiele takich sytuacji, w których „prawie” można uznać za zadowalający wynik. Jednym z tych wyjątków jest rzut podkową. Drugim – rzut granatem. Harvath wyciągnął zawleczkę, zamachnął się i rzucił. Byłby zadowolony, gdyby udało mu się trafić gdzieś w pobliżu pick-upa, ale rzut był idealny. Granat zatoczył w powietrzu wysoki łuk i wylądował na pace samochodu.

Upadł z metalicznym łoskotem, ale nie wybuchł. Tym razem niecenzuralne słowo nie tylko pojawiło się w myślach Harvatha, ale wydostało się z jego ust. Wszyscy trzej rebelianci odwrócili się jak jeden mąż. Dwaj z nich trzymali AK-47. Najpierw zauważyli stojącego na środku drogi Harvatha. Potem spojrzeli pod nogi i zobaczyli granat. I w tym momencie nastąpiła eksplozja. Cały pojazd wraz z jego załogą i skrzynkami amunicji zamienił się w potężną kulę ognia, a osmalone szczątki poszybowały we wszystkie strony. Zanim niektóre z nich zdążyły opaść na ziemię, Harvath usłyszał w słuchawce radosne okrzyki Asha i Brutali.

Zostawił płonący wrak, który skwierczał w strumieniach deszczu, i pobiegł z powrotem tam, gdzie zostawił Jessikę Decker. Zastał przy niej Micka. Dowiedział się od niego, że z dżungli wyszło tylko trzech rebeliantów i wszyscy nie żyją. Mick zaproponował mu, że wróci z nim do obozu, żeby sprawdzić, czy nie zostali tam inni, ale Harvath zbył go machnięciem ręki. Zabili wszystkich, którzy widzieli samochód i nazwę organizacji. Dalsze igranie z losem nie miało sensu. Najrozsądniej było się stąd oddalić.

Podczas gdy Mick ubezpieczał tyły na wypadek, gdyby ich śladem podążały jeszcze jakieś niedobitki, Harvath pomógł lekarce wstać i poprowadził ją w stronę drogi. Postanowił rozmówić się z nią, kiedy nadejdzie bardziej odpowiedni moment, ale teraz marzył tylko o tym, żeby

jak najszybciej wsiąść do samochodu i wyruszyć w dalszą drogę. Wszyscy byli wyczerpani i przemoknięci do suchej nitki. Oddałby całą miesięczną wypłatę za gorący prysznic, kilka butelek piwa i wygodne łóżko. Ale od tego rodzaju skromnych wygod wciąż dzieliło ich wiele godzin. A w takim miejscu jak Kongo godziny zdawały się trwać całą wieczność, zwłaszcza gdy najtrudniejsza część zadania była nadal przed nimi.

# Rozdział 8

GENEWA SZWAJCARIA

Pierre Damien siedział na tarasie swojego luksusowego apartamentu przy Quai du Mont-Blanc i rozkoszował się widokiem. O tej porze roku jezioro było wyjątkowo piękne. W ciągu kilku chwil szafirowy błękit nieba potrafił zamienić się w zimną szarość stali. W miejscu, gdzie wody Rodanu opuszczały jezioro, fontanna Jet d'Eau wyrzucała w powietrze potężny słup wody, wysoki na sto czterdzieści metrów. Ten kształt emanował falliczną mocą. Symbolizował męski wigor, który wciąż rozpierał Damiena mimo szóstego krzyżyka na karku.

Życie obchodziło się z nim łagodnie, świat był mu życzliwy, a on zamierzał się odwdziżyć za to wszystko.

Otulony w jedwabny szlafrok od Gucciego popijał espresso i zastanawiał się, którą z pięciu gazet, leżących przed nim na stoliku, przejrzeć jako pierwszą. To może poczekać, postanowił. Ten poranek miał w sobie coś osobliwego, czego nie potrafił określić. Coś, czym zapragnął rozkoszować się jeszcze przez chwilę.

Siedząc z zamkniętymi oczami, czuł na skórze chłodny powiew od strony jeziora. Słyszał dobiegające z dołu odgłosy ulicy, a jego nozdrza wychwyciły słabą woń dymu, która przywędrowała z jakiegoś innego tarasu, gdzie sąsiad palił papierosa.

Ogarnęło go rozdrażnienie. Przeszkadzało mu nie tylko ten ostry swąd, ale natarczywość, z jaką wdzierał się nieproszony w jego życie. Nie znosił palenia. Uważał je za odrażający i samolubny nałóg, który daje się we znaki wszystkim dokoła. Palacze bezkarnie rozsiewali niedopałki po chodnikach, jak gdyby społeczeństwo traktowało ich ulgowo, niczym jakąś specjalną kastę, która może śmiecić do woli. Ohyda.

Gotów zmierzyć się ze swoim złym nastrojem uniósł powieki i zamarł na widok postaci, która ukazała się jego oczom.

– Nie możesz tu tak wychodzić – powiedział, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu.

Młoda kobieta, która stała w przeszklonych drzwiach prowadzących na taras, ciasniej otuliła prześcieradłem swoje nagie ciało.

– Dlaczego?

– Żeby nie zobaczył cię jakiś sąsiad, członek zarządu albo paparazzo z teleobiektywem.

– No to chodź do środka – odparła i również posłała mu uśmiech.

– Musiałbym wypić jeszcze jedną kawę.

Nie zważając na jego słowa, kobieta wyszła na taras i zbliżyła się do niego. Pierre Damien był przystojnym mężczyzną. Miał wyjątkowy charakter, inteligentne spojrzenie i znakomity smak. Wcześniej sypiała z mężczyznami trzy razy młodszymi od niego, którzy nie dorównywali mu witalnością. Zagłębiła palce w jego gęstej szpakowatej czuprynie i pochyliła się, przyciskając usta do jego warg. Jej namiętny i nieśpieszny pocałunek był wyraźną zachętą.

– Nie mogę – odezwał się. – Załóż szlafrok i przysiadź się do mnie. Jeffery poda nam tu śniadanie.

– Nie chcę śniadania – zaprotestowała z kuszącym uśmiechem. – Chcę ciebie. Uśmiechnął się do niej.

– Muszę wyjść za pół godziny. Wezwij tu Jeffery’ego i zjedz ze mną.

Wydymając usta, odsunęła się od niego z kwaśną miną, ale wróciła do apartamentu, żeby spełnić jego prośbę, chociaż Jeffery zawsze przyprawiał ją o skrępowanie.

Damien odprowadził ją wzrokiem. Patrzył na jej rozkołysane biodra. Na krągłości jej ciała. Na falę długich kasztanowych włosów rozlaną na nieskazitelnej bieli prześcieradła. Była olśniewająca. Gdyby sam o nią zabiegał, uznałby, że na nią nie zasługuje. Tak, życie go rozpieszczało.

Wróciła ubrana w szlafrok, którego głęboki dekolt jeszcze bardziej podkreślał jej powab. Przez chwilę kusiło go, żeby odwołać wszystko, co zaplanował na ten poranek, i wrócić z nią do łóżka. Ale wtedy na tarasie zmaterializował się Jeffery z tacą w rękach i rzeczywistość znów upomniała się o swoje prawa.

Pobieźnie omiół wzrokiem gazety, zjadł kawałek grzanki i jajko na miękko, a potem pocałował ją w czoło i wrócił do środka, żeby się ubrać. Wiedział, że gdyby pozwolił, aby ich usta znów się zetknęły, nie miałby siły oderwać się od niej. Kiedy wyszedł z holu budynku, jego czarny mercedes już czekał. Wsiadł do niego wraz z dwoma ochroniarzami, podczas gdy

pozostali zajęli miejsca w drugim samochodzie, który miał jechać za nimi. Poranki w Genewie zawsze wyglądały tak samo.

Oparta o zimną metalową balustradę tarasu młoda kobieta o kasztanowych włosach śledziła wzrokiem oddalające się pojazdy. Kiedy dotarły do najbliższej przecznicy, z kieszeni jej szlafroka dobiegł pojedynczy sygnał komórki. Nie musiała nawet patrzeć na wyświetlacz, żeby się domyślić, kto przysłał jej wiadomość.

Omiotła wzrokiem sąsiednie budynki, próbując zgadnąć, w którym z nich znajduje się nadawca. Nigdy go o to nie zapytała. Nie dlatego, że mógłby jej nie odpowiedzieć. Ta gra rządziła się innymi zasadami. Wszystko miało swoje miejsce i nie można było przekraczać pewnych granic.

Sięgnęła po komórkę. Chciał się z nią zobaczyć. Teraz, zanim wyjdzie do pracy. Przysłał jej drugą wiadomość z adresem. Wiedziała, że to przy drodze do jej biura. Już kiedyś tam się spotkali.

Skasowała obie wiadomości, wróciła do apartamentu i wzięła prysznic. Starannie dobrała garderobę. Bentzi lubił niebieski.

Po wyjściu wybrała specjalną trasę, pozwalającą na wykrycie ogona. Tak jak ją tego nauczono, upewniła się, że nikt jej nie śledzi. Miała w zwyczaju codziennie zmieniać drogę do pracy. Niezależnie od tego, czy wychodziła od Pierre'a, co zdarzało się jej coraz częściej, czy ze swojego małego mieszkania położonego nieopodal uniwersytetu w dzielnicy Plainpalais. Gdyby ktoś zechciał kiedyś zastawić na nią pułapkę, musiałby się sporo natrudzić, żeby utrafić we właściwy punkt.

Na miejsce spotkania najszybciej mogłaby dostać się tramwajem, ale postanowiła się przejść. Chciała odwlec to, co nieuniknione.

Cafe de la Gare była nastrojową restauracją urządzoną w stylu paryskiej secesji. Mieściła się na parterze niewielkiego hotelu Montbrilliant na rogu zacisznej ulicy. Naprzeciwko znajdowało się tylne wejście na dworzec kolejowy. W głębi lokalu pod witrażowym sufitem siedział jej mentor, Ben Zion Mordechai zwany Bentzim, i udając pochłoniętego lekturą gazety, obserwował wchodzących i wychodzących klientów.

Mordechai był całkowicie niepozorny. Ani wysoki, ani niski, ani przystojny, ani odpychający. Po prostu był. W tym tkwił jego niezwykły dar, jeśli nie liczyć zdumiewającego sprytu. Jednak miał pewien znak szczególny, jeśli można tak to nazwać. Kiedyś dostał się do niewoli, gdzie był torturowany i gdzie połamano mu wszystkie palce. Od tego czasu miał lekko zdeformowane dłonie i kiedy zanosilo się na zmianę pogody, a Bentzi

był zmęczony albo odwodniony, jego palce wyginały się boleśnie, upodabniając się do korzeni sękatego drzewa. Ale tego dnia na szczęście nie dawały mu się we znaki.

Na jej widok Bentzi uśmiechnął się, odłożył gazetę na stolik i wstał.

– Lenka – powiedział, używając jej pseudonimu i pocałował ją w oba policzki. – Ubrałaś się na niebiesko specjalnie dla mnie?

– Nie – skłamała. – To ostatnia czysta sukienka, jaką miałam u Pierre’a.

Znał ją zbyt dobrze, aby w to uwierzyć, ale zbył jej kłamstwo uśmiechem. Skinął na kelnera i dał jej znak, żeby usiadła, a potem złożyli zamówienie. Ona poprzestała na kawie, a on zażyczył sobie tradycyjne szwajcarskie muesli i karafkę wody mineralnej.

– Nie miałaś żadnych problemów po drodze? – zapytał, kiedy kelner odszedł od stolika.

– Żadnych. Mam nadzieję, że nie czekałeś długo.

Wiedziała, że było wręcz odwrotnie, ale tym razem też nie zareagował.

– Wiesz, dlaczego poprosiłem cię o to spotkanie?

– Bo się za mną stęskniłeś – odparła i figlarnie położyła dłoń na jego przedramieniu – i chciałeś mnie zobaczyć.

– Daj spokój. – Bentzi cofnął rękę. – Ostatnio dość się na ciebie napatrzyłem. – Był nią rozczarowany i jego ostra reprimenda zadziałała. – Problem tkwi w tym, Heleno – ciągnął, zwracając się do niej po imieniu – że nie mam od ciebie żadnych wiadomości.

– Jestem tak blisko – powiedziała, pokazując wąską szczelinę między kciukiem i palcem wskazującym. – Potrzebuję trochę więcej czasu.

– Twój czas się skończył. Przenosimy cię z powrotem do Tel Awiwu. Młoda kobieta nie kryła zaskoczenia.

– Przenosicie mnie? – powtórzyła. – Nie mówisz poważnie.

– Czy ja wyglądam, jakbym nie mówił poważnie?

– Jesteś zazdrosny, Bentzi? O to w tym wszystkim chodzi?

– Przestań.

– O czym mówisz?

– To nie jest gra, Heleno – warknął.

– A kto mówi, że ja gram?

– Każesz mi czekać, zakładasz niebieską sukienkę, flirtujesz ze mną. Zbyt dobrze cię znam.

Zaczęła mięknąć pod jego surowym spojrzeniem.

– O niczym nie masz pojęcia – odparła i odchyliła się na oparcie krzesła, próbując oddalić się od Bentziego.

– Znam cię. To ja cię znalazłem i wyszkoliłem.

– Mój Boże, ty naprawdę jesteś zazdrosny. Jak to możliwe? Przecież sam wysłałeś mnie do Pierre’a. Kazałeś mi zrobić wszystko, co będzie konieczne. Obydwoje wiemy, co to miało oznaczać.

– To nie zmienia faktów. Miałaś aż nadto czasu. Odwołujemy cię.

– Teraz wiem, że blefujesz. Nie możecie położyć tej operacji. To zbyt ważne.

– Nie powiedziałem, że położymy tę operację – wyjaśnił Mordechai, gdy kelner podał im to, co zamówili, i odszedł. – Powiedziałem, że cię odwołujemy.

– I co potem? Myślisz, że następna agentka, którą wprowadzicie, będzie miała więcej szczęścia?

Izraelczyk wziął głęboki oddech i pokiwał głową.

– Jeżeli nie zakocha się w obiekcie obserwacji, to owszem. Ten zarzut dotknął ją do żywego i nie mogła tego przemilczeć.

– To jest oburzające.

– Czyżby? – zapytał Mordechai, podsuwając jej tablet. – Spójrz na te zdjęcia.

Było jasne, że ją śledzili. Jednak zaskoczyło ją, że znajdowała się pod obserwacją nawet wtedy, gdy nie spędzała czasu z Pierre’em.

– To jest dowód, że zrobiłam wszystko, czego żądaliście.

– Gdybyś zrobiła wszystko, nie byłoby tej rozmowy – odparł Mordechai.

– Cholera, Bentzi, to nie jest uczciwe.

– My nie gramy uczciwie. Czy uczciwe jest to, że Arabowie mają ropę, a my skały? Czy to uczciwe, że jesteśmy jedynym narodem na ziemi, który każdego dnia musi walczyć o przetrwanie? Czy to wszystko jest uczciwe?

– Czy teraz kwestionujesz moje poświęcenie dla Izraela?

– Nie pogrywaj ze mną, Heleno – przerwał jej ostro Mordechai. – Ty i ja dobrze wiemy, wobec czego jesteś lojalna. Nigdy nie stanowiło to dla mnie problemu, o ile wypełniałaś polecenia.

– I to samo robię teraz – zapewniła go.

– To nie zależy ode mnie.

– Proszę cię, Bentzi. Nigdy wcześniej cię nie zawiodłam.

– Dlatego to dla mnie takie trudne.



– Ale tak wcale nie musi być. Nie widzisz tego? Bentzi przyjrzał się jej badawczo.

– Nie jestem pewien, co widzę.

– Aj, aj. A teraz wjeżdżasz mi na sumienie?

Zwykle bawiło go, kiedy wtrącała coś w jidysz. W takich momentach stawała się tak samo żydowska jak cały Mosad, ale osiągała to dzięki swojej zdolności do adaptacji. Grała, tak jak teraz.

– Poradzę sobie z tym – dodała. – Stanę na głowie, zaufaj mi. Będę się jeszcze bardziej starać.

– Wrócisz do swojego mieszkania – polecił jej. – Weźmiesz chorobowe, pod jakimś banalnym pretekstem. Jeśli Damien do ciebie zadzwoni, powiesz mu, że masz bolesną miesiączkę.

Wykrzywiła twarz w grymasie niesmaku.

– To niezbyt pociągające.

– Otóż to.

– Nadal uważam, że... Uciszył ją gestem dłoni.

– Wracaj do mieszkania i trzymaj się z daleka od Pierre'a Damiena. Nie dzwoń do niego i nie odwiedzaj go. Unikaj nawet przypadkowych spotkań. Teraz masz takie rozkazy. Zrozumiałaś?

Helena nie odpowiedziała, więc spytał ją ponownie. W końcu pokiwała głową.

– W porządku. Odezwę się do ciebie, kiedy ustalimy, co dalej z tobą robić – dodał, chowając tablet do teczki, po czym wyjął z kieszeni dwa banknoty, położył je na blacie i wstał od stolika.

– Nie będziesz jadł? – zapytała.

– Skontaktuję się z tobą – odparł Mordechai i ruszył w stronę wyjścia.

## Rozdział 9

Wyczuł coś w jej głosie. Czy to była melancholia? Ben Mordechai nie miał pewności i rozmyślał nad tym, idąc ulicą. Helena nigdy nie była osobą, którą można by uznać za stabilną. Chociaż dobrze radziła sobie ze swoimi problemami, jej kondycja psychiczna i emocjonalna były w opłakanym stanie. Gdyby Mordechai przeszedł to, co ona, prawdopodobnie stałby się taki sam.

Helena podzieliła los tysięcy młodych dziewcząt z Europy Wschodniej, które stały się niewolnicami seksualnymi. Wyjeżdżały ze swoich małych wiosek, zwabione przez handlarzy żywym towarem, którzy obiecywali im pracę opiekunek do dzieci u sympatycznych rodzin w Anglii i Francji. Kiedy trafiały do sąsiednich krajów, gdzie miały rzekomo czekać na wyrobienie wiz, były gwałcone, bite i faszzerowane narkotykami. Prześladowcy zabierali im paszporty i opowiadali mroźące krew w żyłach historie o tym, co może spotkać ich rodziny, jeśli zwrócą się o pomoc do władz. Każda z nich zostawiła kogoś bliskiego w kraju. Gangsterzy rzadko wybierali dziewczyny, których nie mogli niczym zaszantażować.

Kiedy już udało im się złamać swoje ofiary, przemycali je do różnych krajów na całym świecie. Helena trafiła do Izraela. Handel żywym towarem był plamą na honorze tego kraju, o której tylko nieliczni jego obywatele mieli odwagę mówić. Jednak statystyki mówiły same za siebie. Kiedy proceder nabrał takiego rozmiaru, że nie dało się go dłużej ignorować, władze podjęły odpowiednie kroki, ale wkrótce znów zaczęły przemykać na wszystko oko.

Helena była przetrzymywana w osadzie Kiryat Arba na Zachodnim Brzegu Jordanu, gdzie wraz z innymi dziewczętami musiała obsługiwać od dwunastu do piętnastu mężczyzn dziennie. Niektórzy z nich byli Żydami, inni Palestyńczykami. Często zjawiali się biznesmeni z Tel Awiwu, których przywabiali alfonsi.

Alfonsi bili ją, jeżeli nie zrobiła tego, co jej kazali. Bili ją, jeżeli nie zdołała zadowolić klienta. Bili ją i głodzili, jeżeli była zbyt chora, żeby

pracować. Raz rozchorowała się tak bardzo, żeomal nie umarła. Gdyby nie jedna z dziewcząt, która dzieliła się z nią jedzeniem i się nią opiekowała, nie przeżyłaby tego.

Przełomowym momentem była śmierć pewnej dziewczyny, z którą Helena się zaprzyjaźniła. Zatrącił ją jeden z klientów, bogaty, ale bardzo pijany biznesmen. Alfonsi powinni byli mu się zrewanżować, wymierzyć sprawiedliwość przynajmniej dla pozoru. Zamiast tego pozbyli się jej ciała i kazali mu zapłacić za ich milczenie. Za te pieniądze sprowadzili dwie kolejne dziewczyny. Obie były bardzo młode. Helena wciąż pamiętała, jak to jest być młodą. Miała tego dosyć. Tamtej nocy coś w niej pękło.

Ze względu na ciągłe zagrożenie terroryzmem wielu Izraelczyków nosiło broń. Do burdelu nie wolno było wchodzić z bronią, ale pozwalano na to znanym i zaufanym klientom, którzy płacili duże napiwki. Mogli zostawiać swoje pistolety w małych sejfach zainstalowanych przy wejściu. Wielu udawało, że z nich korzysta, a inni w ogóle je ignorowali. Jeden z takich klientów regularnie odwiedzał Helenę. Bardzo przypadła mu do gustu, chociaż bez wzajemności.

Często przychodził wstawiony i na miejscu wypijał jeszcze dwa drinki, zanim szedł na górę. Był brutalnym mężczyzną, który lubił ostrą jazdę. Czasami przynosił duży pokrowiec na ubranie i wtedy koleżanki szybko ostrzegały Helenę. Takie wieczory nigdy nie kończyły się dobrze, choć żaden z jej wieczorów w tej koszarnej niewoli nie kończył się inaczej.

W pokrowcu ów mężczyzna przynosił suknię ślubną swojej żony. Biedna kobieta zapewne żyła w przeświadczeniu, że jej romantyczna pamiątka spoczywa bezpiecznie na dnie szafy i czeka, aż dostanie ją ich najstarsza córka. Kazał Helenie ją zakładać i lżył przy tym swoją nieobecną małżonkę, która przytyła tak bardzo, że nie mogła się w nią zmieścić. Był jubilerem i dopełniał swoich chorych fantazji, zakładając obrączkę na palec Heleny. Im więcej mówił o swojej żonie, w tym większy wpadał gniew, a wraz z jego gniewem przybierały na sile upokorzenia i ból, jaki zadawał Helenie. Aż do tamtego wieczoru.

Jak zwykle szybko rozniosła się nie tylko wieść, że jubiler jest na dole, ale że ma ze sobą pokrowiec z suknią. Kiedy przyszedł do jej pokoju, już na niego czekała. Chwiał się na nogach i miał błędny wzrok. Był bardziej pijany niż zwykle. Ledwie przestąpił próg, poczuła jego cierpki, przesiąknięty alkoholem oddech. Rzucił w nią małym aksamitnym pudełeczkiem, które wyjął z kieszeni, i kazał jej założyć obrączkę.

Wykonała jego polecenie i czekała, aż poda jej pokrowiec z suknią. Wszystko sobie zaplanowała. Jednak tym razem on zachował się inaczej. Rozpiął spodnie i powiedział, żeby przed nim uklękła. Kiedy Helena zapytała go, czy nie chce, żeby się przebrała, zaczął obrzucać ją wyzwiskami. Krzyczał zbyt głośno. Gdyby któryś z alfonsów usłyszał, że klient się wściekł, mógłby przyjść, zwalić na nią winę i dotkliwie ją pobić. Pośpiesznie spełniła jego żądanie w nadziei, że to go uspokoi. Wyzwiska ustały, dopiero kiedy opadła przed nim na kolana.

Był odrażającym małpoludem o ciele pokrytym gęstwiną czarnych kręconych włosów. Na samą myśl o nim ogarniało ją obrzydzenie. Tak jak i na myśl o pozostałych klientach burdelu. Nie chciała osądzać dziewcząt, które szukały ucieczki przed koszmarem swojego życia w narkotyki dostarczane im przez alfonsów. Sama zwykle je zażywała, ale nie tego wieczoru. Teraz miała całkowicie jasny umysł. Sprawilo to, że praca była dla niej jeszcze trudniejsza, ale jej ciało w zdumiewający sposób dało się nakłonić do tego, na co został zaprogramowany jej umysł.

Kiedy przystąpiła do dzieła, jubiler zachwiał się, jakby miał upaść. Helena znieruchomiała, zastanawiając się, czy jej klient nie traci przytomności. I to był błąd. Rozjuszony jej opieszałością mężczyzna uderzył ją otwartą dłonią w bok głowy. Zamachnął się tak mocno, że z jej lewego ucha pociekła strużka krwi. Uniosła głowę i spojrzała na niego, na wpół rozdrażniona, na wpół zszokowana, a wtedy wymierzył jej cios pięścią w twarz. Chrupnęła przetrącona chrząstka i z jej nosa buchnęła krew. Jubiler pchnął ją do tyłu z taką siłą, że uderzyła głową o podłogę. Pociemniało jej przed oczami. Tylko najwyższym wysiłkiem woli udało jej się nie zemdleć.

Mężczyzna zdarł z siebie resztę ubrania i położył się na niej. Nie mogła złapać tchu, kiedy przygniótł ją całym swoim ciężarem. Czowała się, jakby runęła na nią kamienna ściana. Grube twarde włosy drapały jej skórę niczym chropowata wełna. Poczwała, jak ciężka dłoń błędzi po jej ciele, wpychając się między nogi. Gdy w końcu udało jej się zaczerpnąć tchu, zaczęła się wyrywać, próbując wypełznąć spod jego cielska. W trakcie tej szamotaniny wbił zęby w jej pierś. Krzyknęła z bólu, ale szybko się opanowała. Wymacała broń, którą sobie przygotowała. Nie było to nic wielkiego – stara żyłetka przyklejona taśmą do trzonka szczoteczki do zębów – ale tylko na to mogła sobie pozwolić. Chwyliła go za włosy i

oderwała głowę jubilera od swojej piersi, odsłaniając jego miękką, pulchną szyję. Nie zastanawiała się ani chwili nad swoim kolejnym ruchem.

Wbijając ostrze najmocniej i najgłębiej jak się dało, przeciągnęła je po jego gardle prawie od ucha do ucha. Szczoteczka złamała się pod naciskiem, ale to nie miało znaczenia. Już spełniła swoje zadanie.

Puściła jego włosy i patrzyła, jak unosi ręce i przyciska je w rozpaczliwym geście do szyi. W jego oczach, otwartych szeroko z zaskoczenia, pojawił się strach. Wytężając wszystkie siły, zepchnęła go z siebie i przewróciła na bok, po czym szybko uskoczyła przed strumieniem krwi, która tryskała obficie ze śmiertelnej rany. Nawet gdyby ktoś udzielił mu pomocy, nie zdołałby go uratować. Mężczyzna był martwy.

W pokoju miała ukrytą zmianę ubrania. Szybko opłukała się w umywalce i przebrała. Potem przejrzała jego kieszenie i zabrała portfel, zegarek i biżuterię.

Znalazła również komórkę. Wprawdzie nie miała do kogo zadzwonić, by prosić o ratunek, ale telefon mógł jej zapewnić dostęp do map i różnych niezbędnych informacji. Zabrała również pistolet jubilera.

Nie miała pojęcia, jakiego jest kalibru ani przez jaką firmę został wyprodukowany. Wiedziała tylko, że jej klient nosił również zapasowy magazynek. Domyśliła się, że w sumie ma około trzydziestu naboii. Wystarczyło aż nadto.

Strzelała z broni palnej tylko parę razy w życiu. Miała starszego kuzyna, który był żołnierzem. Czasami, kiedy przyjeżdżał w odwiedziny do domu, upijał się i wtedy pozwalał dzieciakom postrzelać ze swojego pistoletu. Była na tyle obeznana, żeby wiedzieć, że trzeba odciągnąć zamek do tyłu, żeby wprowadzić nabój z magazynka do komory. Kiedy to zrobiła, okazało się, że broń była już naładowana i wypadł z niej pierwszy nabój. Potoczył się po podłodze i znikł pod łóżkiem. Nie miała czasu go szukać. Gdyby wszystko miało zależeć od tego jednego strzału, i tak byłaby skazana na klęskę.

Przyciskając mały ręcznik do nosa, żeby zatamować krwawienie, wyszła z pokoju. W dłoni trzymała pistolet owinięty w drugi ręcznik. Tylne drzwi były zamknięte na klucz, ale za nimi znajdował się tylko mały dziedziniec, otoczony wysokim na dwa i pół metra murem, którego szczyt wieńczył drut kolczasty. Jedyna droga na zewnątrz prowadziła przez frontowe drzwi. A jedyna droga do frontowych drzwi prowadziła przez salon.

Helena dawno temu przestała liczyć na pomoc z nieba. Bez względu na to, jak rozpaczliwie błagała Boga o ratunek, nigdy jej nie wysłuchał. Pogodziła się z tym, że ją opuścił. Ale tego wieczoru było inaczej. Modliła się tak, jakby robiła to pierwszy raz w życiu. Modliła się, idąc w dół po schodach i wchodząc do salonu. Poczowała na sobie spojrzenia klientów i dziewcząt. Wymieniali szeptem jakieś uwagi, kiedy przechodziła obok nich, krwawiąc z nosa i ucha. Takie widoki nie zdarzały się codziennie, ale ci, którzy pracowali w burdelu, nie widzieli w tym nic nadzwyczajnego. Dziewczyny czasem obrywały. W tej branży było to normą. Ale nigdy dotąd nie zdarzyło się, żeby jedna z dziewcząt przeszła przez salon, zbliżyła się do mięśniaka pilnującego wejścia i strzeliła mu prosto w pierś. Szepty przerodziły się w krzyki.

Helena zastygła w bezruchu, nie wiedząc, co robić dalej. Kiedy otworzyły się drzwi biura, zaczęła działać automatycznie. Zobaczyła, że jej ręka sama wędruje w górę, jakby nie należała do niej, a lufa pistoletu pluje ogniem. Mężczyzna na progu padł martwy, a ten, który wybiegł za nim, podzielił jego los, gdy po raz kolejny nacisnęła spust. Słyszając jakieś hałasy za plecami, obróciła się gwałtownie i zobaczyła, że klienci rzucili się pośpiesznie w stronę sejfów, w których zostawili broń. Wystrzelała ich wszystkich jednego po drugim.

W głębi budynku rozległy się krzyki i do salonu wpadli dwaj ostatni alfonsi z bronią automatyczną, przekonani, że doszło do jakiegoś ataku terrorystycznego. Helena zdążyła zmienić magazynek i schować rękę z pistoletem za siebie. Kiedy zobaczyli jej pokiereszowaną i zakrwawioną twarz, od razu wykluczyli zagrożenie z jej strony. Skinęła głową w stronę wejścia, gdzie znajdowały się sejfy na broń. To wystarczyło, żeby popędzili w kierunku, który im wskazała. Gdy tylko ją minęli, strzeliła każdemu z nich w tył głowy.

Ale żądza mordu wciąż jej nie opuszczała. Helena wróciła do salonu, gdzie czterej przerażeni klienci kulili się pod ścianą przy barze. Zabiła ich wszystkich i poszła na górę. Wiedziała, które dziewczęta zajmują poszczególne pokoje, i pukając po kolei do drzwi, kazała im wychodzić. Zapewniała je, że są bezpieczne. Kiedy wszystkie znalazły się na korytarzu, zastrzeliła pozostałych klientów. Potem odwróciła się bez słowa i zeszła na dół.

Przez otwarte na oścież drzwi zobaczyła światła miasta. Wolność. Ale dokąd tak naprawdę zamierzała uciec, nie mając paszportu ani nikogo, kto

mógłby jej pomóc? W tym momencie to nie miało znaczenia. Liczyło się tylko to, żeby stamtąd wyjść.

Idąc w stronę drzwi, poczuła, że jej noga uwięzła między rozciągniętymi na podłodze ciałami. A przynajmniej tak się jej wydawało. Spojrzała w dół i zobaczyła jednego z alfonsów. Kula z pistoletu oderwała mu połowę żuchwy, a z rany na jego piersi płynęła krew, mimo to miał jeszcze dość siły, żeby zacisnąć dłoń na jej kostce. W drugiej ręce trzymał mały pistolet, który nosił w kieszeni i którego czasami używał, żeby zdzielić rękojęścią jakiegoś niesfornego klienta, a nawet którąś z dziewcząt. Uniosła broń, żeby go dobić, i wtedy zauważyła, że zamek tkwi w tylnym położeniu po wystrzeleniu ostatniego naboju. Wyrwała nogę z jego uścisku i stanęła mu na nadgarstku, a kiedy wypuścił pistolet, podniosła go i naciskając spust raz za razem, opróżniła cały magazynek.

Potem wyszła na zewnątrz. Rzeź dobiegła końca. Ale zaczęło się coś innego.

# Rozdział 10

Kiedy Mordechai ją znalazł, ukrywała się w tanim hotelu w Jerozolimie, położonym nieopodal kaplicy Wniebowstąpienia. Udało się ją namierzyć dzięki komórce jubilera, którą zabrała ze sobą.

W owym czasie Bentzi był agentem Szin Bet, izraelskiej służby bezpieczeństwa. Ale chociaż na własne oczy widział ślady masakry w burdelu i wysłuchał relacji wszystkich dziewcząt, wciąż nie mógł w to uwierzyć. Wydawało mu się niepojęte, że samotna i niewykształcona kobieta mogła położyć trupem tylu mężczyzn i wyjść z tego cało.

Izraelczycy potraktowali to zbiorowe morderstwo jako zamach terrorystyczny. Agenci wkroczyli do hotelu o trzeciej w nocy i nie patyczkowali się z Heleną. Założyli jej czarny worek na głowę i dyskretnie zapakowali ją do vana, a potem zawieźli do nieoficjalnej kryjówki na przesłuchanie.

Już po trzech minutach Mordechai wiedział, że Helena nie należy do żadnego radykalnego ugrupowania i nie została wyszkolona i przerzucona na Zachodni Brzeg, żeby dokonać mordu na izraelskich obywatelach. Nie była terrorystką. Jednak była zabójczynią, a to pociągało za sobą szereg innych problemów.

Najprawdopodobniej mogłaby uniknąć wyroku za zabójstwo klienta, który regularnie ją maltretował. Możliwe, że nie zostałaby również skazana za zabicie alfonsów, którzy uczynili z niej niewolnicę seksualną. Ale znacznie trudniej byłoby ją wybronić z tego, że zastrzeliła wszystkich innych mężczyzn przebywających w burdelu, nawet jeżeli zrobiła to w przyływie furii. Jej sytuację pogarszał fakt, że dwaj biznesmeni, którzy padli jej ofiarą, okazali się prominentnymi figurami.

Trudno było nie współczuć Helenie. Jej historia poruszyła nawet Bentziego, który niejedno już widział. Chciał jej pomóc, ale dostrzegał tylko jedno wyjście. Zostawił ją w pokoju przesłuchań i poszedł zadzwonić do kilku osób. Kiedy wrócił po godzinie, przedstawił jej swoją propozycję i dodał, że bardzo mu przykro, ale będzie musiała podjąć decyzję tu i teraz.



Nie mogli sobie pozwolić na ten luksus, żeby dać jej czas na zastanowienie. Jeśli miała uniknąć procesu, należało niezwłocznie wprawić w ruch wiele trybików.

Zgodziła się.

Gdy tylko Mordechai wyszedł z pokoju, żeby przekazać jej decyzję, wybuchnęła płaczem. Uwolniła się od upokorzeń, bicia i głodu, ale zamieniła jedną niewolę na inną. Szukając jakiegoś promyka nadziei, uchwyciła się myśli, że będzie mogła zaopiekować się swoją rodziną. Nawet jeżeli była to jedyna korzyść z tego wszystkiego, lepsze to niż nic.

Trafiła do prywatnego szpitala, gdzie lekarze zajęli się jej obrażeniami i gdzie mogła wypocząć. Była tam zarejestrowana jako Jael, a imię to stało się później jej kryptonimem. W języku hebrajskim oznaczało moc. Nosiła je również jedna z postaci biblijnych, która ocaliła swój lud, zabijając wodza wrogiej armii. Mordechai odwiedzał Helenę codziennie. Od początku pokładał w niej więcej wiary niż ona sama. Kiedy doszła do siebie, zaczęła przechodzić szereg przeobrażeń. Tak jak Michał Anioł, który, patrząc na marmurowy blok, potrafił dostrzec w nim posąg, Bentzi widział boginię pod jej słowiańskimi rysami. Zespół chirurgów plastyków udoskonalił kształt jej nosa, piersi, podbródka, ust i kości policzkowych. W trakcie tych operacji okazało się, że Helena doznała licznych pęknięć czaszki, bez wątpienia z rąk ludzi, którzy więzili ją i maltretowali w poprzednim okresie jej życia.

Bentzi zaprosił jej bliskich na tygodniowy pobyt, by mogli się z nią zobaczyć, i zakwaterował ich w willi niedaleko morza. Jej ojciec, zagorzały antysemita, obwiniał Żydów za całą gehennę, która spotkała jego córkę. Wolał nie zauważać, że padła ofiarą własnych rodaków, którzy wywieźli ją z ojczystego kraju. Za radą Bentziego nie wyznała rodzicom całej prawdy. Chociaż mogli się domyślać, jaki los ją spotkał, doradził jej, żeby powiedziała, że została uprowadzona i zmuszona do pracy w fabryce. Nadzorcy bili ją, kiedy coś przeszkrobała albo wywołała ich niezadowolenie. Swój nowy wygląd zawdzięczała izraelskim chirurgom plastykom, którzy zajęli się rekonstrukcją jej twarzy. Żadne z rodziców nie zapytało o jej piersi.

Powiedziała im, że za bardzo się wstydziła, żeby wrócić do domu. Że jej psychika i ciało musiały dojść do siebie po tych traumatycznych przejściach. W tym czasie poznała Bentziego, który pracował w organizacji zajmującej się zwalczaniem handlu żywym towarem. Zaproponował jej

pracę, więc postanowiła zostać w Izraelu. Słyszając to, jej ojciec wpadł w gniew. Matka przez resztę wizyty nie mogła powstrzymać łez. Helena też płakała. Kłamstwa z trudem przechodziły jej przez usta, ale były konieczne i im częściej je powtarzała, tym mniejszy ból jej sprawiały.

Kiedy rodzice wrócili do kraju, zaczęło się szkolenie. Helena była pojętna i uczyła się szybko. Kiedy Ben Mordechai przeszedł z Szin Bet do Mosadu, zabrał ją ze sobą. Była zbyt cennym nabytkiem, żeby zostawiać ją komuś innemu.

Ale teraz, kiedy podchodził do białego forda transita zaparkowanego na ulicy w Genewie, miał co do Heleny poważne wątpliwości. Zanim zdążył sięgnąć do klamki, drzwi rozsunęły się przed nim. Wsiadł i zamknął je za sobą. Dwaj młodzi agenci nie odrywali wzroku od konsoli ze sprzętem elektronicznym. Obok nich siedziała dobiegająca sześćdziesiątki rudowłosa kobieta o obfitym biuście.

– Słyszałaś wszystko? – Mordechai wyjął z kieszeni mikrofon bezprzewodowy i położył go na blacie.

Kobieta spojrzała na dwóch agentów.

– Idźcie napić się kawy – zwróciła się do nich.

Kiedy zostali sami, wyjęła paczkę papierosów i podsunęła Bentziemu. Pokręcił głową. Kobieta zapaliła, zaciągnęła się głęboko i wydmuchała dym w stronę małego wywietrznika w suficie.

– Powiedziałabym, że mamy poważny problem.

Nava Itzik była prawą ręką szefa Metsady, jak nazywano wydział operacji specjalnych Mosadu. Metsada odpowiadała za niektóre z najbardziej niebezpiecznych zadań. Oprócz działań paramilitarnych, sabotażu i wojny psychologicznej zajmowała się również przeprowadzaniem zamachów. Kiedy Nava Itzik uznawała coś za poważny problem, zazwyczaj sięgała po wyjątkowo drastyczne środki, aby uwolnić od niego Izrael. Za to jej płacono. A Mordechai jako zastępca Itzik pobierał swoją pensję za to, że wykonywał wszystkie jej polecenia.

– Gdybym mógł to przewidzieć, nigdy bym jej nie wyznaczył do tej roboty – powiedział.

Nava znów zaciągnęła się papierosem.

– Ja wiedziałam, jak to się może skończyć – odparła, wydmuchując kłęb dymu w stronę wywietrznika. – Znam Pierre’a Damiana lepiej niż ona i chyba nadal miałabym ochotę się z nim przespać.

– Ale właśnie na tym polegało jej zadanie. Miała z nim sypiać. Tylko nie miała się w nim zakochać.

– Myślę, że najpierw zakochała się w tobie. Mordechai nie krył zaskoczenia.

– We mnie?

– Uratowałeś ją. Dzięki tobie nie poszła siedzieć. Zapewniłeś jej stabilizację.

Trochę nadziei.

– Nie dałem jej wyboru.

– Wybrała zaufanie do ciebie.

– Zawsze to lepsze niż więzienie – stwierdził.

– Jesteś niedostępny, Bentzi. Każda kobieta to widzi. I to je w tobie pociąga.

– Analizujesz moją osobowość czy to ma być jakiś dziwny komplement?

– Nic z tych rzeczy – odparła Nava. – Mówię ci tylko, jak jest. Choćby nie wiem jak dobrze strzelała i walczyła, brakuje jej wiary w siebie. Obydwoje to wiemy.

– O każdym można tak powiedzieć. Jeśli nie masz żadnych wątpliwości, to coś jest z tobą nie tak. Może brakuje jej wiary w siebie, ale ma dobre serce.

– Dziwka o złotym sercu. Tylko że tak naprawdę ona już nie jest dziwką. Jest naszą agentką, naszą wtyczką, i jeśli w jej głowie zrodziły się jakieś fantazje o miłosnej sielance z Damienem, trzeba z tym skończyć. I to już. Izrael nie może sobie pozwolić na takie mrzonki.

– Myślisz, że o to w tym wszystkim chodzi? Że traktuje Damiena jako drogę ucieczki?

– Jeśli musisz sięgnąć po spadochron, to najlepiej po ten ze złotą czaszą. Mordechai zastanawiał się przez chwilę nad jej słowami.

– Oczywiście istnieje też inna możliwość – dodała Nava. – Mianowicie próbuje wzbudzić w tobie zazdrość.

– Zazdrość o co? – zapytał poirytowanym tonem. – Nie mam żadnych powodów do zazdrości.

Nava wyciągnęła dłonie w pojednawczym geście.

– Dobra, nie denerwuj się.

– Nie denerwuję się. Chcę tylko poskładać to do kupy. Nie mamy czasu zaczynać wszystkiego od początku. Jeśli jej się nie uda, jesteśmy skończeni.

– Chciałeś powiedzieć, Izrael jest skończony.

– Izrael, Stany Zjednoczone, my wszyscy. Tym razem to Nava pograżyła się w zadumie.

– Może dałoby się ją zmotywować w jakiś inny sposób.

Mordechai nie chciał tego słuchać. Zależało mu na Helenie. Drażnił go fakt, że zastanawiają się, jak ją zmanipulować. Drażniło go to tym bardziej, że nigdy nie powinno było do tego wszystkiego dojść. Helena go zawiodła, a przez to on z kolei zawiódł Navę. To była jedna wielka porażka.

– Musimy jej wstrzyknąć porządną dawkę adrenaliny w samo serce – ciągnęła Nava. – Coś, co utrzyma ją w ryzach bez względu na to, co powie czy zrobi Damien.

W głowie Mordechaia przewijały się tysiące rozwiązań, ale żadne z nich nie było dobre. Choćby jego myśli podążały najbardziej nikczemnym torem, dobrze wiedział, że nie dorówna w tym swojej przełożonej.

– Co masz na myśli? – spytał. – Kij czy marchewkę? Chcesz dobrać się do kogoś z jej rodziny?

Nava Itzik pokręciła głową.

– Po czymś takim stracilibyśmy ją na zawsze – powiedziała. – Mam lepszy pomysł.

Zdusiła niedopałek, zapaliła następnego papierosa i przedstawiła swój pomysł. Mordechai słuchał jej z niedowierzaniem. Nie wiedział, czy temu podoła. To była najgorsza rzecz, jakiej kiedykolwiek od niego zażądała.

# Rozdział 11

## KONGO

Ash i jego ludzie zaznaczyli na mapie wszystkie zajazdy i posterunki straży leśnej położone między Bunią a ośrodkiem Matumaini. Były jak wyspy na wielkim i wzburzonym oceanie – mogły zapewnić im wszystko, od pożywienia i łączności po wypoczynek i schronienie.

Po spotkaniu z rebeliantami postanowili cofnąć się i wybrać inną trasę. Nie mogli przewidzieć, co ich czeka na dalszym odcinku drogi, którą jechali. Siły Oporu Patriotycznego w Ituri musiały mieć gdzieś swoją bazę transportową. To było niemożliwe, żeby całe ich wojska przemieszczały się jednym pick-upem, nawet tak ciężko załadowanym ludźmi i sprzętem, jak to mieli w zwyczaju Kongijczycy.

Powrót do punktu wyjścia zajął im kilka godzin, ale kiedy w porze lunchu dotarli do pierwszego posterunku, deszcz przestał padać i zza chmur wyszło słońce. Jambo pierwszy wysiadł z samochodu i z szerokim uśmiechem na twarzy zaczął witać się ze strażnikami, wymieniając z nimi uściski dłoni i życząc im pomyślności w suahili. Opowiedział im długą historię o tym, jak to z samego rana jeden z ich land cruiserów ugrzązł na drodze pod Bunią i dopiero po paru godzinach udało im się wyciągnąć go z błota. Wyjaśnił, że chcieliby tylko się umyć i trochę odpocząć, że mają swój prowiant i wodę, ale chętnie zapłacą strażnikom za ich gościnność i kilka butelek piwa. Zadowoleni z możliwości podreperowania swojego budżetu strażnicy chętnie na to przystali i dorzucili gratisowy poczęstunek.

Harvath nie był zachwycony perspektywą picia alkoholu o tak wczesnej porze, ale po tym, co przeszli, należało im się trochę luzu. I tak samo jak fałszywe naklejki z przekreślonym karabinem w oknach ich samochodów, kilka piw w środku dnia stanowiło wyraźny sygnał, że nie są groźni i nie mają nic do ukrycia. Już kilka godzin wcześniej zdjął z drzwi magnetyczne plakietki z logo CARE International. Nie wiedział, czy wśród rebeliantów nie zdążyły się rozejść wieści na ich temat. Im mniej się reklamowali, tym lepiej.

Na posterunku znajdował się jeden prysznic i Brytyjczycy uprzejmie zaproponowali doktor Decker, aby skorzystała z niego jako pierwsza. Od czasu ucieczki z dżungli lekarka nie odezwała się ani słowem. Przez całą drogę siedziała z głową opartą o szybę i zamkniętymi oczami, udając, że śpi.

Kolejno szli pod prysznic, ale w tym czasie pozostali dyskretnie obserwowali okolicę, wypatrując ewentualnego zagrożenia. Przerwa na odpoczynek i regenerację sił nie oznaczała, że mogli sobie pozwolić na brak czujności. Ponieważ widok broni mógłby zaniepokoić strażników, Brytyjczycy ukryli swoje pistolety pod koszulami. Harvath był nieuzbrojony. Nie zamknął na klucz tylnych drzwi swojego land cruisera i upewnił się, że nic nie leży na fotelu. Gdyby coś się wydarzyło i potrzebowałby broni, mógłby wyrwać karabinek któremuś ze strażników albo pobiec po strzelbę ukrytą pod siedzeniem.

Przyglądał się strażnikom zajętym przygotowywaniem jedzenia. Zrozumiał, dlaczego częstują ich lunchem, kiedy Jambo powiedział mu, jak dużo policzyli sobie za piwo. Widząc zapakowane w folię mięso, zainteresował się jego pochodzeniem.

– To dziczyzna z dżungli – wyjaśnił Jambo. Harvath natychmiast pokręcił głową.

– Nie ma mowy.

– Dlaczego?

Za pośrednictwem dzikich zwierząt w Kongu rozprzestrzeniały się niektóre z najgroźniejszych chorób zakaźnych. To była jego operacja i nie zamierzał dopuścić, żeby ktoś się rozchorował.

– Proszę, powiedz im, że bardzo dziękujemy, ale jesteśmy wegetarianami.

Młody Kongijczyk patrzył na niego przez chwilę, zastanawiając się, jak to powiedzieć, żeby zabrzmiało przekonująco, ale w końcu dał za wygraną i przetłumaczył jego słowa. Strażnicy nie potrafili zrozumieć, jak ktoś może rezygnować z dobrej dziczyzny, ale było im wszystko jedno. Oznaczało to, że zostanie im więcej jedzenia, a zarobią tyle samo. Wyszli na tym jeszcze lepiej.

Kiedy przyszła kolej Harvatha na prysznic, okazało się, że ciepłej wody już zabrakło. Umył się szybko, używając mydła, które ze sobą przywiózł, i uważając, żeby nawet kropla wody nie dostała mu się do ust ani nosa. Nie miał ochoty się zarazić.

Myśląc o tym, przypomniał sobie ukryty w dżungli namiot i mężczyzn z maskami na twarzach. Decker powiedziała, że jej zdaniem mogła to być żółta febra. Jeżeli się nie myliła, nie miał się czego obawiać. Ta choroba rozprzestrzeniała się w inny sposób, a nawet gdyby ukąsił go zakażony komar, przed wyjazdem zdążył się zaszczepić. Ale jeśli to nie była żółta febra? Jeśli to było coś poważniejszego? Starał się odpędzić od siebie tę myśl.

W Kongu wszystko pokrywała warstwa pyłu o czerwonej barwie gliny. Harvath zakręcił kran i wytarł się ostatnim czystym ręcznikiem, jaki został. Był mały, miał seledynowy kolor i widniała na nim postać z jakiejś amerykańskiej kreskówki. Natrafiając w takich miejscach na ślady kultury zachodniej, zawsze uświadamiał sobie, że świat jest o wiele mniejszy, niż sądzi większość ludzi.

Kiedy Harvath założył czyste ubranie i dołączył do reszty, wszyscy zasiedli do lunchu. Jambo nie miał oporów przed jedzeniem dziczyzny, ale pozostali zadowolili się zupą z liści manioku i gotowanymi warzywami. Po skończonym posiłku Brutale zasiedli na ganku, skąd baczny wzrokiem wodzili po okolicy, tymczasem Ash i Mick postanowili wypytać strażników o tereny, przez które mieli przejeżdżać. Jambo zajął się porządkami i kiedy oddalił się, niosąc stos brudnych talerzy, do Harvatha podeszła Jessica Decker.

– Możemy porozmawiać? – zapytała.

Harvath skinął głową, chwycił butelkę piwa i wyszedł za nią na zewnątrz. Wysypaną żwirem ścieżką przeszli na tyły posterunku, gdzie stał rząd przybudówek.

– Nigdy więcej nie udawaj lekarza – zaczęła Decker, kiedy uznała, że znaleźli się na tyle daleko, że nikt nie usłyszy ich rozmowy. – To ja jestem lekarzem i ja tu rządę.

Gdyby Jessica Decker była mężczyzną, Harvath byłby w rozterce, czy odpowiedzieć wybuchem śmiechu, czy ciosem w szczękę. Ale ponieważ miał do czynienia z kobietą i wyznawał zasady, które wykluczały stosowanie przemocy wobec przedstawicielek płci pięknej, nawet tych najbardziej aroganckich, wybrał to pierwsze. Spiorunowała go wzrokiem.

– Jeszcze masz czelność się śmiać?

Uznał, że najwyższy czas, żeby sprowadzić ją na ziemię.

– Ujmę to bardzo prosto, żeby nie było żadnych niejasności. To nie jest misja medyczna. Jesteś tu po to, żeby mi pomagać, a to oznacza, że masz

robić, co ci powiem, i to niezwłocznie. A kiedy ci powiem, żebyś czegoś nie robiła, to nie rób tego. Rozumiemy się?

Jej oczy zapłonęły jeszcze większą wściekłością.

– Twoja bezczelność jest porażająca. Wiesz o tym?

– Moja bezczelność?

– Tak – odparła. – To nie ty zakładałeś Matumaini. To nie ty wylewałeś z siebie pot i krew, żeby go zbudować. I to nie ty straciłeś tam bardzo bliskich przyjaciół. Dlatego jestem porażona twoją bezczelnością.

Wciąż była w szoku. Tylko takie wytłumaczenie przychodziło mu na myśl. Ich spotkanie z rebeliantami byłoby wstrząsającym przeżyciem dla każdego cywila, nawet dla lekarki, która pracowała wcześniej jako korespondentka wojenna. Gdyby dodać do tego fakt, że martwiła się o los personelu Matumaini, należałoby stwierdzić, że cała ta sytuacja musiała ją doprowadzić do załamania nerwowego.

– Właśnie doświadczyłaś bardzo silnego... – zaczął Harvath.

– Skończ z tym protekcjonalnym tonem – warknęła.

– Nie jestem protekcjonalny.

– Ależ owszem.

Harvath musiał to ukrócić.

– Doktor Decker – powiedział. – Po tym, co zaszło, jestem gotów potraktować cię ulgowo, ale...

– Ale co? – zapytała, znów wchodząc mu w słowo.

– Albo weźmiesz się w garść, albo zadbam o to, żebyś wróciła do kraju.

Ten argument najwyraźniej do niej przemówił. Harvath przyglądał się jej przez chwilę. Swego czasu miał do czynienia z paroma kobietami o wybuchowym charakterze, ale był zdania, że zwalanie wszystkiego na emocje jest ubliżające. Zazwyczaj spory, które toczyli między sobą ludzie, miały bardziej złożoną naturę. Zauważył jednak, że lekarka boryka się z jakimś skomplikowanym problemem. Nie miał pojęcia, jakie było jego źródło, i nie chciał tego wiedzieć. Był to temat, który mógł drażnić jej terapeuta albo jej chłopak, niech go Bóg ma w swojej opiece. Jego obchodziło tylko to, czy będzie wypełniała polecenia i czy może na niej polegać, kontynuując swoją operację. Nie lubił manipulować ludźmi, ale Decker zaprezentowała się od takiej strony, że był gotów bez skrupułów zrobić wszystko, co okaże się konieczne. Ale przedtem chciał wyjaśnić parę rzeczy.



– Mamy wielkie szczęście, że dzisiaj rano nikt nie zginął. Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Nikt nie zginął? Nikt?

– Nie zginął nikt z nas – uściślił Harvath.

– A więc tamci się nie liczą?

– Mówisz o rebeliantach?

– Tak, o ludziach, których zabiłeś, których zamordowałeś z zimną krwią.

„Dobry Boże”, pomyślał.

– Przecież to byli uzbrojeni przeciwnicy.

– Których ty zastrzeliłeś, zanim którykolwiek z nich zdążył strzelić do ciebie.

„Co ona, do jasnej... Ta kobieta jest stuknięta”.

– Bo o to właśnie w tym chodzi, wiesz? Żeby ich zastrzelić, zanim oni zastrzelą ciebie.

W swoim życiu Harvath usłyszał kilka wyjątkowo głupich i wyjątkowo odrażających rzeczy, ale jej wypowiedź plasowała się w czołówce tej listy.

– Sądzisz, że cieszyło mnie zabijanie tych ludzi?

– Nie wiem – odparła Decker. – Sam mi to powiedz. Widać, że jesteś w tym całkiem dobry.

– Owszem, tak samo jak ty zapewne jesteś dobra w tym, co robisz. Bo na tym polega moja praca.

Na jej twarzy pojawił się wyraz triumfu, jak gdyby przyłapała go na kłamstwie, które pozwalało zdemaskować całą prawdę.

– Tylko że moja praca polega na ratowaniu życia.

– Moja też.

– Ale...

Tym razem to on jej przerwał.

– Ale to nie zmienia faktu, że ich zastrzeliłem, tak? – zapytał. – Nie przeczę, ale zrobiłbym to jeszcze raz, ponieważ życie niektórych ludzi jest cenniejsze od życia innych.

Jessica Decker znów spojrzała na niego triumfująco, ale nie dał jej dojść do słowa.

– Nie każde życie warto ratować. A o niektóre tak naprawdę nie warto nawet walczyć.

– Każde życie jest cenne – zaprotestowała.

– A życie Hitlera, Stalina albo Mao? Życie bin Ladena?

– Ludzie, których spotkaliśmy dziś rano, nie byli Hitlerami ani bin Ladenami.

– Nie, a mimo to związali cię i zakneblowali, prawda?

Lekarka zignorowała jego pytanie, jakby było poniżej jej godności. Jej ideologia okazała się bardziej niebezpieczna, niż sądził. Decker nie tylko była gotowa wyskoczyć z samochodu i pójść ślepo w głąb dżungli za każdym, kto ją o to poprosił, ale również nie wstydziła się ani nie poczuwała do odpowiedzialności za to, do czego doprowadziło jej zachowanie. Harvath już miał ją spisać na straty, kiedy zdobyła się na interesujące wyznanie i zadała mu pytanie, które usłyszał od bardzo niewielu osób.

– Nie rozumiem cię – powiedziała.

– Dlaczego?

– Domyślam się, że jesteś szpiegiem, żołnierzem albo kimś w tym rodzaju.

– Kimś w tym rodzaju – potwierdził Harvath.

Przypatrywała mu się długo i uważnie, jak gdyby próbowała odnaleźć na jego twarzy odpowiedź na swoje kolejne pytanie.

– Dlaczego to robisz? – odezwała się w końcu. – Po co to wszystko? Nie było to zabawne pytanie, ale Harvath znów się roześmiał.

– Nie uwierzyłabyś mi – odparł.

– Przekonajmy się.

Zauważył, że powiedziała „przekonajmy się”, a nie „zaufaj mi”. Harvath mógłby wymienić wiele powodów, dla których wybrał w życiu taką drogę. Jednym z nich było pragnienie zaimponowania ojcu, który rzadko poświęcał mu czas, bo zawsze był gdzieś daleko i mierzył się ze swoimi wyzwaniami. Innym była chęć sprawdzenia własnych sił i stawiania sobie coraz wyższych wymagań. Jeszcze inny powód wiązał się z faktem, że Harvath był najzwyczajniej uzależniony od takiego stylu życia i tak wysoko oceniał swoje możliwości, że uważał się za jedyną osobę, która potrafi sobie poradzić z trudnymi zadaniami.

Istniało jeszcze inne wytłumaczenie. Wszystko zaczęło się, kiedy był dużo młodszy i zaprzyjaźnił się z mieszkającym w sąsiedztwie upośledzonym chłopcem, który padał ofiarą złośliwych ataków. Harvath stawał w jego obronie i w efekcie wdawał się w liczne bójkę. Miał przez to wiele kłopotów, ale nauczył się walczyć. Chociaż chciał wierzyć, że robi coś szlachetnego, była w tym również pewna doza egoizmu. Chłopcy, z

którymi się bił, zazwyczaj górowali nad nim wzrostem i było ich więcej, mimo to spuszczał im łanie za każdym razem, aż w końcu nikt nie miał odwagi z nim zadzierać ani dokuczać jego przyjacielowi.

Dopiero kiedy był starszy, uświadomił sobie, że zapał, z jakim rzucał się na każdego, kto zaczepiał chłopca z sąsiedztwa, miał głębsze źródło. Robił dla swojego zgnębianego sąsiada coś, czego jemu samemu brakowało ze strony ojca. Chronił go. Dotarło do niego również, że dobrowolnie podjął się takiego samego zadania, jakie jego ojciec, komandos Navy SEALs, wypełniał wobec innych. Zawsze jacyś ludzie potrzebowali ochrony. W bezinteresownym zapewnianiu im bezpieczeństwa tkwiła prawdziwa szlachetność. Kiedy to zrozumiał, jego droga życiowa stała się dla niego oczywista.

– Sporo się u nas mówi o amerykańskim śnie – zwrócił się do Decker. – Ale ktoś musi nad nim czuwać, żeby mógł się spełniać.

– Miałeś rację – odparła. – Nie wierzę ci.

„To tyle, jeśli chodzi o wzajemne zrozumienie”, pomyślał Harvath. Nie żeby go to zaskoczyło. Zdążył zauważyć, że ich poglądy na świat całkowicie się różnią.

– Niezależnie od tego, co sądzisz o moich motywach, muszę wiedzieć, czy będę mógł na tobie polegać.

– To zależy.

– Wybacz, ale oczekuję konkretnej odpowiedzi. Żadnych uników ani targowania.

Albo godzisz się na wykonywanie moich poleceń, albo dalej z nami nie jedziesz.

Lekarka milczała przez dłuższą chwilę.

– Ja naprawdę byłam przekonana, że ci ludzie to kongijscy żołnierze – odezwała się w końcu. – Nie poszłabym z nimi, gdybym wiedziała, kim są naprawdę.

Harvath nie wiedział, jak powinien odebrać te słowa. Zabrzmiały niemal jak przeprosiny. Tak czy inaczej, stanowiły dowód, że Jessica Decker posiada zdolność oceny sytuacji, a to było bardzo pomocne w dążeniu do porozumienia.

– Nie mówię, że nie wolno ci pomagać ludziom. Taka jest twoja rola i rozumiem to. Ale w tej chwili nasze zadanie polega na wyjaśnieniu, co zaszło w Matumaini. Na tym musimy się skupić. Zgoda?

Burzliwe emocje, które miały ją do tej pory, zaczynały cichnąć. Wyraz jej twarzy stał się łagodniejszy, a postawa już nie tak zaczepna.

– Zgoda.

Harvath spojrział na zegarek i szybko obliczył, ile godzin zostało do zmroku. Zamierzał popędzić Asha i jego ludzi, bo zależało mu, żeby zdążyli dojechać do Matumaini jeszcze za dnia. Wiedział, że im prędzej opuści ten kraj, tym lepiej.

## Rozdział 12

Kiedy dobili targu ze strażnikami, od których kupili trochę paliwa i wody, wyruszyli w dalszą drogę. W Kongu wszystko szło świetnie, dopóki nie brało w łeb. Sforsowali dwie stosunkowo płytkie rzeki, ale wkrótce przekonali się, że ich poczucie pewności było mocno przesadzone. Trzecia rzeka okazała się znacznie głębsza i bardziej rwąca niż poprzednie. Woda sięgała prawie do okien, a w pewnym momencie prąd zaczął znosić obydwie samochody. Ponieważ się kołysały i groziło im wywrócenie, Ash kazał wszystkim przygotować się do ewakuacji. Na szczęście masywne opony wgryzły się wreszcie w dno i złapały przyczepność, dzięki czemu przedostali się na drugi brzeg. Najgorsze mieli za sobą. Odtąd były już tylko koleiny, wyboje i błoto.

Harvath wyjrzał przez okno. Jeszcze przed wyjazdem z posterunku straży leśnej ponownie uruchomił swój telefon. Używał go w połączeniu z modułem satelitarnym, dzięki któremu mógł wysyłać i odbierać wiadomości tekstowe, a także prowadzić rozmowy, o ile miał nad sobą skrawek odsłoniętego nieba. Nadal nie doczekał się odpowiedzi od Lary.

Nie podobało mu się, że myśli o niej podczas wypełniania misji. Powinien oddzielić od siebie te sfery życia. Zdarzało mu się ganić agentów, którzy podczas akcji popełniali ten sam błąd. Jeżeli ktoś nie był w stu procentach skoncentrowany na zadaniu, szybko zaczynał przyciągać problemy.

To nie było w jego stylu. Zazwyczaj wszystko chodziło u niego jak w zegarku. Jednak teraz był rozkojarzony, bo wiedział, że Lara jest na niego wściekła i ma do tego wszelkie prawo. Powiedział jej, że przyjął to zlecenie, bo czuł taką powinność. Przynajmniej to było prawdą. Był przekonany, że nadaje się do tego zadania lepiej od innych. Ale to samo można by powiedzieć o prawie każdym zadaniu, jakiego podejmowała się Carlton Group. Skłamał natomiast mówiąc jej, że nie miał wyboru.

Oczywiście mógł postąpić inaczej. Mógł się nie zgodzić. Rzecz w tym, że nie chciał odmawiać. Chciał się zająć tą sprawą, bo nigdy wcześniej nie

prowadził podobnej operacji. Zachłysnął się tym wyzwaniem. Spodziewał się również, że podczas urlopu czeka go nie tylko podziwianie jesiennych kolorów. Lara szykowała się na poważną rozmowę. Dopóki nie wylądował w Kongu, nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo obojętna była mu ta rozmowa.

Bez względu na to, co usłyszałyby od jakiegokolwiek kobiety, zawsze nadchodził taki moment, w którym musiał dokonać wyboru. Nie mógł założyć rodziny i pozostać w tej branży. Sam w dzieciństwie przekonał się, czym to pachnie.

Ale jego obecna praca różniła się od tego, czym zajmował się jego ojciec. Jego ojciec wkraczał na terytorium nieprzyjaciela otoczony towarzyszami broni z Navy SEALs. Tymczasem Harvath często zapuszczał się na wrogie terytoria w pojedynkę. Podejmował większe ryzyko niż ojciec i nie wyobrażał sobie, że mógłby dalej to robić, gdyby w domu czekała na niego rodzina.

Przez długi czas pragnął mieć swój udział w amerykańskim śnie, ale teraz nie był już pewien, jak ten sen tak naprawdę wygląda. Obawiał się również konsekwencji spełnienia tych marzeń. Nie wiedział, jak mógłby osiągnąć stabilizację i nadal chronić innych. Czy będąc mężem i ojcem, przestałby się tak bardzo narażać podczas akcji? Czy ktoś, może nawet on sam, mógłby przyplącić to życiem? Czy chodziło o coś więcej? Czyżby się obawiał, że bez względu na to, jakie wizje życia rodzinnego próbowałyby przeciwstawić temu, co teraz robił, było to coś, do czego został stworzony?

Do tej pory spychał ten problem do najbardziej odległych zakamarków swojego umysłu. Nie próbował go rozwiązać, mając nadzieję, że przestanie istnieć, jeśli będzie go ignorował. Ale problem nie znikał. Tak naprawdę jeszcze się pogłębiał.

Harvath odciął się od wszystkich rozterek, jakby w jego głowie zatrzasnęły się ciężkie żelazne wrota, i skupił uwagę na tym, co go czekało. W powietrzu wisiało kolejne spięcie, tym razem z Brytyjczykami. Spodziewał się, że Ash i jego ludzie będą chcieli mu towarzyszyć aż do samych drzwi ośrodka Matumaini. Nie mógł na to pozwolić, gdyż wiedział, co może tam na nich czekać. Mieli za mało odpowiedniego sprzętu. Musiał jakoś ich przekonać, żeby trzymali się z daleka.

Zjazd na drogę prowadzącą do Matumaini był tak kiepsko oznaczony, że go minęli. Ash i Mick dopiero po sześciu kilometrach uświadomili sobie swój

błąd i oba samochody zawróciły. Jeśli regularnie nie karczowano dżungli, natura szybko pochłaniała wszystko, co człowiek pozostawił bez opieki.

Wertepy na ostatnim odcinku były jeszcze gorsze od tych, po których dotąd jechali. W połowie drogi do ośrodka natrafili na głęboką rozpadlinę. Miała ponad metr szerokości, więc Ash kazał Simonowi i Eddiemu przynieść aluminiowe trapy, które wieźli przytwierdzone do bagażnika na dachu drugiego z land cruiserów. Kiedy Brytyjczycy przygotowywali się do przeprawy, Harvath odciągnął Asha na stronę.

– Chciałbym z tobą obgadać podział ról, jaki przyjmiemy po dotarciu na miejsce – zaczął.

– Jasne – odparł Ash, zerkając kątem oka na Brutali. – Jaki masz pomysł?

– Chcę to rozegrać kameralnie.

– W jakim sensie?

– Tylko ja i doktor Decker.

– Jesteś klientem i możesz robić, cokolwiek zechcesz, ale muszę ci powiedzieć, że moim zdaniem to zły pomysł. Nie wiadomo, co możemy tam zastać. Wystarczy, żeby rebelianci wpisali w wyszukiwarke frazę „CARE International”.

– Ale tylko przy założeniu, że chociaż jeden z tych, którzy widzieli plakietki na drzwiach, pozostał przy życiu – zauważył Harvath.

– Nie mamy pewności, że nie zdążyli przekazać tego innym.

– Gdybym tkwił w jednym miejscu, ukrywając się z ciężko chorym dowódcą, starałbym się ograniczyć łączność radiową do minimum.

– Ja też. – Ash przyznał mu rację. – Ale musimy brać taką możliwość pod uwagę. Niewykluczone, że właśnie pakujemy się w zasadzkę. Oni mogą się czaić kilka kilometrów stąd.

– I dlatego chcę, żebyście zostali w tyle. Zjedziemy z drogi, rozbijemy obóz, a potem doktor Decker i ja pokonamy ostatni odcinek na piechotę i sprawdzimy, co tam się stało.

– Chcesz iść w nocy? Po ciemku?

Harvath spojrział na zegarek. Zorientował się, że zanim znajdą odpowiednie miejsce, w którym będą mogli ukryć samochody, faktycznie zapadnie zmrok.

– Myślę, że to najlepsze wyjście.

– Nie musisz nas wszystkich zostawiać w obozie. Mick i ja możemy iść z wami.

W razie kłopotów będziecie mieli dwie dodatkowe lufy. Co ty na to?

W każdej innej sytuacji byłyby to znakomity pomysł, ale w tym przypadku Harvath i Decker musieli pójść tam sami.

– Doceniam twoją propozycję, ale załatwimy to tylko we dwoje.

– Twoja wola – powiedział Ash i pokręcił głową.

Harvath podziękował mu i zmienił temat rozmowy, żeby przedyskutować wybór dogodnego miejsca na biwak. Otworzył galerię zdjęć satelitarnych, które wgrał do swojego smartfona, i starannie pomijając te przedstawiające osmalony rów, pokazał Brytyjczykowi, gdzie jego zdaniem mogliby się ukryć.

Kiedy oba samochody przeprawiły się przez rozpadlinę, Brutale z powrotem zapakowali trapy i cała ekipa ruszyła dalej. W drodze Harvath ułożył w myślach listę rzeczy, które miał zabrać ze sobą na nocny wypad. Większość z nich, zwłaszcza „groźny ładunek”, jak to określił Beaman, została już zapakowana do dwóch wielkich plecaków. Ilość tego sprzętu była o wiele za duża jak na zwyczajny rekonesans i mogła wprawić Brytyjczyków w zdumienie, ale Harvath postanowił jeszcze raz zasłonić się środkami ostrożności na wypadek ataku rebeliantów.

Ash i jego ludzie nie mieli pojęcia, co naprawdę znajduje się w plecakach. Zostali poinformowani, że to zaopatrzenie medyczne dla ośrodka Matumaini, i nie mieli powodu, aby sądzić, że jest inaczej. Harvath zamierzał im wyjaśnić, że jeśli w okolicy czyhają rebelianci, ukryje plecaki w dżungli niedaleko ośrodka, żeby personel mógł je zabrać, kiedy zagrożenie już minie. Jeżeli nie będzie rebeliantów, wyładują na miejscu zawartość plecaków i wrócą do obozu, żeby dostarczyć resztę transportu samochodami prosto pod drzwi przychodni. Nie miał pojęcia, czy Brytyjczycy to kupią, ale dopóki robili to, co im kazał, nie przejmował się niczym więcej.

Dwa kilometry przed Matumaini zбочyli z drogi i zjechali kilkaset metrów w głąb dżungli. Otaczająca ich gęstwina tętniła życiem, rozbrzmiewała krzykami ptaków i odgłosami innych zwierząt. Simon i Eddie zaczęli rozbijać obóz, tymczasem Ash i Mick wrócili na drogę, żeby zamaskować ślady samochodów. Kamuflaż nie był idealny, ale Harvath uznał, że wystarczy w zupełności, o ile ktoś nie będzie wiedział dokładnie, gdzie ich szukać.

Jambo zajął się przygotowaniem kolacji. Wzorem rebeliantów, których spotkali nad ranem, nie rozpalili ogniska. Woń gotowanych potraw



mogłaby przyciągnąć nieproszonych gości, zarówno ludzi, jak i zwierzęta. Jambo zagotował wodę na palniku gazowym. Kiedy zaczęła wrzeć, napełnił nią saszetki z liofilizowaną żywnością, które potem zamknął, żeby ich zawartość napęczniała. Harvath zabrał prowiant dla siebie i Jessiki Decker ze Stanów Zjednoczonych. Nie znosił gotowych racji żywnościowych stosowanych w armii amerykańskiej. To była jego operacja i zamierzał posilać się tym, na co miał ochotę.

Ze względu na stres towarzyszący często takim akcjom oraz potrzebę regeneracji sił postawił na wysokokaloryczne potrawy. Jedną z jego ulubionych była bułka drożdżowa z sosem gulaszowym. Kazał Jambo przygotować tyle wrzątku, żeby wystarczyło na napełnienie dwóch saszetek z sosem. Nie wiedział, ile czasu zajmie im nocny wypad. Cokolwiek czekało ich w Matumaini, zamierzał stawić temu czoła z pełnym żołądkiem.

Z myślą o lekarce zaopatrzył się w wybór produktów pewnej nowej firmy, która specjalizowała się w wyrafinowanych posiłkach turystycznych, takich jak ekologiczne i bezglutenowe risotto z grzybami albo łosoś z makaronem w sosie marinara. Coś mu podpowiadało, że Decker okaże się osobą wybredną i trudną w pożyciu, a z doświadczenia wiedział, że największym balastem podczas akcji jest ktoś, kto nie odżywia się prawidłowo. Nie dość, że brakuje mu kalorii niezbędnych do prawidłowego funkcjonowania, to jeszcze bez przerwy narzeka na głód.

Podczas gdy ich kolacja nasiąkała wrzątkiem, Harvath wyciągnął plecaki z drugiego land cruisera i zważył je w rękach. Oba były bardzo ciężkie. Decker musiała jakoś to przeboleć i poczekać, aż oddalą się od obozu na tyle, aby mogli swobodnie przepakować ich zawartość i inaczej rozmieścić ciężar. Harvath nie mógł zrobić tego teraz, na oczach Brytyjczyków, którzy nie powinni się dowiedzieć, co jest w środku. Ustawił plecaki na uboczu i nakrył je pelerynami. Znów zanosilo się na deszcz.

Simon i Eddie zawiesili między drzewami hamaki. Leżąc na takiej wysokości, nikt nie musiał obawiać się węży, a rozpięte powyżej płachty zapewniały ochronę przed deszczem. Harvath rzucił na swoje posłanie komplet suchego ubrania, śpiwór i składaną szczotkę do czyszczenia taśm velcro marki Columbia River. Podczas szkolenia w SEALs wbijano mu do głowy, że bezpośrednio po operacji należy wyczyścić cały ekwipunek, włącznie z butami. To małe i pomysłowe narzędzie było wyposażone w bolec, nadający się idealnie do wydłubywania błota, którego całą masę spodziewał się przywlec na sobie.

Pociągnął za napiętą linkę hamaka. Brutale świetnie się spisali. Nie mógł się doczekać chwili, kiedy wróci, doprowadzi się do porządku i zaśnie – kiedy będzie miał już za sobą nocny wypad do Matumaini. Oczywiście przy założeniu, że wszystko pójdzie dobrze, ale Harvath nie był tak naiwny, aby na to liczyć, zwłaszcza w Kongu.

## Rozdział 13

W drodze do ośrodka największym utrudnieniem oprócz ciężkich plecaków był dla nich zapas wody. Oczywiście przed wyjściem obficie się nawodnili, ale to było nic w porównaniu z ilością wody, jaką musieli zabrać na drogę powrotną. Harvath jeszcze przed wyjazdem ze Stanów przewidział, że będą mieli z tym problem, i odpowiednio się przygotował. Nie mogli polegać na studni w Matumaini. Gdyby się okazało, że nie da się z niej skorzystać, oznaczałoby to dla nich wyrok śmierci. Harvath widział zbyt wiele takich sytuacji, by uzależniać swoje przetrwanie od studni.

Idąc w górę strumienia aż do miejsca, w którym okrążał budynek ośrodka, nadkładali drogi i narażali się na spotkanie z tubylcami, ale omijali główny trakt, gdzie mogli czyhać rebelianci, a poza tym rozwiązywali problem wody. Był to więc rozsądny pomysł, ale nie dla Jessiki Decker.

– Nie możesz tego zrobić – upomniała Harvatha, gdy tylko przejrzała jego plan.

– Co ty nie powiesz?

– Ale z ciebie samolubny dupek. Wiesz o tym?

Harvath musiał wziąć głęboki oddech i przypomnieć sobie, że dżentelmeni nie podnoszą ręki na damy.

– Nigdy nie natrafiłaś na studnię, która była niezdatna do użytku? – zapytał, kiedy skończył przepakowywać rzeczy i zapiął klapy jej plecaka.

– Nie o to mi chodzi. Mówię o tym, że zamierzasz spławić w dół rzeki to coś, co tam znajdziemy. Wiesz, ilu ludzi możesz tym zabić?

Harvath rozsunął zamek i wyjął z kieszeni plecaka cztery brezentowe wiadra.

Dwa z nich rzucił lekarce.

– Jeśli chcesz rozłożyć majdan z dala od strumienia, to nie ma sprawy – powiedział. – Ale teraz poniesiesz swoją wodę. I moją też, bo działamy w zespole.

Decker posłała mu pogardliwe spojrzenie.

– Czy ty nie masz żadnego poczucia obowiązku moralnego?

– Mój obowiązek moralny jest prosty. Mam się dowiedzieć, co zaszło w Matumaini, i zadbać, żebyśmy wydostali się stąd żywi. Cała reszta to nie mój problem.

– A gdybyśmy spróbowali zostawić to miejsce w lepszym stanie niż ten, w jakim je zastaniemy?

– Brakuje nam tylko naklejki na zderzak z takim hasłem – odparł, wręczając jej plecak. – Teraz powinno być ci wygodniej.

Decker chwyciła swój plecak i kiedy poczuła, o ile zrobił się lżejszy, niemal ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Harvath dołożył sobie dobre dwadzieścia kilo. Ale niezależnie od tego życzliwego gestu wciąż była na niego zła o to, że nie przejmował się życiem tubylców. Ale zanim zdążyła coś powiedzieć, on już maszerował w górę strumienia, dźwigając swój dociążony plecak.

Ten człowiek miał odpowiedź na wszystko, nawet jeżeli tą odpowiedzią było milczenie. To doprowadzało ją do furii. Jednak najbardziej dotknęła ją instrukcja, której udzielił jej, kiedy oddalali się od obozu. Ostrzegł ją, żeby nie próbowała powtarzać tego, co zrobiła rano, i zagroził, że przywiąże ją do drzewa i zostawi na pastwę Pigmejów, jeśli nie będzie dokładnie wykonywała jego poleceń. Powiedział to z chłopięcym uśmiechem, którym jednak nie zdołał jej rozbroić. Przejrzała go na wylot. Najwyraźniej miał problem z kobietami, zwłaszcza z tymi inteligentnymi i uzdolnionymi. Był zwyczajnym troglodytą, przystojnym, ale mimo wszystko troglodytą.

– Hej – zawołała, próbując za nim nadążyć. – Ze swoją żoną też masz taki ubaw?

– Nie jestem żonaty – odpowiedział, nie zwalniając kroku.

– Kto by pomyślał – skwitowała kpiącym tonem. Zignorował ją.

Przez kolejne dwadzieścia minut szli w milczeniu, aż w końcu Harvath zatrzymał się, żeby sprawdzić GPS. Potoczył wzrokiem dookoła, po czym skinął na Decker i wspiął się na skarpe, skręcając w głąb dżungli.

Posuwali się naprzód bardzo wolno. Harvath wyrąbywał ścieżkę, używając maczety, którą pożyczył mu Jambo. Kilka minut później zatrzymał się i obrócił głowę, spoglądając na swoją towarzyszkę.

– Wystarczająco daleko od rzeki? – zapytał.

Lekarka przytaknęła, nie wiedząc, czy powinna być z siebie zadowolona. Ostatecznie wziął sobie do serca to, co mu powiedziała.

– W porządku – powiedział. – Wykarczuję resztę tych zarośli, a ty zacznij przynosić wodę.

Zrzuciła plecak i zawróciła w stronę strumienia, oświetlając sobie drogę czołówką. Kiedy znikła w głębi ścieżki, Harvath skręcił z plastikowych słupków szkielet, na który naciągnął foliową płachtę. Potem wsypał proszek do pojemników i ułożył obok ich pokrywy. Musiał przyznać, że w ciągu dziesiątek tysięcy godzin, jakie zajęło ustalenie procedur bezpieczeństwa na wypadek takich sytuacji, nikt nigdy nie wymyślił czegoś równie prostego.

Ziemia była rozmiękła, więc używając maczety, usypał naokoło niewielki wał. Miał on zatrzymać wszystko, co mogłoby spłynąć w dół zbocza i dostać się do strumienia. Był to jeszcze jeden pojednawczy gest z jego strony. Decker miała rację. Powinni podjąć wszystkie możliwe środki ostrożności. Należało to zrobić z dala od strumienia. Ale gdyby zaczęła utyskiwać na skażenie wód gruntowych, stałoby się jasne, że nie sposób jej dogodzić, a wtedy musiałby spełnić swoją groźbę i przywiązać ją do drzewa.

Kiedy Decker wróciła, zdążył już oczyścić teren i rozwinąć wielki balon, który umieścił wewnątrz uprząży. Wyjaśnił jej wszystko punkt po punkcie, pomógł napełnić wodą pierwszy z pojemników, a potem powiedział, co powinna zrobić, jeśli nie doczeka się jego powrotu w ciągu godziny. Nie była zadowolona, że musi zostać sama.

Harvath wręczył jej maczetę i kazał powtórzyć wszystko, co powiedział. Zapamiętała całą instrukcję co do joty. Spodziewała się, że na odchodnym dorzuci jeszcze jakąś przestrożę nawiązującą do porannych wydarzeń, ale nie zrobił tego. Uśmiechnął się za to i zapewnił ją, że wszystko będzie dobrze. Potem opuścił na oczy gogle noktowizyjne, wszedł między drzewa i rozpląnął się w mroku.

Opierając się na wskazaniach GPS-u i zdjęciach satelitarnych zapisanych w smartfonie, Harvath dokładnie ustalił, w którym miejscu znajduje się ośrodek i jak do niego dotrzeć. Jego odnalezienie zajęło mu niecałe dziesięć minut. Kiedy zobaczył go przed sobą, pozostał ukryty w gęstwinie. Nie zaryzykował wyjścia na polanę. Oczywiście wyobraźni widział jaskrawoczerwony krąg otaczający budynek. Wiedział, że musi podjąć wszystkie możliwe środki ostrożności, zanim przekroczy tę linię.

Podczołgał się na skraj polany, rozchylił krzaki i wyteżył wzrok, obserwując teren przez noktowizor. Nie zauważył żadnego ruchu, ale jeszcze bardziej niezwykły był fakt, że znikąd nie dobiegał żaden dźwięk.

Wszystko wskazywało na to, że nawet zwierzęta unikają tego miejsca. Ta cisza była niepokojąca. Harvath próbował otrząsnąć się z tego wrażenia.

Skradając się pod osłoną zarośli, Harvath okrążył polanę. Nigdzie nie wypatrzył samochodów ani innych pojazdów. W żadnym z okien nie paliło się światło. Ośrodek wyglądał na opuszczony. Dotarłszy na północno-zachodni skraj polany, spojrzął na zegarek. Chciał sprawdzić również osmalony rów, który widniał na zdjęciu satelitarnym, ale musiał liczyć się z czasem. Nie wiedział, czy Decker wykona wszystkie jego polecenia, ale założył, że jeśli nie wróci w ciągu godziny, już jej nie zastanie. A w takim wypadku będzie musiał przerwać operację. Nie uśmiechało mu się zabierać jej ze sobą, ale pogodził się z faktem, że jest to zadanie dla dwóch osób. Bez niej nie byłby w stanie doprowadzić wszystkiego do końca. Jednak zdawał sobie również sprawę, że jeśli nie sprawdzi tego tajemniczego paleniska, jego rekonesans będzie niepełny. Postanowił się pospieszyć.

Czuł swąd na długo przed tym, jak dotarł na miejsce. A właściwie czuł woń łatwopalnej substancji, której ktoś użył. Paliwa lotniczego nie dało się pomylić z niczym innym. Tylko jakim cudem znalazło się tutaj, w samym środku dżungli? Najbliższe lotnisko dzieliły od tego miejsca setki kilometrów.

To pytanie przez jakiś czas musiało pozostać bez odpowiedzi. Znalazłszy się w pobliżu wykopu, przystanął i nasłuchiwał przez chwilę. Gdy do jego uszu nie dotarł żaden niepokojący dźwięk, podczołgał się kawałek dalej i spojrzął przed siebie. Nikogo nie zauważył, ale ślady wskazywały na to, że ktoś tu był. Ktoś, kto przyjechał jakimś ciężkim pojazdem, który poruszał się na gąsienicach.

„Buldożer”, pomyślał Harvath. To nie był dobry znak. Takie ciężkie maszyny znajdowały zastosowanie jedynie wtedy, gdy trzeba było wydobyć spod ziemi coś wielkiego albo to zasypać. Chociaż nie miał złudzeń co do losu personelu i pacjentów Matumaini, tliła się w nim iskierka nadziei. Teraz, kiedy odkrył ślady buldożera, ostatnia nadzieja zgasła. Zaczął się również zastanawiać, kto dokonał ataku na ośrodek. Kombinezony ochronne, paliwo lotnicze i ciężki sprzęt świadczyły o wysokim poziomie zaawansowania technicznego.

Chciał dokładniej zbadać to miejsce. Odkąd zobaczył je na zdjęciu satelitarnym, w jego głowie zakiełkowały podejrzenia. Coś mu nie pasowało. Czy chodziło o kształt wykopu? O miejsce, w którym skupił się ogień? Niestety miał na to za mało czasu. Musiał wracać, jeżeli chciał

zastać Decker na miejscu. Ruszył z powrotem po własnych śladach, starając się iść jak najszybciej i jak najciszej.

## Rozdział 14

Zanim wrócił, Decker zdążyła nalać wody do wszystkich pojemników i napelniła już prawie cały balon.

– Co widziałeś? – zapytała. – Czy w ośrodku ktoś jest? Harvath pokręcił głową.

– Ani żywego ducha – odparł i wskazując na puste wiadra, dodał: – Chcesz, żebym dokończył?

– Chętnie.

Maczetą odrąbał gałąź grubości drążka do wieszania ubrań, naciął rowki na obu końcach, na których zaczepił po dwa wiadra, i oddalił się w kierunku strumienia. Kiedy wrócił, dźwigając na ramionach prowizoryczne nosidło, Decker wyciągnęła w jego stronę rękę, w której trzymała plastikowy bukłak z resztką wody.

– Chcesz trochę?

– Nie, dopij do końca – powiedział, stawiając wiadra na ziemi. – Będziesz tego potrzebować.

– Ty też.

Miała rację. Równie dobrze mógł już teraz zacząć się nawadniać. Wyciągnął butelkę ze swojego plecaka, zdjął zakrętkę i wypił duszkiem ponad połowę zawartości. Potem przyjrzał się uprząży z parcianych taśm, na których spoczywał zbiornik z wodą.

Jeden galon wody ważył niecałe cztery kilogramy. Chociaż przewidywał, że będą potrzebować tylko czterdziestu do pięćdziesięciu litrów na osobę, przygotował zbiornik o pojemności stu pięćdziesięciu litrów. Nie licząc niewielkiej ilości substancji chemicznych, które dodał, waga wypełnionego wodą balonu przekraczała sto pięćdziesiąt kilo.

Kiedy przed ponad godziną oddalali się od strumienia na bezpieczną odległość, wypatrywał płaskiego kawałka terenu, na którym rosłoby solidne drzewo. W taki sposób znalazł miejsce, gdzie się zatrzymali.

Do wszytych w uprząż mocnych metalowych pierścieni przypiął za pomocą karabińczyków stalowe linki, a koniec każdej z nich przyczepił do



haka ręcznej wciągarki, którą zawiesił na konarze drzewa, po czym przystąpił do podnoszenia zbiornika. Kiedy zbiornik znalazł się na odpowiedniej wysokości, ustawił pod spodem skręcony z plastikowych rurek parawan, rozciągnął wąż i wypróbował dyszę. Ciśnienie było doskonałe, a woda, choć zimna, miała świeży zapach. Rozłożył dookoła wszystkie niezbędne przybory i sięgnął po butelkę wody, którą zostawił obok plecaka. Kiedy wypił kilka kolejnych łyków, Decker rzuciła mu komplet odzieży chirurgicznej, mówiąc:

– Czas się przebrać.

Spodziewał się, że lekarka odejdzie kawałek w dół ścieżki albo schowa się za matową folią prowizorycznej kabiny prysznicowej, ale ona nie zawracała sobie głowy takimi rzeczami. Stojąc obok swojego plecaka, zaczęła powoli ściągać z siebie ubranie. Najwyraźniej skromność nie należała do jej zalet. Podobnie jak subtelność.

Harvath nie chciał na nią patrzeć, ale nie mógł się powstrzymać. Pozbywała się odzieży z taką gracją, że mogłaby się nieźle obłowić na napiwkach za striptiz. Nie miała w sobie nic, co nie budziłoby jego niechęci, ale kiedy nie otwierała ust, a kolejne części jej garderoby lądowały na ziemi, nie była aż tak nieznośna. Odwrócił wzrok tylko dlatego, żeby nie dać jej satysfakcji, że wzbudziła jego zainteresowanie. Koncentrując się na rozpinaniu guzików, pomyślał, że powinien jej przyznać dodatkowe punkty za styl. Gdyby sam był kobietą podróżującą w kongijskiej dziczy, raczej nie zadbałby, aby w jego bagażu znalazły się stringi i koronkowy biustonosz. Zdjął koszulę i pokręcił głową. Ta kobieta przyciągała kłopoty jak magnes i przypuszczalnie zdawała sobie z tego sprawę. Jej niewątpliwie droga bielizna była zupełnie nie na miejscu w samym środku dżungli. O tym też musiała wiedzieć.

Oczywiście było to jedno wielkie widowisko, ale chociaż na ziemi mało jest miejsc mniej przyjaznych niż Kongo, Jessica Decker nie zamierzała przerywać spektaklu, tylko dlatego że się tu znalazła. Harvath był pełen uznania dla jej wysiłków. Mężczyzna, który nie byłby zdolny podziwiać albo przynajmniej docenić poświęcenia, z jakim starała się zachować choć odrobinę seksapilu, nie zasługiwał na miano mężczyzny.

Choć nie miał zamiaru wywieszać przy swoim hamaku tabliczki z napisem „Otwarty na propozycje”, postanowił jeszcze raz zerknąć ukradkiem w jej stronę. Uniósł głowę i zobaczył, że lekarka patrzy z podziwem na jego ciało. Ich spojrzenia się spotkały. Obydwoje byli

kompletnie nadzy i patrzyli sobie w oczy kilka sekund dłużej, niż powinni. W końcu to Harvath poddał się jako pierwszy i odwrócił wzrok. W jego głowie znów zagościło to samo obsceniczne słowo, które obracał w myślach tego ranka.

Dla niej mogła to być zwykła gra, ale on wiedział, że musi być ostrożny. Tylko szaleniec, wisząc nad przepaścią, sięgał po nóż i zaczynał odcinać linę. A jednak nawet najbardziej stanowczy mężczyźni okazywali się zdolni do największych szaleństw.

Na szczęście kiedy Harvath znów na nią spojrzął, lekarka była już prawie ubrana. Ostentacyjnym ruchem naciągnęła bluzę na piersiach, a potem przyglądała tkaninę. Ta kobieta była chodzącym problemem i doskonale o tym wiedziała. Jednak Harvath miał na głowie wiele innych spraw i skierował myśli w ich stronę.

Zostawiając sobie tylko te rzeczy, które mogły im się przydać, przepakował resztę do plecaka Decker i nakrył go peleryną. Drugiej peleryny użył do osłonięcia dziury w ziemi, którą wykopał i którą chciał ochronić przed deszczem. Od kiedy opuścili obóz, z nieba nie spadła ani jedna kropla. Na razie matka natura była dla nich łaskawa, a przynajmniej nie zwracała uwagi na ich obecność.

Decker dała znak, że jest gotowa, i pomaszerowali w stronę ośrodka. Postanowili, że podejda jak najbliżej, zanim założą na siebie kombinezony ochronne, skazując się na nieznośny zaduch i gorąco. W najlepszym wypadku mogli w nich wytrzymać pół godziny, ale nawet to było jak start w triathlonie Iron Man przy trzydziestostopniowym upale. Odwodnienie i udar cieplny stanowiły bardzo poważne zagrożenie, dlatego włąli w siebie tyle wody i dlatego musieli odliczać każdą minutę od momentu założenia kombinezonów.

Kiedy znaleźli się w pobliżu ośrodka, Harvath uważnie zlustrował polanę, po czym zdjął gogle noktowizyjne i podał je lekarce. Przede wszystkim zależało mu, żeby obserwując okolicę, trochę się uspokoiła. Stres mógłby obniżyć jej odporność na wysoką temperaturę, a wtedy nie wytrzymałaby w kombinezonie wystarczająco długo. Poza tym chciał jej dać okazję, by przyjrzała się budynkowi i mogła ocenić, czy coś się zmieniło.

Po paru minutach oddała mu gogle.

– Wygląda tak, jak go zapamiętałaś? – zapytał.

– Mniej więcej.

– Dobra. Przebierajmy się.

Wyjął z plecaka dwa komplety odzieży ochronnej dla siebie i dla niej i ułożył je na osobnych kupkach. Choć już raz obejrzeliby dokładnie swoje kombinezony, rękawice, kaptury i gumowe buty w poszukiwaniu przebić, rozdarć i innych słabych punktów, teraz zrobili to powtórnie, a potem zamienili się, żeby sprawdzić, czy nic nie umknęło ich uwadze. Upewniwszy się, że żaden z elementów nie jest uszkodzony, zaczęli je na siebie zakładać. Jedną na drugą naciągnęli po dwie pary rękawic, z których każdą należało przykleić do rękawa, owijając mankiet taśmą.

Taśma musiała przylegać bardzo dokładnie i nie tworzyć fałd, gdyż wirusy albo inne zabójcze zarazki mogły przedostać się do środka przez najmniejszą szczelinę. Był to jeden z głównych powodów, dla których Harvath uległ i zgodził się na udział Decker w misji. Pomoc drugiej osoby była niezbędna nie tylko przy zakładaniu odzieży ochronnej, ale również przy jej zdejmowaniu. Po prostu nie dało się w pojedynkę ściągnąć kombinezonu we właściwy sposób.

Decker przeszła obszerne szkolenie i znała się na rzeczy. Teraz to ona mówiła Harvathowi punkt po punkcie, co powinien robić. Kiedy zapytał ją o rękawice, wyjaśniła mu, że wprowadzie spodnia warstwa zapewnia ochronę w przypadku rozdarcia lub przebicia zewnętrznej powłoki, ale przede wszystkim ma osłaniać dłonie podczas rozbierania. Cała procedura, włącznie ze ściąganiem butów i wyslizgiwaniem się z kombinezonu, przypominała grę zręcznościową Operacja. Wystarczyło raz dotknąć niewłaściwego miejsca i było po zabawie. Wszystko sprowadzało się do współpracy i absolutnego zaufania.

Choć tego ranka Decker doprowadziła go do szewskiej pasji swoim zachowaniem, teraz emanowała profesjonalizmem. Kiedy owijała taśmą jego nadgarstki i kostki i kiedy wygładzała powierzchnię jego kombinezonu, każdy jej ruch cechowały kliniczna precyzja i doświadczenie. Uwodzicielska kokieteria, z jaką rozbierała się wcześniej, znikła bez śladu. W tej chwili Jessica Decker była całkowicie skoncentrowana na swojej pracy.

Harvath kończył oklejanie jej mankietów, kiedy usłyszał przekleństwo. Z początku pomyślał, że popełnił jakiś błąd, ale szybko się zorientował, co wywołało taką reakcję. Na plastikowej osłonie twarzy lekarki rozprysła się wielka kropla deszczu. Po niej spadły następne. Bez najmniejszego

ostrzeżenia niebo otworzyło się nad nimi, zalewając ich strumieniami wody. Kongo w całej okazałości.

– Musimy działać szybko – powiedziała Decker, przekrzykując szum ulewy – ale z głową. Żeby niczego nie spieprzyć.

Zgodnie z jej instrukcją Harvath zwracał szczególną uwagę, żeby taśma w żadnym miejscu nie odstawała. Ubierali się przy świetle czołówek zawieszonych na gałęzi. Warunki już i tak pozostawiały wiele do życzenia, a deszcz tylko pogarszał sprawę. Kiedy skończył, dał jej znak uniesionym kciukiem. Obejrzała swoje mankiety i nogawki, a potem sprawdziła jego kombinezon. Czas miał pokazać, czy nie popełnili żadnego błędu.

Cofając się o krok, lekarka zeszła ze ścieżki, puszczając Harvatha przodem.

Kombinezon okazał się wyjątkowo niewygodny. Jego zwarta masa poważnie krępowała ruchy i Harvath czuł się jak chłopiec z filmu Prezent pod choinkę, którego mama opatuliła w kilka warstw grubej odzieży, żeby nie przemarzł w drodze do szkoły. Kaptur nie tylko sprawiał, że gorzej słyszał, ale również ograniczał jego pole widzenia. Dostrzeżenie czegoś kątem oka stało się prawie niemożliwe. W normalnych warunkach powinni sprawdzić sobie nawzajem tętno przed założeniem kombinezonów, ale w tej sytuacji nie mogli sobie pozwolić na taki luksus i uzależnić od tego powodzenia misji.

Harvath włączył małą kamerę na podczerwień, po czym wyszedł z zarośli i omiatając wzrokiem polanę, ruszył w stronę budynku. Uprzedził Decker, żeby dała mu znać, jeżeli coś wyda się jej podejrzane. Dwukrotnie odwracał się do niej i za każdym razem uspokajała go, pokazując uniesiony kciuk.

Z daleka budynek wyglądał bardziej masywnie i wydawał się solidniejszy. Im bliżej do niego podchodzili, tym wyraźniej było widać, jaki jest sfatygowany. Przez chwilę Harvath myślał, że to tylko złudzenie i wszystkiemu winne są strugi deszczu spływające po przezroczystej osłonie twarzy, ale przekonał się, że jest w błędzie. W Kongu nawet ufundowana przez Amerykanów placówka medyczna prezentowała się nad wyraz nędznie, jak wszystko w tym kraju. Nad zdezelowanym gankiem wisiała drewniana tablica z namalowanym ręcznie koślawym napisem: „CARE International. Ośrodek zdrowia Matumaini”. Na tle popękanej fasady pokrytej resztkami złuszczonej białej farby odcinały się pomalowane na

niebiesko okiennice, których kolor wydawał się niedorzecznie pogodny. Odrapane drzwi frontowe były zamknięte.

Stojąc pod zadaszeniem, Harvath starł krople deszczu z przezroczystej przyłbicy i pochylił się, żeby dokładnie obejrzeć drzwi.

– Co tam widzisz? – zapytała Decker.

Palcem pokazał jej ciągnące się wzdłuż framugi odbarwienie szerokie na kilka centymetrów.

– Coś tu było przyklejone taśmą – wyjaśnił, a potem obejrzał okna po obu stronach i dodał: – W oknach też. Zaczekaj tutaj.

Zanim Decker zdążyła zareagować, wyszedł z powrotem na deszcz, żeby zbadać resztę budynku. Nie podobało się jej, że zostawił ją samą. A jeżeli w środku ktoś był? A jeżeli ktoś stamtąd wyjdzie? Czy była tu bezpieczna? Wysiłkiem woli starała się zapanować nad niepokojem. To był jej ośrodek. Kiedyś nim kierowała. Nie powinna się niczego obawiać.

Próbując przeniknąć wzrokiem ścianę deszczu, pomyślała o tych, którzy tutaj pracowali. To byli dobrzy i gotowi do poświęceń ludzie, a jedyny ich grzech polegał na tym, że urodzili się w Kongu. Nie potrafiła pojąć, czemu ktoś miałby napadać na Matumaini. Lub jakąkolwiek klinikę. To była jedna z tych niedorzeczności, które sprawiły, że przestała relacjonować ludzkie tragedie i zajęła się niesieniem pomocy innym. Właśnie to robiła w tym ośrodku i miała nadzieję, że jeszcze do tego wróci.

Gdzieś w oddali rozległ się głuchy odgłos grzmotu. Decker cofnęła się i przyłgnęła plecami do ściany. Wokół panowały nieprzeniknione ciemności, a deszcz lał się z nieba strumieniami. Nie widziała nawet, w którym miejscu kończy się teren ośrodka, a zaczyna dżungla. Mimo to miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Czuła na sobie czyjś wzrok od momentu, kiedy wyszli z zarośli na polanę. Pożałowała, że nie ma przy sobie choćby maczety. Coś było nie w porządku.

Ale zanim ta myśl zdążyła na dobre zagościć w jej głowie, usłyszała dobiegający z wnętrza budynku brzęk tłuczonego szkła.

## Rozdział 15

Na parapecie przy jej lewej ręce leżał kawałek pręta zbrojeniowego, który służył do podpierania otwartego okna. Ścisnęła go w rękę. Nie była to groźna broń, ale zawsze coś.

W środku rozległ się kolejny hałas, a po nim metaliczny zgrzyt i odgłos tarcia drewna o kamień, kiedy drzwi wejściowe zatrzeszczały i zaczęły się otwierać. Decker uniosła rękę, przygotowując się do zadania ciosu, ale rozpoznała wyłaniającą się z mroku sylwetkę Harvatha w kombinezonie ochronnym.

– Co ty, do cholery, robisz? Myślałam, że oglądasz budynek od zewnątrz.

– Już się napatrzyłem. Chodź do środka.

Przestąpiła próg, idąc w ślad za Harvathem. Tu i ówdzie wewnątrz zalewała upiorna zielonkawa poświata. Harvath zabrał ze sobą pakiet dużych lasek ze światłem chemicznym, które przełamywał i rozrzuczał, idąc przez kolejne pomieszczenia. Były na tyle mocne, że rozpraszały mrok, ale nie tak bardzo, by ktoś mógł dostrzec ich blask, będąc na zewnątrz budynku.

– Co to był za brzęk? – spytała.

– Nic takiego. Musiałem wybić okno, żeby dostać się do środka.

– Sprawdzę, czy twój kombinezon jest cały.

– Nic mi się nie stało – odburknął Harvath. Zaczynał się przegrzewać i nie był w najlepszym humorze.

– Muszę sprawdzić twój kombinezon. – Decker nie dawała za wygraną. Uległ jej w końcu, pozwalając, aby obejrzała go od stóp do głów.

– Wszystko w porządku – orzekła po chwili.

– Dzięki. A teraz chodź to zobaczyć.

Zaprowadził ją do głównej izby chorych, która zamieniła się w cementarzysko ogołoconych metalowych łóżek. Wszystkie materace znikły; po pościeli również nie było ani śladu.

– Jakby przeszła tędy chmara szarańczy – zauważyła Decker. – Moskitiery i parawany też się nie uchowały.

Wszystkie łóżka stały stłoczone na środku pomieszczenia. Harvath wyjął z torby dużą plastikową butelkę z jakimś płynem, którym zaczął spryskiwać różne miejsca.

– Co to?

– Luminol – wyjaśnił. – Reaguje z żelazem zawartym w hemoglobinie. Jeżeli jest tu gdzieś krew, zacnie świecić na niebiesko.

Czekali przez chwilę, ale nic się nie działo.

– Tam. – Decker nagle wyciągnęła rękę, żeby pokazać świecąca plamę w kącie.

– I tam też. I tam.

Harvath obejrzał każde z tych miejsc, a także kilka innych, które też zaczęły emitować niebieską poświatę.

– O mój Boże! – zawołała lekarka. – Tu wszędzie jest krew.

– Uspokój się.

Harvath rozpylił jeszcze więcej luminolu. Stał nawet na ramie jednego z łóżek i spryskał sufit w kilku miejscach. Po chwili wszystkie zaczęły jarzyć się na niebiesko.

– Jak to możliwe? – spytała go Decker. – To wygląda tak, jakby całe wnętrze było pomalowane krwią.

– Niezupełnie – odparł i wyszedł z sali.

Przechadzając się po ośrodku, spryskiwał luminolem losowo wybrane punkty na ścianach, oknach, drzwiach, podłodze i suficie. Usłyszał dobiegające z tyłu wołanie Decker, która usiłowała za nim nadążyć.

– To wszystko świeci. Każde z tych miejsc, które opryskałeś.

Dogoniła go w pomieszczeniu, które pełniło funkcję apteki i laboratorium.

Plamy luminolu na małej pustej lodówce też zatliły się niebieskim światłem.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedziała.

– Są jeszcze tylko dwie inne substancje, z którymi luminol reaguje w taki sposób. Ale nie sądzę, żeby to była pierwsza z nich.

– Czyli co?

– Gów... – Harvath ugryzł się w język. – Ekskrementy.

– A ta druga?

– Wybielacz.

– Wybielacz?

Pokiwał głową.

– Myślę, że ktoś odkaził całe to miejsce, bardzo dokładnie, od podłogi do sufitu.

Myślę również... – dodał, ale zawiesił głos, kiedy coś przykuło jego wzrok.

– O co chodzi?

Harvath dał jej znak, żeby wyszła z ciasnego pomieszczenia. Pochylając się obok małej lodówki, zauważył coś pod szafką, która stała przy sąsiedniej ścianie. Obudowę lodówki otaczał u góry wąski i sztywny pasek czarnego plastiku, który z jednej strony zaczynał się odklejać. Oderwał go do końca. Potem, kładąc się na brzuchu, wsunął pasek pod szafkę, próbując wydobyć leżący pod spodem przedmiot. Kiedy mu się to udało, wziął go do ręki i uniósł wysoko.

– Co to jest? – zapytała Decker.

Wpatrywała się w coś, co wyglądało jak olbrzymia miętówka wielkości krążka hokejowego. Miało wyszczerbione brzegi, a większa część jego powierzchni wyglądała na przypaloną.

– Nikt takich nie używał, kiedy tu pracowałaś?

– Ja nawet nie wiem, co to jest.

Harvath spryskał luminolem tajemniczy przedmiot, który po kilku sekundach zaczął świecić.

– To wybielacz w tabletkach – wyjaśnił.

– Po co komu tutaj coś takiego?

– Jeśli położysz go na patelni i podgrzejesz na palniku, uwolnisz opary, które dotrą wszędzie i odkażą wszystko, czego nie dosięgnie wybielacz w płynie.

– W takim razie masz rację. Ktoś odkaził cały ośrodek. Ale kto? I dlaczego to zrobił? Co to było za skażenie?

„Dobre pytania”, pomyślał Harvath, ale teraz nie miał zamiaru marnować czasu na szukanie odpowiedzi na którekolwiek z nich. Jego kombinezon był przemoczony do suchej nitki, a pot spływał mu po czole, zalewając oczy. Chciał zakończyć oględziny i jak najszybciej wynieść się z tego miejsca.

Wrócił do drzwi frontowych i odtworzył w pamięci to, co widział na nagraniu. Chociaż akcja została sfilmowana z zewnątrz, mógł się domyślić, w jakim mniej więcej miejscu zatrzymali się ludzie, którzy weszli do środka i otworzyli ogień. W krępującym ruchu kombinezonie wkroczył do budynku w taki sposób, jakby sam przeprowadzał szturm.



Jeżeli tamci zastosowali się do tych samych procedur bezpieczeństwa co on, prawdopodobnie musieli zmodyfikować trochę swoją broń. Operowanie precyzyjnymi elementami karabinka albo pistoletu maszynowego było znacznie utrudnione, kiedy dłoń osłaniały dwie warstwy gumy. Być może zamontowali większe osłony spustu i masywniejsze chwyt, aby dostosować je do swoich pogrubionych i mniej zręcznych palców. Było również możliwe, że w przypadku takiej szybkiej i prostej akcji, podczas której nie spodziewali się żadnego oporu, porzucili na zwykłej broni, której używali na co dzień albo którą mieli do dyspozycji. Ale tego nie mógł stwierdzić z całą pewnością.

Za to nie miał żadnych wątpliwości co do wniosków, jakie wysnuł, oglądając ścianę naprzeciwko wejścia. Rozstawione w pobliżu meble pozwalały się domyślać, że znajdowało się tam coś w rodzaju rejestracji, gdzie zgłaszali się pacjenci, by potem zająć miejsce na którymś z krzeseł i czekać na swoją kolej. Harvath zbadał dokładnie całą ścianę, przesuwając po niej dłoń.

– Co tam widzisz? – zapytała Decker.

– Ważniejsze jest to, czego nie widzę – odparł. – Nie ma śladów po kulach.

W każdym razie już nie ma. Spójrz.

Lekarka nachyliła się i dokładnie obejrzała miejsca, które jej wskazał.

– Kimkolwiek są ci ludzie, to wysokiej klasy zawodowcy – ciągnął. – Dokładnie po sobie posprzątali. Wydłubali nawet pociski, załatali dziury i pomalowali ścianę.

Podczas gdy Decker szukała jakichkolwiek dokumentów, które pozwoliłyby wyjaśnić, co zaszło w ośrodku, Harvath obejrzał dokładnie wnętrze izby chorych, gdzie odkrył kolejne zaszpachlowane dziury. Nie miał już wątpliwości, że kimkolwiek byli sprawcy, po wkroczeniu do ośrodka zabili cały personel i wszystkich pacjentów. Nie musiał zadawać sobie pytania, co się stało z ciałami. Znał już odpowiedź.

– Niczego nie znalazłam – oświadczyła Decker, która skończyła przeszukiwać ostatnie z pomieszczeń.

– Nie dziwi mnie to – odpowiedział. – Ale nie przejmuj się. Widzieliśmy dostatecznie dużo. Wyośmy się stąd.

Lekarka przytaknęła i skierowali się w stronę drzwi. Harvath pierwszy wyszedł na zewnątrz. Zgodnie ze swoim nawykiem przez długą chwilę uważnie lustrował teren, zanim dał jej znak, że jest bezpiecznie i że może

się do niego przyłączyć. Wciąż padało i kiedy wyszli spod zadaszania, strumienie wody zaczęły ściekać po ich plastikowych przyłbicach.

Jednak nie zwracali na to uwagi. Obydwoje byli na granicy udaru cieplnego. Liczyło się tylko to, żeby zdjąć z siebie kombinezony. Zagłębili się ponownie w dżungli i idąc po własnych śladach, wrócili do miejsca, w którym zostawili pojemniki z roztworem. Harvath już wcześniej wymieszał ich zawartość, ale teraz potrząsnął jeszcze każdym z nich, po czym poruszył kilka razy umieszczonym w nakrętce tłokiem. W tak niewygodnym stroju wszystkie czynności były niesłychanie irytujące, ale ponieważ zależało od nich ich życie, ani na chwilę nie zapominał, że pośpiech może okazać się zgubny. Zaszli już tak daleko. Tak niewiele zostało do końca. To nie był odpowiedni moment na ścinanie zakrętów.

Decker przypomniała mu, żeby wziął głęboki wdech. Zrobił to, chociaż powietrze było gęste od wilgoci, a wtedy ona sięgnęła po lancę zakończoną dyszą zraszającą, która znajdowała się na końcu węża połączonego z pojemnikiem, i zaczęła go opryskiwać roztworem. Wolno obracał się w miejscu, trzymając ręce nad głową. Lekarka przerwała, żeby kilka razy poruszyć tłokiem, i kazała mu wykonać kolejny obrót. Potem zamienili się rolami. Powtarzali cały proces kilka razy, dopóki nie opróżnili obu pojemników. Wtedy nadeszła pora na najtrudniejszy moment – zdjęcie kombinezonów.

Bardzo wielu pracowników służb medycznych padało rokrocznie ofiarą różnych straszliwych chorób, i to nie z powodu nieszczelnych kombinezonów, ale dlatego, że nie zachowali należytej ostrożności podczas ich zdejmowania. Był to tak samo niebezpieczny etap jak przebywanie w pobliżu ogniska epidemii. Każda czynność wymagała niewzruszonej cierpliwości i całkowitej koncentracji. Dokładnie i powoli Decker przeprowadziła Harvatha krok po kroku przez cały proces. Wszystko, co mieli na sobie, wylądowało w dole, który wcześniej wykopał i wyłożył suchymi gałęziami. Przed wyjściem na rekonesans poprosił Brytyjczyków o trochę nafty i teraz polał nią stertę odzieży. Kiedy ogień buzował już na dobre, Decker skończyła brać prysznic i przyszła kolej na niego.

Stojąc pod strumieniem wody, Harvath użył mydła i szamponu, żeby umyć się dokładnie od stóp do głów. Na swoim kombinezonie nie znalazł żadnych uszkodzeń i był pewien, że zachował wszystkie środki ostrożności podczas jego zdejmowania. Nie był hipochondrykiem i nie zamierzał szorować całego ciała do krwi.

Letnia woda ściekała strugami po jego karku i ramionach. Czuł się zadowolony, że wyprawę do ośrodka mają już za sobą. Czekają go jeszcze oględziny paleniska, ale w tym momencie była to tylko formalność i przynajmniej nie musiał tam iść w tym okropnym kombinezonie. Rzeczywiście czuł się tak, jakby wbiegł na metę Iron Mana w trzydziestostopniowym upale. Sięgnął po plastikową butelkę z rozpuszczonym izotonikiem, którą postawił obok parawanu, ale jej tam nie znalazł. Wyprostował się i zobaczył Decker. Stała przed nim, kompletnie naga, i patrzyła na niego, trzymając w ręku jego butelkę. A potem weszła pod prysznic.

## Rozdział 16

Obydwoje czuli się wycieńczeni. Harvath chciał przyjrzeć się dokładniej osmalonemu wykopowi, ale ciemność i deszcz temu nie sprzyjały. Był to natomiast odpowiedni moment na powrót do obozu.

Dźwigając plecaki, zeszli do strumienia i wrócili tą samą drogą, którą przyszli. Szum ulewy utrudniał im rozmowę, co w tych okolicznościach prawdopodobnie było dla nich najlepsze. Decker bardzo przejęła się paleniskiem w głębi dżungli i również chciała tam iść. Harvath nie miał pojęcia, co widziała jako korespondentka wojenna, ale stanowczo odradzał jej tę wyprawę. Wiedział, że pewnych widoków nie da się wymazać i kiedy wryją się w pamięć, pozostają tam na zawsze. Był również zdania, że bliskie relacje, jakie łączyły ją z personelem ośrodka, dodatkowo przemawiają za tym, aby została w obozie. Chociaż nie zdążył zobaczyć zbyt wiele, domyślał się, że czeka ich makabryczne odkrycie.

Jednak Jessica Decker podjęła już decyzję. Nie bacząc na to, jak usilnie starał się wyperswadować jej udział w porannym wypadzie, postanowiła mu towarzyszyć. Nie było sensu się z nią kłócić, więc porzucił temat.

Kiedy dotarli do obozu, zastali Brytyjczyków i Jambo siedzących pod płachtą, która wisiała rozpięta między dwoma drzewami i jednym z land cruiserów.

– Jak poszło? – odezwał się Ash.

– Kiepsko to wygląda – odparł Harvath. – Musimy pogadać.

Dowódca najemników wskazał na drugi samochód. Harvath rozsiadł się w środku i zdjął pelerynę, którą rzucił na tylne siedzenie.

– Co się dzieje? – zapytał Ash, podając mu ręcznik.

– Ktoś napadł na ośrodek.

– Napadł? W jaki sposób?

– Wszystko wskazuje na to, że do budynku wkroczyli ludzie z bronią automatyczną.

Brytyjczyk spojrział na niego ze zdumieniem.

– Rebelianci?

– Nie sądzę. Rebelianci nie ciągnęliby ze sobą ekipy sanitarnej.  
– Posprząтали po sobie? Harvath pokiwał głową.  
– Wszystko dokładnie odkazili. Wydłubali nawet pociski ze ścian i zaszpachlowali dziury.

– W takim razie to robota zawodowców.

– Na to wygląda.

Ash zastanawiał się nad tym przez chwilę. To wszystko nie trzymało się kupy.

– Przecież to zwykła klinika – powiedział. – Po co ktoś miałby zadawać sobie tyle trudu?

Harvath wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia.

– Gówno prawda.

– Mówię poważnie.

– Nie – odparł Brytyjczyk. – Od samego początku coś przed nami ukrywasz. Ani przez chwilę nie wierzyłem w tę bajeczkę o ocenie warunków bezpieczeństwa. Przyjechałeś tutaj, żeby sporządzić raport z akcji.

Okłamywanie ludzi należało do obowiązków służbowych Harvatha, ale nie lubił tego robić. Ash miał całkowitą rację. Harvath zataił przed nim prawdziwy cel misji. Musiał to zrobić. Ale teraz bardziej zależało mu na pomocy tego faceta, niż na dalszym utrzymywaniu całej sprawy w tajemnicy.

– Kilka dni temu CARE International dostała e-maila z nagraniem – zaczął. – Widać na nim czterech uzbrojonych ludzi, którzy wchodzą do Matumaini i otwierają ogień.

– Kto przysłał to nagranie?

– Nie wiadomo.

– Kto jest jego autorem?

– Też nie wiadomo.

– A kiedy powstało?

– I tego też nie wiemy.

Ash zmrużył oczy i mimo panującego we wnętrzu samochodu półmroku, spojrzął na twarz Harvatha, próbując coś z niej odczytać.

– Co w takim razie wiecie?

– To, co ci powiedziałem.

– Nie powiedziałaś mi nic oprócz tego, że weszło tam czterech uzbrojonych ludzi. Jak wyglądali? Byli czarni? Biali? A może czerwonoskórzy? W co byli ubrani?

Harvath wyjął komórkę, uruchomił ją i pokazał mu nagranie.

– Mają kombinezony przeciwchemiczne – zauważył Brytyjczyk i w milczeniu obejrzał krótki film do końca. – Puść to jeszcze raz.

Harvath ponownie odtworzył film, a potem schował telefon z powrotem do kieszeni. Ash nie wyglądał na zadowolonego.

– Ty i Decker weszliście do środka, tak?

– Nie martw się – uspokoił go Harvath. – Mieliśmy swoje kombinezony.

– Ty mi mówisz, żebym się nie martwił? Co tu się, do cholery, dzieje?

– Nie wiemy tego.

– Wiedzieliście wystarczająco dużo, żeby zabrać ze sobą odzież ochronną. To dlatego kazałeś nam tutaj poczekać, prawda?

Harvath pokiwał głową.

– A nie przyszło ci do głowy – ciągnął Brytyjczyk – że wypadałoby nas uświadomić, w co się pakujemy?

– Dostałem polecenie, żeby niczego nie ujawniać.

– Akurat.

– Powiedziałem ci, że my też nie mamy pojęcia, o co tu chodzi – zapewnił go Harvath. – CARE chce uniknąć skandalu.

– Skandalu? Tu się szykuje kryzys dyplomatyczny.

„Spróbuj zainteresować tą sprawą Departament Stanu”, pomyślał Harvath.

– Posłuchaj, stary – dodał Ash. – Gdyby zależało im tylko na zastraszeniu tubylców, nie zabieraliby takiego sprzętu. W tym ośrodku musiało być coś, czego bardzo się bali.

– Zgadza się z tobą.

– Tylko co tam się stało? Co sprawiło, że wkroczyła tam uzbrojona ekipa w kombinezonach ochronnych?

– Nikt z nas tego nie wie. Matumaini to najzwyklejsza klinika. Nie leczono tam chorób zakaźnych.

– Najwyraźniej ktoś uważał, że jest inaczej – odparł Ash. – I musiał to być ktoś poważny, skoro po wykonaniu mokrej roboty przysłał drugą ekipę, która wysterylizowała cały obiekt.

– Więc moglibyśmy zawęzić krąg podejrzanych – zasugerował Harvath.

– Jaką mam pewność, że nie przywlokłeś czegoś, co było w tym budynku?

– Bo już ci powiedziałem, że użyliśmy odzieży ochronnej.

– Mówiłeś mi różne rzeczy.

Brytyjczyk był wyraźnie wkurzony. Harvath nie dziwił mu się ani trochę. Na jego miejscu też by był.

– Mieliśmy na sobie kombinezony i ściśle przestrzegaliśmy procedur odkażania.

– A więc takie rzeczy nieśliście w plecakach? Nie jakieś tam zaopatrzenie.

– Zgadza się.

Ash pokręcił głową.

– Co do tych czterech od mokrej roboty... – zaczął Harvath, ale dowódca najemników przerwał mu, unosząc dłoń.

– Nasza stawka właśnie wzrosła podwójnie – oświadczył. – A jeżeli odkryję, że jeszcze coś zataiłeś, znów ją podwoję.

– Będę musiał zadzwonić do Stanów, żeby uzyskać na to zgodę.

– To nie są negocjacje. Wynająłeś nas, podając nieprawdziwy cel operacji, i zataiłeś charakter zlecenia. Płacisz nam podwójnie albo w tej chwili się pakujemy i wracamy do Buni. No to jak będzie?

Harvath nie lubił być przypierany do muru, ale z drugiej strony Brytyjczykowi przysługiwało do tego prawo. Przystał na podwyższone honorarium i skierował rozmowę z powrotem na temat ataku.

– Domyślasz się, kto mógł tu przysłać ludzi od mokrej roboty, a po nich ekipę czyścicieli?

– Czy się domyślam? To mogły być służby wywiadowcze jakiegokolwiek kraju pierwszego czy drugiego świata. Jak tu zawęzić krąg podejrzanych?

– Zacznijmy od tego, ile takich służb działa w Kongu.

– Jeśli mają łeb na karku, to wszystkie. Same złoża surowców mineralnych w Kongu są wyceniane na przeszło dwadzieścia cztery tryliony dolarów. To więcej niż produkt krajowy brutto Stanów Zjednoczonych i wszystkich krajów Europy razem wziętych.

– Ale które z krajów mogą być nimi szczególnie zainteresowane? – dążył Harvath.

Ash zastanawiał się przez chwilę.

– Wszyscy, od Australijczyków po Szwajcarów, mają tutaj swoje przedsiębiorstwa wydobywcze. Dotyczy to również Chin i Japonii. Pojawili się nawet Marokańczycy.

– Ale czyj wywiad mógł wysłać tych egzekutorów? Brytyjczyk pokręcił głową.

– Nie jest ważne kto, a raczej dlaczego. To znaczy dlaczego obcy wywiad miałyby się interesować jakąś kliniką w samym środku dziczy?

To było całkiem sensowne podejście. Harvath zadawał sobie takie samo pytanie, odkąd zobaczył z bliska Matumaini. Ale może to nie samo pytanie było błędne, tylko sposób, w jaki do niego podchodził.

– Zaczniemy od początku – powiedział. – Przede wszystkim po co ktoś miałyby wysłać ekipę od mokrej roboty do tej kliniki?

– To raczej oczywiste – odparł Ash. – Chciał mieć gwarancję, że nikt ani nic się stamtąd nie wydostanie. A sądząc po tym, jak ci ludzie byli ubrani, idę o zakład, że szukali kogoś, kto już był zarażony.

– Więc założmy, że ktoś chciał zapobiec rozprzestrzenieniu się jakiejś zarazy. Dlaczego po prostu nie objął tego miejsca kwarantanną? Dlaczego urządził tam jatkę?

Ash znów zamilkł i pogрузzył się w myślach.

– Bo z czymkolwiek mieli tam do czynienia – odezwał się po chwili – było to niewyobrażalnie groźne.

– Nawet w takich przypadkach poddaje się chorych kwarantannie i zapewnia im w miarę godziwe warunki. Ale nie strzela się do nich.

– W takim razie jak brzmi odpowiedź?

– Nie mam pojęcia. – Harvath uniósł ręce i przycisnął opuszki kciuków do skroni. Cały ten bajzel zamieniał się powoli w jeden wielki ból głowy.

Po kolejnej chwili zastanowienia Ash spróbował podejść do problemu od innej strony.

– Domyślasz się, co zrobili z ciałami? – zapytał. Harvath przytaknął.

– To kolejna sprawa, o której musimy porozmawiać.



# Rozdział 17

PIĄTEK

Kiedy Decker się obudziła i zeszła z hamaka, Harvatha nie było już w obozie. Ash i Mick też zniknęli.

Podczas gdy Jambo i Brutale zwijali sprzęt biwakowy, Harvath i dwaj pozostali Brytyjczycy wyruszyli na piechotę do miejsca, w którym znajdował się wykop. Chcieli zabezpieczyć teren, zanim dotrze tam reszta ekspedycji.

W nocy przestało padać i kiedy na niebie zaczęły się pojawiać pierwsze blade smugi świtu, można było pomyśleć, że czeka ich całkiem znośny poranek. Harvath miał ochotę potraktować to jako dobry omen, ale zbyt dobrze wiedział, że nie można pokładać wiary w takich znakach. Słońce czy deszcz, w Kongu nie miało to większego znaczenia.

Na życzenie Asha okrążyli Matumaini szerokim łukiem. Przystanęli na skraju polany, żeby przyjrzeć się budynkowi z bezpiecznej odległości, ale tylko na krótką chwilę; zaraz potem ruszyli dalej. Zbliżając się do wykopu, poczuli swąd paliwa lotniczego. Choć nie był już tak intensywny jak zeszłej nocy, wciąż nie dało się go z niczym pomylić. Okrążyli rów i w półmroku przeprowadzili wstępne oględziny. Żaden z nich się nie odzywał. Wszyscy wiedzieli, co to za miejsce. Dało się to wyczuć.

Ash wysłał Micka na rozpoznanie w głąb drogi i wezwał resztę ekipy. Gdy pierwsze promienie słońca zaczęły się przebijać przez gęste listowie, spomiędzy drzew wyjechały dwa białe land cruisery. Z pierwszego z nich wysiadła Decker w bluzie polarowej i z kubkiem kawy w ręku. Włosy miała spięte w koński ogon. Przeciągnęła się i leniwie potoczyła wzrokiem dookoła, jakby przysła na start biegu ulicznego i rozglądała się za biurem zawodów. Potem poczuła woń benzyny lotniczej i jej postawa całkowicie się zmieniła. Zauważyła Harvatha, który szedł w jej stronę.

– Zaczekamy dziesięć minut, aż zrobi się jaśniej – powiedział. – Jeszcze możesz z tego zrezygnować. Każę im odjechać i jeden z chłopaków zostanie z tobą.

Lekarka pokręciła głową.

– Chcę przy tym być. Muszę.

Harvath nie miał zamiaru się z nią kłócić.

– Co tak cuchnie? – spytała.

– Paliwo lotnicze.

– Użyli go do spalenia zwłok?

– Prawdopodobnie.

Zamknęła oczy i przywarła do niego, opierając głowę na jego ramieniu.

– Oglądanie śmierci z bliska nigdy nie staje się łatwiejsze, prawda? To był pierwszy czysto ludzki odruch, jaki u niej zauważył.

– Nie – odpowiedział. – Ani trochę.

Chociaż wiedział, że Brytyjczycy ich obserwują, nie przejmował się nimi. Ale jak większość takich chwil, ta również okazała się ulotna. Decker odsunęła się od niego i przeszła na drugą stronę samochodu, żeby dopić kawę i popatrzeć na wschód słońca.

Harvath wyjął z plecaka laptopa we wzmocnionej obudowie, położył go na tylnym siedzeniu i włączył. Zdążył już załadować do niego nagranie wideo z nocnej wyprawy do ośrodka i napisać raport dla Carltona. Teraz, kiedy miał nad sobą kawałek odsłoniętego nieba, mógł wysłać wiadomość do Stanów. Umieścił na dachu samochodu przekaźnik satelitarny i wysunął antenę. Kiedy urządzenie szukało połączenia, uruchomił również komórkę, żeby sprawdzić, czy dostał jakąś wiadomość. Modem nawiązał łączność z satelitą, ale Harvath na próżno wypatrywał ikonki SMS-a na wyświetlaczu. W końcu wyłączył telefon i skupił się na sprawach zawodowych.

Podzielił nagranie na części, żeby łatwiej było je przesłać. Zapisał wszystkie załączniki, zaznaczył serię zaszyfrowanych wiadomości i przesunął kursor na ikonę „wyslij”. Potem sięgnął po kamerę. Słońce świeciło już na tyle mocno, że mogli zacząć oględziny.

Decker przełknęła resztkę kawy i wyjęła z torebki pudełko wysokiej jakości maseczek chirurgicznych, które rozdała swoim towarzyszom. Założyli je wszyscy, nawet Jambo i Brutale, którzy mieli zostać przy samochodach i obserwować drogę. Trudno było przewidzieć, co może czyhać w wygasłym palenisku albo unosić się w powietrzu dookoła. Wprawdzie Harvath wątpił, aby jakieś drobnoustroje przetrwały w ogniu podsyconym benzyną lotniczą, ale wiedział, że pozostałości dymu i popiołu mogą wywołać całe mnóstwo problemów zdrowotnych, dlatego zasłonił usta i nos maseczką. Włączył kamerę i zaczął filmować ślady opon i

gąsienic, prowadzące w kierunku wykopu. Chociaż większość z nich zamieniła się w kałuże wypełnione czerwonym błotem, reszta była na tyle wyraźna, że bez trudu dało się rozpoznać, jakiego sprzętu użyto. Kiedy skończył, przyłączył się do Decker, Asha i Micka, a potem wspólnie ruszyli w stronę wykopu.

Szli jak posępna procesja. Nikt się nie odzywał. W świetle słońca dostrzegli przed sobą wąską smużkę dymu, która wznosiła się w powietrze. „Jak to w ogóle możliwe”, pomyślał Harvath, „żeby po takiej ulewie jeszcze coś się tliło?” Wkrótce poznał przerażającą odpowiedź na swoje pytanie.

Tak jak cała okolica, w której się znajdowali, teren w pobliżu Matumaini był w przeważającej części spadzisty. Dotyczyło to również miejsca, gdzie personel ośrodka składował odpadki. Była to wąska półka ciągnąca się u stóp stromego wzgórza. Ale kiedy zobaczyli, co się stało na zboczu, ugięły się pod nimi nogi. Nawet maseczki na ich twarzach nie były w stanie zatrzymać woni benzyny, która teraz stała się dusząca. Harvathowi wystarczyło jedno spojrzenie, aby odkryć przyczynę. Nie ulegało wątpliwości, że użyto tutaj buldożera, ale nie służył do zasypywania ciał. Wykorzystano go do budowy makabrycznego krematorium.

W olbrzymiej jamie wydrążonej u podnóża spadzistej skarpy znajdowało się palenisko. Kierując się węchem, Harvath wspinał się na szczyt pagórka. Po krótkich poszukiwaniach natrafił na kilka pustych beczek po paliwie, które stały ukryte pod prowizorycznym daszkiem. U dołu każdej z nich znajdował się mały otwór. Kilka metrów dalej odkrył wylot szybu wentylacyjnego i domyślił się od razu, z czym ma do czynienia. Stało się również jasne, czemu to, co zobaczył na zdjęciu satelitarnym, wydało mu się dziwne.

– Co to jest? – zapytała go Decker, kiedy dokumentował swoje odkrycie za pomocą kamery.

– Olbrzymi piec raketowy.

– A co to jest piec raketowy?

– Płomienie zasysają tlen przez otwór na dole, a spaliny wydostają się tędy. – Harvath wskazał na wylot szybu, a potem na rząd beczek. – Ściekająca z góry benzyna dodatkowo podsyca ogień, który przybierając na sile, zasysa więcej tlenu. A im silniejszy ciąg, tym bardziej gorąco się robi. W tak wysokiej temperaturze prawie wszystko, co leży tam na dole, zamienia się w popiół.

- Ludzkie ciała również?
  - Tak, jeśli odpowiednio je ułożyli.
- Decker nagle poczuła mdłości. Harvath zauważył, że pobladła.
- Wszystko w porządku? – zapytał.
  - Nic mi nie jest.
  - Na pewno?
  - To przez ten swąd – wyjaśniła. – Możemy wrócić na dół?
  - Oczywiście – odparł i podał jej rękę.

Wsparała się na jego ramieniu, ale puściła je w połowie drogi, gdy ścieżka stała się zbyt wąska, aby mogli iść obok siebie.

Na dole Brytyjczycy stali na brzegu wykopu i uważnie się czemuś przyglądali.

Kiedy Ash ich zauważył, uniósł rękę, dając im znak, żeby się zatrzymali.

- Nie chce pani tego oglądać – powiedział ostrzegawczym tonem.
- Czego oglądać? – Decker nie dała się zniechęcić.

Mick odwrócił się i próbował delikatnie zagrozić jej drogę, ale odepchnęła go na bok. Spojrzała w głąb paleniska i zawróciła, gwałtownie przyciskając dłonią maseczkę do twarzy. Po chwili dobiegła do pobliskich zarośli i zwymiotowała.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Harvath, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Spojrzał na Asha, który przywołał go gestem dłoni, chcąc mu pokazać swoje znalezisko. Wiedział, że to nie będzie przyjemny widok. Kiedy zbliżył się do brzegu jamy, obaj mężczyźni rozstąpili się przed nim. Na ziemi u ich stóp leżały trzy małe dziecięce czaszki, a za nimi bezładna sterta drobnych kości.

Chociaż Harvath nie miał na to ochoty, uniósł kamerę i wcisnął guzik nagrywania. Śmierć niewinnych ofiar zawsze budziła w nim współczucie, ale śmierć dzieci dotykała go dwa razy mocniej. Jedna rzecz wciąż pozostawała dla niego niepojęta – rozmiar paleniska. Jeżeli ktoś zamierzał spalić jedynie ciała ofiar zamordowanych w ośrodku, po co wykopał tak wielki dół? To nie miało sensu.

Właśnie filmował kości z bliska, kiedy usłyszał za sobą głos Micka.

– Gdzie jest doktor Decker?

Zatrzymał kamerę i rozejrzał się dookoła. Też nigdzie jej nie widział.

– Może poszła po świeżą maseczkę – wtrącił Ash. – Albo po szczoteczkę do zębów.

„Prawdopodobnie chciała trochę ochłonać”, pomyślał Harvath. To nie było łatwe dla nikogo.

– Poszukam jej – powiedział, przekazując kamerę Mickowi.

– Nie oddalaj się zbyt daleko – ostrzegł go Ash.

Harvath cofnął się i spojrzał w górę zbocza, w stronę miejsca, w którym stały beczki po benzynie. Nie sądził, aby Decker tam wróciła, ale postanowił się upewnić i wspinał się na szczyt. Nie było tam po niej ani śladu.

„Musiała wrócić do miejsca, gdzie zostawili samochody”, pomyślał. Zszedł ścieżką z powrotem na dół i skierował się w stronę wylotu drogi. Ale zbliżając się do land cruiserów, nie wypatrzył przy nich lekarki i wtedy w jego głowie włączył się system alarmowy. Kiedy Jambo, Simon i Eddie potwierdzili jego obawy, skontaktował się przez radio z Ashem i wszczął alarm, już oficjalnie.

## Rozdział 18

Eddie i Simon byli doskonałymi tropicielami. Zaczynając od miejsca, w którym Decker była widziana po raz ostatni, badali grunt centymetr po centymetrze, dopóki nie natrafili na jej ślad. Okazało się, że lekarka zaczęła iść w stronę samochodów, ale z jakiegoś powodu skręciła w bok. Nie mieli pojęcia dlaczego. A potem odkryli ślady drugiej pary stóp. Wyglądało na to, że kogoś śledziła. Ktokolwiek to był, szła za nim na zachód, oddalając się od paleniska. „Co ona wyprawia?”, pomyślał Harvath. Znów był na nią wściekły. Przecież rozmówił się z nią i postawił sprawę jasno. Ale ona najwyraźniej postanowiła doprowadzić ich wszystkich do zguby, z samą sobą włącznie.

Jednak to, że oddaliła się od nich, nie było wcale najgorsze. Kiedy przeszli dwieście metrów, Eddie odkrył ślady trzeciej osoby. Za Jessicą Decker ktoś szedł.

Ash kazał się wszystkim rozproszyć. Wraz z Simonem i Mickiem zagłębił się w dżungli, by osłaniać pochód po bokach, tymczasem Harvath i Eddie szli dalej po śladach, które wskazywały na to, że ktokolwiek podążał za lekarką, zdołał ją dogonić.

Mimo swojej postury Eddie poruszał się z niebywałą szybkością. Biegł, zaciskając zęby, a jego kruczoczarny zarost kontrastował z wyszczerzonymi ostrymi kłami, które upodabniały go do przerośniętego wampira. Harvath dwa razy potknął się na zarośniętej ścieżce, za to Eddie stawiał pewnie każdy krok, ani na moment nie tracąc równowagi. Przypominał ogromnego jaguara przedzierającego się przez gęstwinę. Nagle ni stąd, ni zowąd zatrzymał się gwałtownie i wyciągnął do tyłu lewą rękę. Widząc ten znak, Harvath również przystanął i czekał, podczas gdy zwalisty najemnik obserwował coś, co znajdowało się przed nimi. W końcu Eddie przywołał go skinieniem dłoni. Przyciskając do piersi strzelbę, którą zabrał z samochodu, Harvath podczołgał się tam, gdzie leżał Eddie, przyglądając się czemuś spomiędzy zarośli. Za pomocą kilku gestów Brytyjczyk wyjaśnił

mu szybko, co zobaczył. Potem rozchylił kępę paproci i przetoczył się na lewy bok, robiąc mu miejsce.

Przed nimi znajdowała się mała wioska. Składała się z kilkunastu chat, kilku zagród dla zwierząt i jednego większego pawilonu.

– Która z nich? – zapytał szeptem Harvath.

– Ta duża – odparł Eddie. – Na trzeciej.

Miał przy sobie niewielką lunetę, którą podał Harvathowi, aby mógł dokładnie przyjrzeć się wiosce. Jeśli nie liczyć pojedynczego pawilonu, ta jedna chata była największym ze wszystkich budynków. Zagrody były puste. Żadnych zwierząt, żadnych oznak życia. Żadnych dzieci ani dymu z kuchennych palenisk, kompletnie nic. Wioska wyglądała na wymarłą.

– Jesteś pewien? – upewnił się Harvath. Eddie pokiwał głową.

– Możesz ją wskazać Ashowi?

Brytyjczyk znów przytaknął. Połączył się przez radio ze swoim szefem i zrelacjonował mu sytuację, a potem wyjął z kieszeni mały czarny przedmiot wielkości wypalonego do połowy papierosa i trzymając palec na przycisku, wycelował w dach największej chaty, na którym pojawił się zielony punkcik wskaźnika laserowego. W tej samej chwili zgłosił się Ash i potwierdził naprowadzenie na cel. Teraz pozostało im tylko uzgodnić plan działania.

Harvath wyobraził sobie mapę wioski podzieloną na sektory i przeanalizował teren operacji kawałek po kawałku. Starał się ustalić dwie rzeczy – po pierwsze, gdzie podzieli się wszyscy mieszkańcy, a po drugie, czy to nie jest zasadzka. Ślady grubych opon, które zauważył na skraju wioski, szybko rozproszyły jego wątpliwości. Oddał lunetę Eddiemu i wyjaśnił mu, czego ma wypatrywać. Po chwili Brytyjczyk przekazał jego plan Ashowi, który dał im zielone światło.

Harvath i Eddie wyszli z gęstwiny i zaczęli się posuwać w stronę zabudowań. Nie mieli do dyspozycji zbyt wielu naturalnych osłon, więc ubezpieczali się nawzajem, pokonując na przemian kolejne odcinki. W każdej innej sytuacji taki ryzykowny manewr na otwartym terenie byłby czystym szaleństwem, ale tutaj okoliczności nie pozostawiały im wyboru. W końcu dobiegli do pierwszej chaty na skraju wioski i przywierając plecami do ściany, zaczerpnęli bezgłośnie kilka głębokich haustów powietrza. Kiedy ich oddechy zaczęły się wyrównywać, wyteżyli słuch, próbując wyłowić jakieś odgłosy spośród rytmicznego szumu krwi w uszach. Jeśli w środku ktoś się ukrywał, mógł go zdradzić najlżejszy szmer.

Czekali i nasłuchiwali. Po dłuższej chwili Harvath wskazał Eddiemu jedyne okno w ścianie, o którą się opierali, a sam ruszył w stronę wejścia. Na rogu budynku przystanął i uniósł rękę, pokazując sygnał, który oznaczał pięć sekund do rozpoczęcia szturmu. Brytyjczyk skulił się niczym ukryty w pudełku diabełek na sprężynie i zaczął odliczanie, przygotowany do sforsowania okna.

Tymczasem Harvath przekradł się pod oknem we frontowej ścianie i zajął pozycję obok drzwi. Nie przerywając odliczania, przyłożył do nich dłoń i leciutko je nacisnął. Bądź co bądź była to wioska w samym środku kongijskiej dżungli. Choć zaskoczyło go, że chatę w ogóle wyposażono w drzwi, nie spodziewał się, aby był w nich zamek.

Kiedy doliczył do zera, zwiększył nacisk i nie napotykając oporu, pchnął drzwi z całej siły i wpadł do wnętrza. W tej samej chwili dołączył do niego Eddie, który z kałasznikowem w rękach wskoczył przez okno.

Tak jak się spodziewali, chata była pusta. Podczas gdy Eddie zajął pozycję przed wejściem, Harvath szybko zlustrował wnętrze. Nie znalazł niczego, co pomogłoby wyjaśnić przebieg zdarzeń. Wszystko wydawało się normalne. W najlepszym wypadku mógł stwierdzić, że rodzina, do której należała chata, wiodła zwyczajne życie, dopóki coś się nie wydarzyło i wszyscy nie zniknęli. Dostrzegłszy leżącą w kącie lalkę, Harvath skorygował swoją opinię. Mieszkańcy tej wioski nie zniknęli. Oni zostali zamordowani, a ich ciała spalone.

Nad pokrytymi strzechą chatami unosiło się widmo śmierci. Harvath marzył o tym, by jak najszybciej odbić Decker i wynieść się z tego miejsca. Wyszedł na zewnątrz i dał Eddiemu znak, pokazując sąsiednią chatę. Ta też okazała się pusta, podobnie jak dwie następne, które sprawdzili. Wszystko wskazywało na to, że jedynie w największej z nich kogoś zastaną, bo to tam Eddie zauważył jakiegoś mężczyznę, który wpychał do środka kobietę. Wszyscy byli przekonani, że jest nią Jessica Decker.

Harvath i Eddie przykucnęli pod ścianą chaty stojącej obok.

– Teraz chyba już wiadomo, dlaczego palenisko jest takie wielkie – odezwał się Brytyjczyk.

Mimo wszystko nadal wydawało się to niepojęte.

– Ale dlaczego musieli wymordować całą wioskę?

– Może wszyscy byli zarażeni.

Harvath miał nadzieję, że to nieprawda. Nie żeby robiło to jakąkolwiek różnicę. Wszyscy ci ludzie i tak byli już martwi. Ich dzieci były martwe. To



do nich należały te małe czaszki, które widzieli na skraju wykopu. Mogło być ich więcej, mogły czekać, aż ktoś je odkryje. Harvath otrząsnął się na samą myśl o przeszukiwaniu tego małego morza popiołu.

Uniósł trzy wyprostowane palce, odliczył i wpadł do wnętrza przedostatniej chaty. Była pusta, tak jak się tego spodziewał. Teraz, kiedy skontrolowali już całą okoliczną zabudowę, musieli poczekać, aż dołączą do nich Ash i Mick. Simon miał pozostać w dżungli i ubezpieczać ich z ukrycia. Kiedy dwaj pozostali Brytyjczycy zjawili się w chacie, Ash zwrócił się do Harvatha.

– Jesteś jej współpracownikiem – powiedział. – Jak chcesz to przeprowadzić?

Była to oznaka szacunku. Z formalnego punktu widzenia Harvath był współpracownikiem Decker i to do niego należała decyzja dotycząca jej uwolnienia.

– Jasne. – Harvath przytaknął. – A więc zrobimy to tak.

Prowizoryczne granaty błyskawicznie, które przygotował Harvath, narobiły więcej huku niż błysku, ale spełniły swoją funkcję. Zanim ludzie siedzący w chacie zdążyli się zorientować, co się dzieje, grupa szturmowa była już w środku. Podczas gdy Ash i Mick zajęli się dwoma mężczyznami, Harvath rzucił się w stronę Decker, żeby ją osłonić. Ledwie zdążył do niej dobiec, lekarka zaczęła wrzeszczeć wniebogłosy.

– Nie! – krzyknęła. – Przestańcie.

Szamocząc się, próbowała odepchnąć go na bok i wyminąć. Chwycił ją za nadgarstek i wykręcił jej rękę, tylko na tyle, by zwrócić na siebie jej uwagę.

– To boli – zaprotestowała.

– I dobrze – odparł. – A teraz wychodzimy.

To nie była prośba. Kiedy nie doczekał się reakcji, zwiększył nacisk na jej rękę.

Ból sprawił, że wspięła się na palce, po czym dała się wyprowadzić na zewnątrz.

– Nie róbcie im krzywdy – rzuciła w stronę Brytyjczyków, którzy zdążyli już obezwładnić dwóch tubylców.

Harvath zwolnił chwyt.

– Co to za jedni? – zapytał.

– Ten młodszy jest głuchy – wyjaśniła. – A jego ojciec pomagał przy różnych pracach w klinice.

– Gdzie cię znowu poniosło?

– Zauważyłam chłopaka i chciałam zobaczyć, dokąd pójdzie. Pomyślałam, że moglibyśmy czegoś się od niego dowiedzieć.

– Trzeba było mnie uprzedzić.

– A gdybym go zgubiła? A gdyby nas tutaj nie zaprowadził? Miała rację, ale Harvath nie zamierzał z nią dyskutować.

– Bez względu na sytuację nie możesz się oddalać w pojedynkę – odpowiedział.

– A poza tym czemu jego ojciec cię śledził?

– Bo się niepokoi.

– O chłopaka?

– O wszystko! – krzyknęła. – Spójrz na tę wioskę. Nikt nie ocalał. Jak myślisz, czym wypełnili ten piec?

– To on ci o tym powiedział? Decker pokiwała głową.

– Czy on wie, co tu się stało? – dopytywał Harvath.

– Wie więcej niż my. Dużo więcej.

# Rozdział 19

GENEWA

Helena była wściekła. Była wściekła na wszystkich – na Bentziego, na Damiena i na swojego ojca, który nigdy nie próbował jej szukać i nie uratował jej, kiedy została porwana. Jediną osobą, do której nie czuła gniewu, była ona sama.

W Izraelu wiodła życie na doskonałym poziomie. Miała mieszkanie i samochód. Robiła spore zakupy, gdy tylko miała ochotę, i chodziła do najlepszych klubów i restauracji. W ciągu dwóch miesięcy zarabiała więcej, niż w ojcystym kraju zdołałaby zarobić przez rok.

Myślała o karierze modelki. Mnóstwo razy fotografowie prosili ją, żeby im pozowała, ale Bentzi jej tego zabronił. Twierdził, że będzie dla niej lepiej, jeśli jej zdjęcia nie trafią do obiegu. Było w tym trochę racji, ale zazwyczaj to, co Bentzi nazywał prawdą, niezupełnie pokrywało się z rzeczywistością.

Izrael był dla niego najważniejszy. Powiedziałby i zrobił wszystko, żeby go bronić. Naginanie albo zaciemnianie faktów było częścią jego pracy. Robił to, co należało robić. Była to najważniejsza i jedyna dyrektywa, którą wcielał w życie bez cienia skruchy. Po tym, czego doświadczył ze strony wrogów, Helena nie mogła mu się dziwić. Ale ona nie była jego wrogiem.

Nie chciał, żeby została modelką, bo obawiał się, że przestanie być od niego zależna. Jej harmonogram, szaleńcze tempo i zadania, które otrzymywała – wszystko to skazywało ją na ciągłą izolację. Nawet jeżeli stykała się z jakimiś mężczyznami z Mosadu, to tylko podczas wspólnych akcji w terenie. A ci, do których zapalała sympatią, nigdy nie byli przydzielani powtórnie do jej zespołu.

A do tego charakter jej pracy. Chociaż lepiej zarabiała, nadal była żywym towarem. Bentziego, z braku lepszego słowa, mogłaby określić po prostu jako wykształconego alfonsa na rządowej posadzie. Płacił jej, zapewniał dach nad głową, dobierał stroje i mówił, dokąd ma iść i co ma robić. Nie była agentką, ale własnością Mosadu, i nie miała co do tego złudzeń.

Była tylko narzędziem, którym Bentzi, a w szerszej perspektywie Izrael, mógł się posłużyć, żeby osiągnąć zamierzony cel. Czuła się jak przedmiot, po który ktoś sięga, a po skończonej pracy odkłada z powrotem na półkę albo do skrzynki. Może byłoby inaczej, gdyby Bentzi okazywał jej odrobinę uczucia. Od czasu do czasu zauważała przejawy jego sympatii i to dlatego lubiła się z nim napić.

Jeżeli byli w jakimś miejscu, w którym czuł się bezpiecznie, jak ten dom niedaleko morza, czasami udawało jej się namówić go na więcej niż dwa drinki. Wtedy odsłaniał swoje prawdziwe oblicze. Niestety takie chwile zdarzały się zbyt rzadko i dzieliły je zbyt duże odstępy czasu. To nie wystarczało, żeby ją zmotywować. Potrzebowała czegoś więcej, a istniało duże prawdopodobieństwo, że Mordechai nie ma nic więcej do zaoferowania. To, czego pragnęła, mogła osiągnąć tylko w jeden sposób. Musiała się wyrwać z tego układu.

Ale do tego potrzebny był jej plan. Pierre Damien stał się jego częścią. Zdumiała ją, kiedy Bentzi uwierzył, że zakochała się w Damienie. Była doskonałą aktorką i pod tym względem mało kto mógłby się z nią mierzyć, ale nigdy nie udało jej się nabrać swojego szefa. Kiedy go zapewniła, że nie jest zakochana w Damienie, mówiła prawdę. Mimo to postanowił ją odwołać. To było do niego niepodobne. Niektóre akcje pochłaniały więcej czasu, a on dobrze o tym wiedział. Helena nigdy wcześniej go nie zawiodła. I w tej chwili też nie zamierzała. Potrzebowała więcej czasu.

Tu nie chodziło o Bentziego. Nie chodziło nawet o Izrael. Chodziło o nią. Gdyby dała mu to, czego potrzebował, jej zadanie byłoby zakończone. Ale nie była jeszcze gotowa. Pozostało jeszcze coś, co musiała uporządkować. Potem mogła dać Bentziemmu wszystko, czego oczekiwał, i zniknąć.

Zdawała sobie sprawę z presji, jaka na niej ciążyła. Chociaż nigdzie nie zauważyła Navy, przecucie podpowiadało jej, że przełożona Bentziego jest teraz w Genewie. Mordechai zawsze zachowywał się inaczej, kiedy była w pobliżu. Helena podejrzewała, że to właśnie Nava podjęła decyzję o odesłaniu jej do Izraela i przerwaniu misji. Co by wiele wyjaśniało.

Choćby to jak wielką wagę Mosad przywiązuje do Pierre'a Damiena. Helena musiała się zapoznać z mocno okrojoną dokumentacją na jego temat, zanim przeniknęła do ONZ. Jako syn Kanadyjczyka i Amerykanki Damien miał podwójne obywatelstwo, a swoją fortunę zbudował na ropie naftowej i gazie ziemnym, by ostatecznie przejść do branży petrochemicznej i farmaceutycznej. Był żonaty tylko raz, a jego żona

zmarła na raka. Nie miał dzieci i nie ożenił się powtórnie. Jego pasją były interesy i działalność dobroczynna.

Początkowo skupiał się na finansowaniu badań nad chorobami, między innymi nad rakiem, który uczynił go wdowcem. Wspierał również szpitale i uniwersytety; na budynkach kilku z nich wisiały tabliczki z jego nazwiskiem. A potem, kiedy przekroczył czterdziestkę, coś się zmieniło.

Zaczął się od książki – niepozornej i utrzymanej w naukowym tonie rozprawy, która podważała obiegowe poglądy. Po niej pojawiły się kolejne, a ich następstwem były wykłady i filmy dokumentalne. Zmieniło się również grono instytucji, które korzystały z jego hojnych darowizn. Damien stał się bogaty, wydzierając ziemi jej bogactwa naturalne, ale nigdy nie dał jej niczego w zamian. To objawienie doprowadziło go do przełomowych wniosków, z których najważniejszym był ten, że oddał światu przysługę, nie decydując się na dzieci.

W rozmowach z dziennikarzami zawsze był bezgranicznie szczery, opowiadając o swoim nawróceniu i wyrażając pogląd, że Ziemia nie jest w stanie udźwignąć obecnego tempa wzrostu populacji ludzkiej. Nawet najnowsze zdobycze nauki, jak bardziej intensywna eksploatacja złóż, zwiększanie wydajności upraw i produkcja szczepionek, nie zmieniały faktu, że rozrastająca się błyskawicznie populacja ma do podziału ograniczone zasoby.

Ludzie nie tylko mnożyli się jak króliki, ale za sprawą postępu w dziedzinie higieny i medycyny przestali padać jak muchy, jak to ujął pewien naukowiec. Taki niekontrolowany rozwój był wyrokiem śmierci dla planety. Pierre Damien postanowił zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby oddalić widmo zagłady.

Autor jednego z artykułów, który czytała Helena, przykleił mu łątkę neomaltuzjanisty, czyli zwolennika kontrolowania rozwoju populacji w celu zachowania dostępnych surowców naturalnych dla przyszłych pokoleń. Damien wyśmiał tę interpretację, co zwykł czynić, kiedy ktoś próbował go zaszufadkować. Jednak w Mosadzie nikomu nie było do śmiechu, ponieważ wywiad izraelski przejrzał Damiena na wylot. Miliarder był nie tylko zwolennikiem teorii przeludnienia, ale również eugeniki – uważał, że wartościowe cechy genetyczne należy rozwijać, a te niekorzystne ograniczać albo całkowicie eliminować. Marzył o świecie, który zamieszkuje znacznie zredukowana i zdrowsza populacja.

Co samo w sobie nie wystarczyłoby, aby wzbudzić zainteresowanie izraelskiego wywiadu. Każdy miał prawo głosić takie idee, na jakie tylko przyjdzie mu ochota, choćby najbardziej obłąkane. Jednak uwagę Mosadu przyciągnęła szczególnie wrogość Damiena wobec państwa żydowskiego oraz ogromna fortuna, którą angażował w walkę przeciwko Izraelowi. Za pośrednictwem niezliczonych fundacji i tak zwanych grup interesu rozpętał ogólnoswiatową kampanię propagandową, która miała na celu przedstawić Izrael jako źródło wszystkich problemów na Bliskim Wschodzie. W Stanach Zjednoczonych członkowie jego organizacji przenikali do kongregacji religijnych. Na uczelniach werbowali podatnych na ogłupianie studentów, aby głosili jego wersję prawdy o Izraelu. Poza tym zakładał podobne ugrupowania w samym Izraelu, gdzie miały za zadanie przekonywać młodych obywateli, że ich państwo jest wcieleniem zła.

Czy to jest antysemityzm? – zastanawiali się agenci Mosadu. Albo antysyjonizm? Czy może połączenie jednego i drugiego?

Im bardziej izraelski wywiad interesował się Damienem, tym bardziej oszałamiający okazał się rozmach jego kampanii. Miliarder ze szczególnym zaangażowaniem dążył do osłabienia stosunków między Izraelem a Stanami Zjednoczonymi. Finansował bilbordy i reklamy prasowe, które obnażały słabe punkty w relacjach tych dwóch krajów i demaskowały takie afery jak działalność szpiegowska Jonathana Pollarda. Jedną z jego fundacji opłacała adwokatów, którzy występowali przeciwko podwykonawcom pracującym na zlecenie amerykańskiego Departamentu Obrony, składając pozwy grupowe w imieniu Palestyńczyków okaleczonych i zabitych wskutek użycia broni pochodzącej ze Stanów Zjednoczonych. Podstawione prostytutki szantażowały proizraelskich kongresmanów, którzy korzystali z ich usług podczas delegacji służbowych na Bliski Wschód. Później wycofywały swoje żądania, twierdząc, że działały na zlecenie Mosadu i że zadanie je przerosło.

A do tego jeszcze ONZ. Trzej różni kanadyjscy premierzy proponowali Damienowi objęcie stanowiska ambasadora. Odrzucił każdą z tych ofert. Mimo nieskrywanego sentymentu do Kanady, którą uważał za swoją ojczyznę, był zbyt zajęty doglądaniem interesów, żeby angażować się w dyplomację. Jednak zmieniło się to, gdy po sześćdziesiątce wycofał się z biznesu i zaczął poświęcać więcej czasu na działalność dobroczynną. Kiedy zaproponowano mu, żeby reprezentował Kanadę w Organizacji Narodów

Zjednoczonych, i poinformowano, jakie stanowisko mógłby objąć, tym razem nie odmówił.

Z sekretarzem generalnym łączyły go już przyjazne stosunki, ale i tak poczuł się zaszczycony, kiedy Zgromadzenie Ogólne przegłosowało jego kandydaturę na stanowisko podsekretarza generalnego i przewodniczącego Funduszu Ludnościowego Narodów Zjednoczonych.

Fundusz ten reklamował się jako czołowa agenda ONZ, dążąca do stworzenia takiego świata, w którym każda ciąża jest upragniona, każdy poród bezpieczny, a każdy młody człowiek w pełni wykorzystuje swój potencjał. Członkowie Funduszu szcycili się tym, że doprowadzili do zmniejszenia liczebności rodzin, czyniąc je zdrowszymi. Było to idealne miejsce dla Damiena.

Jako podsekretarz generalny nie tylko uzyskał immunitet dyplomatyczny, ale również został przyjęty do jednego z najbardziej ekskluzywnych klubów na świecie – Kolegium Doradczego Sekretarza Generalnego. To składające się z pięćdziesięciu członków kolegium działało jak rada nadzorcza, doradzając sekretarzowi generalnemu, dbając o spójną strategię oraz wyznaczając kierunek działania całej organizacji.

ONZ zawsze była wylęgarnią antysyjonizmu, ale Damien jeszcze bardziej rozniecił te nastroje. Czy to za sprawą swojej charyzmy, czy też poważania, jakim ludzie darzyli go ze względu na imponującą fortunę, cieszył się ogromnymi wpływami. Nigdy nie zaprzepaścił okazji, żeby zadać cios Izraelowi. Był również bardzo wrogo nastawiony do Ameryki.

W normalnych okolicznościach Izraelczycy i Amerykanie mogliby nawiązać współpracę. Zagraniczny dyplomata, który prowadził zakulisowe działania, dążąc do podkopania wzajemnych stosunków i wizerunku obu tych krajów, aż się prosił, żeby zewrzeć przeciwko niemu szeregi. Chociaż w przypadku Stanów Zjednoczonych Damien stosował inną taktykę, również nie szczędził wysiłków ani pieniędzy, działając na ich szkodę. Ale problemem było jego podwójne obywatelstwo.

Ponieważ był obywatelem Stanów Zjednoczonych, Amerykanie mieli związane ręce i niewiele mogli mu zrobić. Gdyby Damien bratał się z terrorystami w Jemenie, zlikwidowałiby go. Jednak Ameryka bardzo poważnie traktowała swoje prawo do wolności słowa i wolności zgromadzeń. Miliarder mógł swobodnie finansować każdą działalność, jaką zechciał. Wywiad amerykański dał jasno do zrozumienia, że nie ma zamiaru

wszczynać śledztwa, jeśli nie doszło do naruszenia prawa. W przypadku Pierre'a Damiena Izrael był zdany tylko na siebie.

Stany Zjednoczone działały niezwykle krótkowzrocznie. Chociaż Izraelczycy szanowali amerykańską tradycję wolności, szczytem zaniedbania było według nich dopuszczenie do sytuacji, w której ta sama tradycja zapewnia ochronę działalności wywrotowej. Przypominało to strategię Palestyńczyków, którzy wykorzystywali szpitale i szkoły, aby prowadzić z nich ostrzał raketowy. W pewnym momencie trzeba dokonać wyboru. Siedzieć bezczynnie i przyjmować ciosy? Czy przystąpić do działania i wyeliminować zagrożenie?

W przypadku Izraelczyków stawka była zbyt wysoka, aby wybrać to pierwsze. Musieli pozbyć się zagrożenia. Dlatego postanowili dotrzeć do Damiena i go zlikwidować. Ale tamtej nocy, kiedy już prawie osiągnęli swój cel, wydarzyło się coś, co wszystko zmieniło.



## Rozdział 20

Sekretarz generalny ONZ zaplanował dla całego Kolegium Doradczego wyjazd rekreacyjny do malowniczego austriackiego kurortu Alpbach. Właśnie tam Mosad postanowił zlikwidować Pierre'a Damiena. Zadanie to powierzono zespołowi Navy Itzik. Zamachu miał dokonać Ben Mordechai.

Wioska Alpbach wyglądała jak dzieło hollywoodzkich scenografów. Leżała w wąskiej dolinie, otoczonej trawiastymi stokami, a skrzynki z kwiatami w oknach drewnianych domów eksplodowały kaskadami kolorów. Zbocza gór porastały strzeliste sosny, nad którymi wznosiły się postrzępione skaliste szczyty. Było jasne, dlaczego właśnie ta miejscowość została uznana za najpiękniejszą w Austrii.

Chociaż Bentzi nie miał skłonności do takich refleksji, przyłapał się na myśli, że na świecie nie ma chyba lepszego miejsca na miesiąc miodowy. Ale on nie przyjechał do Austrii w podróż poślubną. Przyjechał zabić Pierre'a Damiena.

W Mosadzie panowała bardzo nerwowa atmosfera w związku z tym zadaniem. Nie tylko dlatego, że ich cel był dyplomata o podwójnym obywatelstwie, ale również ze względu na wcześniejszą porażkę Metsady, która spartaczyła zamach na Mahmuda Al-Mabhouha, współzałożyciela zbrojnego skrzydła Hamasu.

Al-Mabhouh był poszukiwany w związku z licznymi przestępstwami, między innymi zabójstwem dwóch żołnierzy izraelskich i zakupem irańskiej broni, która miała być wykorzystana w Strefie Gazy. Agenci Mosadu śledzili go, kiedy wybrał się w podróż z Damaszku do Dubaju, gdzie zamieszkał w hotelu Al Bustan Rotana. Deptali mu po piętach również Jordańczycy, którzy chcieli go schwytać i postawić przed sądem. Zamiast się przyczaić i znaleźć jakiś sposób na wykiwanie konkurencji, agenci Metsady niezwłocznie przystąpili do działania, popełniając jeden błąd za drugim. To była kompletna amatorszczyzna.

Wprawdzie Izraelczykom udało się zabić Al-Mabhouha, ale nie zdołali upozorować zgonu z przyczyn naturalnych. Lokalnym policjantom zajęło to

dziesięć dni, ale ostatecznie ustalili, że doszło do morderstwa i zaczęli stopniowo odkrywać, co się stało. Na koniec w prasie ukazały się zdjęcia dwudziestu sześciu agentów Mosadu, których uchwyciły kamery monitoringowe, a także dane z ich paszportów. Kiedy wyciekły nazwiska, stało się jasne, że Mosad ukradł tożsamość Izraelczyków, którzy mieli również obywatelstwa brytyjskie, irlandzkie, francuskie, niemieckie i australijskie. Dubajscy stróżowie prawa aresztowali również dwóch bojowników palestyńskiego Fatahu, którzy towarzyszyli agentom Mosadu.

Nie była to tak wielka porażka jak nieudana próba uprowadzenia radykalnego egipskiego duchownego, Abu Omara, podjęta przez CIA kilka lat wcześniej w Mediolanie, ale sytuacja i tak stała się kłopotliwa. Dlatego Mosadowi zależało, aby tym razem nikt nie zostawił najmniejszych śladów i nie popełnił absolutnie żadnego błędu. Ostrzeżenie, które przyszło z samej góry, było jasne – jeśli coś spieprzycie, nawet nie pokazujcie się nam na oczy.

Agenci odrobili pracę domową. Poznali Pierre'a Damiena na wylot – wszystkie jego upodobania, dziwactwa i zwyczaje. Znali również fanaberie członków Kolegium Doradczego, do jakich niewątpliwie należał ich wyjazd do Austrii. Podczas takich imprez zawsze odbywał się uroczysty bankiet i tym razem przedstawiciele ONZ wynajęli na tę okazję jedną z najlepszych restauracji w Alpbach. To właśnie w trakcie kolacji zamierzała uderzyć Nava. Bentzi przystał na jej plan. Założył, że Damien będzie jadł i pił bez umiaru, co uczyni z niego łatwiejszy cel, a jego przypadkowa śmierć będzie tym bardziej wiarygodna.

Podsekretarze opuścili stylowy alpejski hotel w konwoju furgonetek i autobusów, otoczeni przez agentów ochrony, którzy czuwali nad ich bezpieczeństwem. Obsługa hotelu otrzymała polecenie, aby przystąpić do sprzątanego, gdy tylko goście wyjadą na bankiet. Bentzi czekał na zewnątrz i obserwował budynek. Kiedy zobaczył, że do apartamentu Damiena wchodzi pokojówka, wysiadł z samochodu, zarzucił na ramię mały plecak i ruszył w stronę hotelu. Niebo przysłaniały chmury, a w wiosce nie było latarni ulicznych.

Ominął parę agentów ochrony i obszedł budynek, który ubezpieczali. To nie był dobry dzień dla jego dłoni. Ból utrudniał mu wspinaczkę, która trwała dłużej, niż zaplanował. Gdy w końcu wdrapał się na balkon na drugim piętrze, czuł przejmujące rwanie w palcach. Na wszelki wypadek zawsze nosił przy sobie dwie pigułki w małej papierowej kopercie.

Zatrzymał się, żeby połączyć obie, a potem założył lateksowe rękawiczki i zajął się zamkiem w przeszklonych drzwiach.

Wnętrze wyglądało jak na zdjęciach, które oglądał na stronie internetowej hotelu. Ściany były wyłożone sękatą sosnową boazerią, a podłogę pokrywał dywan ozdobiony deseniem podobnym do tego na zasłonach. W nogach zasłanego śnieżnobiałym prześcieradłem łóżka leżała zwinięta pierzyna, a u wezgłowia spoczywał rząd grubych poduszek w idealnie wyprasowanych poszewkach. Na nocnym stoliku obok ulotki z prognozą pogody na jutro stało kilka butelek wody mineralnej. Bentzi zajrzał do łazienki, a potem skierował kroki w stronę salonu.

Znajdowały się tam kanapa, stolik do kawy, dwa fotele i komoda. W kącie stał staroświecki piec kaflowy, a obok niego biurko. Nie było na nim laptopa. Mosadowi zależało na kopii twardego dysku Damiena. Ponieważ jego śmierć miała wyglądać na dzieło przypadku, a nie następstwo napadu rabunkowego, wszystkie cenne przedmioty musiały pozostać na miejscu. Miliarder opuścił hotel z pustymi rękami, więc Bentzi zakładał, że komputer znajduje się gdzieś w pokoju.

Otworzył szafę w przedsionku, gdzie znalazł walizkę Damiena. Był to bardzo popularny model z miękkimi bokami. Suwaki zamykające główną komorę były spięte małą kłódką. Za pomocą długopisu podważył zęby zamka błyskawicznego i zajrzał do środka. W walizce znajdowała się sztywna aktówka. Wyjął ją i zaniósł na biurko.

Zamki broniące dostępu do wnętrza były raczej solidne, a z powodu bólu dłoni ich sforsowanie sprawiało mu jeszcze większą trudność. Bentzi wziął głęboki oddech i przestał się śpieszyć. Wiedział, że w tym momencie Damien i jego współpracownicy dopiero zasiadają do przystawek. Mimo to połączył się z agentami, którzy obserwowali restaurację, i poprosił o raport z bieżącej sytuacji. Dowiedziawszy się, że goście są na etapie koktajlu, Bentzi rozluźnił się i skoncentrował z powrotem na zadaniu.

Utrzymanie w powykręcanych palcach cienkich drucików stanowiło nie lada wyzwanie, nie mówiąc o precyzyjnym operowaniu nimi. Ten etap powinien zająć sekundy, a nie minuty. Gdyby Nava wiedziała, w jakim stanie są jego dłonie, powierzyłaby to zadanie komuś innemu. Ale nie miała o tym pojęcia, a Bentzi zamierzał doprowadzić sprawę do końca. Gdy wreszcie uporał się z zamkami, uniósł wieko aktówki i zobaczył kilka kartonowych teczek z dokumentami. Pod nimi leżał laptop i zapasowa komórka. Namierzali Damiena przez jego iPhone'a, a ten aparat

prawdopodobnie działał w systemie Android. Bentzi położył go na biurku obok aktówki. Skopiowanie dysku było bardziej czasochłonne, więc postanowił zacząć od laptopa.

Wyjął z plecaka mały zestaw narzędzi i sięgnął po elektryczny śrubokręt. Wybrał odpowiednią końcówkę, po czym odwrócił komputer i odkręcił kilka śrubek na spodzie. Kiedy zdjął pokrywę, wyciągnął z plecaka niezwykle zaawansowane urządzenie w czarnej obudowie o rozmiarach książki w formacie kieszonkowym i połączył je przewodami z kilkoma różnymi punktami we wnętrzu laptopa. Potem nacisnął guziczek na czarnej skrzynce i zaczął kopiować zawartość twardego dysku. Urządzenie, które miało wyssać dane ze smartfona, było mniejsze, mniej więcej rozmiarów krążka hokejowego. Bentzi znalazł kabel z właściwą wtyczką, połączył je z telefonem i uruchomił.

Kiedy kopiowanie dobiegło końca, zaczął przeglądać dokumenty w teczkach. W pierwszej z nich znalazł wydruki zestawień budżetowych – suche i nieciekawe, związane z działalnością spółek Damiena. Jednak zawartość drugiej teczki sprawiła, że zastygł w bezruchu. Na pierwszej stronie widniał niewinnie brzmiący tytuł „Ocena wyników”, ale to, co znalazł dalej, nie wyglądało już tak niewinnie.

Był to materiał przygotowany dla wydzielonej z Kolegium Doradczego podgrupy o nazwie Komisja Plenarna. Jej członkowie byli oznaczeni numerami od jednego do siedmiu, ale nie ujawniono ich nazwisk ani krajów, z których pochodzili. Po kilku stronach, zawierających omówienie bieżących problemów, Bentzi natrafił na listę, która wyszczególniała mrozące krew w żyłach cele działalności grupy:

1. Zredukować obecną populację ludzi do maksymalnie pięciuset milionów i utrzymywać ją w stałej równowadze z naturą.
2. Rozsądnie kierować rozmnażaniem, kładąc nacisk na sprawność fizyczną i wszechstronność.
3. Zjednoczyć ludzkość za pomocą nowego „żywego” języka.
4. Dokonać ponownego rozdziału bogactw naturalnych, określanych odtąd w bardziej adekwatny sposób jako „globalne dobro publiczne”.
5. Zrównoważyć prawa jednostki „obowiązkami społecznymi”.
6. Zastąpić uczucia, religię i tradycję rozumem.
7. Umiejętnie wykorzystywać nowe technologie do obejścia narodowych rządów i podtrzymywania bezpośredniego kontaktu z obywatelami.

8. Przekształcić zarządzanie światem w sprawiedliwy, skuteczny i logiczny system, który będzie kolejnym rokiem w ewolucji ludzkości.

9. Obalić, zdelegalizować i zlikwidować ideę suwerenności państwowej.

10. Przygotować mechanizmy pozwalające na wyeliminowanie wszelkich form sprzeciwu wobec władzy ONZ.

Ben Mordechai nie wierzył własnym oczom. To był program rewolucji. Jeśli Che Guevara miał rację, mówiąc, że rewolucja nie jest jabłkiem, które spada, kiedy dojrzeje, i że trzeba je strącić, to Panel Dyskusyjny najwyraźniej potrząsał całym drzewem. Jego członkowie uważali Izrael i Stany Zjednoczone za największą przeszkodę w dążeniu do swoich celów. Byli przekonani, że jeśli zdołają doprowadzić do potężnej katastrofy, która zniszczy oba te państwa, już nic nie będzie w stanie ich powstrzymać.

Kampania propagandowa Damiena stała się teraz bardziej zrozumiała. Jednak nie było jasne, o jaką katastrofę chodziło i kiedy miała nastąpić.

Na marginesie dokumentu znajdowały się odręczne notatki. Był wśród nich trzyliterowy akronim AHF, a także kilka słów i zwrotów takich jak „chorobotwórczość”, „całkowite ryzyko” i „reakcja na dawkę”. W głowie Bentziego pojawiło się więcej pytań niż odpowiedzi. Czy dopiski dotyczyły jakiegoś ataku chemicznego? Broni biologicznej? A może czegoś zupełnie innego? Kiedy to miało nastąpić? Jaką rolę odgrywał w tym wszystkim Pierre Damien? Kim byli pozostali członkowie Panelu Dyskusyjnego?

Był pewien tylko jednego – że nie mogą zabić Damiena. Jeszcze nie w tej chwili. Nie teraz, kiedy tyle pytań pozostaje bez odpowiedzi. Sfotografował dokumenty swoim smartfonem, przykręcił z powrotem pokrywę laptopa i odłożył wszystko na miejsce, pozostawiając apartament w takim stanie, w jakim go zastał. Potem skontaktował się ze swoim zespołem i oznajmił, że muszą przerwać operację.

Nava była wściekła. Spodziewała się, że jej przełożeni też wpadną w furję. Domagała się wyjaśnień, ale Mordechai powiedział tylko, żeby mu zaufała, a potem zerwał łączność i opuścił hotel tą samą drogą, którą zakradł się do środka. Nie przejmował się już bólem dłoni. Jego głowę zaprzętało bez reszty to, co odkrył w pokoju Damiena. To, że klika wysokich rangą urzędników ONZ chce zapanować nad światem i planuje coś tak katastrofalnego, że nawet Izrael i Stany Zjednoczone nie zdołają tego powstrzymać, było prawie nie do pomyślenia. Prawie.

Bentzi widział już w życiu wystarczająco dużo, aby nie mieć wątpliwości, że wszystko jest możliwe, zwłaszcza w przypadku ludzi, którzy dążą do objęcia władzy. Rządy w większości państw opierały się albo na dyktaturze, albo na jakiejś formie socjalizmu demokratycznego. W takich państwach władza znajdowała się w rękach polityków. Do nielicznych należały naprawdę wolne kraje, gdzie władzę sprawowali obywatele. Gdyby ktokolwiek dążył do stworzenia jakiejś formy globalnego systemu rządów, musiałby najpierw wykluczyć z gry Izrael i Stany Zjednoczone, w przeciwnym razie taki plan nigdy by się nie powiódł.

W odręcznych notatkach Damiena dotyczących Stanów Zjednoczonych pojawiły się dwie litery: RG. Czy były to czyjeś inicjały? Bentzi nie mógł się doczekać, aż analitycy Mosadu rozpakują skopiowane dane i zaczną dopasowywać do siebie elementy układanki.

Chociaż Nava była wściekła, że przerwał operację, kiedy pokazał jej zdjęcia dokumentów, ostatecznie przyznała, że postąpił słusznie. Po powrocie do Tel Awiwu przekazali swoim przełożonym wszystkie zdobyte materiały i nie pozostawało im nic innego, jak tylko czekać.

Największe nadzieje wiązali z zawartością twardego dysku i komórki Damiena. Jednak w obu przypadkach natrafili na przeszkodę nie do pokonania. Miliarder używał nowego systemu kodowania, z jakim nigdy dotąd się nie spotkali. Nie mając haseł dostępu, nie mogli przewidzieć, ile czasu zajmie informatykom złamanie zabezpieczeń. A nawet gdyby udało się je złamać, nie mieli pojęcia, co znajdą i czy nie będzie już za późno. To właśnie wtedy Mordechai postanowił włączyć do gry Helenę.

Dzięki stażowi w organizacji pozarządowej zajmującej się zwalczaniem handlu żywym towarem udało się jej bez trudu dotrzeć do agendy ONZ z siedzibą w Genewie. Wykorzystała paszport swojego rodzinnego kraju, a w jej aktach i w mieszkaniu nie było niczego, co mogłoby wskazywać na powiązania z Izraelem. Szczególne znaczenie miał fakt, że nie pracowała w ONZ, ale była zatrudniona przez organizację pozarządową. Damien nie posunąłby się do naruszenia zawodowego kodeksu etycznego, który zabraniał umawiania się z podwładnymi. Takie rzeczy zdarzały się notorycznie, ale on traktował bardzo poważnie swoje stanowisko podsekretarza generalnego. Nie chciał paść ofiarą skandalu. Nie przy tym, co planował. Bentzi musiał tylko wystawić mu Helenę. Potem kontrolę miało przejść libido Damiena i dokonać całej reszty.

Miliarder słynął z tego, że spotykał się z atrakcyjnymi kobietami. Jego romanse przypominały porę monsunową – były gorące i krótkie. Obsypywał swoje dziewczyny prezentami i fundował im kosztowne wakacje, a gdy któraś mu się znudziła, skupiał zainteresowanie na następnej. Damien upodobał sobie atmosferę panującą w barze hotelu La Réserve Genève. Widok za oknami zapierał dech w piersiach, wybór whisky, koniaków i wódek był ogromny, a sushi przyrządzał pierwszorzędny kucharz. Dodatkowym atutem było to, że bar znajdował się w pobliżu apartamentu Damiena. Bentzi wysłał tam Helenę ubraną w prowokującą, ale stylową suknię koktajlową i pozwolił, aby do głosu doszła natura.

Damien nie należał do nieśmiałych. Podszedł do niej od razu, a ona wzięła go w obroty jak profesjonalistka. Wypili razem po drinku, a potem oznajmiła mu, że musi już iść. zaproponował, że podwiezie ją do domu. Odmówiła. Zapytał, czy może dostać numer jej telefonu. Powiedziała, że nie. Dał jej swoją wizytówkę z numerem komórki zapisanym na odwrocie. Odłożyła ją na stół i już więcej nie zwracała na siebie uwagi. Ujawniła tylko jedną osobistą informację – że jest tymczasowo przydzielona do nadzorowanego przez ONZ programu zwalczania handlu żywym towarem.

Następnego dnia na jej biurku stał bukiet kwiatów. W załączonej kopercie znalazła tę samą wizytówkę, którą Damien dał jej poprzedniego wieczoru i którą ona zostawiła na stole. Podarowała kwiaty jednej z koleżanek. Prowadziła grę w kotka i myszkę, udając obojętną i niedostępną. Damiena doprowadzało to do szaleństwa. Nie był przyzwyczajony do tego, że kobiety mu odmawiały. Wciąż wpadał na nią niby przez przypadek. Śledził ją jego irytujący lokaj i asystent, Jeffrey. Zauważała go za każdym razem, ale nie dawała tego po sobie poznać. W końcu dała za wygraną i przyjęła zaproszenie na kolację.

Musiła przyznać, że Damien nie przesadził. Wybrał kameralną restaurację, w której serwowano wyśmienite potrawy. Był szarmancki i bardzo czarujący. Przed drugą randką zapytał ją, jaką kuchnię najbardziej lubi. Odpowiedziała, że włoską. Zabrał ją swoim prywatnym odrzutowcem do Rzymu, gdzie zjadła najlepszą kolację w swoim życiu. Na trzeciej randce poszli do łóżka. To była najbardziej upojna noc w życiu Pierre'a Damiena.

Bentzi powierzył Helenie jedno zadanie – miała zdobyć hasła Damiena, dzięki którym Mosad mógł uzyskać dostęp do danych z jego laptopa i

komórki. Dał jej urządzenie przechwytyjące, który wyglądało jak ładowarka do telefonu. Mogło rejestrować, rozszyfrowywać i przysyłać wszystkie sekwencje znaków zapisane przy użyciu klawiatury znajdującej się w pobliżu. Miało nawet małą baterię, dzięki której działało również wtedy, kiedy nie było podłączone do sieci. Wystarczyło, aby Helena umieściła je blisko swojego kochanka, kiedy logował się do komputera albo komórki.

Jednak okazało się to trudniejsze, niż mogłoby się wydawać. Damien nigdy nie korzystał przy niej z komputera i nie zauważyła, aby używał innego telefonu oprócz iPhone'a, którego odblokowywał odciskiem palca. Tłumaczyła to Bentziemu wiele razy i zapewniała go, że w końcu zdobędzie te hasła. Potrzebowała tylko czasu. Ale potem wszystko się zmieniło.

Bentzi powiedział jej, że została odwołana, i kazał wracać do mieszkania, gdzie miała czekać na telefon od niego, a kontakt z Damienem ograniczyć do informacji o rzekomej chorobie. Nie pojmowała, na jakiej podstawie jej przełożony wyobrażał sobie, że komukolwiek innemu uda się zbliżyć do Damiena bardziej, niż udało się to jej. Była pewna, że jego plan się nie powiedzie, że rzuci swój ukochany Izrael na pastwę wrogów. Nie mieściło się jej to w głowie.

Wtedy odezwał się jej telefon. Dzwonił Bentzi. Powiedział, że chce jej złożyć propozycję, a mówiąc ściślej, podsunąć coś na zachętę.

– Mów – odparła.

Ściskając w dłoni komórkę, słuchała wyjaśnień Mordechaia. Z początku ogarnęła ją panika. Wspomnił o człowieku, o którym obiecali sobie nigdy nie rozmawiać. Nie wierzyła, że to zbieg okoliczności, tak samo jak wcześniej, kiedy wpadała na Damiena, ilekroć gdzieś wychodziła. Albo Bentzi okłamywał ją teraz, albo robił to przez cały czas.

– Dlaczego miałabym ci zaufać? – spytała.

Trudno było o bardziej kuszącą przynętę od tej, którą jej podsunął. Izraelczyk znany jako Enoch kierował gangiem, którego członkowie uprowadzili ją z ojczystego kraju i zamienili w niewolnicę seksualną. Pragnęła zemścić się na nim niemal równie mocno, jak marzyła o uwolnieniu się od Mosadu. Teraz musiała wybierać.

Wystawienie Enocha w charakterze przynęty było desperackim krokiem. Bentzi wiedział, że bez Heleny nie doprowadzi operacji do końca. Cokolwiek planował Damien, zaczął już wcielać to w życie. Jeżeli było to



coś tak niszczycielskiego, jak podejrzewał Mosad, należało jak najszybciej dotrzeć do źródła zagrożenia.

Z kolei Helenie było obojętne, co stanie się z Izraelem. Tak samo obojętny był jej los Stanów Zjednoczonych. Jeżeli wszystko pójdzie po jej myśli, znajdzie się tak daleko od obu tych krajów, że cokolwiek się stanie, nie będzie to miało dla niej znaczenia. Interesowało ją tylko to, żeby uwolnić się od tego wszystkiego.

Ale gdyby miała okazję na pożegnanie dopaść Enocha i przewlec jego truchło po parkingu, mogłaby w ten sposób domknąć kilka przykrych rozdziałów swojego życia i definitywnie zostawić w tyle zmory z przeszłości.

Mordechai czuł, że jego podopieczna zwleka z odpowiedzią. Nie rozumiał dlaczego. Po tym, jak zagroził Helenie przerwaniem misji i odwołaniem do Tel Awiwu, teraz dał jej szansę, by dokończyć zadanie i wyrównać rachunki. Ponieważ musiała działać szybko, istniało całkiem spore prawdopodobieństwo, że coś spaprze i odejdą z niczym. Ale szansa, że się powiedzie, też była całkiem spora.

Helena wzięła głęboki oddech i wysunęła szufladę z bielizną.

– Umowa stoi – powiedziała do telefonu.

# Rozdział 21

KONGO

Harvath nie odrywał wzroku od głuchego chłopca i jego ojca.

– Zapytaj go jeszcze raz – zwrócił się do Jambo.

Cały czas uważnie obserwował twarz mężczyzny, starając się wychwycić jakieś oznaki kłamstwa. Wypatrywał mikroekspresji, bardzo krótkich i nieświadomych reakcji mimicznych, świadczących o tym, że rozmówca przeżywa napięcie emocjonalne, ponieważ kłamie albo zamierza coś przeszkrobać. Jak dotąd nie zauważył niczego takiego.

Jambo powtórzył pytanie, a potem przetłumaczył odpowiedź Kongijczyka. Tym razem Harvath również nie dostrzegł niczego podejrzanego. Wszystko wskazywało na to, że mężczyzna mówił prawdę.

– Zapytaj o film. Kto go nakręcił?

Po krótkiej wymianie zdań z mieszkańcem wioski Jambo przetłumaczył jego odpowiedź:

– Mówi, że on sam to zrobił.

– On nakręcił ten film? Czym?

Jambo znów zwrócił się do mężczyzny.

– Swoją komórką – odparł po chwili.

Harvathowi nie chciało się w to wierzyć. Nigdzie w pobliżu wioski nie było zasięgu.

– Powiedz mu, że chcę zobaczyć jego telefon – rozkazał.

Jambo kiwał głową, słuchając długiej odpowiedzi Kongijczyka, a potem zwrócił się do Harvatha:

– Już go nie ma.

– A co z nim zrobił?

– Ukrył w jednym z ich samochodów. Tych ludzi, którzy wymordowali wszystkich w klinice, a potem w wiosce.

– Dlaczego?

– Obawiał się, że jego też zabiją – wyjaśnił Jambo. – W tej okolicy żadna sieć nie ma zasięgu, więc uruchomił wysyłanie i schował telefon. Pomyślał,

że kiedy samochód dojedzie do miejsca, w którym komórka złapie sygnał, wiadomość dotrze do adresata.

Harvath musiał przyznać, że był to sprytny pomysł. Wciąż jednak coś nie dawało mu spokoju.

– Skąd wiedział, do kogo to wysłać? Skąd znał adres?

Decker chrząknęła i oczy wszystkich zebranych skierowały się w jej stronę.

– Widziałeś te napisy w ośrodku? – zapytała. – Na banerach?

W budynku ośrodka Harvath widział wiele rzeczy, ale skupiał uwagę przede wszystkim na śladach, które pozwalały wyjaśnić, co tam zaszło.

– Jakie napisy?

– Informujące o wsparciu CARE International. Na każdym banerze jest adres strony i poczty internetowej na wypadek, gdyby ktoś miał jakieś pytania. To na ten e-mail trafiło nagranie.

Harvath znów skierował wzrok na starszego z tubylców.

– Powiedz mi, że chcę wiedzieć, jakie to były samochody – zwrócił się do Jambo, który przetłumaczył pytanie.

W odpowiedzi mężczyzna podał mu krótki opis. Nie miały żadnych oznaczeń ani charakterystycznych kolorów. Wyglądały raczej na cywilne niż wojskowe. Nic nadzwyczajnego.

– A ci, którzy nimi przyjechali?

– Mzungu – odparł Kongijczyk.

– Co to znaczy mzungu?

– W suahili to określenie białego człowieka – wyjaśniła Decker.

– A więc biali. – Harvath się zamyślił. – Czy to byli żołnierze? Po chwili Jambo przetłumaczył odpowiedź:

– Byli uzbrojeni, ale nie nosili mundurów.

– A jakie mieli włosy? Długie czy krótkie? Mieli brody albo wąsy? Tatuaze?

Czymkolwiek się wyróżniali?

– Mówi, że zachowywali się jak wojsko. Jeden wydawał rozkazy, a inni je wykonywali. Wszyscy mieli krótkie włosy. Żadnego zarostu ani tatuazy.

– Ilu ich było?

– Nie przyjrzał się dokładnie – odparł Jambo. – Może ośmiu, góra dwunastu.

„A więc liczebność drużyny piechoty”, pomyślał Harvath.

– W jakim języku rozmawiali? – zapytał.

– Nie jest tego pewien. Nie rozpoznał go. Mówi, że to mógł być niemiecki. Albo rosyjski.

– Czy rozpoznałby kogoś z nich, gdyby znów go zobaczył?

Jambo przetłumaczył pytanie, a mężczyzna przytaknął skinieniem głowy.

Harvath wyszedł na zewnątrz i po chwili wrócił do chaty z długopisem i kartką papieru, które wręczył Jambo.

– Powiedz mu, że potrzebuję numeru jego komórki – zwrócił się do niego.

Kiedy dostał numer, pozostawił tłumacza do dyspozycji Decker, która również chciała zadać kilka pytań, i znów wyszedł z chaty. Uruchomił przekaźnik satelitalny, włączył swoją komórkę i po chwili oczekiwania na mocny sygnał wybrał numer z pamięci aparatu. Kiedy w słuchawce rozległ się zaspany głos, Harvath przeprosił rozmówcę, że go obudził, a potem od razu przeszedł do rzeczy.

– Chcę, żebyś namierzył mi telefon. Ktoś go wrzucił do samochodu w Kongu kilka dni temu. Bateria pewnie już padła, ale dowiedz się, które stacje bazowe go uchwyciły. Potrzebuję również wszystkich numerów, które łączyły się z tymi stacjami w tym samym czasie, i chcę wiedzieć, gdzie znajdują się teraz.

– Na kiedy tego potrzebujesz? – spytał mężczyzna na drugim końcu linii.

– Natychmiast.

Rozłączył się i wrócił do chaty, gdzie zastał Jambo w trakcie tłumaczenia opowieści Kongijczyka. Mężczyzna miał na imię Leonce i mówił o jakimś obcym przybyszu, który zjawił się w Matumaini z wysoką gorączką. Nikt nie wiedział, jak się tam dostał. Wkrótce po przybyciu stracił przytomność. Nie miał przy sobie żadnych dokumentów ani pieniędzy, kompletnie nic. Pracownicy ośrodka położyli go w izbie chorych, podłączyli mu kroplówkę i zaczęli się zastanawiać, kim jest i co mu dolega. Tajemniczy przybysz dwukrotnie odzyskiwał przytomność, ale tylko na chwilę. Za każdym razem wzywał ratunku i błagał, żeby nie odsyłać go z powrotem. Nikt nie miał pojęcia, o co mu chodziło. Zdaniem jednej z pielęgniarek ów człowiek mógł być muzułmaninem, członkiem bardzo nielicznej w Kongu mniejszości wyznaniowej, gdyż wydawało się jej, że słowo, które wyjął w pewnym momencie, brzmiało jak „Allah”.

Zgodnie z procedurami personel ośrodka skontaktował się z ministerstwem zdrowia w Kinszasie. Jakiś zblazowany biurokrata oświadczył, że to prawdopodobnie nic poważnego, ale należy podjąć

wszelkie środki ostrożności. Godzinę później do Matumaini zadzwonił przedstawiciel Światowej Organizacji Zdrowia, który poprosił o pobranie próbek krwi i tkanek i wysłanie ich pocztą lotniczą z Buni do Kinszasy. Zażyczył sobie również, aby przesłano mu e-mailem zdjęcia pacjenta.

Ośrodek dysponował tylko jednym, małym, bardzo starym i bardzo zawodnym samochodem. Leonce zaproponował, że zawiezie przesyłkę na lotnisko w Buni. Za zgodą personelu zabrał ze sobą w podróż swojego głuchego syna, Pepsy'ego.

Pracownicy ośrodka bardzo się postarali, żeby próbki były dokładnie przygotowane i odpowiednio zapakowane. Dali Leonce'owi pieniądze na paliwo. O jedzenie i nocleg musiał zatroszczyć się sam. I tak dostał już wszystkie pieniądze, jakie znajdowały się w kasie Matumaini.

Leonce dobrze znał drogę, bo jeździł do Buni wiele razy. Miał tam krewniaka, u którego zamierzał prznocować razem z synem, żeby wrócić rankiem następnego dnia. Umieścił przesyłkę na tylnym siedzeniu i po krótkiej szamotaninie ze skrzynią biegów obaj wyruszyli w podróż, machając wszystkim na pożegnanie przez otwarte okna.

Problemy zaczęły się prawie natychmiast. Najpierw spadł deszcz. Był tak ulewny, że wydawało się, jakby na dach samochodu runęła lawina kamieni. Każda z potężnych kropel rozbryzgiwała się z głośnym pluskiem. Leonce włączył wycieraczki, które przesunęły się w prawo, potem w lewo, i znieruchomiały. Próbowali przecierać szybę koszulami, ale padało tak mocno, że nie widzieli prawie nic przed sobą. A potem trafili na blokadę.

– Błokadę? – zapytał Harvath.

– Można by to raczej nazwać punktem poboru opłat – wyjaśnił Jambo. – Bandyci ustawiają się przy drodze, żeby wymuszać haracz na podróżnych.

Ash i Mick, którzy przysłuchiwali się rozmowie, posłali Harvathowi wymowne spojrzenia.

– Wiadomo, co to byli za bandyci? Jambo pokiwał głową.

– FRPI. Siły...

– Oporu Patriotycznego w Ituri – dokończył Harvath. – I co się stało?

– Zażądali opłaty za przejazd, ale Leonce miał bardzo mało pieniędzy. Kiedy spróbowali zabrać przesyłkę z tylnego siedzenia, zaczął się z nimi szarpać. Jeden z rebeliantów uderzył go kolbą w brzuch.

– I co dalej?

– Zaintrygowało ich to, że Leonce tak zaciekle bronił przesyłki. Myśleli, że w środku są narkotyki. Kazali mu zjechać na pobocze, a potem

zaprowadzili go razem z chłopakiem do swojego dowódcy.

Harvath spojrział na Jessicę Decker. Wyczuwał, że lekarka myśli o tym samym co on.

– No i co? – zapytał.

– Dowódca mu nie uwierzył. Otworzył paczkę i wysypał zawartość, a wtedy jedna z próbek się rozbiła.

– Zapytaj go, jak wyglądał ten dowódca.

Jambo po chwili przetłumaczył odpowiedź.

– Średniego wzrostu i średniej postury. Miał na oko trzydzieści pięć lat i wielką bliznę na czole.

– Cholera jasna! – krzyknęła Decker. Harvath sam lepiej by tego nie ujął.

– To tyle, jeśli chodzi o żółtą febrę – skwitował.

– Nadal jeszcze nie wiemy wszystkiego – odparła, próbując się opanować.

– Ja już wiem – powiedział i znów zwrócił się do Jambo. – Mów dalej.

Okazało się, że w końcu rebelianci puścili ich wolno. Leonce z powrotem zapakował próbki i pojechali do Buni. Samolot, którym mieli wysłać paczkę, już odleciał, więc musieli czekać całą dobę na następny. W drodze powrotnej samochód zaczął szwankować. Nie mieli pieniędzy na naprawę, więc zostawili go u mechanika w sąsiedniej wiosce i ostatnie kilka kilometrów pokonali na piechotę. Po powrocie do wioski zobaczyli, że wszystkie ich zwierzęta leżą zarżnięte na pace półciężarówki. Mieszkańców nigdzie nie było. Pobiegli przez dżunglę do kliniki. Po drodze słyszeli odgłosy wystrzałów, dobiegające z miejsca, gdzie zwykle palono śmieci. Na skraju polany przyczaili się w zaroślach i zobaczyli czterech mężczyzn, którzy zakładali kombinezony ochronne.

– To wtedy Leonce wpadł na pomysł, żeby to wszystko sfilmować – zakończył opowieść Jambo. – Tamci czterej weszli do ośrodka i zaczęli strzelać, a całą resztę już znacie.

– Czy od tamtego czasu Leonce i jego syn ciągle się ukrywali? Jambo przytaknął.

Harvath chciał zapytać o coś jeszcze, kiedy rozległ się dzwonek jego komórki.

## Rozdział 22

Chociaż Nicholas, komputerowy guru Harvatha, był półprzytomny i rozdrażniony, po tym jak wyrwano go ze snu o tak niehumanitarnej porze, szybko uporał się z powierzonym zadaniem. Wpatrzony w monitor laptopa, leżącego na masce land cruisera, Harvath przeglądał zdjęcia satelitarne. Nicholas zaznaczył na nich wszystkie stacje bazowe, w których zasięgu znalazła się komórka Leonce'a. Trop prowadził z powrotem do Buni.

– Niedobrze – odezwał się Ash, który zerkał ponad jego ramieniem. Harvath nawet nie zadał sobie trudu, żeby odwrócić głowę.

– Co tu widzisz? – zapytał.

Brytyjczyk wyciągnął rękę i wskazał palcem widoczny na zdjęciu kompleks budynków w pobliżu jednej ze stacji.

– To kwatery główna MONUSCO – powiedział.

– Niech zgadnę. W suahili to gniazdo rebeliantów?

– Gorzej. To Misja Stabilizacyjna Organizacji Narodów Zjednoczonych w Demokratycznej Republice Konga. MONUSCO jest skrótem oryginalnej francuskiej nazwy. Ty pewnie potrafiłbyś ją wymówić, ale ja nie parlam w mowie żabojadów.

Odwieczna niechęć między Francuzami i Brytyjczykami zawsze śmieszyła Harvatha.

– Czemu to coś gorszego od gniazda rebeliantów?

– Miałeś kiedyś do czynienia z siłami pokojowymi ONZ? – zapytał, a kiedy Harvath pokręcił głową, dodał: – No to zaufaj mi. Mówi się, że trudno o większe zaprzeczenie profesjonalizmu, etyki i odpowiedzialności. Pamiętasz, jak wywołali epidemię cholery na Haiti? Zabiła ponad dziesięć tysięcy ofiar i rozprzestrzeniła się na Dominikanę i Kubę. A gwałty, których dopuszczają się w Mali i wszędzie tam, gdzie stacjonują? Historie o ich wybrykach można by mnożyć. Cała ta ich armia, jeśli można tak to nazwać, jest siedliskiem zepsucia i niekompetencji. Kilkanaście lat temu w Buni rebelianci zabili dwóch nieuzbrojonych obserwatorów wojskowych, bo

żaden z ich koleś w błękitnych hełmach nie chciał ryzykować akcji ratunkowej. Pożałowania godne.

Żołnierze sił ONZ faktycznie słynęli z braku honoru i dyscypliny. Harvath dobrze znał makabryczne historie o ich wyczynach. Nie wyobrażał sobie większego koszmaru niż być zdany na siły ONZ, zapewniające pokój i stabilizację. W takim wypadku wolałby raczej sam podjąć ryzyko i stawić czoła jakimkolwiek zagrożeniom. Zgodnie z zasadą, że ryba psuje się od głowy, nie można było traktować poważnie siły militarnej organizacji, która chępliwie obnosi się z Radą Praw Człowieka, a mimo to przyjmuje w swoje szeregi państwa łamiące te prawa, jak Chiny, Kuba, Rosja czy Arabia Saudyjska, a nawet skazona niewolnictwem Mauretania. Mówiąc krótko, Harvath nie spodziewał się wiele po ONZ.

– A co powiesz na to? – odezwał się, przechodząc do kolejnego zdjęcia.

– Centrum Buni – odparł Ash. – Jakies trzy kilometry od hotelu, w którym mieszkaliśmy.

Harvath nacisnął jeden z klawiszy i czerwone kropki oznaczające stacje bazowe znikły, a na zdjęciu pojawiła się zbitka zielonych kropek.

– Co one oznaczają? – zapytał Brytyjczyk.

– Szansę dla nas.

Decker była pewna jednego. Z jakąkolwiek chorobą mieli do czynienia, ani Leonce, ani jego syn prawdopodobnie nie byli nią zarażeni, skoro jej objawy nie zaczęły jeszcze u nich występować. Nacisk, jaki kładła na słowo „prawdopodobnie”, ani trochę nie uspokoił Harvatha i pozostałych członków ekspedycji. Żaden z nich nie chciał polegać na jej ocenie. W przeciwieństwie do niej nie zgłosili się, by nieść pomoc chorym i narażać się na kontakt z egzotycznymi chorobami.

Harvath wręczył lekarce plik banknotów, a Jambo zawiózł ją do wioski, w której Leonce zostawił samochód. Wrócili po dwudziestu minutach. Awaria nie była poważna i naprawiony pojazd już czekał. W geście solidarności lekarka postanowiła wrócić nim do Buni razem z Leonce’em i jego synem, podczas gdy reszta ekipy zajęła miejsca w land cruiserach. Nie musiała się obawiać przeprawy przez rwącą rzekę, którą sforsowali, jadąc do Matumaini. Jej mały samochód i tak nie dałby sobie z nią rady, dlatego okrążyli to miejsce, nadkładając drogi. Przez cały czas Harvath i Brytyjczycy mieli oczy szeroko otwarte, wypatrując blokad. Żaden z nich nie miał ochoty natknąć się znów na rebeliantów.



Podróż trwała długo, ale na szczęście obyło się bez przygód. Kiedy dotarli do hotelu, zapadł już zmierzch. Zameldowali się, po czym wyładowali swój ekwipunek i zabezpieczyli go w pokojach. Jambo, który chciał podreperować budżet swojej rodziny, zaoferował pomoc krewniaków w pilnowaniu samochodów, jednak Ash powiedział, że tej nocy nie będą potrzebni. Za to Harvathowi przyszło do głowy, że mogliby ich wykorzystać w inny sposób.

Zielone kropki na monitorze jego laptopa, oznaczające położenie sześciu telefonów komórkowych, które wyśledził Nicholas, znajdowały się teraz w otoczonym murem kompleksie betonowych budynków na drugim końcu miasta. Obiekt ten wyglądał jak uboga wersja twierdzy bin Laden w Abbottabadzie. Harvath postanowił rozejrzeć się w tamtej okolicy, a Ash przystał na jego plan. Na wszelki wypadek zabrali ze sobą Jambo.

Kiedy hotelowy ochroniarz otworzył bramę, Brytyjczyk wrzucił bieg i wyjechał na ulicę, włączając się do wieczornego ruchu. Pełniące funkcję taksówek motorowery znane jako boda boda kluczyły między samochodami, a rowerzyści na „czarnych mambach” – nazywanych tak dlatego, że ich koła zostawiały w pokrywającym drogę pyłe podobne ślady jak ten zabójczy wąż – jeździli uczeplieni ciężarówek i innych pojazdów, żeby oszczędzić sobie pedałowania. Wzdłuż ulic ciągnął się rząd zdezelowanych sklepików, w których można było kupić wszystko, od tanich chińskich telewizorów po naczynia kuchenne. Idąc za przykładem Asha, Harvath umieścił swojego glocka na fotelu pod udem, gdzie był niewidoczny, ale pozostawał w zasięgu ręki. Aplikacja GPS w jego telefonie prowadziła ich do celu.

Harvath od dawna uważał, że posiadając tak ogromne bogactwa naturalne, Afryka powinna być największą potęgą na całej planecie. Jednak niesnaski plemienne i fatalne rządy sprawiały, że wciąż pozostawała zdegradowana do statusu Trzeciego Świata. Oglądając ten kontynent na własne oczy, jeszcze bardziej doceniał swój kraj.

Na myśl o Ameryce ponownie sprawdził skrzynkę pocztową w swoim telefonie. Nadal nie było wiadomości od Lary. Doszedł do wniosku, że to nawet lepiej. Nie miał teraz czasu zawracać sobie głowy rozterkami uczuciowymi. Epizod z Decker pod prysznicem w dżungli wystarczał w zupełności.

Lekarce nie spodobało się, że ją odrzucił, ale był to jej problem. Wcześniej próbował dać jej jasno do zrozumienia, że nie jest

zainteresowany nawiązaniem takiej relacji. Ona jednak próbowała dopiąć swego, jak gdyby wyczuwała, że mimo wszystko ma u niego jakieś szanse. Była w błędzie. Kiedy weszła pod prysznic i próbowała do niego przyłgnąć, odsunął ją od siebie zdecydowanym ruchem i wyjaśnił w jednoznaczny sposób, jak wygląda sytuacja.

Na pewno nie był pierwszym mężczyzną, który jej odmówił, chociaż widząc, jak Brytyjczycy wciąż ślinią się na jej widok, nabierał co do tego wątpliwości. Nie żeby miało to dla niego jakieś znaczenie. Za oceanem czekało na niego coś o wiele lepszego – pod warunkiem, że uda mu się to ocalić. Jego wierność najwyraźniej jeszcze bardziej zachęciła Jessicę Decker. Albo ją to podniecało, albo widziała w tym wyzwanie. Tak czy inaczej, Harvath cieszył się, że nie musiał wracać do Buni w jej towarzystwie, i był równie zadowolony, kiedy znalazł się z dala od hotelu i od niej.

Dojeżdżając do celu, postarał się uwolnić swoje myśli od Lary, Jessiki Decker i innych problemów. Tego wieczoru mieli się tylko rozejrzeć, więc kiedy ich toyota zwolniła, zanotował w pamięci wszystkie szczegóły dotyczące wysokości murów, rozmieszczenia okien i drzwi, oświetlenia, środków bezpieczeństwa, sąsiednich budynków, a także pobliskich firm.

– Jestem przeciw – odezwał się Ash.

– Przeciw czemu?

– Wszystkiemu, o czym teraz myślisz.

– Skąd wiesz, o czym myślę?

– Wczoraj rano też wiedziałem, że nie wezwałybyś nas, nawet gdyby wszystko zaczęło się pieprzyć.

– Powiedziałeś przecież, żeby wezwać wsparcie, jeśli zrobi się gorąco, a nie jeśli wszystko zacznie się pieprzyć – odparł Harvath.

– Polewasz ze mnie, tak?

– Nie, ale to dobry pomysł. Zjedź na pobocze.

– Nie mówiłem o odlewaniu, tylko o polewaniu. To znaczy, że...

– Wiem, co to znaczy – przerwał mu Harvath. – I owszem, robię sobie z ciebie jaja, ale i tak chcę, żebyś się zatrzymał. Przy tamtej knajpie. Przepraszam, przy tamtym pubie.

– Wiem, co to jest knajpa, ty łachudro. Harvath się uśmiechnął.

– Znów z ciebie polewam. Nie przejmuj się.

– Coś mi podpowiada, że już niedługo i tak będę miał czym się przejmować – powiedział Ash, zjeżdżając z drogi.

Siedzący z tyłu Jambo wyrzął przez okno.

– Idziemy na piwo? – zapytał.

– My tak – odpowiedział Harvath. – A ty idziesz na spacer.

# Rozdział 23

NIEDZIELA

Jambo przechadzał się ze słuchawkami w uszach i udając, że prowadzi rozmowę wideo, filmował okolicę swoim smartfonem. Kiedy później Harvath i Ash obejrzel nagranie w hotelu, udało im się wybrać kilka punktów obserwacyjnych, jak również stanowisk ogniowych na wypadek, gdyby musieli przejąć inicjatywę. Harvath nie zamierzał wdzierać się na teren ośrodka. Cokolwiek miało się wydarzyć, chciał to rozegrać na zewnątrz.

Następnego dnia rano za pośrednictwem Jambo i trzech jego krewniaków uzyskali dostęp do dwóch mieszkań na piętrze sąsiedniego domu, z których mogli dostać się na dachy budynków otaczających posesję. Nawet w takim zaścianku jak Kongo technologia komórkowa pozwalała im na przesłanie zdjęć do hotelu. Gdyby Leonce i jego syn rozpoznali któregoś z ludzi, Decker miała im odpowiedzieć SMS-em. Musieli jednak liczyć się z ograniczoną rozdzielczością zdjęć, jakie robiły aparaty w telefonach. Harvath nie nastawiał się na operację tego rodzaju, więc nie przywiózł ze sobą lunety ani teleobiektywu. Musieli zadowolić się tym, co mieli do dyspozycji. Mogli skorzystać z lornetek, które zabrali Brytyjczycy, ale ponieważ nie były wyposażone w soczewki antyodblaskowe, nadawały się do prowadzenia obserwacji z wnętrza mieszkań, ale już nie z dachu.

Przyjęli założenie, że mają do czynienia z jakimś oddziałem wojskowym albo grupą byłych żołnierzy. Rozpytując ludzi na targu i okolicznych ulicach, Jambo zdołał się dowiedzieć tylko tyle, że posesja, którą obserwowali, jest znana wśród miejscowych jako biały dom. Nazwa nawiązywała nie tyle do budynku w Waszyngtonie, ile do koloru skóry lokatorów, z których wszyscy byli podobno biali. Nikt nie miał pojęcia, kim są. Choć czasami niektórzy z nich poruszali się pieszo, zazwyczaj korzystali z samochodów terenowych, które niczym się nie wyróżniały. Wszyscy nosili okulary przeciwsłoneczne i mieli krótko obcięte włosy. To było

wszystko, co ludzie z okolicy potrafili powiedzieć na ich temat, ale Harvathowi to wystarczyło.

Obserwowali biały dom przez trzydzieści dwie upalne godziny, zanim dotarła paczka od Nicholasa, którą zamówił Harvath. Ash wręczył Jambo pieniądze na łapówkę i posłał go na lotnisko, żeby odebrał przesyłkę i strzegł jej jak oka w głowie.

– Co to jest? – zapytał Mick, kiedy Harvath otworzył pudełko i wyjął z niego niewielkie urządzenie.

– To mały drapieżnik. Technologia, która żeruje na pewnej ludzkiej słabości.

– Jakiej?

– Daj mi swoją komórkę.

Mick wyciągnął telefon i położył przed nim na stole.

– A teraz daj mi swojego glocka.

– Po co?

Harvath wyciągnął rękę i skinął na niego ponagląco. Gdy w końcu Brytyjczyk uległ i podał mu pistolet, ten obrócił go w dłoni i trzymając jak młotek, zamierzył się, żeby uderzyć ręką w wyświetlacz smartfona.

– Hej! Zaraz, zaraz – powstrzymał go Mick. Harvath się uśmiechnął.

– Otóż to – powiedział, oddając mu broń. – Właśnie na to liczę.

W paczce znajdowały się również sprzęt do obserwacji i małe bezprzewodowe kamery, które zainstalowali w różnych punktach na dachach sąsiednich budynków.

Leonce rozpoznał już dwóch podejrzanych, ale kiedy udało im się zrobić serię zdjęć lepszej jakości i Harvath wysłał je do hotelu, otrzymał kolejne potwierdzenie, że są na właściwym tropie.

Mieli do czynienia z zawodowcami. Ci ludzie działali niezwykle sprawnie, ilekroć wyjeżdżali z posesji albo na nią wracali. To nie była jakaś bezładna zbieranina. Mieli oczy dookoła głowy i poruszali się płynnie. Żadnego pośpiechu. Wszystko w odpowiednim tempie i zgodnie z zasadami.

Harvath wysłał zdjęcia nie tylko do hotelu. Cała galeria z jego smartfona trafiła również do siedziby Carlton Group w Virginii. Jak na razie system rozpoznawania twarzy nie uzyskał żadnych trafień. Niekoniecznie musiało to coś oznaczać. Obserwowani mężczyźni nosili okulary przeciwsłoneczne i czapeczki baseballowe, a przy tak słabej rozdzielczości trudno było o

prawidłowe rozmieszczenie punktów pomiarowych. Teraz, kiedy przysłano im lepszy sprzęt, Harvath był przekonany, że wkrótce poznają tożsamość tych ludzi.

Tymczasem Nicholas prześledził sygnały ich telefonów komórkowych, z których większość prowadziła do RPA. Ale do jednego z nich nie zdołał się dostać, nie namierzył także jego połączeń. Nigdy wcześniej nie spotkał się z tak skutecznym zabezpieczeniem. Uprzedził o tym Harvatha i powiedział mu, że jeśli wkroczy na teren budynku, powinien zabrać wszystkie telefony. Nie potrafił jednak określić, czego konkretnie powinien szukać, bo sam nie miał pojęcia.

– Dostarcz mi wszystkie aparaty, a ja go rozpracuję – powiedział tylko.

Ale Harvath nie zmienił planów. Nie zamierzał zdobywać obiektu. Nie wiedział, ilu ludzi znajduje się w środku, jak dobrze są uzbrojeni i jakie posiłki mogą wezwać, gdyby doszło do strzelaniny. Ani on, ani reszta zespołu nie mieli najmniejszej ochoty na dodatkową konfrontację z transporterami opancerzonymi i oddziałami sił ONZ, które mogły im się zwalić na głowę.

ONZ wydawała ponad półtora miliarda dolarów rocznie na utrzymanie dwudziestu tysięcy żołnierzy w Demokratycznej Republice Konga, która była jej największym i najbardziej kosztownym obszarem działań strategicznych. Organizacja podzieliła kraj na sześć sektorów, a Bunia była głównym ośrodkiem Sektora Szóstego.

Prócz tego, że stacja bazowa w pobliżu kwatery głównej MONUSCO przechwyciła ich komórki, nic innego nie wskazywało na powiązania mieszkańców obserwowanej posesji z ONZ. Jednak interesujące było to, że spośród wszystkich krajów, których żołnierze wchodzili w skład sił MONUSCO, tylko cztery wysłały równie liczny albo większy kontyngent niż RPA. Harvath był gotów się założyć, że przewaga żołnierzy południowoafrykańskich w misji stabilizacyjnej ONZ i rozmowy telefoniczne z RPA, które prowadzili ludzie zamieszkujący biały dom, nie są wynikiem zbiegu okoliczności. Musieli się dowiedzieć, kiedy czarna komórka, jak nazwał ją Nicholas, zmienia lokalizację i kto jej używa. Telefon już raz opuścił obiekt i wrócił do niego, ale stało się to w nocy, kiedy z posesji wyjechały dwa samochody, w których znajdowało się ośmiu ludzi. Harvath przyglądał się, jak igła wraz z całym stogiem siana wędruje tam i z powrotem na jego oczach, ale nie był w stanie wyciągnąć z tego żadnych wniosków. Między innymi dlatego nie znosił takich zadań.

Inwigilacja bywała nie tylko ogłupiająco nudna, ale również niesłychanie frustrująca. A jeżeli współpracowało się z nieodpowiednimi ludźmi, napięcie szybko sięgało zenitu. Na szczęście Ash i jego ludzie byli profesjonalistami w każdym calu. Nikt przy zdrowych zmysłach nie czerpał przyjemności z prowadzenia obserwacji, ale Brytyjczycy podeszli do tego zadania z poczuciem humoru. Ich żarty z ludzi i sytuacji, które widzieli na ulicy, a także wymieniane między sobą docinki pomagały przetrwać długie monotonne godziny.

Jambo okazał się doskonałym kucharzem, a swoją dietę uzupełniali, zamawiając na wynos chińskie i indyjskie dania z hotelowej kuchni. Dzięki dwóm obiektywom długoogniskowym i kamerom termowizyjnym, które znacznie lepiej rejestrowały obraz w ciemności, zrobili mnóstwo zdjęć i przesłali je do Stanów, gdzie zajął się nimi Nicholas. Tym razem korzystanie z systemu rozpoznawania twarzy i przeszukiwanie baz danych zaczęło przynosić efekty. Okazało się, że formalnie nie są to już żołnierze południowoafrykańskich sił zbrojnych. Mieszkańcy białego domu byli weteranami elitarniej brygady Recces i swego czasu odbywali służbę w Piątym Regimentzie Sił Specjalnych, który stacjonował w Phalaborwa na wschodzie prowincji Limpopo. Jednak to, że odeszli już z armii, wcale nie oznaczało, że nie pracują nadal dla rządu RPA, na przykład w wywiadzie. Ale jeśli tak było, dlaczego dokonali masakry w klinice i sąsiedniej wiosce w kongijskiej dżungli? Harvath nabierał coraz silniejszego przeświadczenia, że mają do czynienia z najemnikami. Oczywiście wiązał się z tym szereg pytań – przede wszystkim kto ich zatrudnił i na czym polegało ich zadanie. Aby uzyskać odpowiedzi, postanowił uciąć sobie pogawędkę z dowódcą ich grupy. Najpierw jednak musieli go rozpoznać.

Dwanaście godzin później mieli okazję przyjrzeć się jednemu z samochodów, który wyjeżdżał z posesji. W środku siedziało tylko dwóch ludzi – kierowca wyglądał na czterdzieści kilka lat, a pasażer był mężczyzną po sześćdziesiątce. Nicholas potwierdził, że czarna komórka zaczęła się przemieszczać. Harvath przesłał mu zdjęcia, które właśnie zrobili. Godzinę później Nicholas zadzwonił do niego z informacją, że ustalił tożsamość ich celu.

– Ten starszy to facet, którego szukasz. Nazywa się Jan Hendrik – powiedział, wysyłając Harvathowi w załączniku akta służbowe byłego żołnierza. – Wszyscy ci, których dotąd zidentyfikowaliśmy, to jego dawni podkomendni.

– Co jeszcze o nich wiemy?

– Nic. Niczego nie znalazłem. Żadnych wyciągów bankowych ani mandatów za złe parkowanie. Są jak duchy.

Harvath przewinął kilka zdjęć na monitorze laptopa. Może ci goście umieli zacierać ślady, jednak byli tylko ludźmi, a ludzie popełniają błędy, nawet ci najlepsi. Zwłaszcza jeśli odpowiednio się ich przycisnie.

Otworzył zdjęcie satelitarne najbliższej okolicy, skinieniem dłoni przywołał Asha i zaczął przedstawiać mu swój plan.



## Rozdział 24

Nadajnik zakłócający, który przysłał im Nicholas, był wynalazkiem zrodzonym z potrzeby chwili podczas wojny w Iraku. Żołnierze amerykańscy instalowali w swoich pojazdach dużo większe wersje, które zakłócały łączność komórkową i inne sygnały bezprzewodowe. To z kolei niezwykle utrudniało przeciwnikom zdalną detonację ładunków wybuchowych, które ukrywali na poboczach dróg.

Podczas jednej ze swoich operacji w Syrii Harvath użył podobnego urządzenia, żeby oddzielić terrorystę od cywili, za którymi się ukrywał, dzięki czemu mógł go zlikwidować. Zamierzał uciec się tutaj do podobnego wybiegu. Jednak problem tkwił w tym, że teraz miał do czynienia z o wiele bardziej doświadczonym przeciwnikiem i musiał przewyciężyć szereg dodatkowych utrudnień. Założenie komuś worka na głowę zawsze było bardziej skomplikowane i niebezpieczne niż wpakowanie mu kulki między oczy ze stanowiska strzeleckiego na dachu. Harvath dobrze o tym wiedział. Wiele razy robił jedno i drugie. Wielką niewiadomą było wsparcie ze strony Ashera i jego ludzi. Chociaż jako weterani SAS wyznawali zasadę „śmiałym szczęście sprzyja”, on stawiał im poprzeczkę znacznie wyżej, niż było to uzgodnione w kontrakcie. Eskortowanie lekarki i cywilnego pracownika organizacji dobroczynnej to jedno, a uprowadzenie byłego żołnierza południowoafrykańskich sił specjalnych prosto z ulicy to zupełnie coś innego.

Przypuszczał, że jedno przemawia na jego korzyść. Gdyby Ash i jego ludzie nie byli zainteresowani kontynuowaniem współpracy, już dawno by się z nim pożegnali. Formalnie zrobili wszystko, co do nich należało, gdyż Harvath i Decker wrócili do Buni cali i zdrowi. Wywiązali się z warunków kontraktu i to nawet z nawiązką. Teraz wszystko zależało od tego, czego chcieli. A jeszcze ważniejsze było to, czego potrzebowali. Harvath rozumiał ich doskonale. Nie bez powodu zostali najemnikami, zamiast wozić turystów na łowiska albo budować jachty – i nie chodziło wyłącznie o to, że byli dobrzy w swoim fachu. Harvath prawdopodobnie mógłby wkręcić się

na Wall Street i szybko zarobić duży szmal, ale nie tego chciał; nie było to coś, czego potrzebował.

Potrzebował tego, co robił teraz. Potrzebował działania. To dlatego wciąż podejmował się kolejnych misji. Był w tym niezły i za każdym razem piekielnie się bał, ale to go ożywiało. Zapewniało mu uniesienie, którego nie zaznałby nigdzie indziej. Był od tego uzależniony jak od narkotyku. I jak narkotyk przedkładał to nad wszystko inne, nawet nad romantyczny urlop w jesiennej scenerii w towarzystwie osoby, która, jak twierdził, była dla niego bardzo ważna.

Krażące wśród żołnierzy jednostek specjalnych dowcipne powiedzenie brzmiało:

„Żebyś to nie był ty”. Chodziło o to, żeby nie okazać się tym, kto robi coś głupiego i wszystko spieprzy. Ale była to także przestroga, żeby nie robić rzeczy, których można by później żałować. Harvath wiedział, że gdyby odszedł z branży, żałowałby tego. Wiedział również, że nie ma nic bardziej żałowanego niż były komandos, który tęskni za zapachem prochu. Nigdy nie chciał stać się kimś takim. Dlatego nie odpuszczał i dalej robił swoje. Narzązał się i wiele razy mógł zginąć od kuli, noża albo rozerwany na kawałki, a to wszystko dlatego, że uwielbiał igrać ze śmiercią. Czy to było niedojrzałe? Być może, ale tak naprawdę czuł się o wiele lepiej w terenie. W domu pił i uzupełniał zapasy energii, jadł i ćwiczył, ale przez cały ten czas z niecierpliwością wyczekiwał kolejnego zadania, nawet nie wiedząc, dokąd tym razem będzie musiał się udać. I cały czas powtarzał, że chciałby założyć rodzinę, gdyby tylko udało mu się znaleźć odpowiednią partnerkę. Ale choć udało mu się ją znaleźć, i to nie raz – spotkał wiele wspaniałych kobiet, które były gotowe zrobić dla niego wszystko – nic z tego nie wychodziło. Nie była to wina kobiet. Oczywiście problem tkwił w nim samym. Chciał zjeść ciastko i nadal mieć ciastko. Inni jakoś godzili niebezpieczne wyzwania i zawrotne tempo kariery zawodowej z życiem rodzinnym. Dlaczego jemu się to nie udawało? Na to pytanie nie umiał sobie odpowiedzieć. Przynajmniej dopóty, dopóki naga Jessica Decker nie spróbowała wśliznąć się za nim pod prysznic. Po tym zdarzeniu rozjaśniło mu się w głowie. Był lojalny. Przez lojalność rozumiał dotrzymywanie obietnic, jakie złożył innym ludziom – czy dotyczyło to przysięgi wojskowej, czy wierności wobec partnerki. Ale chodziło o coś jeszcze, zwłaszcza w przypadku związków. Rzecz w tym, że nie myślał wyłącznie o

sobie. Musiał również liczyć się z drugą osobą. Właśnie to uświadomił sobie dzięki Decker. W tym tkwił jego problem.

Jego misje kończyły się powodzeniem, bo nie wahał się przed podejmowaniem skrajnego ryzyka. Lubił balansować na krawędzi. Im trudniejsze zadanie, tym większą czerpał z niego satysfakcję. Po części brało się to z tego, kim był i jak został wychowany. Ojciec wpoił mu, że nigdy nie należy się cofać. Taka była jego żołnierska natura. Gdy Harvath sam został żołnierzem, służba w Navy SEALs jeszcze go w tym przekonaniu utwierdziła. Łatwizna skończyła się wczoraj. Porażka nie wchodzi w grę. Nigdy nie odpuszczaj. Takie były zasady tej formacji, które stały się jego zasadami. Odcisnęły się głęboko w jego tożsamości i wpływały na każdą decyzję, którą podejmował. Ale czy mógłby spojrzeć w oczy jakiejś kobiecie i powiedzieć: „Choć tak bardzo cię kocham, moja praca zawsze będzie na pierwszym miejscu”? Czy nie oznaczało to porażki na gruncie partnerstwa? Czy było samolubne? Niedojrzałe? Nieuczciwe?

Ale chociaż uważał, że jest szczery i uczciwy wobec samego siebie, jeszcze jedna myśl kołatała się w jego głowie. Nie był to najlepszy moment na dociekanie prawdy o sobie, ale czuł, że nigdy wcześniej nie zbliżył się tak bardzo do jej odkrycia. „Jezu”, pomyślał, „ta praca jest jak narkotyk. Z szaleńczym uporem doprowadziła mnie do uzależnienia”. Była źródłem wspaniałych uniesień, a także dostarczała zaskakujących chwil olśnienia.

Zamiast odciąć się całkowicie od tych myśli, jak miał w zwyczaju, zostawił je za uchylonymi drzwiami w swojej głowie i skupił się na czymś innym. Może odpowiedź, której szukał, przyjdzie sama, a może nie. W tej chwili liczyło się tylko to, by doprowadzić operację do końca.

Pozostałe przedmioty, których potrzebował Harvath, nie były małe, ale zwitek banknotów sprawił, że Jambo i jego krewniacy zatroszczyli się o nie w mgnieniu oka. Mick pojechał z nimi, żeby ocenić ich poczynania, i wszystko zaaprobował. Wreszcie ostatnie elementy znalazły się na swoim miejscu i mogli przystąpić do działania. Kiedy Harvath uruchomił nadajnik zakłócający, Ash pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Jakie sprytne to cholerstwo – powiedział. – Do głowy by mi nie przyszło, żeby użyć tego w taki sposób.

– Każda robota jest prosta, jeśli masz odpowiednie narzędzia, nie?

– Stary, ale to tak, jakbyś ciachał deski młotkiem. Genialne.

Harvath uśmiechnął się i z powrotem skupił uwagę na nadajniku. Nie pomylił się co do Brytyjczyków. Ponieważ zapłata była odpowiednia, z chęcią pozostali przy nim, zwłaszcza że tyle się działo. W ciągu dwóch dni zapewnił im więcej atrakcji, niż mieli okazję doświadczyć przez kilka ostatnich lat. Minęło wiele czasu, odkąd bawili się w kowbojów i Indian. Ale tak naprawdę nie zrezygnowaliby z udziału w operacji, nawet gdyby nie mieli już możliwości zarobku. To, co wydarzyło się w Matumaini i w sąsiedniej wiosce, było tak okropne, że stało się ujmą na ich honorze. Skoro mieli szansę przyczynić się do wyrównania rachunku, pozostawali w pełni zaangażowani i nie zamierzali się wycofywać, dopóki wszyscy odpowiedzialni za tę masakrę nie poniosą zasłużonej kary. Robili to, co uważali za słuszne. Podobnie jak Harvath poczuli się, by stawać w obronie tych, którzy nie mogą bronić się sami.

Kiedy nadajnik był gotowy do pierwszej próby, Harvath zawiadomił Nicholasa, który miał sterować całą aparaturą zdalnie ze Stanów. Podczas akcji Harvath nie zamierzał siedzieć w mieszkaniu i przyciskać guzików – był bardziej potrzebny na ulicy.

– Dobra – powiedział do telefonu. – Zaczynaj, kiedy będziesz gotowy.

– Zrozumiałem – odparł Nicholas. – Czekać. Mick spojrzał na nadajnik.

– Czy ten sprzęt jest na tyle precyzyjny, że można go nakierować na jedną komórkę? – zapytał. – Nie zablokuje połączeń w całej dzielnicy?

– Przekonajmy się.

Kilka diod w obudowie zmieniło kolor, kiedy Nicholas, siedząc przy swoim komputerze w Stanach, zmieniał ustawienia. Obraz z kamer docierał do niego z opóźnieniem, ale nie na tyle dużym, żeby robiło to jakąś różnicę. Jego zadanie wymagało nie lada umiejętności, a Harvath wyjaśnił mu bardzo dokładnie, czego chce. Gdyby od razu padła czarna komórka, Hendrik mógłby nabrać podejrzeń. Dlatego najpierw wszyscy mieszkańcy obserwowanego budynku powinni doświadczyć problemów z zasięgiem. W końcu byli w Kongu, gdzie takie awarie się zdarzają. Brutale jako pierwsi zauważyli oznaki poruszenia w białym domu.

– Widzę jednego przy oknie – zameldował Eddie przez radio. – Pierwsze piętro, północno-zachodni narożnik. Trzyma w ręku telefon, jakby próbował złapać lepszy sygnał.

– Nie zapomnijcie o robieniu zdjęć – odparł Harvath.

– Przyjąłem.

Telefon komórkowy przestał być zwyczajnym urządzeniem elektronicznym. W gruncie rzeczy stał się częścią człowieka. Harvath był przekonany, że ilekroć rozlega się sygnał komórki, mózg jej właściciela uwalnia małą dawkę dopaminy. Miał wrażenie, jakby obserwował małpy, które naciskają dźwignię, żeby dostać się do jedzenia. Ktoś taki co chwilę zerkał na wyświetlacz, żeby się upewnić, czy nie dostał jakiejś wiadomości. Wystarczyło pozbawić go telefonu, choćby tylko na parę chwil, a zaczynał popadać w apatię.

– Coś się dzieje na podwórzu – odezwał się Ash. Mick podszedł do niego i stanął przy oknie.

– Och, patrzcie na tego faceta – powiedział ze śmiechem. – Kręci się, jakby gonił własny ogon. Podnieś, ciulu, ten telefon jeszcze wyżej. O tak, nad głowę. A teraz podskocz na lewej nodze i zobacz, czy pomogło, ty ćwoku.

Harvath uśmiechnął się i zapytał wszystkich obecnych w pokoju i na nasłuchu radiowym:

– Czy Hendrik już się pojawił?

– Ktoś się kręci przy drzwiach po zachodniej stronie – zgłosił się Eddie.

– Co widzisz?

– Na razie nic. Bądźcie w pogotowiu.

– Przyjąłem – odpowiedział Harvath. – Jesteśmy w pogotowiu.

Wszyscy zajęli się obserwacją swoich wydzielonych obszarów, a Harvath nie odrywał wzroku od monitora, na którym widniał obraz z zainstalowanych na dachu kamer.

– Widzę go – zameldował w końcu Eddie. – Jest nasz człowiek. To Hendrik.

– Jesteś pewien?

– Tak, to on.

Po otrzymaniu tej informacji Harvath polecił Nicholasowi powoli przywrócić normalną siłę sygnału.

– Chwyciło! – zawołał Mick, odwracając się od okna i pokazując uniesione kciuki. – Pora na małą przejażdżkę?

Harvath pokiwał głową.

– Pora na małą przejażdżkę.

## Rozdział 25

Asher lepiej znał swoich ludzi, więc kiedy opracowali plan działania, to on zdecydował, jak rozdzielić poszczególne role. Jambo został kierowcą wynajętej furgonetki, do której Ash i Harvath mieli wciągnąć Hendrika. Jadący za nimi jednym z land cruiserów Mick miał ich ubezpieczać, podobnie jak Simon i Eddie rozmieszczeni na dachach dwóch różnych budynków jako snajperzy. Jeden z kuzynów Jambo miał czekać przecznicę dalej w drugiej toyocie z włączonym silnikiem, żeby zabrać Brutali, kiedy będą się wycofywać. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, powinni się uwinąć w piętnaście minut. Jednak wiedzieli, że jeśli coś może się nie powieść, to na pewno się nie powiedzie, dlatego przygotowali szereg różnych planów awaryjnych i po sprawdzeniu broni i wyposażenia posprząтали oba mieszkania. Mick miał zabrać nadajnik zakłócający do samochodu i podłączyć zasilacz z przejściówką do gniazda zapalniczki. Urządzenie było przystosowane do działania w ruchu i Nicholas nadal mógł sterować nim zdalnie zza oceanu.

Oddalili się o kilka przecznic i skręcili w stronę nowej kryjówki, którą znaleźli dla nich krewniacy Jambo. Mieściła się tuż za miastem i była na tyle oddalona od innych domów, że nikt nie wiedział o ich obecności. Kilkakrotnie przemierzali ten odcinek tam i z powrotem, za każdym razem jadąc inną drogą, dopóki nie nabrali przekonania, że zaznajomili się z trasą. Najważniejsze było przeprowadzenie całej akcji tak dyskretnie, jak to tylko możliwe. Spodziewali się, że ludzie Hendrika przewrócą Bunię do góry nogami w poszukiwaniu swojego szefa. A jeżeli mieli jakiegokolwiek powiązania z MONUSCO, do przetrzęsania miasta mogły się przyłączyć tysiące żołnierzy. Wszystko zależało od synchronizacji i dyskrecji działania.

Jeszcze raz sprawdzili łączność radiową, po czym Harvath i Ash wsiedli do furgonetki, zasunęli za sobą drzwi i kazali Jambo ruszać. W drodze Harvath utrzymywał kontakt z Nicholasem i Mickiem, podczas gdy Ash przekazywał mu na bieżąco meldunki Simona i Eddiego, którzy obserwowali biały dom ze swoich stanowisk na dachach sąsiednich

budynków. Kiedy dojechali do celu i zaparkowali w odpowiednim miejscu, Harvath wysiadł z samochodu i zadzwonił do Nicholasasa.

– Zaczynij go powoli przygaszać – polecił mu, a potem zwrócił się do Asha: – Gotowy?

Brytyjczyk przytaknął i obaj zajęli pozycje za rogiem. Bez względu na to, którymi drzwiami Hendrik opuściłby budynek, Nicholas mógł bawić się z nim w ciepło-zimno, wzmacniając albo osłabiając sygnał sieci komórkowej i zmuszając go, aby szedł w pożądanym kierunku. Idąc w stronę zasadzki, najemnik powinien zauważyć, że siła sygnału stopniowo wzrasta. Nie potrzebowali wywabiać go daleko. Musiał tylko wyjść za róg, gdzie Harvath i Ash czekali, żeby zarzucić mu na głowę worek, wepchnąć go do furgonetki i szybko odjechać.

– Widzę jakiś ruch – zameldował Eddie. – Zachodnie drzwi, te same co ostatnio.

– Poznajesz, kto to jest? – zapytał Harvath.

– Nie on. Czekajcie.

Wszyscy wstrzymali oddech. Czekali w napięciu niczym ściśnięte sprężyny gotowe w każdej chwili wystrzelić. Mijały sekundy.

– Mam go – zameldował wreszcie Eddie. – To na pewno Hendrik.

– Przyjść – odparł Harvath. – Prowadź go do nas.

– Robi się – powiedział Brytyjczyk i wybrał numer komórki Nicholasasa, żeby informować go na bieżąco o położeniu celu.

Wszystko szło jak po maśle. Hendrik zbliżał się już do rogu, kiedy w słuchawkach rozległ się głos Simona.

– Macie towarzystwo. Jakaś kobieta z dwójką dzieci wyszła z budynku przy sąsiedniej ulicy i idzie w waszą stronę.

Siedzący za kierownicą furgonetki Jambo, który miał ich częstotliwość na nasłuchu, nie potrzebował dodatkowych instrukcji. Sięgnął po komórkę i zadzwonił do jednego ze swoich krewniaków, których Harvath rozstawił w różnych punktach w okolicy białego domu.

– Czysto – zameldował chwilę później Simon.

Harvath miał nadzieję, że wyczerpali już limit niespodzianek. Eddie zaczął go informować, ile jeszcze metrów zostało Hendrikowi do miejsca zasadzki.

– Jest półtora metra od was. Teraz metr. Pół metra... – Nagle zamilkł i wszyscy znów wstrzymali oddech. – Unosi jedną z komórek.

„No dawaj”, ponaglił go w myślach Harvath. Tak niewiele ci zostało. Jeszcze tylko dwa kroki. Tymczasem w Stanach Nicholas wzmocnił sygnał sieci, a potem obniżył go prawie do zera. To wystarczyło, żeby Hendrik znów ruszył przed siebie i wyszedł za róg.

Ash zaatakował pierwszy. Od ciosu w żołądek Afrykaner zgiął się wpół, a wtedy pięść Harvatha spadła na jego plecy między łopatkami, pozbawiając go tchu i powalając na ziemię. Podczas gdy Brytyjczyk zakładał mu worek na głowę, Harvath plastikową opaską skrępował mu ręce za plecami. Zanim zdążyli go podnieść, Jambo zatrzymał furgonetkę tuż obok i rozsunął przed nimi drzwi. Wrzucili Hendrika do środka, a Harvath zebrał z ziemi jego telefony i wskoczył do ruszającego samochodu. Przeszukał porwanego, któremu Ash w tym czasie spętał nogi w kostkach opaską samozaciskową. Znalazł przy nim browninga HP z dwoma zapasowymi magazynkami, a także dwa noże – jeden składany, który nosił w kieszeni, a drugi ze stałym ostrzem, w pochwie przytwierdzonej paskami do łydki. Mężczyzna miał przy sobie trochę gotówki i paszport ONZ, którego pracownicy tej organizacji powinni używać tylko podczas oficjalnych podróży służbowych. Harvath zdjął obudowy obu jego komórek, wyjął baterie i schował wszystkie części do kieszeni. Hendrik łapczywie chwycił powietrze, próbując odzyskać oddech.

Jechali w milczeniu. Mieli do czynienia z weteranem jednostek specjalnych i zdawali sobie sprawę, że przeszedł odpowiednie szkolenie, dzięki któremu potrafił się odnaleźć w takich sytuacjach. Wiedzieli, że gdy tylko zacznie normalnie oddychać, będzie próbował ustalić, co się dzieje – przez jego umysł przewiną się wszystkie możliwe scenariusze, a najmocniej przytłoczy go to, czego najbardziej się obawia. Cokolwiek to było, właśnie na tym Harvath chciał skupić jego uwagę. Im bardziej niepewny i zestresowany był Hendrik, tym lepiej. Ze swoim doświadczeniem i wyszkoleniem nie należał do ludzi, których łatwo jest złamać.

Kluczyli okrężną drogą, żeby się upewnić, czy nikt ich nie śledzi, i żeby wprowadzić Hendrika w jak największą dezorientację. Im mniej się domyślał, tym lepiej. Kiedy furgonetka zatrzymała się przed kryjówką na przedmieściach Buni, ciało skrępowanego mężczyzny zeszywniało. Ash pchnął go w stronę otwartych drzwi, ale natrafił na opór, więc zamachnął się i grzmotnął lewym łokciem w zasłoniętą kapturem twarz. Strumień wymieszanej ze śliną krwi z roztrzaskanych ust Afrykanera spłynął po jego podbródku i szyi, plamiąc koszulę. Harvath wysiadł i wywłókł go z



samochoodu, a potem położył twarzą do ziemi i przeciął nożem opaskę na jego kostkach. Z pomocą Asha postawił więźnia na nogi i obaj poprowadzili go do szopy na tyłach posesji.

W dusznym, zatechłym wnętrzu unosiła się woń benzyny i zwierzęcych odchodów. Specjalnie wybrali takie miejsce, w którym nie jest przyjemnie. Na środku stało metalowe krzesło. Posadzili na nim Hendrika i plastikowymi opaskami przymocowali jego kończyny do żelaznych nóg i podłokietników. Gdyby stawiał opór albo próbował się bronić, Ash był gotów wymierzyć mu cios w jeden z bardzo czułych punktów. On jednak się nie opierał. Nie wypowiedział nawet słowa.

Brytyjczyk został z więźniem, tymczasem Harvath wszedł do budynku, gdzie znalazł wszystkie przedmioty, które kazał tam dostarczyć. Zapakował najwięcej, jak się dało, do metalowej balii i kiedy dźwigając ją, wracał do szopy, na teren posesji wjechali Brutale i Mick. Ponieważ wszystkie samochody dotarły już do kryjówki, Jambo zamknął bramę na kłódkę i korzystając z pomocy kuzynów, przykrył furgonetkę plandeką. Simon i Eddie objęli wartę, a Mick pomógł przenieść resztę sprzętu do szopy. Wiedział już, że ma się nie odzywać przy więźniu.

Harvath zastanawiał się, jak najlepiej rozegrać kolejne posunięcie. Cała akcja przebiegła tak szybko i opierała się na tak niewielkiej ilości informacji operacyjnych, że trudno było rozstrzygnąć, jaka decyzja okaże się słuszna. Do tej pory ludzie Hendrika zdążyli się już zorientować, że coś się stało. Byli dobrze wyszkoleni i na pewno szybko przystąpili do działania. Najprawdopodobniej zaczęli od przeczesywania najbliższej okolicy. Chociaż Harvath i jego współpracownicy dokładali wszelkich starań, żeby nikomu nie rzucać się w oczy, musieli liczyć się z ryzykiem, że jednak ktoś zwrócił na nich uwagę. W takim wypadku mieszkańcy białego domu mogliby zacząć dopasowywać elementy łamigłówek, a wtedy najslabszym ogniwem w planie Harvatha stałoby się lotnisko. To tam skierowaliby się Afrykanerzy, gdyby odkryli, że porwanie jest sprawką białych, czyli najprawdopodobniej cudzoziemców. Mogliby postawić tam kogoś od siebie. Ale, w zależności od swoich wpływów w MONUSCO, mogliby również doprowadzić do zaostrzenia kontroli czy nawet do wstrzymania ruchu lotniczego.

Harvath nie chciał się przekonywać, do czego są zdolni. Musiał działać szybko, żeby cały czas wyprzedzać ich o krok. To dlatego mógł dać Janowi

Hendrikowi tylko jedną szansę na współpracę. Gdyby ją odrzucił, Harvath nie miałby innego wyjścia, jak nakręcić sprężynę do oporu i puścić korbę.

## Rozdział 26

Mając czas za sprzymierzeńca, można ciągnąć przesłuchanie w nieskończoność. Można cierpliwie dążyć do celu, nie zważając na upływające godziny, dni czy tygodnie. Zdarzało się, że w przypadku wyjątkowo opornych delikwentów przesłuchania ciągnęły się miesiącami, a nawet latami. Wszystko zależało od tego, jak szybko trzeba było wydobyć informacje i do jakich środków był gotów się uciec przesłuchujący, żeby tego dokonać.

A ponieważ tutaj czas pozostawał czynnikiem decydującym, zakres środków, które uchodziły za dopuszczalne, znacząco się rozszerzał. Harvath dał znak Asherowi, który włączył oślepiające lampy halogenowe zamocowane na statywach. Potem podszedł do Hendrika i ściągnął worek z jego głowy. Więzień zmrugał oczy, próbując mu się przyjrzeć, ale światło było zbyt mocne i zobaczył przed sobą tylko ciemną sylwetkę.

– Panie Hendrik – zaczął Harvath. – Zbyt dużo o tobie wiem, więc nie będę ci ubliżał, próbując nawiązać przyjazne relacje. Posiadasz informacje, na których mi zależy, a ja się śpieszę. Jeżeli zechcesz współpracować, zakończymy to szybko. Jeżeli nie zechcesz, też zakończymy to szybko, ale w sposób o wiele bardziej bolesny dla ciebie. Dam ci jedną szansę, żebyś odpowiedział na moje pytania. Jeżeli mnie okłamiesz albo odniosę wrażenie, że próbujesz się wykręcać, żarty się skończą. Musisz sobie uzmysłwić, że nie cofnę się przed niczym, żeby wydusić z ciebie wszystko, co chcę wiedzieć. Czy to jasne?

– Coś ty za jeden? – zapytał Hendrik. Harvath uderzył go otwartą dłonią w twarz.

– Ostrzegalem, żebyś nie próbował wykrętów – powiedział. – To ja jestem od zadawania pytań.

Afrykaner splunął krwią i uniósł głowę, mrużąc oczy.

– Jesteś Amerykaninem.

Tym razem Harvath uderzył go w to samo miejsce, ale pięścią. Cios był tak mocny, że więzień omal nie wywrócił się razem z krzesłem.

– Pierdol się – wymamrotał Hendrik, kiedy doszedł do siebie.

Harvath nie miał ochoty dłużej się z nim cackać. Wymierzył mu kolejny cios.

– Co robiłeś w Matumaini? – zapytał.

– Pierdol się.

Założył z powrotem worek na głowę więźnia i skinął na Asha i Micka, którzy obeszlili krzesło dookoła i przechylili je do tyłu. Kiedy Hendrik znalazł się w pozycji poziomej, Harvath zaczął polewać wodą tkaninę zasłaniającą jego twarz. Afrykaner zeszytniał, a potem zaczął się miotać. Po chwili Brytyjczycy postawili go z powrotem.

– Co robiłeś w Matumaini?

Hendrik zakasłał i wypluł wodę, próbując złapać oddech. Harvath dał mu kilka sekund, a kiedy nie doczekał się odpowiedzi, dał znak swoim pomocnikom i znów sięgnął po dzbanek z wodą. Po chwili go opróżnił i musiał wziąć drugi. Więzień miotał się jeszcze bardziej niż poprzednio.

Nie była to wytworna metoda. Harvath nie czerpał z tego przyjemności. Traktował to jak zwykłe narzędzie pozwalające osiągnąć zamierzony cel. Gdyby tylko Hendrik zaczął współpracować, byłoby po wszystkim.

– Co robiłeś w Matumaini? – zapytał ponownie.

Afrykaner krztusił się i prychał, usiłując oczyścić z wody swoje drogi oddechowe.

– Ktokolwiek ci płaci, nie wynagrodzi ci tego, co teraz przechodzisz. Powiedz mi, co robiłeś w Matumaini, i przestanę.

– Pierdol się – powtórzył Hendrik.

Musieli zacząć od nowa. Podłoga była już zalana wodą, a Harvath miał przemoczone buty i spodnie. Opróżnił drugi dzbanek i sięgnął po trzeci. Mieli do czynienia z twardym skurwielem, ale nikt nie był w stanie znieść czegoś takiego w nieskończoność. Waterboarding potrafił złamać każdego. Było to tylko kwestią czasu, a ich więzień zbliżał się już do punktu krytycznego.

– Operacja... humanitarna... – wykrztusił wreszcie, dławiąc się i wymiotując wodą.

Harvath dał znak Brytyjczykom, którzy postawili krzesło.

– Co powiedziałeś? – zapytał po chwili, kiedy Afrykaner złapał oddech.

Wiedział, że nawet kiedy pękają najwięksi twardziele, nie należy wierzyć w ich zeznania, dopóki wszystko nie zostanie potwierdzone. Niektórzy wyrzucali z siebie tylko potok niezrozumiałych słów. Doprowadzeni na

skraj wytrzymałości psychicznej mogli mówić prawdę, ale równie dobrze mogły to być kompletne bzdury.

Harvath skinął na Asha i Micka, którzy znów stanęli za reflektorami, a potem zdjął worek z głowy więźnia.

– Posłuchaj mnie – powiedział. – Jeśli kłamiesz, znowu będziesz się kąpał.

Zrozumiałeś?

Oszołomiony Hendrik potrząsnął głową. Harvath spoliczkował go i sięgnął po kolejny dzbanek z wodą.

– To była operacja humanitarna – odezwał się Afrykaner drżącym głosem.

– Operacja humanitarna? Wymordowaliście całą wioskę i wszystkich w klinice, a ty to nazywasz operacją humanitarną?

– Trzeba było to powstrzymać. Mogło umrzeć więcej ludzi.

– Co powstrzymać?

– Epidemię.

– Jaką epidemię?

Hendrik milczał i dopiero kolejny cios otwartą dłonią w twarz przywrócił mu mowę.

– Jeden z pacjentów uciekł – wyjąkał.

– Skąd uciekł? Z Matumaini? O czym ty mówisz?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Harvath znów podniósł przemoczony worek i zaczął go naciągać na głowę więźnia, który wreszcie przerwał milczenie:

– Nie z Matumaini – wyjaśnił. – Z Ngoa.

– Co to jest Ngoa?

– Wioska. WHO ma tam swój ośrodek badawczy. Laboratorium.

– Laboratorium Światowej Organizacji Zdrowia? Nad czym tam pracują?

– Nie wiem.

Odpowiedź padła odrobinę zbyt szybko, a poza tym Harvath dostrzegł na twarzy Afrykanera ledwie uchwytny grymas zdradzający kłamstwo.

– Okłamujesz mnie – powiedział, wbijając w niego wzrok. – A co się dzieje, kiedy kłamiesz?

– Nie kłamię – zapewnił go więzień, ale Harvath naciągnął worek na jego twarz i skinął na Brytyjczyków, którzy chwilę później zaczęli znów przechylać krzesło. – Afrykańska gorączka krwotoczna! – krzyknął. – Prowadzili tam eksperymenty z wirusową gorączką krwotoczną!

- To coś takiego jak ebola?
- Gorzej.
- W jakim sensie? – zapytał Harvath, a ponieważ Hendrik nie odpowiedział od razu, przechylił dzbanek nad jego twarzą.
- Oni zrobili z tego broń biologiczną. Wynaleźli sposób...
- Jaki sposób?
- Przez powietrze – odpowiedział Afrykaner, kręcąc głową na boki, żeby uciec przed strumieniem wody. – Opracowali sposób przenoszenia wirusa drogą powietrzną.

# Rozdział 27

DOLINA SHENANDOAH, WIRGINIA

Clifton, oddalona o godzinę jazdy od Waszyngtonu luksusowa posiadłość o powierzchni przeszło stu sześćdziesięciu hektarów, należała kiedyś do Warnera Waszyngtona, kuzyna pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Pierre Damien uwielbiał to miejsce ze względu zarówno na jego historię, jak i wytworną rezydencję w stylu klasycystycznym z malowniczym widokiem na masyw Pasma Błękitnego. Jerzy Waszyngton spędzał tam wiele czasu i kiedy Damien przechadzał się po majątku, wyobrażał sobie, że stąpa po śladach historii. Zastanawiał się, czy gdyby Waszyngton żył w obecnych czasach, postrzegałby świat w taki sam sposób. Czy zdałby sobie sprawę, że w takiej epoce jak nasza pewne filozofie i poglądy na kwestię sprawowania władzy umarły śmiercią naturalną? Czy ktoś tak szlachetny nie uświadomiłby sobie, że samolubne dążenia jednostek tylko szkodzą ludzkości, zamiast sprzyjać postępowi? Jako farmer, człowiek tak mocno związany z ziemią, z pewnością traktowałby poważnie zobowiązania, jakie wszyscy mamy wobec swojej planety.

Wciągając głęboki haust rześkiego jesiennego powietrza, Damien poczuł zapach natury. Odległe pasma gór mieniły się bogactwem kolorów. Nie znał miejsca, które byłoby piękniejsze o tej porze roku. Spośród wszystkich swoich posiadłości, włącznie z prywatną wyspą na Bahamach, to Clifton darzył największą sympatią. Właśnie dlatego zapragnął przywieźć tu Helenę. Poza tym musiał dokończyć przygotowania. Tego wieczoru miał się odbyć ostatni przed dłuższą przerwą uroczysty bankiet jego organizacji.

Stowarzyszenie Thomasa Malthusa nie miało swojej strony internetowej ani adresu poczty elektronicznej. Skład członkowski był jedną z najpilniej strzeżonych tajemnic w Waszyngtonie. Stowarzyszenie czerpało z dorobku osiemnastowiecznego duchownego i myśliciela, Thomasa Roberta Malthusa, a w szczególności z jego traktatu Prawo ludności. Jako autorytet w dziedzinie ekonomii politycznej i demografii Malthus głosił pogląd, że

ludzkość nigdy nie zdoła stworzyć społeczeństwa idealnego, jeżeli nadal będzie pozwalać na niekontrolowany przyrost populacji. Jedynym sposobem na ocalenie ziemi i poprawę warunków bytowych ludzi było zmniejszenie ich liczebności – czyli coś, o co jego zdaniem matka natura zadba w końcu sama poprzez klęskę głodu i epidemii o szerokim zasięgu. Ta przewidywana redukcja gatunku ludzkiego była powszechnie znana pod nazwą „katastrofy maltuzjańskiej”. Miała dopiero nastąpić, ale nie brakowało takich, którzy nie tylko uważali ją za konieczną, lecz także byli gotowi ją przyśpieszyć. Mówili o niej, używając prostego określenia: „wydarzenie”. Niektórzy z nich mieszkali i pracowali w Waszyngtonie.

Zwyczajowo składniki wszystkich potraw serwowanych na bankiecie pochodziły z lokalnych upraw i hodowli. Te, które trafiły na stoły tego wieczoru, dostarczyła farma w Clifton. Na gości czekały świeże zioła, sałata, rzodkiew, szczaw, szczypiorek i czosnek, a także łopatka jagnięca, pierś z kaczki i pasztet strasburski oraz sery z koziego i owczego mleka. Gwoździem programu był deser. Pierwszy prezydent słynął ze swojego zamiłowania do lodów i na jego cześć Damien przygotował lody truskawkowe według oryginalnej receptury przechowywanej w rodzinie Waszyngtonów. Prócz tego podano szeroki wybór win organicznych, porto o wyjątkowo szlachetnym smaku i wyśmienitą, świeżo paloną kawę z certyfikatem fair trade, jakiej nie kosztowała jeszcze żadna z zaproszonych osób.

Goście spodziewali się, że czeka ich wspaniała ucztą. Damien nie tylko był oszałamiająco zamożny, ale cechowało go także wyczucie smaku. Dla stowarzyszenia była to najdonioślejsza uroczystość tego roku. Rozmowy krążyły wokół wydarzeń w kraju i za granicą, ale zahaczały również o tematy z dziedziny nauk przyrodniczych, matematyki, literatury, sztuki i kultury. Towarzystwo na bankiecie składało się z mężczyzn i kobiet o wybitnej erudycji. Ich inteligencja mogła się równać tylko z ich władzą i dlatego to właśnie na nich padł wybór Damiena. Miliarder wiedział to i owo o władzy, o niepozornych regułach, z których inni często nie zdawali sobie sprawy. Szefowie agencji rządowych i ich bezpośredni podwładni przychodzili i odchodzili, podlegając cykлом wyborczym i zmianom koniunktury. To samo dotyczyło polityków. Tylko tyle były warte ich wpływy. Prawdziwą władzę posiadali ci, którzy zajmowali pozycje w najgłębszych zakamarkach maszyny rządowej. Niczym Czarnoksiężnik z Krainy Oz stali za kulisami i zawsze wiedzieli, za które sznurki należy



pociągnąć. To oni trzymali w rękach odpowiednie dźwignie. Potrafili zmieniać dekoracje i przyciemniać albo rozjaśniać światło, padające na scenę. Jako urzędnicy średniego szczebla nie tylko mieli dostęp do trybików, ale obracali nimi. Zнали zasady gry. Przejrzeli na wylot cały system. Panowali nad nim od lat. To do nich należał nowożytny Rzym, miniaturowe imperium nad Potomakiem, niezależne państwo w państwie.

Nowy Rzym nie znał zawirowań ekonomicznych. Obce mu były opuszczone witryny sklepowe, spadek cen nieruchomości czy redukcja poziomu wynagrodzeń. Podatki, opłaty, grzywny i oprocentowania kredytów rosące do niebotycznych rozmiarów sprawiły, że skarb państwa był pełny. W Nowym Rzymie gospodarka rozkwitała. Zapowiadała się świetlana przyszłość. Nie oznaczało to jednak, że imperium jest bezpieczne. Podczas gdy jego fortuna rosła, ono samo stawało się obiektem coraz lepiej zorganizowanych i długotrwałych ataków ze strony prowincjuszy. Określenie „prowincjusze” miało obraźliwy wydźwięk i odnosiło się do ogółu ludności zamieszkującej tereny poza Waszyngtonem oraz innymi amerykańskimi metropoliami. Za pośrednictwem mediów społecznościowych, garstki przychylnych agencji informacyjnych i ruchów obywatelskich prowincjusze toczyli nieustanną wojnę partyzancką, domagając się ukrócenia wszechwładzy Nowego Rzymu. Z punktu widzenia mieszkańców imperium była to dziwna, głupia i prymitywna wojna, którą rozpętali dziwni, głupi i prymitywni ludzie. Będący w dodatku mniejszością wśród siebie podobnych. Zamiast nasycić się strawą z McDonald’sa i telewizyjnych reality show, jak cała reszta prowincjonalnych hobbitów, z obsesyjnym wręcz zapałem wtrącali się w sprawy stolicy i mówili, co należy zmienić. Ale skoro tak bardzo leżał im na sercu los Waszyngtonu, czemu wciąż siedzieli na tyłkach w Tennessee, Teksasie, Idaho czy Indianie? Czemu nie wsiedli do autobusów wraz ze swoimi spasionymi dziećmi i nie przyjechali nad Potomak, żeby się przydać? Odpowiedź była prosta – bo to ich przerastało. Nie mieli pojęcia, jak działają organa władzy, a tym bardziej jak znaczącą rolę odgrywają pracownicy administracji państwowej. Bez nich wszystko stanęłoby w miejscu – cały kraj. Gdyby ich zabrakło, nie miałyby kto pobierać opłat za wstęp do parków narodowych, egzekwować ustawy o posiłkach dla uczniów czy pilnować granic, a to i tak byłby dopiero początek. Więźniowie tylko czekali na taką okazję, żeby wydostać się na wolność. Nie można było dopuścić, aby kiedykolwiek doszło do czegoś takiego.

Wszystko, co się rozwija, z definicji żyje. Waszyngton nie był wyjątkiem. Dla rządu federalnego, jako żywego organizmu, podstawowym zadaniem było przetrwanie. Musiał rozprawić się ze wszystkim, co zagrażało jego istnieniu. Kiedy prowincjusze przypuścili szturm, używając niedorzecznych sloganów i praw wyborczych niczym żagwi i oręża, Nowy Rzym był na to przygotowany. Sięgnął po broń, której nikt się nie spodziewał, mobilizując swoje agencje federalne. Urząd podatkowy, Departament Sprawiedliwości, Agencja Ochrony Środowiska i Biuro do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej zwały szeregi, odpierając jeden po drugim kolejne ataki. Prowincjusze mogli szturmować umocnienia do woli, ale nie mieli żadnych szans. Nikt nie mógł pokonać władz miasta, a tym bardziej wyjść cało ze starcia z rządem federalnym. Nowy Rzym mógł odebrać wszystko dowolnej osobie i zamknąć ją w więzieniu. To nie była równa walka i nie miała taka być.

Nowy Rzym za każdym razem robił wszystko, co konieczne, żeby zwyciężyć. Przetrwanie było dla niego o wiele ważniejsze niż odpowiedzialność wobec nieświadomych niczego obywateli. Gdyby rzeczywiście przejmowali się losem miasta, poświęciliby mu dużo więcej uwagi. Jednak ich to nie obchodziło, dlatego imperium robiło swoje.

Zjawisko to fascynowało Damiena, który przysłuchiwał się rozmowom przy stole jak urzeczony. Ludzie, którzy go otaczali, nie byli źli. Tak naprawdę cechowały ich niepospolite współczucie, przenikliwość i skupienie. Mówiąc krótko, byli pełni zrozumienia. Zdawali sobie sprawę nie tylko z tego, jak wysoka jest stawka, ale również, co ważniejsze, jakie kroki należy podjąć. Byli realistami. Chociaż Damien nie był religijny, żywił przekonanie, że to właśnie oni są błogosławionymi, którzy posiadają ziemię. Dlatego ich wybrał.

To był urzekający wieczór. Wszyscy chcieli, żeby trwał jak najdłużej i żeby nikt się niczym nie trapił. Łamiąc regułę, zgodnie z którą raczyli się tylko lokalnymi produktami, Damien kazał Jeffery'emu przynieść jedno ze swoich najlepszych win. To była butelka płynnego złota, Château d'Yquem rocznik 1934. Zachował ją specjalnie na ten właśnie wieczór. Miedziany odcień wina przypomniał mu o magicznym ptaku, który był symbolem kolejnej fazy jego planu. Wart siedem tysięcy dolarów trunek odznaczał się niezwykle obfitym bukietem, który łączył w sobie aromaty wanilii, pomarańczy, karmelu i ziół, wzbogacone bardziej przyziemnymi akcentami

kawy i gorzkiej czekolady. Miał wyśmienity smak i trudno było sobie wyobrazić lepszy sposób na uczczenie narodzin nowego świata.

Oczywiście Damienowi było niezmiernie przykro, że nie mógł dzielić tych chwil z Heleną ani pochwalić się nią współbiesiadnikom. Ponieważ nie należała do stowarzyszenia, nie mogła uczestniczyć w bankiecie. Czekwała na niego w zajeździe, gdzie zamówił dla niej dania z jej ulubionej kuchni włoskiej. Zamierzał do niej dołączyć, kiedy tylko wyjdą ostatni goście. Posłał Jeffery'ego po kolejną butelkę Château d'Yquem. Tym razem był to wyśmienity, choć nie tak kosztowny rocznik sześćdziesiąty szósty. Niektórzy częstowali się winem, inni nie. Dwadzieścia minut później członkowie stowarzyszenia zaczęli kolejno dziękować mu za przyjęcie i opuszczać posiadłość. Kiedy wszyscy wyszli, siedząca obok kobieta wyciągnęła rękę i położyła dłoń na jego ramieniu.

– Co za wspaniały wieczór, Pierre – powiedziała.

Damien uśmiechnął się w odpowiedzi. Linda Landon pracowała dla rządu federalnego od przeszło czterdziestu lat, Nowy Rzym nie miał więc przed nią tajemnic. Była podporą Damiena, wspierała go we wszystkim, co zamierzał zrobić.

Landon sięgnęła do torebki, z której wyjęła małe pudełeczko.

– Mam coś dla ciebie.

– Lindo, nie powinnaś dawać mi prezentów.

– Nie, nie – zaprzeczyła, spuszczać wzrok i kręcąc głową. – To tylko mały talizman.

Damien uniósł wieczko pudierka. Wewnątrz znajdowała się para srebrnych spinek do mankietów.

– Ten wzór to węzeł gordyjski – wyjaśniła kobieta. – Pomyślałam, że ci się spodoba.

Nie pomyliła się. Był to jeden z jego ulubionych starożytnych mitów. Węzeł symbolizował zawiły problem, z którego można wybrnąć tylko poprzez radykalne i nieszablonowe działanie. Mit opowiadał o Gordiosie, który świętując wstąpienie na tron, ofiarował Zeusowi swój rydwan, przywiązując pojazd do słupa za pomocą niezwykle skomplikowanego węzła. Zgodnie z przepowiednią wyroczni ten, kto zdołałby go rozsuptać, zostałby panem całej Azji. Podobnie jak w przypadku legendy o mieczu tkwiącym w kamieniu, wielu próbowało i odchodziło z niczym. Wtedy w mieście zjawił się Aleksander Wielki. Długo szukał luźnych końców liny,

od których mógłby zacząć rozplątywanie, a gdy nie znalazł żadnego, dobył miecza i przeciął węzeł. Później wyruszył na podbój Azji.

– Są bardzo piękne. Dziękuję.

– Cieszę się, że ci się podobają – odparła Landon. – Myślę, że powinniśmy teraz porozmawiać...

Damien przerwał jej, unosząc palec do ust, kiedy do jadalni wszedł Jeffery, żeby zapytać, czy czegoś potrzebują.

– Może napijemy się jeszcze kawy? – zasugerowała.

– Zaparz dwie – rozkazał gospodarz. – Wypijemy je w bibliotece. Jeffery przytaknął i odszedł w stronę kuchni.

Damien wstał i wskazał swojej powierniczce drogę do przestronnego holu. Jego ściany zdobiły wspaniałe obrazy olejne w grubych pozłacanych ramach, przedstawiające sielankowe sceny polowań, łowienia ryb i pracy na roli. Landon mogła sobie tylko wyobrazić, jak dużo musiały kosztować. Za okazałą klatką schodową znajdowały się eleganckie kasetonowe drzwi. Damien otworzył je i odsunął się na bok, żeby przepuścić Landon, która przestąpiła próg i gwałtownie przystanęła. Na ustawionej naprzeciwko kominka sofie siedziała młoda atrakcyjna kobieta w dżinsach i dosyć obcisłej bluzie i czytała książkę.

– Heleno – zwrócił się do niej miliarder, nie kryjąc zdumienia. – Co tu robisz?

– Przyszłam po książkę – wyjaśniła, odkładając oprawiony w skórę tom, po czym wstała i podeszła do Landon.

– Jestem Helena – przedstawiła się, wyciągając do niej rękę. – Helena Pestova.

– Miło mi. Mam na imię Linda.

Helena czekała przez chwilę, ale starsza kobieta nie zdradziła jej swojego nazwiska.

Damien nie zaplanował ich spotkania. W gruncie rzeczy nie chciał, aby Helena poznała któregokolwiek z członków stowarzyszenia. Uprowadził ją, że bankiet jest nudnym służbowym obowiązkiem. Żadnych współmałżonków ani bliskich osób. Helena sprawiała wrażenie, jakby przyjęła to bez zmrużenia oka, ale jej obecność w bibliotece świadczyła o czymś innym. Chciała, żeby Damien poświęcił jej uwagę, a on już wkrótce zamierzał to zrobić, ale najpierw musiał dokończyć ważną rozmowę.

– Mamy jeszcze do omówienia kilka spraw – powiedział. – Znajdę cię później.

Dobrze?

– Dobrze.

Helena pocałowała go w policzek, po czym zabrała książkę i swój telefon komórkowy i skierowała się w stronę wyjścia. W drzwiach przystanęła i spojrzała na starszą kobietę, która właśnie usiadła na sofie i wyciągała z torby laptop.

– Miło było cię poznać.

Landon posłała jej zjadliwy uśmiech.

– Nawzajem, moja droga.

Gdy Helena wyszła, w bibliotece pojawił się Jeffery, niosąc na tacy serwis kawowy, który ustawił na małym stoliku obok kominka.

– Czy będą państwo czegoś jeszcze potrzebować? – zapytał.

Damien, który zajął miejsce za swoim zabytkowym biurkiem, rozejrzał się dookoła.

– Myślę, że niczego nam nie brakuje – odparł. – Dziękuję ci.

Gdy jego lokaj opuszczał już bibliotekę, Pierre zauważył, że Helena zostawiła ładowarkę do komórki. Zawsze o niej zapominała. Zapomniałaby nawet o swojej cudnej głowie, gdyby nosiła ją luzem. Ciągle gdzieś gubiła tę głupią ładowarkę. Miał ochotę zawołać Jeffery'ego, aby wyjął ją z gniazdka i zaniósł właścicielce, ale się rozmyślił. Nie chciał już więcej wspominać o Helenie w obecności Landon, która czuła do niego słabość, chociaż była mężatką. Wiedział o tym i skrzętnie to wykorzystywał. Jej lojalność wobec niego nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Teraz zamierzał poddać ją ostatecznej próbie.

Otworzył swój laptop i uruchomił go. Obok położył zakodowany telefon komórkowy, który przygotował dla swojej powierniczki.

– Bierzmy się do pracy – powiedział z uśmiechem.

## Rozdział 28

RESTON, WIRGINIA WTOREK

Harvath zdecydował, że nie będą korzystać z lotniska w Buni. To było zbyt niebezpieczne. Ryzykowali mniej, próbując dojechać drogą na południe do Gomy. Hotel Ihusi nad jeziorem Kiwu niedaleko granicy z Rwandą był miejscem, w którym mogli się zaszyć i czekać, aż przyleci po nich odrzutowiec ze Stanów. Roiło się tam od najemników, przemytników, prostytutek, pracowników organizacji pozarządowych i wszelkiej maści indywiduów. Harvath przypomniał sobie scenę w kantynie z Gwiezdných Wojen. Najlepsze było to, że każdy pilnował swoich spraw. Jeżeli ktoś nie chciał towarzystwa, nikt go nie zaczepiał.

Zorganizowanie wyjazdu pochłonęło całą resztę gotówki, jaka została Harvathowi. Jednak sytuację komplikował fakt, że Decker stanowczo odmówiła współpracy. Nie dość, że nie chciała brać udziału w planie Harvatha, to jeszcze postanowiła wrócić do Matumaini i zająć się odbudową kliniki. To jednak absolutnie nie wchodziło w grę. Naraziłaby się na zbyt wielkie niebezpieczeństwo. Klinika była miejscem zbrodni, a poza tym mogli się tam pojawić ludzie Hendrika albo rebelianci. W ciągu zaledwie kilku dni Harvath zdążył sporo narozrabiać w tej części Konga. Wkurzył tym sporo ludzi i spodziewał się, że będą się chcieli odegrać.

Jedynym rozsądnym wyjściem było jak najszybsze opuszczenie kraju. Usiłował przekonać do tego Decker, ale nie chciała go słuchać. W końcu zadzwonił do Beamana i poprosił, żeby przemówił jej do rozsądku. Beaman dał jej jasno do zrozumienia, że klinika Matumaini jest strefą zakazaną. Zasugerował, aby wróciła do Stanów i zaczekała, aż sytuacja się uspokoi. Nie zgodziła się i oświadczyła, że postanowiła udać się do Kinszasy, chociaż tamtejsza klinika CARE nie została jeszcze otwarta. Beaman nie zdołał jej przekonać i powiedział Harvathowi, żeby dał jej wolną rękę.

Harvath pożegnałby się z nią bez żalu, ale nie zamierzał zostawiać jej w Buni. Uważał, że będzie bezpieczniej, jeśli pojedzie z nimi do Gomy, skąd

również odlatywały samoloty do Kinszasy. Oczywiście Decker stanęła okoniem.

Wypytywała go, gdzie się podziewał i dlaczego kazał jej czekać przez dwa dni w hotelu z Leonce'em i jego synem. Harvath nie miał obowiązku niczego jej wyjaśniać, mimo to powiedział, że natrafili na ślad ludzi odpowiedzialnych za to, co stało się w klinice i sąsiedniej wiosce. Kiedy odmówił ujawnienia szczegółów, naskoczyła na niego z furią. To był bezwzględny i w dużej mierze nieuzasadniony atak, ale Harvath pozwolił jej wyrzucić z siebie wszystko, a potem kazał się pakować. Powiedział, że zawiozą ją na lotnisko, co w zasadzie było prawdą. Nie wspomniał tylko, na które.

Kiedy doszła do siebie po kolejnym ataku wściekłości, wywołanym odkryciem, że nie jadą na lotnisko w Buni, Harvath wtajemniczył ją trochę bardziej w to, co się wydarzyło. Ograniczając się tylko do niezbędnych informacji, wspomniał o Hendriku i wyjaśnił, że zamierza wywieźć go z Konga prywatnym odrzutowcem, który miał przylecieć po nich do Gomy. Planował przemycić go przez granicę jako ciężko chorego pacjenta, więc potrzebował pomocy lekarza. Decker nie tylko odmówiła, ale jeszcze palnęła mu wykład na temat etyki.

Harvath zaczął tracić cierpliwość. Kiedy dotarli do hotelu, pomógł jej zanieść torbę do pokoju, a potem zamknął Decker w łazience i spiął drzwi plastikową opaską. Po jego wyjeździe z Konga miała zostać uwolniona i zawieziona na lotnisko. Do tego czasu Eddie i Simon mieli na zmianę jej pilnować. Harvath nie zamierzał dopuścić, żeby pokrzyżowała jego plany.

Jambo wyruszył na poszukiwania i za ostatnie pieniądze wynajął odpowiednich ludzi i kupił niezbędne dokumenty. Całą resztę musieli wypożyczyć. Asha i Micka nawet nie trzeba było prosić o pomoc. Gdy pozostali zajęli się listą zadań, Harvath rozpakował bagaż Jessiki Decker. Jeden z ekspertów medycznych współpracujących z Carlton Group wyjaśnił mu przez telefon krok po kroku, jak przygotować środki odurzające, które zamierzał zaaplikować Hendrikowi.

Harvath miał mieszane uczucia w związku z wyjazdem. Zdobył potrzebne informacje i musiał wracać do Stanów, jednak w Kongu pozostało kilka rachunków, które należało wyrównać. Chociaż chciał, żeby Hendrik i jego ludzie odpowiedzieli za makabryczne czyny, których się dopuścili, teraz głównym obiektem zainteresowania amerykańskich władz było laboratorium Światowej Organizacji Zdrowia w Ngoa. Reed Carlton

odbył bardzo poufną rozmowę z prezydentem Stanów Zjednoczonych i dyrektorem CIA, zapoznając ich z doniesieniami Harvatha. Zapadła decyzja o wszczęciu dochodzenia i do Konga miał zostać wysłany tajny zespół z Wojskowego Instytutu Badań Medycznych nad Chorobami Zakaźnymi, który mieścił się w Fort Detrick w Maryland. Grupa Rozpoznania Badawczego i Taktycznego była połączeniem jednostki do zadań specjalnych i zespołu naukowców. Jej członkowie byli wyposażeni i wyszkoleni, tak by stawić czoła wszelkim zagrożeniom, jakie mogli napotkać, zarówno biologicznym, jak i chemicznym, oraz samym ludziom. Ich misja polegała na zabezpieczeniu wszelkich podejrzanych materiałów, jakie mogli odkryć w Ngoa, i dostarczeniu ich do Stanów Zjednoczonych.

Z kolei Harvath miał za zadanie wywieźć Hendrika z Konga i przekazać go grupie dochodzeniowej na Malcie. To właśnie w tym przedsięwzięciu doktor Jessica Decker nie chciała brać udziału. W innych okolicznościach nie przejąłby się tym zbytnio, ale Hendrik był ważnym świadkiem i gdyby zaczął umierać w czasie lotu, to on musiałby go ratować. Bez względu na wszystko samolot miał lecieć prosto na Maltę. Gdyby wylądowali gdzieś po drodze, a Hendrik odzyskawszy przytomność, zaczęłby wzywać pomocy, Harvath i piloci trafiliby do najbliższego więzienia.

Carlton Group przemyślała wielu aresztantów przy użyciu samolotów służących do transportu medycznego. Właściciel spółki Sentinel Medevac był patriotą, który darzył wielką życzliwością Harvatha i Starego. Nie mogli dopuścić, żeby dwaj jego piloci zostali aresztowani, a bardzo drogi odrzutowiec uległ konfiskacie. Oprócz Malty żadne inne lotnisko nie wchodziło w grę, dlatego Harvath tak długo wisiał na telefonie, wypytując o właściwe dawkowanie.

Hendrik miał dostać silną dawkę leku uspokajającego. Tak silną, żeby nie był w stanie powiedzieć słowa, jęknąć ani nawet się poruszyć. Zadanie Jambo polegało na przekupieniu urzędników na lotnisku i załatwieniu stosownych papierów z ministerstwa zdrowia. Ash i Mick zajęli się scenografią i rekwizytami. Ich rola sprowadzała się do zorganizowania jak najbardziej wiarygodnego przedstawienia.

Kiedy rozległ się sygnał komórki, Harvath zostawił Hendrika pod nadzorem jednego z Brutali i wyszedł na parking. Zastał tam Micka, który stał uśmiechnięty przed jednym z land cruiserów.

Wszystkie pojazdy należące do ONZ były białe i miały wymalowane na karoserii czarne litery. Dzięki temu łatwo było je zauważyć i rozpoznać.



Łatwo było również przygotować imitację takiego pojazdu. Obie ich toyoty były już białe, więc wystarczyło wykaligrafować na nich w odpowiednim miejscu litery UN. Jednak Mick posunął się nawet o krok dalej i zdobył odpowiednią czarną farbę o wysokim połysku. Brytyjczycy nie tylko wykonali powierzone zadanie, ale jeszcze zadbali o najdrobniejsze szczegóły. Ponieważ drugi land cruiser był przystosowany do przewozu ekwipunku, nadawał się idealnie do przerobienia na ambulans. Zresztą w Kongu dosyć często można było spotkać ten model toyoty występujący w takiej roli. W środku znajdowało się wszystko, o co prosił Harvath, a także parę rzeczy, o których nawet nie wspomniał. Przedsiębiorczość weteranów SAS zrobiła na nim nie lada wrażenie.

Wisienką na torcie były dokumenty z ministerstwa zdrowia, które załatwił Jambo. Zważywszy na wszystko, co przygotowali, Harvath nie wątpił, że uda im się przemycić Hendrika bez przygód. Jednak nie zapominał, że nadal jest w Kongu i nie może być niczego pewien, dopóki nie znajdzie się po drugiej stronie granicy. Po powrocie do pokoju przyszło mu do głowy, że mógłby dać Decker ostatnią szansę i jeszcze raz zaproponować, żeby poleciała razem z nim, ale szybko porzucił ten pomysł. Lekarka podjęła już decyzję. Nie mógł dopuścić, aby jej złośliwość albo chybione poczucie moralności naraziły na szwank ostatnią fazę operacji. Mógł sobie poradzić bez niej i monitorować stan Hendrika podczas lotu, mając pod ręką telefon satelitarny, aby w razie potrzeby skonsultować się z lekarzem. Był pewien, że cokolwiek się wydarzy, potrafi nad tym zapanować. Hendrik miał trafić na Maltę i koniec.

Kiedy jeden z pilotów zawiadomił Harvatha, że samolot wylądował w Gomie, rozpoczęło się odliczanie. Najpierw należało zaaplikować Hendrikowi środek odurzający. Związany i zakneblowany Afrykaner zaczął się miotać po podłodze niczym krokodyl, kiedy zobaczył strzykawkę. Ash, Mick i Jambo musieli go trzymać, żeby Harvath mógł zrobić mu zastrzyk. Chwilę później jego gałki oczne wywróciły się w głąb czaszki i stracił przytomność. Brytyjczycy szybko przebrali go w szpitalną koszulę i położyli na noszach, a Harvath podłączył mu kroplówkę.

Po otrzymaniu drugiej wiadomości od pilota, który informował, że uzupełnił paliwo i jest gotów do startu, wyruszyli w drogę. Upewniwszy się, że na hotelowym parkingu nikogo nie ma, wynieśli Hendrika na zewnątrz i przełożyli go na nosze, wyposażone w komorę izolacyjną do

transportu zakaźnie chorych, które czekały przygotowane w samochodzie. Przypięli jego ręce i nogi opaskami zaciskowymi, a potem zamaskowali wszystko, okrywając go szpitalnymi kocami. Harvath jeszcze raz sprawdził jego funkcje życiowe i zasunął suwak komory.

Po tym, jak przygotowali Hendrika do drogi, założyli okulary ochronne, maseczki chirurgiczne i jednorazowe kombinezony. Ponieważ wszystko to było na pokaz, użyli tylko jednej warstwy rękawic, oklejając jednak starannie mankiety taśmą. Nikt, kto by ich zobaczył, nie chciałby mieć z nimi nic wspólnego ani tym bardziej znaleźć się w pobliżu. Strach był najważniejszym czynnikiem, na jaki liczył Harvath.

Nawet jak na standardy Trzeciego Świata międzynarodowy port lotniczy w Gomie był zapyziałą dziurą. Wciąż jeszcze nie został całkowicie doprowadzony do porządku po erupcji wulkanu Nyiragongo, do której doszło przed ponad dziesięciu laty. Szeroki na dwieście metrów i długi na kilometr jezor zastygłej lawy pokrywał jedną trzecią głównego pasa startowego i odcinał dostęp do terminalu. Wszystkie tymczasowe obejścia, które wówczas wprowadzono, nadal pozostawały w użyciu. Tak naprawdę było to na rękę Harvathowi.

Dyrekcja lotniska nie życzyła sobie, aby zakaźnie chorego pacjenta przewożono przez terminal pasażerski. Nie było również mowy o skorzystaniu z sąsiedniej bramy, przeznaczonej dla transportów wojskowych i pomocy humanitarnej. Pacjent musiał być całkowicie odizolowany, dlatego pozwolono im skorzystać jedynie z bramy na drugim końcu lotniska. Kiedy do niej podjechali land cruiserami z oznaczeniami ONZ, Jambo ubrany w gogle, maskę i kombinezon opuścił szybę i wyciągnął rękę, w której trzymał plik dokumentów i niebieski paszport Hendrika. Uzbrojeni żołnierze spojrzeli na niego, jakby postradał zmysły. Zbyt dobrze wiedzieli, jak groźne bywają zarazy, które panoszą się w Kongu, więc nie zamierzali opuszczać bezpiecznego schronienia swojej budki strażniczej i niczego kontrolować. Jeden z nich natychmiast zamknął okno, po czym podniósł szlaban i ponaglił ich machnięciem ręki.

Gdy samochody zatrzymały się obok odrzutowca, schodki były już opuszczone. Zgodnie z instrukcją piloci nie wychodzili na zewnątrz i czekali w kokpicie. Harvath wiedział, że są obserwowani, więc wstrzymał się z podziękowaniami, dopóki nie załadowali Hendrika na pokład. Dopiero wtedy uściśnął dłonie obu Brytyjczykom i powiedział, jak bardzo docenia to, co zrobili. Dodał, że z przyjemnością postawiłby im wszystkim piwo i

stek, żeby uczcić wykonanie zadania, ale jego misja jeszcze nie dobiegła końca. Byli zawodowcami i rozumieli to doskonale.

Ash, który wychodził z samolotu jako ostatni, przystanął w drzwiach i odwrócił głowę.

– Gdybyś kiedyś znów zawitał do Afryki, spodziewam się, że zadzwonisz – powiedział. – Liczę na ten stek.

– Masz to jak w banku – odparł Harvath.

Brytyjczyk stanął na najwyższym stopniu i klepnął dwa razy kadłub odrzutowca.

– Trzymaj się, Supermanie – zawołał i wrócił do samochodu.

Po wciągnięciu schodków i zamknięciu drzwi Harvath upewnił się, czy nosze Hendrika są zabezpieczone, a potem poinformował pilotów, że mogą startować. Gdy zaczęli kołować, zajął miejsce w fotelu, zapiął pas i wziął głęboki oddech. Lotnisko w Gomie słynęło z licznych wypadków, zarówno podczas lądowania jak i startu. Modlił się, aby tym razem prawo Murphy’ego znalazło potwierdzenie w jakimś innym miejscu.

Wieża przepuściła ich poza kolejnością i wydała zezwolenie na start. Silniki zawyły, kiedy pilot zwiększył ciąg, i maszyna potoczyła się po pasie startowym. Harvath obrócił się w fotelu i wyjrzał przez okno. Ash, Mick i Jambo minęli już bramę i kierowali się z powrotem w stronę hotelu. Pomyślał o nich z sympatią. Był całkowicie szczery, mówiąc o swojej wdzięczności. Zapewnili mu wsparcie i udowodnili, że można na nich polegać. Zachował to wszystko w pamięci. Mógł sobie tylko wyobrazić nowe inwektywy, jakimi obrzuci ich Decker, kiedy ją uwolnią. Ale wiedział, że bez względu na jej arogancję i wredny charakter potraktują ją jak zawodowcy i zadbają, żeby odleciała do Kinszasy, nawet gdyby musieli ją wnieść na pokład samolotu.

Przez okno wzbijającego się w powietrze odrzutowca widział, jak Kongo zostaje w dole. Był to moment, w którym zazwyczaj czuł ulgę. Ale nie tym razem.

Przez całą podróż monitorował stan Hendrika i faszerował go kolejnymi dawkami leku uspokajającego. Kiedy wylądowali na Malcie, samolot podkołował do prywatnego hangaru, gdzie więźnia przejęła grupa dochodzeniowa. Kierował nią niejaki Vella. Harvath nie spotkał go nigdy wcześniej, ale wiele o nim słyszał. Był bardzo dobry w tym, co robił. Pracował w zamaskowanej bazie, udającej wiejską farmę, nazywanej przekornie Solarium, ponieważ większość jej pomieszczeń znajdowała się

pod ziemią i nie miała okien. Jeżeli Hendrik jeszcze coś ukrywał, Vella znał sposoby, żeby to z niego wyciągnąć.

W hangarze czekał na Harvatha inny odrzutowiec, przysłany przez Beamana Gulfstream G650ER, którym miał jak najszybciej wrócić do Stanów. Był doskonale zaopatrzony, a w skład załogi wchodziła również stewardesa, ale dla Harvatha najbardziej pożądanym z udogodnień była oddzielna kabina, pełniąca funkcję sypialni. Pierwszego drinka wypił tuż po starcie, a drugiego podczas posiłku, ale gdy się rozebrał i położył do łóżka, marzył już tylko o tym, by zamknąć oczy i zasnąć. Budził się kilka razy podczas lotu, tylko żeby zerknąć na zegarek, a potem znów zapadał w sen. Tych osiem godzin nieprzerwanego wypoczynku było dla niego błogosławieństwem. Kiedy już się wyspał, wszedł do sąsiadującej z sypialnią łazienki, żeby się ogolić i wziąć długi, gorący prysznic. Po powrocie odkrył, że łóżko jest zaścielone, a jego ubranie poskładane. Telewizor był nastawiony na satelitarny kanał informacyjny, a na stoliku czekała gorąca kawa. Obok znalazł menu z wyborem potraw, które mógł zamówić przed lądowaniem.

W takich warunkach mógłby podróżować zawsze. Brakowało mu jedynie kogoś, kto dzieliłby z nim te wygody. Nie miał wątpliwości, że Lara byłaby zachwycona. Kto by nie był?

Przeglądając menu, dokonał wyboru i złożył zamówienie przez interkom. Kiedy się ubrał i wyszedł z sypialni, na nakrytym lnianym obrusem stole czekała srebrna zastawa i wazon z kwiatami. Na półmisku leżały świeże owoce. „Larze bardzo by się to spodobało”, pomyślał.

Stewardesa zapytała, czy podać mu koktajl, ale uprzejmie odmówił. Wiedział, że gdy tylko stanie na twardym gruncie, będzie musiał przystąpić do działania na wysokich obrotach. Zjadł podwójną porcję jajek na bekonie, po czym wrócił do sypialni z butelką wody i zamknął za sobą drzwi. Do lądowania pozostało niewiele czasu i chciał go wykorzystać na uporządkowanie myśli. Miał wątpliwości co do zabezpieczeń pokładowego wi-fi, więc nie włączył laptopa. Nie chciał przychodzić do biura nieprzygotowany, ale nie miał wyboru. Bezpieczeństwo przede wszystkim. Mieli wylądować na lotnisku Dullesa i Harvath przypuszczał, że Stary kogoś po niego przyśle. Gdyby nikt się nie zjawił, pozostawała mu taksówka. Do siedziby firmy nie było daleko. Bliskie sąsiedztwo portu lotniczego i firmowego budynku stanowiło jeden z atutów Carlton Group. Śledząc wiadomości przesuwające się na pasku u dołu ekranu, Harvath

próbował nadgonić to, co mu umknęło, kiedy był za granicą. Musiał również przestawić swój umysł z trybu kongijskiego na amerykański.

Kiedy gulfstream wylądował i zakończył kołowanie, stewardesa opuściła schodki i na pokład wszedł przedstawiciel urzędu imigracyjnego. Harvath figurował na specjalnej liście VIP-ów i urzędnik uśmiechnął się, oglądając jego paszport.

– Nie ma pan nic do oclenia? – zapytał, gdy jego wzrok spoczął na pustej deklaracji celnej.

– Nic oprócz satysfakcji z powrotu do domu.

– Zatem miło mi pana powitać.

Harvath odebrał od niego paszport i z torbą w ręku wyszedł z samolotu. U podnóża schodków czekali na niego piloci, którzy podziękowali mu za wspólną podróż. Również im podziękował, pełen uznania dla ich profesjonalizmu, i ruszył przed siebie po płycie lotniska.

Choć zazwyczaj wyruszał w podróż z waszyngtońskiego Reagan International, doskonale orientował się także na lotnisku Dullesa, skierował się więc od razu w stronę centrum obsługi pasażerów. Kiedy wszedł do budynku, przekonał się, że Stary nie zapomniał o nim i przysłał po niego Sloane Ashby, jego koleżankę z Carlton Group, która stała w holu, trzymając przerzucony przez ramię pokrowiec na ubrania.

– Tylko nie mów, że znowu grzebałaś w mojej szafie – odezwał się do niej na powitanie.

Tylko Reed Carlton miał zapasowe klucze do jego domu, ale przy paru okazjach dał je Ashby. Harvath nie był z tego zadowolony, i to nie tylko dlatego, że nie chciał, żeby kręciła się po domu pod jego nieobecność. Uważał, że degradowanie jej do roli dziewczyny na posyłki jest ujmą dla tak zdolnej agentki. Ale Stary miał swoje zasady. Każdy musiał przejść przez wszystkie szczeble hierarchii w firmie, nieważne kim był i skąd pochodził. Dodatkowy problem tkwił w tym, że ilekroć Ashby miała za zadanie skompletować garderobę dla Harvatha, zawsze wykazywała się inwencją, dobierając takie kombinacje, na które sam nigdy by się nie odważył.

– To nie ja wybierałam – odparła, wręczając mu pokrowiec. – Nie wchodziłam do twojego domu. Tylko podjechałam i otworzyłam bagażnik.

Harvath rozsunął zamek i zajrzał do środka. Nie znalazł tam staromodnego czarnego garnituru, białej koszuli i ciemnego krawata, których spodziewałby się po Starym, ani ekstrawaganckiego zestawu w

stylu Ashby. To, co zobaczył, było gustownym kompromisem między jednym a drugim.

– Kto ci to dał? – zapytał.

– Lara.

– Lara?

– Nabawiłeś się w Kongu problemów ze słuchem? – zażartowała agentka. – Tak, Lara.

– Co ona robi w moim domu?

– Możesz o to zapytać Starego, kiedy się z nim zobaczysz. Ale teraz przebieraj się szybko w te piękne łaszki, bo Carlton urwie mi łeb, jak się spóźnimy. No już, przystojniaku.

Harvath miał do niej słabość. Była mądrą i to mu się w niej podobało. Dzielnie znosiła złośliwe docinki. Jednak sama rozdawała je aż nazbyt hojnie, co było jednym z powodów, dla których armia nie robiła problemów, kiedy Carlton postanowił ją zatrudnić. Podczas służby w Afganistanie wykazała się taką walecznością, że kiedy w pewnym amerykańskim magazynie ukazał się artykuł o niej, talibowie wyznaczyli nagrodę za jej głowę. Posłała do piachu więcej wrogów niż wszystkie biorące udział w misji kobiety, a nawet większość mężczyzn. Jednak jako celebrytka w mundurze stanowiła zbyt duże ryzyko dla wizerunku armii, który ucierpiałby, gdyby została zabita lub porwana, dlatego dowództwo wycofało ją z czynnej służby. Na domiar złego odrzucono jej wniosek o skierowanie do Iraku i wysłano ją do Fort Bragg, gdzie pomagała w szkoleniu tajnej jednostki specjalnej Delta złożonej z samych kobiet, która nosiła nazwę Projekt Atena. Nie mieściło jej się w głowie, że Departament Obrony odsyła ją na boczny tor, dlatego że jest doskonała w tym, do czego została wyszkolona – w zabijaniu wrogów. Chociaż okazała się również świetną instruktorką, była zbyt utalentowana i zbyt młoda, żeby jej kariera utknęła w martwym punkcie. Kiedy Reed Carlton zaproponował jej pracę, skwapliwie skorzystała z okazji.

Wszyscy wiedzieli, że czarnym koniem Starego jest Harvath, ale jak na mądrego szefa przystało, Carlton zawsze starał się wzbogacać swój skład. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zatrudnił Ashby, przyjął również Chase'a Palmera. Gdy Harvath wyszedł z centrum obsługi podróżnych w szytym na miarę niebieskim garniturze, Palmer czekał na niego przy swoim samochodzie w towarzystwie Ashby.

– Czy ty byłeś w Kongu, czy w salonie piękności? – zapytał.

Najwyraźniej kąśliwe uwagi stały się częścią kultury korporacyjnej Carlton Group.

– Nie w Kongu – odparł Harvath. – Poleciałem z twoją mamuszką na Bahamy.

Palmer pokazał mu w odpowiedzi środkowy palec i wszyscy wsiedli do samochodu. Kiedy zbliżali się do siedziby firmy, ich rozmowa zeszała na poważniejsze tematy. Ashby i Palmer byli wtajemniczeni w jego misję i Harvath opowiedział im szczegółowo, co się wydarzyło. To było jak próba generalna przed spotkaniem ze Starym, któremu musiał zdać raport.

Po przejściu kontroli przy wjeździe skierowali się na parking podziemny biurowca. Harvath wyjął torbę z bagażnika, a Ashby użyła karty magnetycznej do ściągnięcia windy, którą wjechali na górę. Chociaż Carlton Group należała do sektora prywatnego, miała dostęp do ściśle tajnych informacji i cała jej struktura była dostosowana do wymogów Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Zastosowano wszelkie środki bezpieczeństwa przeciwko technologiom szpiegowskim – jakimkolwiek sygnałom elektronicznym lub akustycznym, emitowanym przez urządzenia służące do przechwytywania, przetwarzania i rozszyfrowywania tajnych informacji. Nie pominięto niczego, od blokowania fal magnetycznych i kodowania połączeń telefonicznych po generowanie wibracji szyb w oknach, które uniemożliwiały podsłuchiwanie rozmów, a nawet stukotu klawiatury komputerowej. Jednak wszystkie te zabezpieczenia były starannie zamaskowane i dla niewprawnego obserwatora siedziba Carlton Group nie różniła się niczym od dobrze prosperującej kancelarii prawniczej.

Chociaż Stary zatrudniał samych asów, którym dawał wolną rękę, w swojej firmie wprowadził żelazną dyscyplinę. Nie było piątek bez krawata. Jego pracownicy należeli do elity i oczekiwał, że będą stosownie się ubierać i zachowywać. Kondycja fizyczna, schludność i higiena również podlegały surowym zasadom. Carlton był zwolennikiem starej szkoły.

Ponieważ sam palił, pozwalał na to również swoim ludziom, ale nikt nie mógł wychodzić z budynku na papierosa. Palacze stawali się zbyt poufali i rozmowni wśród obcych i pracowników innych firm mieszczących się w biurowcu. W branży wywiadowczej było to zbyt niebezpieczne. Poza tym kręcili się na zewnątrz i odwlekali powrót do pracy, marnując cenny czas. Wychodząc naprzeciw ich potrzebom, zainstalował w najodleglejszym zakątku biura szklaną budkę, którą nazwano trumną. W środku z trudem mieściły się dwie osoby, a system wentylacyjny ryczał tak głośno, że

palacze ledwie słyszeli własne myśli. Pomieszczenie to z założenia miało nie być wygodne; nie dało się tam nawet usiąść. Użytkownik wchodził do środka, zaspokajał swój nałóg i wychodził. Co ciekawe, nikt nigdy nie widział, aby Stary korzystał z trumny, i wszyscy podejrzewali, że ma w swoim gabinecie równie wydajną, choć znacznie cichszą wentylację, która pozwala mu palić w dowolnym miejscu w obrębie pomieszczenia.

Wychodząc z windy, Harvath spodziewał się, że Stary będzie go oczekiwał przed wejściem do głównej sali konferencyjnej. Zamiast niego zastał tam ekipę medyczną. Rozpoznał lekarza, z którym konsultował się przez telefon podczas ostatniego etapu misji w Kongu. Chociaż Harvath czuł się świetnie, Carlton zarządził przeprowadzenie kompleksowych badań. Członkowie ekipy zmierzili mu temperaturę, częstotliwość oddechu, puls i ciśnienie, a także pobrali kilka próbek krwi. Kiedy skończyli, lekarz wręczył mu termometr elektroniczny i kazał mierzyć temperaturę dwa razy dziennie, a wynik przysyłać SMS-em. Harvath podziękował mu i schował urządzenie do kieszeni, po czym założył marynarkę i udał się do gabinetu Starego.

Gdy wraz z Jessiką Decker wkroczył do ośrodka Matumaini, obydwójce mieli na sobie szczelne kombinezony, ale nad paleniskiem w głębi dżungli nosił tylko maseczkę chirurgiczną, a w wiosce i w namiocie, w którym leżał chory dowódca rebeliantów, nie skorzystał z żadnych środków ochronnych. Z Hendrika udało mu się wydobyć tylko tyle, że cokolwiek wyhodowano w Ngoa, zaraza rozprzestrzeniła się szybko. Okres inkubacji liczył się w dniach, a nie tygodniach. Co dziwne, Leonce i jego syn stali tuż obok, kiedy dowódca rebeliantów rozbił próbkę z zakażoną krwią, a mimo to nic im nie dolegało. Harvath doszedł do wniosku, że dopóki nie zacznie gorączkować albo nie zauważy u siebie innych niepokojących symptomów, nie ma powodu do zmartwień. Na razie starał się o tym nie myśleć.

Dotarł do gabinetu szefa i uchylił drzwi. W środku nie było nikogo. Ponieważ Ashby dostarczyła na lotnisko jego garnitur, Harvath spodziewał się, że czeka ich jakieś ważne spotkanie. Domyślił się, że chodzi o Beamana. Carlton prawdopodobnie chciał zdać mu relację. Ale ponieważ ich klient był cywilem, wielu rzeczy, które wydarzyły się w Kongu, nie mogli mu ujawnić. Musieli najpierw zdecydować, jak głęboko wtajemniczyć Beamana, i uzgodnić jakąś wersję.

Idąc przez hol, Harvath minął trumnę, ale tam również nie zastał Starego. O ile jego szef nie opuścił budynku, mógł być tylko w jednym miejscu.



## Rozdział 29

Strefa wymiany poufnych informacji mieściła się w zamkniętym pomieszczeniu, które było zabezpieczone przed wszelkimi formami podsłuchu i inwigilacji elektronicznej. Tabliczka na drzwiach informowała, że mieści się tam Sekcja Informatyczna.

Harvath wprowadził swój kod na klawiaturze obok wejścia i odczekał chwilę, aż skaner biometryczny rozpozna jego twarz. Gdy po chwili zamek ustąpił z cichym sykiem i czerwona lampka zmieniła kolor na zielony, pchnął drzwi. W środku zastał trzech asów wywiadu, należących do światowej elity, oraz dwa ogromne białe psy, które wyglądały jak wilki na sterydach. Były to owczarki kaukaskie Nicholasa, niezwykle utalentowanego hakera, pełniącego w firmie Carltona funkcję komputerowego guru, który cierpiał na karłowatość pierwotną i mierzył niewiele ponad metr. Argos i Drako, bo takie nosiły imiona, należały do rasy wykorzystywanej z upodobaniem przez armię rosyjską i straż graniczną byłego NRD. Słynęły z inteligencji, niesamowitej szybkości i bezwarunkowej wierności. Były znakomitymi towarzyszami i jeszcze lepszymi obrońcami. To drugie miało szczególne znaczenie dla ich właściciela, który kiedyś zajmował się wykradaniem, sprzedawaniem i kupowaniem poufnych informacji, służących do szantażowania najbardziej wpływowych osób na świecie. W środowisku wywiadu Nicholas był znany tylko pod pseudonimem Troll. Nie wiadano zbyt wiele o jego pochodzeniu ani tym bardziej o tym, że pracuje dla Carlton Group. Fakt, że zastępczyni dyrektora CIA siedziała obok niego i głaskała jednego z jego psów, mówił wiele o tym, jak daleko zaszedł Nicholas. Świadczyło to również o bliskich kontaktach Starego z Centralną Agencją Wywiadowczą.

Carlton pracował w tej instytucji trzydzieści lat, a jego największym osiągnięciem było utworzenie Centrum Operacji Antyterrorystycznych. Jednak widział, jak z biegiem czasu CIA staje się coraz bardziej nadęta i biurokratyczna. Agenci średniego szczebla bardziej dbali o własne kariery niż o bezpieczeństwo kraju, któremu przysięgali służyć. Ich asekurancka

postawa sprawiała, że skupiali się na unikaniu porażek, zamiast na dążeniu do sukcesu. W agencji pracowało wielu wspaniałych ludzi, ale biurowi karierowicze, którzy nadawali się raczej do stukania w klawiaturę niż do akcji szpiegowskich, podcinali im skrzydła. Kiedy CIA zaczęła płacić zagranicznym agencjom za prowadzenie operacji, miarka się przebrała. Carlton złożył rezygnację i stworzył własną firmę.

Bazując na doświadczeniach OSS, poprzednika CIA, zatrudniał najlepszych weteranów wywiadu i jednostek specjalnych, jakich udało mu się znaleźć. Jego ludzie łamali wszelkie zasady, a przyświecał im tylko jeden cel – zapewnić bezpieczeństwo Ameryce i jej obywatelom bez względu na cenę. Frustrująca atmosfera w agencji i jej nieudolność w prowadzeniu działań wywiadowczych zaowocowały kontraktami rządowymi dla Carltona, zwłaszcza ze strony Departamentu Obrony. Ale kiedy rządy objął nowy prezydent, sytuacja w CIA zaczęła się zmieniać. Najważniejsze stanowiska objęło dwoje doświadczonych agentów, którzy zajęli się odbudową podupadłego morale i stawianiem wszystkiego na nogi.

Widok Nicholasa, Carltona i Lydii Ryan siedzących przy jednym stole był dla Harvatha miłą niespodzianką. Lubił Ryan. Była wysoką trzydziestoletnią piękną, która po ojcu Greku odziedziczyła czarne włosy, a po matce Irlandce przenikliwe zielone oczy, ale nie dlatego przypadła mu do gustu. Lubił ją, bo była nieprzeciętnie inteligentną kobietą i piekielnie dobrą agentką. Jej uroda w niczym nie przeszkadzała, ale Harvath zawsze uważał inteligencję za niesamowicie pociągającą cechę. Właśnie dlatego był z Larą i między innymi dlatego coś zaiskrzyło między nim a Jessicą Decker. Nie potrafiliby się związać z głupią kobietą. Jednak dla zasady bardzo się starał oddzielać sprawy służbowe od osobistych.

Kiedy przestąpił próg, potężne owczarki zerwały się i podbiegły, żeby się z nim przywitać, a on podrapał je pieszczotliwie za uszami. Harvath nie tylko wyjednał posadę dla Nicholasa, ale zabiegał również o to, żeby Carlton pozwolił mu zabierać psy do pracy. Od początku stało się jasne, że poczuwał się do roli opiekuna tego małego geniusza. Kiedy Stary się opierał, Nicholas zagroził, że pozwie go za naruszenie ustawy o niepełnosprawności, w myśl której przysługiwała mu asysta psów towarzyszących. Był to doskonały żart, który nieźle ich wszystkich ubawił. W końcu Stary dał za wygraną i zrobił dla Nicholasa wyjątek, a Argos i Drako wkrótce stały się nieformalnymi maskotkami firmy.

Nie oznaczało to jednak, że obyło się bez afery. Zanim Harvath go zwerbował, Nicholas był najprawdziwszym przestępcą, który trudnił się kradzieżą i sprzedażą wysoce poufnych i często ściśle tajnych informacji. Szerokie grono jego klientów, a także wrogów, obejmowało wiele znaczących osobistości, od prezesów korporacji po głowy państw. Dzień po tym, jak rozpoczął pracę w Carlton Group, ktoś podmienił tabliczkę na drzwiach, za którymi mieściła się strefa wymiany poufnych informacji. Na miejscu „Sekcji Informatycznej” pojawiła się „Lizakowa Gildia”, co było obraźliwym nawiązaniem do Manczkinów z „Czarnoksiężnika z Krainy Oz”. Dowiedziawszy się o tym, Harvath wpadł we wściekłość. Niecałe piętnaście minut zajęło mu wyśledzenie człowieka, który to zrobił. Dopadł go w męskiej toalecie i musiał powstrzymać się ze wszystkich sił, żeby nie stłuc go na kwaśne jabłko. Autor niewybrednego dowcipu był oburzony i oświadczył wprost, że jego zdaniem przyjęcie do ich zespołu takiego kryminalisty jak Nicholas jest wielkim nieporozumieniem. Nie zważając na to, Harvath ostrzegł go, że gdy jeszcze raz zbliży się do Nicholas, wpakuje mu kulkę w łeb i porzuci jego ciało tam, gdzie nikt go nie znajdzie. Gdy tylko wyszedł z toalety, mężczyzna pognał do swojego przełożonego, żeby złożyć skargę. Jego szef, weteran wojny w Iraku, nie dał sobie wciskać kitu i oświadczył mu, że jeśli natychmiast się nie zamknie i nie wróci do pracy, on sam oszczędzi Harvathowi fatygi i osobiście go zastrzeli. Szybko się rozniosło, że każdy, kto zadrze z Nicholasem, będzie miał do czynienia z Harvathem, który ma w tej kwestii wolną rękę i może robić, co mu się podoba.

– Patrzcie, kto przyszedł – zawołał Nicholas, kiedy Harvath przywitał się z psami i zamknął za sobą drzwi.

– W samą porę – wtrącił Carlton, mówiąc z tym swoim ciężkim akcentem z Nowej Anglii. – Co my tu mamy, Nicky?

W swoich relacjach z Nicholasem Stary również poczynił spore postępy. Początkowo nawet nie chciał słyszeć o jego zatrudnieniu, a teraz rozmawiali ze sobą jak starzy kumple.

– Może zaczniemy od zdjęć z drona? – zasugerował karzeł.

– Jakich zdjęć? – zapytał Harvath, zajmując miejsce przy stole.

– Z posiadłości Clifton w Wirginii, na północny zachód od Waszyngtonu.

– Czyj to dron? – Harvath spojrzał na Lydię Ryan. – Nasz czy wasz?

– Wasz – odparła. – Agencja ma zakaz prowadzenia operacji wywiadowczych na terenie kraju.

Harvath uśmiechnął się i znów skierował wzrok w stronę Nicholasa.

– Co nasz dron tam robił?

– Wstąpił w odwiedziny do pana Pierre’a Damiena.

Dowiedziawszy się o laboratorium w Ngoa, Harvath zapytał Hendrika, dla kogo pracuje i kto dał mu paszport ONZ. Zużył jeszcze sporo wody, żeby to z niego wycisnąć, ale w końcu usłyszał odpowiedź – Pierre Damien. Przed opuszczeniem Konga złożył raport Carltonowi i zapytał go o Damiena. Stary prześwietlił jego personalia i dowiedział się o podwójnym obywatelstwie, jego drodze do fortuny i należących do niego spółkach, piastowanym obecnie stanowisku podsekretarza generalnego ONZ i przewodniczącego Funduszu Ludnościowego Narodów Zjednoczonych, a także o jego kampanii przeciwko Stanom Zjednoczonym i Izraelowi oraz działalności na rzecz ratowania planety. Nie znalazł niczego, co wskazywałoby na powiązania z bronią biologiczną czy jakąś organizacją terrorystyczną. Gdy Harvath zauważył to samo, Stary odparł:

– Ci ludzie zwykle nie ogłaszają się w gazetach.

Miał rację. Takie rzeczy wychodziły na jaw, kiedy było już za późno, a poza tym człowiek pokroju Damiena nigdy nie przypisałby sobie publicznie zasług za jakąś katastrofę czy atak.

– Widzieliście to już? – zwrócił się Harvath do Ryan, kiedy na jednym z zawieszonych na ścianie płaskich monitorów rozpoczęło się odtwarzanie.

– Nie – odpowiedziała, kręcąc głową. – Czekaliśmy na ciebie.

Na nagraniu dało się zauważyć, jak imponującą posiadłością jest Clifton. Oprócz rezydencji otoczonej starannie wypielegnowaną murawą ich oczom ukazała się również farma ze zwierzętami hodowlanymi, pastwiskami i budynkami gospodarczymi.

– Nieźle – odezwał się Harvath.

Operując małym joystickiem, Nicholas przewinął nagranie do przodu. Na monitorze ukazał się mężczyzna stojący przed rezydencją na brzegu długiego basenu. Nicholas wyświetlił zdjęcie z akt Pierre’a Damiena, a potem umieścił obok kadr z nagrania i uruchomił program rozpoznawania twarzy. Na obu zdjęciach pojawiła się siateczka niebieskich cyfrowych linii, a pod spodem słowo „porównywanie”. Kilka sekund później zastąpił je komunikat „identyfikacja pozytywna” i na ekranie ukazały się kolumny danych dotyczących Pierre’a Damiena.

– To na pewno on – stwierdził Nicholas.

Harvath pochylił się nad stołem i wbił badawczy wzrok w twarz na monitorze.

– Skąd wiedzieliście, gdzie go szukać?

– Gdy tylko zdobyłeś jego nazwisko, zaczęliśmy poszukiwania. Przyleciał tu dzień wcześniej prywatnym odrzutowcem i wylądował na lotnisku Dullesa. Zналиśmy czas kontroli paszportowej i odprawy celnej, więc wystarczyło dotrzeć do nagrań z monitoringu. – Nicholas wyświetlił obraz z kamer przemysłowych w terminalu lotniska na drugim monitorze i mówił dalej: – Stąd wiemy również, jakie samochody po niego przyjechały, i znamy ich numery rejestracyjne. Kamery drogowe, które je uchwyciły, doprowadziły nas aż do Berryville na przedmieściach Leesburga. Tam go zgubiliśmy.

– W takim razie jak namierzyliście go w Clifton?

– To zasługa miesięcznika „Architectural Digest” – wyjaśnił karzeł z uśmiechem.

– Damien jest łasy na rozgłos i sześć lat temu pozował im do rozkładówki. To wyszło podczas zwykłego poszukiwania w sieci. Akurat miał tamtedy przelatywać satelita, więc zamówiliśmy zdjęcia, no i proszę.

Nicholas postukał w klawiaturę i na monitorze ukazały się zdjęcia satelitarne przedstawiające rezydencję i zaparkowane przed nią te same SUV-y, którymi Damien i jego świta odjechali z lotniska. Zbliżenia tablic rejestracyjnych rozproszyły ostatnie wątpliwości.

– Zaraz. Cofnij trochę – odezwała się Ryan. – Ta kobieta, która przyleciała z Damienem. Czy możesz wykadrować jej twarz z tego materiału i porównać z danymi kontroli paszportowej?

Karzeł przytaknął i zabrał się do pracy. Chwilę później wyświetlił na monitorze kilka zdjęć.

– Helena Pestova – powiedział. – Trzydzieści siedem lat, narodowość czeska. Lydia Ryan się uśmiechnęła.

– Może sobie być Czeszką, ale w rzeczywistości jest agentką izraelskiego wywiadu.

– Znasz ją? – zapytał Harvath.

– Wiele razy otarliśmy się o siebie w terenie. W Ammanie, Bejrucie, ostatni raz w Ad-Dauha. Mosad wykorzystuje ją jako przynętę erotyczną.

Nicholas wybrał kilka wykonanych przez drona zdjęć Heleny i przeskanował je, używając programu rozpoznawania twarzy. Niebieska siateczka od razu znikła i pojawił się komunikat „identyfikacja pozytywna”.

W przeciwieństwie do Damiena, nie udało się znaleźć żadnych publicznie dostępnych informacji na temat tej kobiety. Okazało się, że nie ma nawet konta na żadnym z portali społecznościowych.

– A więc Mosad też węszy wokół Damiena – skwitował Harvath. – Z tego samego powodu? Czy chodzi im o coś innego?

– Możemy to sprawdzić.

Ryan otworzyła jedno z okienek na monitorze swojego laptopa i korzystając z zabezpieczonego łącza, weszła do bazy danych w Langley. Po kilku sekundach znalazła to, czego szukała, i obróciła komputer w stronę pozostałych.

– Kto to taki?

– Bez Zion Mordechai zwany Bentzim. Jest członkiem Metsady, wydziału operacji specjalnych Mosadu. Według naszych informatorów jest również oficerem prowadzącym Heleny.

– Czy wiadomo, gdzie teraz jest? – zapytał Harvath.

– Przepuszczalnie w Izraelu. Najprawdopodobniej w Tel Awiwie, o ile nie wypełnia gdzieś jakiejś misji.

– Prześlesz mi jego zdjęcie? – odezwał się Nicholas, a gdy Ryan przytaknęła, zapytał: – Masz coś więcej na jego temat? Datę urodzenia? Przebieg służby wojskowej? Pseudonimy i znane kontakty?

Agentka przejrzała folder, skopiowała wszystko, co uznała za stosowne, i przesłała Nicholasowi, który odebrał zdjęcie Mordechaia i wyświetlił je na jednym z monitorów.

– Macie w Izraelu kogoś, kto mógłby do niego dotrzeć i dowiedzieć się, o co chodzi? – zapytał Harvath.

– Znając Mosad – odparła Ryan – nie będą chętni do współpracy.

– Skoro będą tak pogrywać, powiedz im, że deportujemy Pestową – wtrącił się do rozmowy Carlton. – I daj im jasno do zrozumienia, że narobimy wokół tego szumu. Jeżeli nie chcą zawalić swojej operacji, muszą nam coś ujawnić, i nie obchodzi nas, czy im się to podoba.

– Zgoda. Zadzwońię do kilku osób. Przed wszystkim musimy się dowiedzieć, czy Mordechai jest w Izraelu.

– Już wiemy, że nie – odezwał się Nicholas, który cały czas stukał zawzięcie w klawiaturę.

Wszystkie spojrzenia skierowały się w jego stronę.

– Jak myślicie? – zapytał, wrzucając na ekran kadr z monitoringu na jednym z europejskich portów lotniczych. – Czy to on?

Zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, twarz na obu zdjęciach pokryła siateczka niebieskich linii, a pod spodem ukazał się komunikat „identyfikacja pozytywna”.

– Wygląda na to, że będziecie mogli osobiście zadać Bentziemu pytania – oznajmił karzeł, studiując informacje wyświetlone na ekranie monitora. – Wyleciał ze Szwajcarii i wyląduje w Waszyngtonie za dwie godziny.

## Rozdział 30

W środowisku wywiadowczym technologia biometryczna była zarazem błogosławieństwem i przekleństwem. System rozpoznawania twarzy ułatwiał identyfikację i namierzanie terrorystów, ale jednocześnie bardzo utrudniał szpiegom przenikanie do różnych krajów pod fałszywą tożsamością. Po zamachach z jedenastego września Departament Bezpieczeństwa Krajowego wprowadził wyjątkowo rygorystyczne środki, do których należał wymóg skanowania twarzy wszystkich cudzoziemców wjeżdżających do kraju. Tylko obywatele Stanów Zjednoczonych nie podlegali temu obowiązkowi i właśnie dlatego Mordechai posłużył się autentycznym amerykańskim paszportem i przekroczył granicę jako Vincent Geller.

Prawdziwy Geller był amerykańskim Żydem z Miami, który chciał się przysłużyć Izraelowi i podjął współpracę z Mosadem. W zamian za odstąpienie swojej prawowitej tożsamości otrzymał nowe życie i pobierał comiesięczną pensję. Rząd Stanów Zjednoczonych nigdy się nie zorientował.

– Proszę pana – odezwał się jeden z funkcjonariuszy służby imigracyjnej, którzy podeszli do Bentziego w waszyngtońskim porcie lotniczym Dullesa.

Mordechai stał w kolejce dla obywateli amerykańskich i czekał na kontrolę paszportową. Zachował się, jakby chodziło o kogoś innego, ale było jasne, że zwracają się do niego.

– Ja?

– Tak, proszę pana. Proszę wyjść z kolejki. Mordechai pokazał im swój paszport.

– Jestem we właściwym miejscu.

Dłonie obu funkcjonariuszy spoczęły na pistoletach.

– Natychmiast – rozkazał jeden z nich.

Bentzi zauważył, że otaczający go podróżni zaczynają nerwowo się od niego odsuwać.

– Nie ma problemu – powiedział, unosząc ręce tak, by były widoczne.



Gdy tylko wyszedł z kolejki, jeden z funkcjonariuszy stanął za jego plecami, a drugi założył mu kajdanki. Podróże samolotem często sprawiały, że jego dolegliwości reumatyczne przybierały na sile. Chociaż zażył dwie tabletki przeciwbólowe i wypił parę szkockich podczas lotu, rwanie w dłoniach wciąż dawało mu się we znaki. Kajdanki zatrzęsły się na jego przegubach z taką siłą, że poczuł falę przenikliwego bólu, rozlewającą się po całym ciele.

Strażnicy zaprowadzili go do wąskiego korytarza, w którym ciągnął się rząd drzwi. Otworzyli jedno z nich i wepchnęli go do środka. Pomieszczenie było niewielkie, miało około dwudziestu metrów kwadratowych. Na oświetlonych jaskrawym blaskiem jarzeniówki ścianach nie zauważył lustra weneckiego. Całe wyposażenie składało się z nijakiego stolika z laminowanym blatem i czterech plastikowych krzeseł. Kazano mu usiąść.

Wiedząc, że tak zareagowałby każdy niewinny, protestował przez całą drogę, a jego oburzenie rosło z minuty na minutę. Narzekał, że płaci podatki, i powoływał się na swoje konstytucyjne prawa. Był to całkiem przekonujący występ, ale strażnicy zostali pouczeni, żeby nie reagować na jego słowa i nie wdawać się z nim w dyskusję. Chwilę po tym, jak usiadł, rozległo się pukanie do drzwi. Uniósł głowę i zobaczył wchodzącą do środka atrakcyjną kobietę o ciemnych włosach i zielonych oczach. Towarzyszył jej wystrojony w garnitur mężczyzna, który przeszedł na drugą stronę pomieszczenia i stanął, opierając się plecami o ścianę. Kobieta kazała funkcjonariuszom rozkuć Bentziego i poczekać na zewnątrz. Kiedy wyszli, usiadła przy stole i położyła przed nim kartonową teczkę z dokumentami.

– Panie Mordechai – zaczęła. – Czy wie pan, kim jestem?

– Nie nazywam się Mordechai. Moje nazwisko brzmi Geller. Vincent Geller. Mieszkam w Miami i jestem obywatelem Stanów Zjednoczonych. Nie macie prawa tak mnie traktować. Tamci dwaj zabrali mój paszport.

– Panie Mordechai – powtórzyła kobieta. – Nazywam się Lydia Ryan i jestem zastępcą dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej. Możemy dalej grać w podchody albo zacząć współpracować. No to jak będzie?

– Chętnie bym pani pomógł, ale nie mogę. Nazywam się Geller, a nie Mordechai.

Harvath przeniósł ciężar ciała na jedną nogę i przesunął się nieco bliżej.

– Kto to jest? – zapytał Izraelczyk.

– Nieważne – odparła Ryan, po czym wyjęła z teczki fotografię i położyła ją przed nim. – Porozmawiajmy o Helenie.

– Przykro mi, ale nie wiem, o kim pani mówi. Bierzecie mnie za kogoś innego.

Harvath poruszył się tak szybko, że Bentzi nawet nie zdążył zauważyć, kiedy znalazł się tuż obok. Już unosił rękę do ciosu, ale Ryan powstrzymała go gestem dłoni.

– Panie Mordechai, traktuję pana z szacunkiem jako kolegę po fachu, ale moja uprzejmość ma swoje granice. Radzę, aby jej pan nie nadużywał. Czy wyraziłam się jasno? – zapytała Ryan, ale nie doczekała się odpowiedzi. – Wiemy, że Helena tu jest. Wiemy, że jest z Damienem. Interesuje nas dlaczego.

Bentzi otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale agentka powstrzymała go, unosząc rękę.

– Jeżeli jeszcze raz przedstawi się pan jako Vincent Geller, każę pana przenieść do celi przesłuchań i tam będziemy kontynuować rozmowę. Czy to jasne?

Izraelczyk siedział w całkowitym bezruchu i milczał z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– W pewnym momencie wyciągniemy z pana to, czego chcę się dowiedzieć. Pozostaje tylko pytanie kiedy. I jak bardzo chce pan utrudnić życie Helenie. Jeśli zechce pan współpracować, być może pozwolę wam kontynuować waszą operację. A jeśli nie, być może zgarniemy Helenę i też trafi do celi. Być może ujawnię Damienowi wszystko, co mam w tej teczce, i pozwolę mu z nią zrobić, co zechce. Coraz bardziej nabieram przekonania, że byłoby zabawnie wyjąć zapalki i puścić was z dymem. I jeżeli nie da mi pan dobrego powodu, żeby tego nie zrobiła, tak się to wszystko skończy.

Po tych słowach Ryan rozparła się na krześle i czekała w milczeniu. Kątem oka widziała Harvatha, który był gotów zaatakować, gdyby Izraelczyk wykonał jakiś fałszywy ruch. Bentzi powoli wyciągnął powykrzywiane palce w stronę teczki, ale Ryan nachyliła się nad stołem i nakryła ją dłonią.

– To należy do mnie – oznajmiła. – Dopóki nie zaczniemy współpracować, nie dowie się pan, co mamy.

– Ona jest płótką – odezwał się Mordechai. – Zostawicie ją w spokoju, jeżeli pójdę na współpracę?

– Dobrze wiem, kim jest Helena. Chcę się dowiedzieć, dlaczego podsunęliście ją Damienowi.

Bentzi uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Wie pani, jakim wrzodem na tyłku jest dla Izraela Pierre Damien?

– Potrafię sobie wyobrazić, ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– Mój rząd traktuje bardzo poważnie jego działania wymierzone przeciwko naszemu krajowi.

– Rzeczywiście, tak poważnie, że wkrótce po tym, jak Helena zjawiała się tutaj, popędził pan na lotnisko, kupił bilet i przyleciał za nią do Stanów – powiedziała z przekąsem Ryan, po czym wstała i zabrała teczkę. – Mam nadzieję, że spodoba się panu w naszym więzieniu – dodała i przeniosła wzrok na Harvatha. – Chodźmy. Nic tu po nas.

Mordechai znalazł się w beznadziejnej sytuacji. Nie chciał współpracować z Amerykanami, bo wiedział, że jeśli ujawni im swoje informacje, Izrael przestanie się liczyć i wszystko zacznie się kręcić wokół Stanów Zjednoczonych. To im będzie musiał podporządkować swoją misję. Jednak nie miał wyboru. Jeżeli nie zgodzi się na współpracę, zamkną go w jakiejś zapadłej dziurze na końcu świata, a kiedy wyjdzie na wolność, o ile kiedykolwiek wyjdzie, będzie już za późno. Dla Izraela mogło to oznaczać koniec. Musiał zaryzykować. Musiał im zaufać.

Uniósł głowę i spojrzał na Ryan.

– Co wiecie o organie ONZ zwanym Kolegium Doradczym Sekretarza Generalnego?

## Rozdział 31

Narodowy Park Historyczny Kanału Chesapeake-Ohio ciągnie się przez blisko trzysta kilometrów od dzielnicy Waszyngtonu, Georgetown, do Cumberland w stanie Maryland. Na szlaku znajduje się tysiąc trzysta zabytkowych budynków, z których wiele jest dostępnych do zwiedzania. Sześć domów stojących przy śluzach zamieniono na kwatery dla turystów, którzy mogą spędzić w nich noc, żeby przekonać się, jak wyglądało życie w czasach świetności kanału, biegnącego równoległe do Potomaku. Wyposażono je w kuchnie, sypialnie i łazienki. Niebieski dom, nazwany tak ze względu na kolor okiennic, jest również obiektem zabytkowym i posiada wszystkie udogodnienia pozwalające na nocleg, ale nigdy nie został udostępniony do ogólnego użytku – i to nie z byle powodu.

Znajdujący się nieopodal Waszyngtonu niebieski dom stanowi własność Centralnej Agencji Wywiadowczej i w czasach zimnej wojny niektórzy spośród najcenniejszych dezertersów z za żelaznej kurtyny dzielili się tam informacjami. Określenie „za niebieskimi drzwiami” stało się synonimem kluczowych przesłuchań. Większość agentów, którzy się nim posługiwali, nie miała pojęcia, gdzie mieszczą się owe drzwi, ani tym bardziej że należą do małego domku nad kanałem. Wielu przypuszczało, że kryją się gdzieś głęboko w trzewiach agencji, gdzie oprócz samego dyrektora dostęp ma tylko garstka uprzywilejowanych.

Jadąc do domku nad kanałem, Harvath mimowolnie zauważył czerwone i złote akcenty w koronach drzew, których liście zaczęły już zmieniać kolory. Wszystko potoczyło się w tak szaleńczym tempie, że nie miał okazji zapytać Starego, co sprowadziło Larę do Waszyngtonu i jak doszło do tego, że przekazał jej klucze do jego domu. Harvath nie zawiadomił jej w żaden sposób o swoim powrocie, ale podejrzewał, że już o tym wiedziała. Skoro Carlton dał jej klucze, prawdopodobnie pozwolił jej również zapoznać się z jego harmonogramem. W powietrzu wisiała ostateczna konfrontacja i Harvathowi nie było do niej śpieszno.

Kiedy dotarli do niebieskiego domu, Harvath rozpałił ogień w kominku. Mordechai przysunął sobie fotel i usiadł tuż obok, żeby ogrzać dłonie. Izraelczyk przestrzegał zasad kaszrutu, więc Palmer pojechał na zakupy do specjalnego sklepu nieopodal Dupont Circle. Wrócił z torbami pełnymi jedzenia i wody mineralnej. Dla siebie i Ashby kupił po sandwiczu, a po posiłku obydwójce usiedli na zewnątrz, żeby dyskretnie obserwować okolicę. Nie spodziewali się, aby do kogokolwiek dotarło, że Mordechai wpadł w ich ręce, ale lotnisko było pełne ludzi i nie wiedzieli, czy ktoś czegoś nie zauważył. Głupotą byłoby lekceważenie izraelskiego wywiadu. Dwaj ludzie Ryan pojechali do hotelu, w którym Bentzi miał się zatrzymać, zameldowali go i zostawili bagaż w pokoju. Gdyby ktoś go szukał, przynajmniej coś wskazywałoby na to, że bez przeszkód dotarł aż tam.

Harvath i Ryan notowali, kiedy Carlton indagował agenta Mosadu. Ich rozmowa przypominała pojedynek szermierczy, obfitujący w błyskotliwe pchnięcia i wypady. Przewagę zapewniała Staremu umiejętność właściwego formułowania pytań. Kiedy zapuszczał się za daleko albo zbyt mocno drażył temat operacji wywiadu izraelskiego, Bentzi odmawiał odpowiedzi. Był zobowiązany dochować tajemnic swojego kraju. Zachowywał się tak, jak każdy z obecnych w tym domu zachowałby się w podobnej sytuacji, a Carlton nie miał zamiaru wyciągać z niego więcej, niż musiał wiedzieć.

Mordechai opowiedział o tym, jak Damien wzbudził ich zainteresowanie, i nie szczędził gorzkich słów, wyrażając frustrację, którą odczuwano w Mosadzie w związku z faktem, że wywiad amerykański odmówił współpracy w tej sprawie. Ryan słuchała go z zainteresowaniem. Nie miała pojęcia, kto podjął taką decyzję, ale zamierzała się dowiedzieć.

Carlton zapytał, na czym polegało zadanie Heleny, a Mordechai wyjaśnił, że udało im się skopiować twardy dysk laptopa i zawartość jednej z komórek Damiena, ale nikt w Tel Awiwie nie potrafił złamać kodu dostępu.

– Możesz opisać tę komórkę?

Kiedy Mordechai skończył mówić, Harvath wyjął swój smartfon i pokazał mu zdjęcia telefonów Hendrika, które przekazał do zbadania technikom CIA.

– Taki sam jak ten – powiedział Izraelczyk, wskazując na wyświetlacz. – Skąd je masz?

– Należały do kogoś, kto naszym zdaniem pracował dla Damiena.

– Podał ci swoje hasło?

– Nie bez oporów.

– Znalezliście w nich coś?

– Na razie nic. Niczego nie zapisywał – wyjaśniła Ryan. – Jeżeli porozumiewał się z kimś, usunął wszelkie ślady.

– I tak jesteście krok przed nami, skoro zdobyliście hasło – odparł Bentzi i zaczął opowiadać, jak wystawił Helenę i jak Damien połknął przynętę. Bez jego haseł skopiowana zawartość telefonu i twardego dysku była bezużyteczna. Wszystko zależało od Heleny.

– Jednego nie rozumiem – odezwał się Harvath. – Czemu zajęło jej to aż tyle?

Mordechai westchnął ciężko i pokrótce wyjaśnił, kim była Helena i jakiej musieli użyć zachęty, żeby ją zmotywować do poczynienia postępów. Kiedy skończył, Carlton zagwizdał przeciągle.

– A czy macie w ogóle tego Enocha, kimkolwiek on jest? – zapytała Ryan.

– Owszem. Formalnie dla nas nie pracuje, ale wiemy, gdzie go szukać, i wykorzystujemy go od czasu do czasu – odparł Izraelczyk i wyczuwając atmosferę niesmaku, jaka zapanowała w pokoju, dodał: – To odrażający biznes, ale ten człowiek ma dla nas wartość. Przez jego siatkę przenikają ważne informacje.

Harvath pokręcił głową.

– To na pewno jakaś pociecha dla wszystkich tych kobiet, z których zrobił niewolnice seksualne.

Mordechai wiedział, że nie ma sensu dyskutować. Jego kraj był w stanie wojny i robił wszystko, żeby przetrwać. Nie zamierzał za to przepraszać.

– A więc Mosad cały czas miał Enocha na oku, ale nikt nie powiedział o tym Helenie, zgadza się? – wtrąciła Ryan.

Izraelczyk posepnie pokiwał głową.

– Zgadza się.

– I pomimo jego rzekomej wartości Mosad odda go Helenie w nagrodę za wykonanie zadania?

Bentzi pomyślał o swojej szefowej, Navie, i pokręcił głową.

– Myślę, że kiedy złowią rybkę, będą chcieli również zatrzymać przynętę.

– Innymi słowy, Helena nie dostanie Enocha.

Mordechai przytaknął. Tego Ryan mogła się domyślić. Żyli w świecie gier, półprawd i pustych obietnic. Nie dało się w nim funkcjonować bez kłamstw, ale niektóre z nich były poniżej godności agentów wywiadu,

nawet jeżeli wydawało im się, że od tych działań zależą losy narodu. Zawsze istniało jakieś inne rozwiązanie. A jeden z największych problemów tkwił w tym, że oszukani często zamieniali się w śmiertelnych wrogów.

– Będzie za to obwiniała ciebie – zauważył Harvath. – To ty złożyłeś jej obietnicę.

– Wynagrodzę jej to.

– Wszyscy tak sobie mówimy.

Mordechai utkwiał w nim przenikliwe spojrzenie.

– Tylko że ja mówię to całkiem poważnie.

Harvath przez chwilę wpatrywał się badawczo w jego oczy. Łączyło go z tą kobietą coś, co wykraczało poza relacje szefa i podwładnej. Było to wręcz wypisane na jego twarzy. Harvath nie chciał sprowadzać tego do seksu. Helena Pestova rzeczywiście była olśniewająca, a jej uroda nie mogła ujść uwadze Bentziego, jednak on sprawiał wrażenie, jakby był ponad to. Przypominał rycerza bez skazy, oddanego bez reszty swojej świętej sprawie i kodeksowi moralnemu, którym się kieruje. Ale mogły to być tylko pozory. Możliwe, że Mordechaiowi zależało tylko na omamieniu Heleny, ale Harvath nie podejrzewał go o to. Wyczuwał w nim coś szlachetniejszego. Coraz rzadziej zdarzało mu się spotykać ludzi, którzy tak szczerze wierzą w swoje wartości i są gotowi poświęcić się w imię wyższego dobra i szczytnych celów. Postawa tego człowieka natchnęła go nadzieją. Pokrzepiła go świadomość, że jest na świecie więcej idealistów takich jak on sam. W cokolwiek wierzył Mordechai, w tej chwili Harvath uważał go za prawdziwego obrońcę wartości.

Dowiedziawszy się, na czym polegała misja Heleny, Carlton zapytał, o jakie knowania Izraelczycy podejrzewali Damiena i co spodziewali się znaleźć w jego laptopie i komórce. Aby udzielić odpowiedzi na to pytanie, Bentzi musiał przede wszystkim wyjaśnić, dlaczego Mosad zainteresował się miliarderm. Ponieważ większość ludzi ma tylko ogólne pojęcie o zasadach funkcjonowania ONZ, przedstawił jej strukturę władzy, porównując ją do rosyjskiej matroszki. Kiedy doszedł do Kolegium Doradczego Sekretarza Generalnego i jego potajemnej konferencji w Alpach Szwajcarskich, oprócz jego głosu w pokoju słychać było tylko trzask polan na kominku. Mordechai wspomniął również o anonimowej siedmioosobowej Komisji Plenarnej i pozostawiając najbardziej

wstrząsające informacje na koniec, streścił dziesięciopunktowy program organizacji, który znalazł w pokoju hotelowym Damiena w Alpbach.

Nie potrzebował notatek. Cały ten odrażający manifest utkwił głęboko w jego pamięci. Nawet przebudzony w środku nocy potrafiłby wyrecytować wszystkie jego odrażające cele – zredukowanie ludzkiej populacji do maksymalnie pięciuset milionów, kierowanie rozmnażaniem w duchu eugeniki, zjednoczenie ludzkości za pomocą nowego „żywego” języka, ponowny rozdział bogactw naturalnych jako „globalnego dobra publicznego”, zrównoważenie praw jednostki „obowiązkami społecznymi”, zastąpienie religii i tradycji rozumem, wykorzystanie takich technologii jak internet i media społecznościowe do sprawowania władzy i szerzenia propagandy, przekonanie ludzi, że ustanowienie globalnego rządu jest nie tylko nieuniknionym, ale również logicznym krokiem na drodze ewolucji, obalenie idei suwerenności państwowej i wreszcie wyeliminowanie wszelkich form sprzeciwu wobec władzy ONZ.

Mordechai wyjaśnił, że za największą przeszkodę w dążeniu do swoich celów Komisja Plenarna uważała Izrael i Stany Zjednoczone. Żeby usunąć ze swojej drogi te dwa demokratyczne państwa, planowała jakąś tajemniczą katastrofę na ogromną skalę. Wspomniał o odręcznych notatkach Damiena, zwłaszcza tych dotyczących Stanów Zjednoczonych, i zapytał, czy komuś z obecnych mówią coś litery RG.

Harvathowi zaświtało w głowie kilka możliwości, między innymi symbol pierwiastka, Roentgen, ale skrót mógł mieć wiele innych znaczeń. Carlton i Ryan również nie potrafili skojarzyć go z niczym konkretnym.

– Nic? – zapytał Bentzi. – Co w takim razie powiecie na AGK? Obok tego skrótu Damien dopisał jeszcze kilka takich słów, jak „chorobotwórczość”, „całkowite ryzyko” i „reakcja na dawkę”.

Wypowiedziawszy te słowa, zauważył, że twarze wszystkich jego rozmówców pobladły.



## Rozdział 32

Harvath spojrział na Starego, który skinieniem głowy potwierdził jego przypuszczenia. Ryan zareagowała tak samo.

– Afrykańska gorączka krwotoczna – powiedział, zwracając się do Mordechaia.

– Coś jak ebola? – zapytał Izraelczyk.

– Ten sam gatunek wirusa, ale wywołuje znacznie gorszą chorobę. Jego okres inkubacji trwa zaledwie kilka dni i podobno został tak zmodyfikowany, że może się rozprzestrzeniać drogą powietrzną.

– To już nie jest wirus. To broń biologiczna. Kiedy to odkryłeś?

– Dopiero parę dni temu. Dziś rano wróciłem z Afryki.

– Czy wasz prezydent o tym wie?

– Nie jesteśmy uprawnieni, aby ujawniać, o czym wie nasz prezydent – wtrącił Carlton.

Mordechai uniósł ręce w ostentacyjnym geście kapitulacji.

– Chciałem tylko powiedzieć, że jeśli to jest ta katastrofa, którą zaplanował Damien wraz ze swoją Komisją Plenarną, Izrael również stanie się celem. Musimy nakłonić nasze rządy do podjęcia współpracy.

– Racja, ale jest jeszcze inny problem – odezwał się Harvath. – Wczoraj wieczorem Damien wydał przyjęcie w swojej posiadłości.

– Wiem o tym – odparł Bentzi. – Helena przysłała mi raport. To miało związek z jego działalnością dobroczynną. Coś w rodzaju posiedzenia zarządu.

Harvath spojrział na Starego i na Ryan, a gdy obydwójce pokiwali przyzwalająco głowami, otworzył w swoim laptopie folder ze zdjęciami i obrócił monitor w stronę Izraelczyka.

– Tutaj widać samochody, które parkowały przed rezydencją wczorajszego wieczoru – wyjaśnił. – A to są ich właściciele.

– Posłaliście tam drona? – zapytał Mordechai. – Cóż za ironia.

– Dlaczego?

– Bo kiedy Izrael potrzebuje waszej pomocy, swobody obywatelskie pana Damiena są nienaruszalne, ale gdy tylko zaczynacie podejrzewać, że coś się święci, drony wzbijają się w powietrze. Ale żeby było całkiem zabawnie, wasz dron powinien nazywać się Wolność albo jakoś tak. Nie sądzicie?

Harvath zjeżył się na taką uwagę, podobnie Ryan, ale zanim któreś z nich zdążyło odpowiedzieć, głos zabrał Carlton.

– Nie bądź dupkiem, Mordechai. Izrael wiele razy zatajał informacje, spowalniał dochodzenia i odmawiał nam współpracy i dobrze o tym wiesz. Nie udawajmy, że jesteście tacy nieskazitelni.

Trwało to chwilę, ale w końcu Bentzi zgodził się z jego argumentami.

– Masz rację – powiedział.

– No dobra – odparł Stary. – Skoro już wylaliśmy wzajemne żale, powiedz mi teraz, czy rozpoznajesz którąś z osób, które wczoraj odwiedziły Damiena.

Izraelczyk przysunął bliżej swoje krzesło i uważnie przestudiował każde ze zdjęć.

– Nikogo. A powinienem?

– Nie, chyba że bardzo lubisz się nudzić.

– Co to ma do rzeczy?

– Wszyscy ci ludzie pracują dla rządu. – Harvath zaczął pokazywać kolejne twarze. – Departament Zdrowia i Pomocy Humanitarnej, Departament Transportu, Departament Skarbu, Federalna Komisja Łączności, Urząd Zarządzania Kadrami, Agencja do spraw Rozwoju Międzynarodowego, Departament Stanu i Departament Bezpieczeństwa Krajowego. Każdy z nich jest urzędnikiem średniego lub wyższego szczebla. Nawet gdybyś oferował milion dolarów nagrody, musiałbyś sporo się naszukać, żeby w całym kraju znaleźć więcej niż garstkę ludzi, którzy znają ich nazwiska.

– Gwoli sprawiedliwości – odparł Mordechai – nie znalazłbyś też wielu Amerykanów, którzy znają nazwisko waszego wiceprezydenta.

Izraelczyk miał rację. Obok instynktu samozachowawczego, który cechował waszyngtońskich polityków, ignorancja Amerykanów była największą bolączką Harvatha. Uważał, że z posiadaniem obywatelstwa amerykańskiego wiążą się nie tylko przywileje, lecz także obowiązki. Amerykanie byli gospodarzami swojej republiki. To nie politycy rządzili tym krajem, ale obywatele. Mimo to niektórzy Amerykanie nie mieli pojęcia, jak funkcjonuje rząd, a zastraszająca liczba jego rodaków nawet nie

zawracała sobie głowy udziałem w wyborach. Harvath już dawno pogodził się z faktem, że wielu ludzi, dla których bezpieczeństwa narażał swoje życie, pilnuje tylko swoich spraw i nie interesuje się życiem publicznym. Nie potrafił tego ująć w inny sposób. Nie był zwolennikiem poprawności politycznej. Jeżeli ktoś nie wiedział, jak się nazywa wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, nie był niedoinformowanym wyborcą, ale po prostu głąbem. A co gorsza, pospolitym leniem. Nie oczekiwał, aby przeciętny obywatel znał nazwiska szefów wszystkich agencji rządowych, ale nazwisko zastępcy głowy państwa? To bynajmniej nie było zbyt trudne pytanie.

Chociaż jego zdaniem to raczej fakty aniżeli emocje powinny decydować o tym, jaka koncepcja polityczna jest najlepsza dla kraju, nie odmawiał ludziom prawa do głosowania na tych kandydatów, którzy w ich mniemaniu najbardziej nadawali się na urząd. Zależało mu tylko, żeby obywatele dobrze się do tego przygotowali, wyrobili sobie pojęcie o sytuacji i przełożyli to na swoje decyzje podczas wyborów. W głębi ducha wierzył, że każdy Amerykanin zdoła przeskoczyć tak nisko postawioną poprzeczkę. Martwiło go jednak, że tak wielu nie ma na to ochoty.

– A więc co ich łączy? – zapytał Izraelczyk, wyrrywając Harvatha z zamyślenia.

Było to pytanie, które sam zadawał sobie wiele razy od chwili, gdy Nicholas pokazał im film z drona, zanim jeszcze popędzili wraz z Ryan na lotnisko, żeby zgarnąć Mordechaia.

– Prześwietliliśmy ich we wszystkich bazach danych i niczego nie znaleźliśmy – odparł. – Wszyscy pracują dla rządu, ale nie potrafimy ustalić żadnych powiązań między nimi, nie mówiąc o ich powiązaniach z Damienem.

– Damien jest jednym z najbogatszych ludzi na świecie – dodała Ryan. – Wszyscy próbują się do niego dopchać. Ludzie chcą mieć dostęp do jego majątku i wpływów. Tymczasem on tuż po powrocie do Stanów wydaje przyjęcie dla grupy przeciętnych urzędników. To nie ma sensu.

– Może w tym celu tutaj przyleciał – zasugerował Bentzi.

– Żeby się z nimi spotkać? Po co?

– Cóż, skoro nie znaleźliście niczego, co ich łączy, a Damien pomaga im w jakiejś działalności dobroczynnej, to musimy założyć, że to on czegoś od nich potrzebuje.

– Na przykład czego? – zapytał Harvath sceptycznym tonem. Mordechai wzruszył ramionami.

– Nie wiem. A jeśli dorzucimy do tego afrykańską gorączkę krwotoczną, ich kontakty nabiorą więcej sensu?

– Departament Zdrowia i Departament Bezpieczeństwa Krajowego? Jasne. Ale epidemia tego typu może się odbić na działalności każdej agencji rządowej. Nie sądzę, aby którakolwiek z nich miała wyjątkowe znaczenie w tym kontekście.

– Ale te dwie, o który których właśnie wspomniałeś, mogą mieć ścisły związek z wybuchem jakiejś epidemii, prawda?

– Tak samo jak Centrum Zapobiegania i Kontroli Chorób i Federalna Agencja Zarządzania Kryzysowego.

– Które podlegają resortom zdrowia i bezpieczeństwa – wtrąciła Ryan. Mordechai spojrzał na Harvatha i uniósł brwi.

– To wciąż nie wyjaśnia celu ich wizyty – powiedział Harvath. – To zwykli urzędnicy, a nie szefowie tych agencji. Mają ograniczoną władzę.

– Nie byłbym tego taki pewien – wtrącił Carlton. – Wzgardzony urzędnik jest gorszy od diabła.

– Ale nie mówimy tu o odrzuconym wniosku o ulgę podatkową czy przekroczeniu limitu wydatków podczas konferencji w Vegas – upierał się Harvath.

– Mówimy o zamachu na Stany Zjednoczone.

– Nie jesteś przekonany, że coś ich łączy?

– A ty?

– Uważam, że władza prowadzi do zepsucia, a władza absolutna prowadzi do absolutnego zepsucia – odparł Stary. – A w dzisiejszej epoce nikt nie ma większej władzy niż amerykański biurokrata.

– To jeszcze nie oznacza, że ci ludzie próbują zniszczyć ten kraj – zaoponował Harvath, zdumiony, że został zmuszony, by bronić urzędników.

– Wcale nie muszą. Czy nowotwór zdaje sobie sprawę, że zabija swojego żywiciela? Właśnie z tego powodu odszedłem z CIA. Biurokracja zżerała agencję od środka, osłabiała ją i doszło do tego, że nie byliśmy w stanie efektywnie wykonywać swojej pracy. A mimo to mógłbym ci podać długą na kilometr listę urzędników, z których każdy zaprzeczyłby kategorycznie, że jego działania były szkodliwe dla CIA i dla kraju. I każdy z nich mówiąc to, przeszedłby badanie na wykrywaczu kłamstw. Ale wtedy agencja była inna.

– Dlaczego?

– Bo mimo całego tego burdelu graliśmy o wyższą stawkę. Naszą misją było zapewnianie bezpieczeństwa ludziom i ochrona tajemnic. Kiedy coś się nie powiodło, o naszej porażce pisało się na pierwszych stronach gazet i mówiło we wszystkich stacjach telewizyjnych. Przed tym nie dało się uciec. Nie dało się tego zamieść pod dywan, jak to miała w zwyczaju cała reszta agencji rządowych. Tak było trzydzieści lat temu, a od tamtej pory tylko się pogorszyło. Zmierzam do tego, że urzędnicy, jak wszyscy, wyrabiają sobie pewne nastawienie. Im dłużej pracują dla rządu, tym głębszego nabierają przekonania, że rząd potrafi zaradzić wszystkiemu, i tym mniejsze mają zaufanie do zwykłych obywateli. Tak naprawdę zaczynają wierzyć, że pewne grupy obywateli stanowią źródło problemów naszego kraju. Postrzegają ich jako zagrożenie. Jeśli stawiają ich do pionu, w swoim mniemaniu robią to dla dobra ogółu, żeby społeczeństwu żyło się lepiej.

– Ale to właśnie oni są władzą – odezwał się Harvath. – A władza musi pozostać obiektywna. Nie może opowiadać się po żadnej ze stron.

Pożałował tych słów, gdy tylko je wypowiedział. Mordechai i Carlton zgodnie parsknęli śmiechem i tylko Ryan nie dopatrzyła się w jego uwadze niczego zabawnego.

– Niezależnie od skłonności biurokratów do sprzyjania jeszcze większej biurokratyzacji – powiedziała – wciąż jesteśmy państwem prawa i urzędników obowiązuje przysięga. Nie mogą samowolnie decydować, co jest najlepsze dla kraju i dla nas wszystkich.

– To prawda. – Carlton przyznał jej rację, kiedy uśmiech znikł z jego twarzy. – Próbuję tylko zaznaczyć, że jeśli nasi sternicy zaczną ciągnąć za bardzo w jedną stronę, a nikt, to znaczy żaden z obywateli, nie będzie patrzył im na ręce, nasz statek zbczy z kursu, zanim zdążymy się zorientować. Wystarczy wpuścić na pokład kogoś z charyzmą i odpowiednią osobowością, a wszystko stanie się możliwe. Niech to będzie nawet sam diabeł, ale jeśli sternicy poczują, że rozumie ich potrzeby i pragnienia i leży mu na sercu ich interes, staną się zdolni do niebywałych wyczynów.

Harvath wolałby nie wierzyć, że coś takiego jest możliwe, ale musiałby wymazać z pamięci historie wszystkich intryg pałacowych, przewrotów i rewolucji.

– Założmy, że macie rację – powiedział. – Założmy, że istnieje jakiś związek między gośćmi Damiana a zamierzeniami Komisji Plenarnej.

Myślicie, że Damien wyjawiał swój wielki plan grupce urzędników federalnych średniego szczebla?

– Myślę, że powinniśmy ich o to zapytać – odparł Carlton.

– Mówisz poważnie?

– Jak najbardziej.

– Od kogo byś zaczął?

– Od niej. – Carlton wskazał zdjęcie przedstawiające Lindę Landon z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. – Tej, która została w rezydencji, kiedy wszyscy inni już wyjechali.

– Kiedy tylko się zorientuje, że ją przejrzelśmy, od razu zadzwoni do Damiena – uprzedził go Harvath. – A on weźmie nogi za pas albo zasłoni się immunitetem dyplomatycznym. Wyprze się znajomości z Hendrikiem i będzie utrzymywał, że dokumenty znalezione w hotelu spreparował Mosad, żeby zszargać jego dobre imię, ponieważ sympatyzuje z Palestyńczykami. I tak się to skończy.

– A gdybyśmy go zgarnęli i przemaglowali? – zaproponowała Ryan.

Nie był to najgorszy pomysł. W gruncie rzeczy Carlton rozważał taką ewentualność już podczas rozmowy z prezydentem. Ale wbrew złośliwym docinkom Bentziego prezydent nie zamierzał wyrazić zgody na przekroczenie wytyczonych przez konstytucję granic, przynajmniej dopóki nie dysponowali o wiele bardziej jednoznacznymi dowodami. Bez względu na wszystko Pierre Damien był obywatelem amerykańskim i przebywał na amerykańskiej ziemi. Musieli poszukać innego sposobu.

– Nikt w naszym rządzie nie zatwierdzi czegoś takiego. – Harvath pokręcił głową. – Nie na tym etapie. Musimy mieć coś więcej, żeby go przyskrzynić.

– W takim razie co proponujesz?

– Wszystkich, którzy odwiedzili wczoraj Damiena w jego rezydencji, poddać całodobowej obserwacji. Włącznie z podsłuchem telefonów i dostępem do poczty elektronicznej.

– Pójdiesz do Departamentu Sprawiedliwości i poprosisz o nakaz? – zapytała Ryan.

Harvath zdawał sobie sprawę, że nie mogą tego zrobić, zwłaszcza gdy na liście podejrzanych znajdują się pracownicy tego resortu. Poza tym prokurator generalny mógłby się zainteresować, w jakich okolicznościach Hendrik ujawnił kluczowe informacje i gdzie obecnie się znajduje. Gdyby przy okazji wyszło na jaw, że izraelski wywiad prowadzi niezatwierdzoną

operację na terenie Stanów Zjednoczonych, wybuchłaby afera. Ale zdawał sobie również sprawę, że właśnie na to liczą ich wrogowie, którzy dzięki prawomyślnej postawie Ameryki zyskiwali przewagę i wciąż byli o kilka kroków do przodu. Harvath był gorącym zwolennikiem odrzucenia norm, które krępowały ich poczynania. Skoro przeciwnicy nie grali uczciwie, czemu Stany Zjednoczone miałyby dawać im fory? Mnóstwo razy słyszał, że zniży się do ich poziomu, jeśli odrzuci prawo i zasady moralne. Trudno było się nie zgodzić z takim argumentem. Trudno było również nie zgodzić się ze słowami Benjamina Franklina, który twierdził, że ten, kto dla tymczasowego bezpieczeństwa rezygnuje z odrobiny wolności, straci jedno i drugie. Właśnie dlatego należało skorzystać z jeszcze innego rozwiązania.

Harvath wiedział, że to grząski grunt. Jeżeli rząd zgodzi się na odstępstwo od zasad w walce z zewnętrznymi wrogami, jak długo trzeba będzie czekać, aż zacznie usprawiedliwiać takie zagrania w stosunku do własnych obywateli? W pewnym sensie już do tego doszło. Amerykanie, którzy wyruszyli na Bliski Wschód, żeby walczyć u boku islamskich terrorystów, ginęli w atakach dronów bez szans na sprawiedliwy proces. Harvath nie widział w tym nic zdrożnego. Jeżeli ktoś znalazł się w pobliżu tych barbarzyńców, na polu walki czy poza nim, w pełni zasługiwał na taki los. Ale kiedy obywatele Stanów Zjednoczonych stawali się celem we własnym kraju, robiło się nieciekawie. Przy piwie i paluszkach z homara mógłby przez cały dzień dyskutować o drażliwych kwestiach dotyczących bezpieczeństwa wewnętrznego. Jego zdaniem organa władzy nie powinny zaglądać ludziom do okien, nagrywać ich rozmów telefonicznych i czytać e-maili, jeżeli nie ma do tego poważnych podstaw. Uważał, że tego typu zakusy należy tłumić w zarodku. Masowa inwigilacja prowadziła do niesamowitych nadużyć, a także gasiła ducha w narodzie. Obywatele znajdujący się pod stałym nadzorem tracili zdolność samodzielnego myślenia. Zaczynali się zachowywać w sposób, który w ich mniemaniu był zgodny z oczekiwaniami władzy. Według niego najlepszy ustrój to taki, w którym rząd boi się obywateli. Tam, gdzie władza bała się społeczeństwa, panowała wolność. Tam, gdzie społeczeństwo bało się władzy, panowała tyrania. Harvath złożył przysięgę, że zawsze będzie bronił konstytucji i stał po stronie społeczeństwa.

Jednak to, co sugerował teraz, oznaczało naruszenie prawa. Miał więc poważne wątpliwości, czy nadal stoi na straży konstytucji i po stronie

społeczeństwa, proponując, by pewne osoby poddać obserwacji, ponieważ złożyły wizytę w domu podejrzanego. Gdyby role się odwróciły, jak by się czuł, będąc szpiegowanym?

Były to jak najbardziej uzasadnione pytania, ale nie miał czasu zastanawiać się nad nimi. Czy zamierzał nagiąć prawo? Z całą pewnością. Czy był gotów złamać kilka przepisów? Przypuszczalnie tak. Czy obawiał się związanych z tym wyrzutów sumienia? Ani trochę. Swoje nastawienie mógłby ująć następująco – jeśli włamiesz się w środku nocy do mojego domu z nożem w ręku, nie zostawię strzelby pod łóżkiem przez wzgląd na równe szanse. Jeśli mnie zaatakujesz, jeśli będziesz zagrażać mojej rodzinie, mieniu czy ojczyźnie, nie będę przebierał w środkach, odpierając atak. Nie chcesz zostać stratowany? Trzymaj się z dala od byka.

Uśmiechnął się i spojrzał na Lydię Ryan.

– Na razie Departament Sprawiedliwości będzie musiał poczekać – powiedział. – Poradzimy sobie sami.



# Rozdział 33

CLIFTON, WIRGINIA ŚRODA

Helena nigdy wcześniej nie jadła świeżych jaj prosto z farmy. Nawet Jeffery, który nigdy się nie uśmiechał, przyglądał się jej z przyjemnością.

– Właśnie tak ludzie powinni się odżywiać – oznajmił Damien z aprobatą. – Świeże jedzenie z własnej hodowli.

Helena była oczarowana smakiem jajek, szpinaku i koziego sera. Zjadła omlet tak szybko, że ogarnęło ją zakłopotanie.

– Chciałabyś dokładkę? – zapytał Damien ze śmiechem.

– Nie powinnam.

– Nie wygłupiaj się. Jeffery, usmaż jeszcze jeden i podzielimy się nim. Lokaj skinął głową i znikł w kuchni.

– Będę musiała spędzić dzisiaj na bieżni dodatkowe pół godziny. Damien przysunął się do niej.

– Jesteś absolutnie doskonała – powiedział. – Wiesz o tym? Uśmiechnęła się i pogładziła palcami jego włosy.

– Jeżeli jestem doskonała, to tylko dlatego, że wiem, jak długo powinnam ćwiczyć.

– Nie mówię o twoim ciele. Mówię o tobie. Nie miała pojęcia, co w niego wstąpiło.

– Masz dzisiaj dobry humor – zauważyła.

– Nie jest tak codziennie?

– Owszem, ale dziś wyglądasz na wyjątkowo zadowolonego. Upłynęła chwila, zanim pozbierał myśli.

– Patrzę na ciebie, patrzę na tę farmę i widzę, że mamy tutaj wszystko, czego moglibyśmy potrzebować. Jutro mógłby nastąpić koniec świata, a nam nic by się nie stało. Tak naprawdę byłoby nam cudownie.

– Czy jest coś, o czym nie wiem? – spytała żartobliwym tonem. – Leci na nas jakaś kometa albo coś w tym rodzaju?

Damien chwycił ją dłonią pod brodę i pocałował w usta. To był długi, nieśpieszny i delikatny pocałunek.

– Co chcesz dzisiaj robić?

– A co proponujesz? – wyszeptała, przysuwając się do niego. Uśmiechnęła się.

– Chodziło mi o to, co chcesz robić tutaj, na farmie. Muszę cię zostawić na chwilę. Masz tu konie i quady, cokolwiek zechcesz. Tylko powiedz Jeffery’emu, a on się wszystkim zajmie.

Helena odwzajemniła jego pocałunek.

– Może później pojeżdżę. Jeszcze nie wiem. Muszę dokończyć prezentację dla ONZ.

– Nie przejmowałbym się tym zbyttnio.

– Bo nadlatuje kometa?

Damien dopiero po chwili pojął jej żart i parsknął śmiechem.

– Pierre – dodała Helena. – Czy ty nie traktujesz mojej pracy poważnie?

– Ależ skąd. Tylko że zapowiada się taki pogodny dzień. Obiecuj mi, że nie zmarnujesz ani chwili w domu.

– Obiecuję, jeżeli ty mi obiecasz, że popływamy nago, kiedy wrócisz. Pocałował ją jeszcze raz, zanim wyswobodził się z jej objęć, i wstał.

– Wybierzemy się na lunch do miasta czy wolałabyś zjeść tutaj? Udała, że zastanawia się nad odpowiedzią.

– A możemy zabrać własne wino? – zapytała.

– Oczywiście. Co tylko zechcesz.

– Wspaniale. W takim razie jedźmy do miasta.

– Wybierz jakiś lokal i niech Jeffery zarezerwuje dla nas stolik.

Uśmiechając się, odprowadziła go wzrokiem, kiedy wychodził z jadalni. W holu przystanął, żeby założyć marynarkę, i wyszedł na zewnątrz. Z podjazdu dobiegł trzask zamykanych drzwi, kiedy ochroniarze zajęli miejsca w samochodach, a potem rozległ się odgłos uruchamianych silników. „Jeden problem z głowy”, pomyślała, kiedy warkot ucichł w oddali. Teraz pozostawało jej tylko czekać, aż wyjedzie Jeffery. Dopóki był w rezydencji, nie mogła przystąpić do działania, ale Damien dał mu listę sprawunków do załatwienia na ten poranek.

Przebrała się w strój do biegania i poszła do przybudówki, w której mieściła się sala do ćwiczeń. Przez sięgające od podłogi do sufitu okna miała doskonały widok na podjazd. Po dziesięciu minutach rozciągania włożyła słuchawki do uszu i zaczęła trening na bieżni. Dwadzieścia minut później zauważyła, jak Jeffery odjeżdża staromodnym jeepem wagonerem

z drewnianymi panelami po bokach. Zatrzymała bieżnię, chwyciła ręcznik i wróciła do domu.

Sprawdziła każde pomieszczenie, żeby się upewnić, że jest absolutnie sama, i skierowała kroki do biblioteki. Damien zabrał tylko marynarkę, co oznaczało, że jego laptop został w rezydencji. Położyła komórkę na blacie biurka i otworzyła prawą dolną szufladę. Sejf z klawiaturą zamka szyfrowego był taki sam jak ten w Genewie. Wstukała kod i kiedy zapaliła się zielona dioda, otworzyła drzwiczki. W środku znajdował się laptop. Wyjęła go i włączyła. Na szczęście ukryte w ładowarce urządzenie odróżniło hasło Damiena od tego, które zeszłego wieczoru wpisała do swojego komputera ta zdzira, Linda. Spoglądając na wyświetlacz smartfona, do którego wgrała przechwycone dane, Helena przygotowała się do przepisania pierwszego ciągu liter, symboli i liczb. Kiedy wyświetliła się strona logowania, wpisała hasło i wstrzymała oddech. Miała wrażenie, że minęła cała wieczność, ale po kilku sekundach na monitorze pojawił się pulpit i uzyskała dostęp do komputera.

Podobnie jak w jego życiu osobistym, na dysku Damiena panował idealny porządek. Każdy folder miał stosowny opis, a jego zawartość została podzielona na odpowiednie podkatalogi. Helena wypatrywała sześciu kluczowych słów, ale nie natknęła się na żadne z nich w tytułach plików i dokumentów, które przeglądała. Uruchomiła funkcję wyszukiwania i wprowadziła pierwsze słowo. Bez efektu. Potem spróbowała z drugim. Również nic. Nie pozwalając sobie na zniechęcenie, powtórzyła całą procedurę z trzecim i czwartym słowem. W obu przypadkach rezultat był taki sam. Poszukiwanie piątego słowa też nic nie dało. Zaczął ogarniać ją niepokój. Kiedy wpisała ostatnie słowo z listy, na kilka sekund zawiesiła palec nad klawiszem. Nie wiedziała, co robi, jeżeli to zawiedzie. W końcu opuściła palec. Bingo!

Przyglądziła spięte w koński ogon włosy i zaczęła otwierać kolejne pliki. Były tam wszystkie informacje, których potrzebowała, a nawet więcej. Uruchomiła aparat w swojej komórce i przewijając powoli dokumenty, fotografowała każdy z nich.

Była mniej więcej w połowie, kiedy usłyszała jakiś hałas. Wydawało się jej, że dobiegał od strony holu. Czyżby to któryś z pracowników farmy? Czyżby Damien już wrócił?

Zaczęła pośpiesznie przesuwać dokumenty, robiąc zdjęcie za zdjęciem. W korytarzu rozległ się odgłos ciężkich kroków. Ktokolwiek to był,

wyglądało na to, że idzie w jej stronę. Helena wzięła głęboki oddech, próbując nie poddawać się panice. Musiała sfotografować resztę dokumentów. Błyskawicznie przewijała kolejne pliki, uwieczniając każdy z nich w pamięci smartfona. Miała wrażenie, że odgłos kroków rozbrzmiewa tuż pod drzwiami, ale korytarz był długi i echo mogło płatać figle. Nad jej brwiami zebrały się kropelki potu, ale nie chciała zmarnować ani sekundy na ich otarcie. Musiała się śpieszyć. Musiała wykonać zadanie. Jej serce kołatało jak szalone, a instynkt podpowiadał, żeby wynosiła się stamtąd czym prędzej.

Nagle czyjaś ręka spoczęła na klamce, która zaczęła powoli się obracać. Kiedy drzwi się otworzyły i do biblioteki zajrzał Jeffery, zastał Helenę stojącą za biurkiem, na którym leżała rozpostarta gazeta.

– Jeffery – odezwała się Helena, kiedy lokaj przestąpił próg. – Pan Damien i ja wybieramy się dziś po południu do miasta na lunch. Miałam wybrać restaurację, ale nie mogę się zdecydować. Jak sądzisz, która jest lepsza, Violino czy La Niçoise? – zapytała i wskazując na gazetę, dodała: – W pierwszej można dostać dziesięć procent zniżki z tym kuponem, ale w drugiej mają niższe korkowe.

Przez chwilę Jeffery nie wiedział, co powiedzieć.

– Jestem pewien, że koszty nie będą stanowić problemu – odezwał się wreszcie.

– A znając gust pana Damiena, oba lokale spodobają mu się tak samo.

Nawet kiedy wzięła go z zaskoczenia, zachowywał się jak nadęty sukinsyn.

– Niewiele z ciebie pożytku. – Helena uśmiechnęła się do niego. – Wiesz o tym, prawda?

– Mogę zapytać, co pani robi w bibliotece?

– Czytam – odparła, potrząsając płachtą gazety. – A ty?

To bezpośrednie pytanie najwyraźniej zbiło go z tropu. Nie należał do ludzi obdarzonych poczuciem humoru. Tylko raz widziała uśmiech na jego twarzy i było to tego ranka.

– Szukam listy, którą dał mi pan Damien. Zapomniałem jej zabrać.

– Sprawdź na kredensie w jadalni. Widziałam, że coś tam zapisywałeś.

– Dziękuję – odparł lokaj i wyszedł.

Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, Helena wyjęła laptopa spod gazety, wyłączyła go i schowała z powrotem do sejfów.

## Rozdział 34

Gdy telefon zadzwonił po raz drugi, Harvath nie próbował już ponownie zasnąć i wstał z łóżka. Zszedł na dół do kuchni, nastawił kawę, uruchomił laptopa i włączył telewizor. Na razie w wiadomościach nie było niczego alarmującego.

Nicholas dobrał się do Centrum Zapobiegania i Kontroli Chorób w Atlancie. Włamał się do ich systemu i wziął pod lupę Giełdę Informacji Epidemiologicznych. Była to chroniona hasłem baza, w której urzędnicy resortu zdrowia na szczeblu lokalnym, stanowym i ogólnokrajowym mogli śledzić i zamieszczać informacje na temat epidemii chorób zakaźnych.

W ciągu ostatnich dwunastu godzin dwie osoby – jedna w Chicago i jedna w Houston – zgłosiły się do miejscowych szpitali z wysoką gorączką i objawami przypominającymi grypę. Stan obu pacjentów błyskawicznie się pogorszył i doszło do silnych krwotoków, nawet z oczu, uszu i dziąseł. Krew i płyny ustrojowe wyciekały z ich ciał wszystkimi możliwymi drogami, a wydzielina miała tak ciemny kolor, że była prawie czarna. Pokryte nią podłogi oddziałów intensywnej terapii wyglądały jak sceneria horroru. Chociaż szybkie testy diagnostyczne nie wykazały, że to ebola, urzędnicy zaczęli już mówić o „pewnej formie” gorączki krwotocznej. Pobrano próbki, które wysłano do analizy w Centrum do spraw Zapobiegania i Kontroli Chorób.

Chociaż Harvath nie był lekarzem, wiedział już, z czym mają do czynienia. Zamieniony w broń biologiczną wirus afrykańskiej gorączki krwotocznej został uwolniony.

Kiedy Nicholas zdobył nazwiska tamtych dwóch pacjentów, zaczął grzebać w ich przeszłości. Obaj byli mężczyznami i nosili muzułmańskie nazwiska. Na podstawie zaledwie dwóch przypadków trudno było wyciągać jakieś wnioski, ale Harvath był pełen obaw. Intuicja podpowiadała mu, że najgorsze dopiero przed nimi. Spojrzał na zegarek, zastanawiając się, czy zadzwonić do Carltona, ale zrezygnował z tego pomysłu. Nie chciał go

budzić bez potrzeby. Miał już w głowie całą listę spraw, które zamierzał wyjaśnić, i najpierw musiał zdobyć wraz z Nicholasem więcej informacji.

Zanotował również w pamięci, żeby podziękować Staremu. To on namówił Larę, żeby przyleciała z Bostonu i czekała na miejscu, kiedy Harvath wróci z Afryki.

Wiedział, że mu na niej zależy i jest dla niego ważna. Chociaż to nie on zepsuł im wakacje, i tak wziął winę na siebie. Harvath nie miał pojęcia, co Carlton powiedział Larze, ale z pewnością w znacznym stopniu złagodziło to jej rozczarowanie. Czy była wkurzona? Bez dwóch zdań. To dlatego nie odpisała na jego wiadomość. Ale kiedy przyjechał do domu, miała ochotę tylko go przytulić. Próbował coś powiedzieć, ale mu nie pozwoliła. Ich usta zwały się w pocałunku i wylądowali w łóżku. Później Harvath zasnął wyczerpany. Kiedy rano otworzył oczy, spojrzał na nią z nadzieją, że się obudziła, ale Lara jeszcze spała.

Teraz, kiedy nalewał sobie kawę, usłyszał odgłos bosych stóp na wytartych deskach kuchennej podłogi. Uśmiechnął się, kiedy Lara objęła go i pocałowała w plecy.

– Wykończony podróżą? – zapytała.

– Wiele się dzieje. – Harvath odwrócił się do niej i pocałował ją. – Czeka mnie ciężki dzień.

– Mogę ci jakoś pomóc? Pokręcił głową.

– Już to zrobiłaś. Jesteś tu.

Czuł się tak wspaniale, kiedy trzymał ją w objęciach. To było coś, co mogło stać się jego codziennością; coś, za czym mógł nauczyć się tęsknić. Opuścił głowę, a kiedy ich czoła się zetknęły, splótł dłonie na jej plecach i zamknął oczy. Pośród całego tego szaleństwa, które go otaczało, była to chwila absolutnego wyciszenia. Może o to w tym wszystkich chodziło. Może w życiu nie liczyło się nic oprócz takich chwil.

– Niezły sposób na rozpoczęcie dnia – wyszeptała.

– Znam jeszcze lepszy – odpowiedział i zsunął ręce niżej.

Przywarła do niego mocniej i muskając wargami jego szyję, zamruczała mu do ucha:

– Powiedz mi jaki.

„Boże, jaka ona piękna”, pomyślał. „I jaka seksowna”. Miała wysmukłą sylwetkę, w jej zielonych oczach migotały złociste błyski, a w długich kasztanowych włosach jaśniały wypłowiałe od letniego słońca pasemka. Jej skóra nosiła jeszcze nawet ślad opalenizny, co zawdzięczała brazylijskim

genom odziedziczonym po rodzicach. Tak bardzo przypominała jedną z tych kobiet reklamujących Victoria's Secret, że jego przyjaciele nazywali ją bieliźnianą modelką. Z męskiego punktu widzenia był to niesamowity komplement. Cholernie mu jej zazdrościli. Nie tylko ze względu na jej zjawiskową urodę, ale również dlatego, że oboje byli ze sobą tacy szczęśliwi, nawet kiedy dzieliła ich odległość między Bostonem a Waszyngtonem.

Ale jego uczucia do niej wykraczały ponad to, jak wyglądała i jak bardzo go pociągała. Lara była niepospolicie inteligentna i urzekała go jej błyskotliwością. A poza tym traktowała go lepiej niż ktokolwiek, kogo w życiu spotkał. Stojąc w kuchni i trzymając ją w objęciach, zdał sobie sprawę, że ją kocha i pragnie jej to powiedzieć. Delikatnie odsunął ją od siebie i spojrzał jej w oczy.

– O co chodzi? – zapytała.

Kiedy otworzył usta, żeby jej odpowiedzieć, odezwał się jego telefon. Po melodii rozpoznał, kto dzwoni. Dla numeru Starego ustawił klasyczny dzwonek, ale Nicholasowi przypisał w swojej komórce specjalny utwór – Atomic Dog George'a Clintona. Wspólne zamiłowanie do funku było jedną z pierwszych rzeczy, jakie odkryli, kiedy ich przyjaźń zaczynała się rozwijać. Zerkając w stronę leżącego na blacie telefonu, zobaczył na wyświetlaczu krzykliwe zdjęcie George'a Clintona, którego Nicholas używał jako swojego awataru. Nie miał najmniejszej ochoty odrywać się od Lary, ale obowiązki wzywały.

– Odbierz – powiedziała, jakby czytała w jego myślach. – Przygotuję śniadanie. Pocałował ją pośpiesznie i sięgnął po komórkę.

– Co się dzieje?

– Właśnie zgłoszono trzeci przypadek – wyjaśnił Nicholas.

– Gdzie?

– W Detroit.

– Takie same objawy?

– Niestety.

– Wiemy coś o pacjencie?

W słuchawce rozległ się stukot klawiatury i po chwili Nicholas odczytał informację:

– Mężczyzna, trzydzieści siedem lat.

– Jak się nazywa?

– Obawiałem się, że o to zapytasz. Abdulraham Mafid Marzook.

„To już trzeci”, pomyślał Harvath.

– Myślę, że tym razem też nie mamy do czynienia z holenderskim kalwinistą – powiedział.

Nicholas parsknął śmiechem. Wisielczy humor też należał do ich wspólnych cech. Gdyby nie on, obaj już dawno popadliby w obłąd.

– A już sobie ich wyobrażałem, jak jeżdżą na rowerach w drewniakach. Ale możesz to uznać za pewnik. Zwłaszcza kiedy zobaczysz, co jeszcze znalazłem.

Jesteś w pobliżu komputera?

Harvath poruszył ustami w bezgłośnym podziękowaniu, kiedy Lara podała mu kubek kawy, i usiadł przy stole, na którym spoczywał jego laptop.

– Jestem – powiedział do telefonu. – Co znalazłeś?

– Zobacz to – odparł Nicholas, wysyłając wiadomość na zakodowaną skrzynkę.

– Otwórz je po kolei.

Gdy po paru sekundach dotarł e-mail, Harvath postąpił zgodnie z instrukcją. W pierwszym załączniku znajdowały się skany wniosków paszportowych i zdjęć trzech zmarłych pacjentów – Shukriego Abu Odeha, Mousy Abulquadera Elashiego i Abdulrahama Mafida Marzooka. Kolejne zawierały wykazy pasażerów linii lotniczych, zgłoszenia Urzędu Celnego i Ochrony Granic oraz trzy deklaracje celne.

– Czego mam szukać?

– Nie znalazłem niczego, co by ich łączyło. Żadnych rozmów telefonicznych, wymiany e-maili, kontaktów w mediach społecznościowych. Ale w ciągu ostatnich dwóch tygodni wszyscy trzej odbyli podróż w to samo miejsce.

– Razem czy osobno?

– Osobno.

Harvath omiół wzrokiem deklaracje celne i w końcu to zauważył.

– Do Arabii Saudyjskiej – powiedział.

– Zgadza się. A z dokumentów rejsowych wynika, że wszyscy przewinęli się przez port lotniczy Dżudda.

Harvath cofnął się i jeszcze raz przejrzał zawartość wszystkich załączników.

– I co o tym sądzisz? – zapytał Nicholas po chwili. – Mahometańscy kamikadze?



Czy rzeczywiście Saudyjczycy mogą maczać w tym wszystkim palce?

Arabia Saudyjska finansowała wiele organizacji terrorystycznych. To stamtąd pochodziło piętnastu porywaczy, którzy dokonali zamachów jedenastego września. Saudyjczycy z pewnością mieli sporo na sumieniu, ale Harvath intrygował fakt, że Odeh, Elashi i Marzook nie próbowali zataić swoich podróży. Saudyjskie służby wywiadowcze nie pozostawiłyby tak wyraźnego tropu. Tutaj musiało chodzić o coś innego. Nagle doznał olśnienia.

– Dżudda nie była ich ostatecznym celem – powiedział.

– W takim razie dokąd się udali?

Harvath otworzył stronę internetową, której używał do przeliczania dat w kalendarzu muzułmańskim.

– Wraz z dwoma milionami innych do Mekki na hadż.

## Rozdział 35

– Nazywa się to piątym filarem islamu – ciągnął Harvath. – Każdy muzułmanin, jeżeli pozwala mu na to kondycja fizyczna i sytuacja materialna, ma obowiązek przynajmniej raz w życiu odbyć pielgrzymkę do Mekki.

Słuchając go, Nicholas przeglądał zdjęcia na monitorze.

– Chyba nigdy nie widziałem tak ogromnego tłumu.

– To najliczniejsze zbiorowisko ludzi na świecie. W zeszłym roku zebrały się tam ponad dwa miliony.

– Jak w gigantycznej szalce Petriego.

– Zwłaszcza kiedy każdy usiłuje dotknąć albo pocałować Kabę i napić się ze świętej studni Zamzam.

– Czy Kaba to ta klockowata budowla na dziedzińcu meczetu, wokół której tłoczą się ludzie?

– Zgadza się. Kiedy muzułmanie modlą się zwróceni w stronę Mekki, w zasadzie zwracają się w stronę Kaby, która stoi na terenie meczetu Al-Masdżid al-Haram. Według wierzeń muzułmanów zbudował ją sam Abraham. Jest uważana za najświętsze miejsce islamu.

– Taki tłum to żywioł nie do opanowania – zauważył Nicholas.

– Racja. Te pielgrzymki pochłonęły tysiące ofiar. Podczas hadżu wybuchają pożary i zamieszki, dochodzi do zamachów bombowych, ataków zbiorowej paniki, katastrof budowlanych i innych wypadków.

– A choroby?

– Jest ich całe mnóstwo, a co jedna, to gorsza – odparł Harvath. – Zdarzały się epidemie zapalenia opon mózgowych i cholery, a także takich chorób jak bliskowschodni zespół niewydolności oddechowej, czyli koronawirus MERS. Zazwyczaj pozostają niewykryte i dopiero kiedy pielgrzymi wracają do swoich krajów, infekcje wchodzi w ostre stadium.

– Czy nikt ich nie kontroluje przy wjeździe?

– Owszem, ale wtedy objawy nie są jeszcze widoczne. Saudyjczycy wymagają również konkretnych szczepień, bez których nikogo nie

wpuszczają do kraju, ale wielu pielgrzymom łatwiej i taniej jest zdobyć fałszywe zaświadczenie, niż rzeczywiście się zaszczepić. Dla służby zdrowia to koszmar. Saudyjczycy dobrze o tym wiedzą, tak samo jak i my.

– W takim razie co z tym robią?

– Właśnie ci powiedziałem.

– Zdrowie ludzkości jest uzależnione od systemu honorowego, który opiera się na domniemanej czujności służb granicznych i urzędników stemplujących paszporty?

– W dużej mierze.

– Mamy przerąbane – stwierdził Nicholas. Harvath nie mógł nie przyznać mu racji.

– To jeden z problemów, jakie pociągają za sobą nowoczesne środki transportu. Nosiciel choroby może wejść na pokład samolotu i w ciągu dwudziestu czterech godzin znaleźć się w dowolnym miejscu na świecie.

– Myślisz, że to jest właśnie to? Damien i jego Komisja Plenarna wyhodowali wirusa i w jakiś sposób przemycili go do Mekki, żeby rozprzestrzenił się podczas hadżu? A teraz zakażeni pielgrzymi wracają do swoich krajów, dając początek pandemii?

– Byłoby to bardzo sprytne rozwiązanie – odparł Harvath i otworzył jeszcze jedną stronę internetową.

– Jeżeli to jest afrykańska gorączka krwotoczna, jak przemycili ją do Arabii Saudyjskiej? W pielgrzymkach do Mekki mogą brać udział tylko muzułmanie.

– Gdybym dysponował takimi środkami jak Damien, organizując taką operację, wykorzystałbym zakat.

– Co to jest zakat? – zainteresował się Nicholas.

– To coś w rodzaju podatku w krajach islamskich, czyli obowiązkowa forma jałmużny. Podobno część pieniędzy przeznaczana jest na pomoc ubogim muzułmanom, a nawet opłacanie ich udziału w hadżu. Ze względu na ogromne rzesze pielgrzymów Arabia Saudyjska wyznacza limity dla każdego z państw. A nie dość, że w Kongu panuje skrajna nędza, to tamtejsza społeczność muzułmańska jest bardzo nieliczna. Na miejscu Damiena wykorzystałbym oba te czynniki.

– To znaczy sfinansowałbyś pielgrzymkę kongijskich muzułmanów do Mekki?

– No właśnie – odparł Harvath. – Wykorzystałbym dyskretnie swoje koneksje wśród dyplomatów, żeby zdobyć potrzebną liczbę wiz, i

rozpuściłbym w lokalnych meczetach wiadomość, że pewien zamożny arabski dobroczyńca stworzył specjalny fundusz, który umożliwia im wypełnienie religijnej powinności.

– W którym momencie do akcji wkracza wirus?

– Władze saudyjskie publikują w sieci listę wymaganych szczepień – odparł Harvath, przeglądając stronę, na której znajdowały się informacje o hadżu. – Żółta febra, polio i tym podobne. Wysłałbym do Konga ekipę swoich lekarzy, którzy powiedzieliby pielgrzymom, że lista została uzupełniona i muszą przyjąć jeszcze jedną szczepionkę.

– A potem wystarczyłoby zadbać o wszystkie dokumenty i wysłać ich w podróż – dodał Nicholas.

– Można by zrobić coś jeszcze. Żeby spotęgować zasięg infekcji, zakwaterowałbym ich w różnych hotelach i przydzielił do różnych grup po przybyciu do Mekki. Ale na tym etapie wszystko sprowadza się już do tego, jak bardzo zakaźna jest choroba.

– A co potem? Czy kongijscy muzułmanie zaczynają gorączkować i krwawić w Arabii Saudyjskiej? Przecież tamtejsze służby są wyczulone właśnie na takie objawy.

Rzeczywiście tak było, a Harvath przypomniał sobie opowieść Leonce'a o chorym mężczyźnie, który zjawił się w Matumaini i którego pielęgniarka wzięła za muzułmanina, bo wydawało się jej, że wypowiedział słowo „Allah”.

Żadnych niedokończonych spraw.

– Masz rację – zwrócił się do Nicholasa. – Damien tylko dyskretnie podpalił lont, ale to jeszcze nie oznacza, że jest wolny od wszelkich podejrzeń. Żaden zamachowiec podkładający bombę, nawet taką naszpikowaną wirusami, nie chce zostawić śladów, które mogą go zdemaskować. Na miejscu Damiena zadbałbym, żeby pielgrzymi wrócili do Konga, zanim Saudyjczycy zauważą, że coś się dzieje.

– Czyli nie mógłbyś dopuścić, żeby wracali zwykłymi liniami lotniczymi. Zbyt wiele rzeczy mogłoby wymknąć się spod kontroli. Prawdopodobnie wyczarterował dla nich samolot.

– Trafne spostrzeżenie. Sprawdź, co uda się znaleźć, może wizy albo jakieś dokumenty. A skoro jesteśmy na tropie, spróbuj dobrać się do nagrań z kamer przemysłowych. Saudyjczycy monitorują wszystko, zwłaszcza podczas hadżu.

– Coś jeszcze?

– Jeżeli Damien zabrał ich z powrotem do Konga, idę o zakład, że trafili do ośrodka w Ngoa. Personel miał dyskretnie pozbyć się ciała, żeby władze o niczym się nie dowiedziały.

– Ale czy do Matumaini nie zadzwonił przedstawiciel WHO z Kinszasy?  
– zapytał Nicholas.

– Owszem. Kimkolwiek jest ten człowiek, musi być w to zamieszany. Poinformował ośrodek w Ngoa albo samego Damiena o zbiegłym pacjencie. To dlatego zażyczył sobie jego zdjęcia. Domyślam się, że ktoś potrzebował potwierdzenia, zanim wysłał tam Hendrika i jego ludzi, żeby wszystkich zabili.

– Skoro zależało mu tylko na potwierdzeniu tożsamości, po co kazał przysłać sobie próbki krwi i tkanek?

– Przypuszczalnie dlatego, że takie są normalne procedury – odparł Harvath. – Był na tyle sprytny, że przestrzegał wszystkich zasad. Gdyby kiedykolwiek wezwano go na dywanik, nie można by mu nic zarzucić.

To spostrzeżenie nasunęło mu na myśl inny wniosek i zanotował w pamięci, żeby do niego wrócić. Tymczasem Nicholas poruszył nową kwestię, która nurtowała również Harvatha.

– Wiemy, że Damien chce drastycznie obniżyć liczebność ludzkiej populacji – zaczął haker. – Wiemy również, że według jego poglądów pewne rasy i plemiona są nieprzydatne i należy je wyeliminować.

– Zgadza się.

– Zatem jeżeli ktoś taki rozpętuje pandemię, w jaki sposób zamierza czuwać nad tym, kto zachoruje?

Był to poważny problem, zwłaszcza teraz, kiedy dzinn zaczął uwalniać się z butelki, ale pytanie nie zostało właściwie sformułowane. Kiedy choroba jest wykorzystywana w charakterze broni, z założenia ma dotrzeć wszędzie. Żadne miejsce nie jest bezpieczne. Przeżyć mogą tylko ci, którzy wywołali zarazę, oraz jakaś grupa, która w ich mniemaniu jest warta ocalenia.

– On nie czuwa nad tym, kto zachoruje – odpowiedział Harvath. – Dla niego ważne jest to, kto nie zachoruje.

– A więc musi istnieć jakieś antidotum?

– Albo szczepionka.

Nicholas nie dawał jednak za wygraną.

– Ale jak wynika z dokumentu, o którym powiedział ci Mordechai, celem Komisji Plenarnej jest przetrzebienie ludzkiej populacji, żeby zmniejszyć

jej liczebność z przeszło siedmiu miliardów do pięciuset milionów, czyli o dziewięćdziesiąt trzy procent. Jak tego dokonać? To znaczy mamy już pojęcie, w jaki sposób planują zarazić ponad sześć i pół miliarda ludzi, ale jak chcą ocalić resztę? I chodzi nie tylko o to, jak podać odtrutkę czy szczepionkę tym pięciuset milionom, ale jak wybrać tych właściwych, którzy mają przeżyć? A poza tym jak to zrobić, żeby nikt się nie zorientował, co się dzieje?

Były to przerażające pytania, ale Harvath nie znał odpowiedzi na żadne z nich. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, co stałoby się z cywilizacją w obliczu zagłady na tak wielką skalę. Nie miałby kto grzebać ciał, nie mówiąc o utrzymaniu porządku. Nawet czarna śmierć, uważana za największą epidemię w dziejach ludzkości, która zmniejszyła populację Europy o połowę, nie mogła się z tym równać. Zmutowany wirus afrykańskiej gorączki krwotocznej nie tylko był o wiele groźniejszy od dżumy, ale mógł doprowadzić do najstraszniejszej katastrofy w dziejach świata, z którą dałoby się porównać jedynie wyginięcie dinozaurów. Harvath był pewien tylko jednego – że matka natura działa bardzo szybko, podczas gdy postęp nauki jest bardzo powolny. Wiedział, że jeśli nie zdołają powstrzymać wirusa, miliardy ludzi umrą w straszliwych męczarniach.

Oderwał wzrok od monitora. Nie myślał o sobie. Myślał o Larze i zapewnieniu jej bezpieczeństwa, a także o jej synku i rodzicach, którzy mieszkali w Bostonie. Pomyślał również o swojej matce, mieszkającej w Kalifornii, i o wszystkich tych, którym obiecywał, że nie dopuści, aby coś im się stało.

Ogrom przedsięwzięcia, któremu miał podołać, działał mu na nerwy, ale nie dlatego, że musiał się zatroszczyć o tak wiele bliskich mu osób. Drażniło go przede wszystkim to, że znalazł się w takiej sytuacji z powodu kłosa opętanej zabójczą manią szaleńca. Harvath wierzył, że w piekle jest specjalne miejsce przeznaczone dla ludzi tego pokroju, i miał nadzieję, że prezydent pozwoli mu posłać tam Damiena.

Kiedy Nicholas kontynuował poszukiwania, myśli Harvatha podążały w różnych kierunkach. Został nauczony myślenia na wielu płaszczyznach i snucia planów na każdą ewentualność. Zastanawiał się nad taktykami natarcia i drogami odwrotu. Odkrył, że musi się skupić nie tylko na swoim zadaniu, ale również na ludziach, którzy są dla niego ważni. Zawsze powtarzał, że nigdy nie chciałby się znaleźć w takiej sytuacji. A jednak nie

udało mu się tego uniknąć. Chociaż w jego głowie rozbrzmiewało motto SEALs, które głosiło, że należy stawiać czoła przeciwnościom i nigdy się nie poddawać, słyszał też inne słowa: „Nie zawsze możesz decydować, w jakiej sytuacji się znajdziesz, ale to od ciebie zależy, jak na nią zareagujesz”. Kiedy był chłopcem, matka powtarzała mu to setki razy. Robiła to tak często, że doprowadzała go do szału. Ale nigdy nie zapomniał ponadczasowej i bezcennej mądrości, która kryła się w tych słowach.

– Scot? – odezwał się Nicholas, wrywając go z zadumy.

– Przepraszam. Co mówiłeś?

– Pytałem, jak Damien ma zamiar zaszczepić pół miliarda ludzi. A kiedy nie odpowiedziałeś, dodałem, że jeśli ktoś miałby to z niego wydobyć, stawiam na ciebie.

– Tylko jeżeli prezydent uzna to za stosowne.

– Jak mógłby tego nie zrobić?

– Jest prezydentem i działa w zupełnie innym wymiarze. Zawsze wchodzi w grę inne czynniki, ale myślę, że on to rozumie.

– Lepiej, żeby tak było – odparł Nicholas.

– Jeszcze jedno – dodał Harvath. – Kiedy prześwietlaliśmy Damiena, wypłynęły jego powiązania z koncernami farmaceutycznymi. Spróbuj dowiedzieć się czegoś więcej. Jeżeli istnieje jakaś szczepionka albo antidotum, trop może prowadzić w tym kierunku.

– Jasne.

Harvath zamierzał powiedzieć mu coś pogrzipiającego, kiedy usłyszał sygnał drugiego połączenia. Dzwonił Carlton.

# Rozdział 36

## BIAŁY DOM

Harvath musiał zrezygnować ze wszystkich planów związanych z Larą, kiedy zadzwonił Stary i powiedział mu, że ma się stawić w Białym Domu. Ale tak naprawdę sprawa była przesądzona już w chwili, gdy usłyszał od Nicholasa, że w Stanach Zjednoczonych odnotowano trzeci przypadek afrykańskiej gorączki krwotocznej. Wcale nie uśmiechało mu się zostawiać Lary samej, ale była dużą dziewczynką, a on i tak nie miał innego wyjścia. Zważywszy na okoliczności, które sprawiły, że został wezwany do Białego Domu, wizyta z osobą towarzyszącą nie wchodziła w grę.

Zdażył tylko wypić łyk kawy i pobiegł na górę, żeby wziąć prysznic. Lara żartobliwie zaproponowała, że dotrzyma mu towarzystwa, i musiał zmobilizować całą siłę woli, żeby jej odmówić. Namydlił się i opłukał w rekordowym czasie, ogolił się przed wiecznie zaparowanym, a ponoć niezaparowującym lustrem, potem przestawił temperaturę wody z gorącej na zimną i zmusił się, żeby wytrzymać pół minuty pod lodowatym strumieniem. O ile wcześniej niezupełnie się obudził, teraz był już całkiem przytomny. Zimny prysznic działał jak potrójne espresso.

Po wyjściu z łazienki odkrył, że Lara przygotowała mu ubranie. Powiedział jej tylko, że musi jechać do Białego Domu. Więcej informacji nie potrzebowała, a jej wybór był idealny – czarny garnitur, biała koszula i ciemny krawat.

– Każdy dzień zaczynasz w taki sposób? – zapytała, kiedy pocałował ją, przechodząc przez kuchnię.

– Prezydent taki już jest – odparł. – Nie może beze mnie żyć. Wiedziała, że nie mówi poważnie, i złapała go za tyłek.

– Powiedz mu, że od tej pory będzie musiał pytać mnie o zgodę, w przeciwnym razie więcej na niego nie zagłosuję.

Odkąd tylko uświadomił sobie, że ją kocha, wszystko, co robiła albo mówiła, jeszcze bardziej utwierdzało go w tym przekonaniu.



– Dobrze, powiem. Reed Carlton też nie będzie zachwycony, kiedy wypadnie z łask, ale jakoś się z tym pogodzi.

– Przekaż mu, że nie ma wyboru.

Uśmiechnął się i pocałował ją jeszcze raz, po czym chwycił kluczyki i ruszył w stronę drzwi.

– Hej! – zawołała za nim. Odwrócił się i zobaczył, że Lara trzyma w wyciągniętej ręce kubek termiczny. – Czarna. Podwójne espresso.

Podszedł do niej z uśmiechem na twarzy.

– Kocham cię, wiesz o tym? – powiedział, sięgając po kubek.

– Zaczekaj. Co powiedziałaś?

„Cholera”, pomyślał. Wymknęło mu się. Oczywiście powiedział to jak najbardziej poważnie, ale nie w taki sposób chciał jej to wyznać – przede wszystkim nie w drodze do drzwi. To był przełomowy moment. Odtąd mogło być jeszcze lepiej, ale mógł też wszystko zepsuć. Odstawił kubek, ujął jej twarz w dłonie i powtórzył:

– Kocham cię.

Lara zaniemówiła. W całym swoim życiu kochała jeszcze tylko jednego mężczyznę, swojego męża, który utonął niemal na jej oczach. A teraz była z tym komandosem, którego żartobliwie nazywała Jamesem Bondem, i właśnie usłyszała od niego wyznanie miłości. Przez chwilę nie mogła nawet złapać tchu.

– Głupio wyszło – dodał Harvath.

– Ależ skąd – odparła. – Zdecydowanie nie jest mi głupio.

– Myślałem, że przynajmniej ten ranek spędzimy razem. Nie spodziewałem się, że powiem ci to, biegnąc do drzwi.

Przyjrzała mu się badawczo.

– Zaplanowałaś sobie, jak chcesz mi to powiedzieć?

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Czy planowanie tej ważnej chwili było czymś niestosownym? Czyżby kobietom nie podobało się, że mężczyźni planują takie rzeczy? Postanowił jej wyjaśnić, jak zamierzał to zrobić i dlaczego, ale zdołał wypowiedzieć tylko jedno słowo:

– Tak.

Lara zarzuciła mu ręce na szyję i przycisnęła usta do jego ust. Jeszcze nigdy nie całowała go tak długo, ale w końcu wróciła do rzeczywistości.

– Powinieneś już iść – powiedziała, uśmiechając się od ucha do ucha, i wymierzyła mu klapsa, kiedy sięgał po kawę. – I pamiętaj, co masz powtórzyć prezydentowi.

Pokręcił głową i się roześmiał. To była kolejna taka chwila – ulotna i cudowna, w której nie istniało nic oprócz nich i nic innego się nie liczyło. Ale potem usiadł za kierownicą swojego SUV-a, a wraz z nim wepchnął się do środka cały realny świat. Obliczył w pamięci, która godzina jest w Kalifornii i na Alasce. Było jeszcze za wcześnie na telefon do matki i do starego przyjaciela z wojska, który prowadził ośrodek wędkarski na dalekiej północy. Postanowił zadzwonić do nich później. Pora była również zbyt wczesna na telefon do Bena Beamana, ale ta sprawa nie mogła czekać. Musiał wyjaśnić kilka rzeczy związanych z Kongiem i zamierzał poprosić go o przysługę. A nie chodziło o drobiazg.

Kiedy zatrzymał się przed posterunkiem kontrolnym przy zachodniej bramie Białego Domu, najważniejszy punkt na swojej osobistej liście zadań miał już za sobą. To był dobry początek i teraz mógł się skupić na pracy i na tym, czego chciał od niego prezydent. Zaparkował nieopodal wejścia do zachodniego skrzydła, zgasił silnik i zawiesił na szyi identyfikator, który dostał przy wjeździe. Zawsze czuł się dziwnie, kiedy tu wracał. W pewnym okresie swojego życia w zasadzie mieszkał w tym budynku. Mimo to nie tęsknił za Secret Service. Odejście z SEALs nie było błędem. Sporo się nauczył, poznał wielu ludzi, zobaczył i usłyszał kilka niesamowitych rzeczy, ale ochrona prezydenta oznaczała grę w defensywie. To nie było jego mocną stroną.

Najlepiej sprawdzał się w ofensywie – śledził wrogów i atakował ich, zanim oni zdążyli zaatakować jego kraj. SEALs i Secret Service dały mu najlepsze wykszolenie, jakie mógł zdobyć w Stanach Zjednoczonych. Później Carlton nauczył go jeszcze wielu innych rzeczy i wywindował go do poziomu, który dotychczas był dla niego niewyobrażalny. Harvath z obronnego brytana zamienił się w króla drapieżników, który zajmuje miejsce na szczycie łańcucha pokarmowego i z którym nikt nie może się równać. Emanował spokojną pewnością siebie, która nie miała nic wspólnego z arogancją, a raczej świadczyła o tym, że potrafiłby sprostać wszystkim wyzwaniom, nawet gdyby mnożyły się w zawrotnym tempie. To również mogło okazać się przydatne teraz, kiedy sprawy coraz szybciej wymykały się spod kontroli.

Wartownik marines skierował go w stronę wejścia do pokoju dowodzenia. Pancerne drzwi były tak precyzyjnie skonstruowane, że otwierały się bezgłośnie, a cofającym się rygłom nie towarzyszył nawet najdrobniejszy szmer. Reed Carlton był już na miejscu. Przy długim

mahoniowym stole konferencyjnym siedzieli również Lydia Ryan oraz jej szef, dyrektor CIA Bob McGee, generał Ian McCollum, pełniący funkcję przewodniczącego Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, a także dyrektor Wojskowego Instytutu Badań Medycznych nad Chorobami Zakaźnymi, pułkownik Sheila White.

Pozostali członkowie Rady Bezpieczeństwa Narodowego nie byli obecni. Prezydent nie wezwał nawet szefa personelu Białego Domu. Zgodnie z sugestią Carltona ograniczył listę uczestników tego spotkania do najbardziej niezbędnych osób. Coś wisiało w powietrzu i nie podobało mu się to ani trochę. Zaniepokoił go widok tych wszystkich pracowników agencji rządowych, którzy zebrali się w posiadłości Damiena. Wyglądało to jak konklawe niższych rangą urzędników, a historia dowodziła, że kiedy tylu dworzan spotyka się poza pałacem, z reguły nie wróży to niczego dobrego.

Stary odsunął krzesło obok siebie i przywołał swojego podwładnego skinieniem dłoni. Harvath zajął miejsce obok Carltona, nalał sobie kawy ze stojącego na blacie dzbanka i skupił uwagę na słowach pułkownik White.

– Dron naszej grupy rozpoznania nie wykrył żadnej aktywności na terenie kliniki w Ngoa. W zasadzie obiekt wygląda na opuszczony. To samo widać na obrazie z satelity. Zwykle przeprowadzamy operacje tego typu w nocy, ale zważywszy na wszystkie okoliczności, postanowiliśmy niezwłocznie przystąpić do działania. Czy mamy na to pańską zgodę, panie prezydencie?

Prezydent Paul Porter skinął głową i sięgnął po szklankę soku pomarańczowego, która stała przed nim na stole. Wyglądał, jakby nie zmrużył oka przez całą noc. Generał McCollum przyłożył komórkę do ucha i wydał rozkaz rozpoczęcia akcji.

– Tu Wedgewood – powiedział. – Raptor, możesz zaczynać.

Atakiem na laboratorium w Ngoa, gdzie najprawdopodobniej zmutowano wirus afrykańskiej gorączki krwotocznej, kierowało Dowództwo Operacji Specjalnych, którego członkowie znajdowali się w ściśle tajnym centrum działań taktycznych na terenie bazy sił powietrznych MacDill w Tampie. Przestronne zaciemnione pomieszczenie o wygłuszonych ścianach wypełniały płaskie monitory i sprzęt elektroniczny, a na podwyższonej podłodze stały rzędy biurka. Na prowadzących do niego drzwiach nie było żadnej tabliczki ani nawet numeru. Ludzie, którzy tam pracowali, nigdy nie rozmawiali o tym, co dzieje się w środku. Była to mroczna jaskinia, w

której wewnątrz ważyły się losy najtajniejszych operacji. Na dobrą sprawę centrum działań taktycznych nie istniało.

Pokój dowodzenia w Białym Domu również był wyposażony w wielkie płaskie ekrany, zsynchronizowane z tymi w MacDill. Na każdym z nich widniał inny obraz. Oprócz transmisji z satelity i drona kilka z nich odbierało obraz z kamer umieszczonych na hełmach, które nosili członkowie Grupy Rozpoznania Badawczego i Taktycznego. Z umieszczonych pod sufitem głośników dobiegła ich komenda, którą wydał jeden z koordynatorów w Tampie:

– Raptor Dwa, tu Raptor Jeden. Możecie wkraczać do akcji.

– Przyjąłem – odpowiedział dowódca zespołu komandosów w Kongu. – Raptor Dwa wkracza do akcji.

Zważywszy na odległość, jaką musiał przebyć sygnał za pośrednictwem satelity, transmisja była bardzo wyraźna i prawie nie miała opóźnień. Kiedy zespół wyłonił się spośród drzew i zaczął podchodzić do kliniki, Harvath odstawił kubek z kawą i wbił wzrok w monitor. Przypomniało mu się, jak zaledwie przed sześcioma dniami sam zakradał się do Matumaini.

Klinika składała się z jednopiętrowych budynków, które stały na przestronnej polanie wykarczowanej w dżungli. Jednak w przeciwieństwie do Matumaini, dostęp do nich nie był taki łatwy. Najpierw należało sforsować wysokie ogrodzenie z siatki zwieńczone drutem kolczastym.

Harvath, prezydent i reszta zebranych w pokoju dowodzenia przyglądali się, jak jeden z członków grupy przecina siatkę. Jego towarzysze stali za nim na otwartym terenie. Wprawdzie byli uzbrojeni, ale nosili kombinezony ochronne, co oznaczało, że ich zdolność obserwacji i reagowania na zagrożenia jest poważnie ograniczona. Innymi słowy, stanowili łatwy cel. Patrząc na nich, wszyscy mieli nerwy napięte jak postronki, zwłaszcza Harvath, który doskonale wiedział, czym to grozi. Gdyby ktoś ich zauważył, byłoby po nich.

Koordynatorzy w bazie MacDill jakby czytali w jego myślach, gdyż zażądali bieżących raportów od snajperów, którzy poszli przodem i ubezpieczali grupę. Każdy z nich zameldował, że jego sektor jest czysty.

Wreszcie komandos, który wycinał przejście w ogrodzeniu, schował nożyce do plecaka i odsunął na bok płat siatki, żeby wpuścić wszystkich do środka. Jego towarzysz z wykrywaczem min znów zajął pozycję na czele. Podobnie jak na odcinku między linią drzew a ogrodzeniem, przesuwał czujnik tuż nad ziemią i wyteżał wzrok, wypatrując rozpiętych linek i

innych pułapek. Bądź co bądź znajdowali się w Kongu, mogli się więc spodziewać wybuchowych niespodzianek. Pozostali członkowie zespołu posuwali się za nim w zwartym szyku.

Kolejną przeszkodą broniącą dostępu do ośrodka był betonowy mur wysoki na trzy metry. Na jego szczycie jeżyły się osadzone w zaprawie ostre kawałki szkła ze stłuczonych butelek po winie i piwie. Chociaż nie wyglądało to elegancko, przesłanie było jasne – nieproszeni goście nie mają tu czego szukać.

Grupa podeszła do masywnej bramy, której skrzydła oplatał łańcuch spięty kłódką. Pozycję na czele zajął komandos z przecinakiem do prętów i po odebraniu kolejnego meldunku od snajperów centrum działań taktycznych wydało pozwolenie na wejście. Gdy tylko przecięty łańcuch spadł na ziemię, doskonale zgrani ze sobą członkowie grupy wkroczyli na teren obiektu z bronią gotową do strzału.

Śledzenie wszystkich transmisji na raz było jak próba picia wody z węża strażackiego. Harvath skupił uwagę na przekazie satelitarnym i od czasu do czasu zerkał na obraz z jednej z kamer, kiedy chciał zyskać lepsze pojęcie o tym, co widzą przed sobą komandosi. Ich głównym celem był największy i stojący w centrum kompleksu budynek. Z analizy zdjęć wykonanych podczas rozpoznania wynikało, że to najprawdopodobniej tam mieści się laboratorium.

Harvath spojrzął na zegarek. Komandosi musieli już gotować się żywcem w swoich kombinezonach. Pokonali znacznie większy dystans niż on i Decker w Matumaini, a do tego akcja odbywała się w dzień, kiedy temperatura była wyższa. Obawiał się, że nie wytrzymają już długo.

Po dotarciu do budynku część grupy ustawiła się gęsiego pod ścianą, tymczasem kilku pozostałych zajęło pozycje na flankach. Gdy wszyscy byli na miejscach, ich dowódca zameldował, że są gotowi do wejścia. Pułkownik White kiwnęła głową, a generał McCollum przekazał pozwolenie koordynatorom w bazie MacDill. Kiedy obserwacja satelitarna i raporty snajperów potwierdziły, że obiekt jest czysty, z głośników dobiegła komenda:

- Raptor Dwa, tu Raptor Jeden. Możecie wchodzić.
- Przyjąłem – odparł dowódca grupy. – Raptor Dwa wkracza do akcji.

Był to również sygnał dla jego ludzi, którzy sprężyli się w gotowości. Po odliczeniu do trzech komandosi wyłamali drzwi i wtargnęli do wnętrza.

## Rozdział 37

Harvath nie miał pojęcia, w jaki sposób pacjent, który uciekł z Ngoa, wy dostał się na zewnątrz. Sforsowanie trzymetrowego muru i ogrodzenia zwieńczonego drutem kolczastym nie należało do łatwych. Może ukrył się w jakimś samochodzie? Może ktoś mu pomógł? A może po prostu wyszedł przez bramę, kiedy nikt nie zwracał na niego uwagi? Tej zagadki nie dało się już rozwiązać.

Za to nie miał wątpliwości, że zdrowy człowiek, idąc w linii prostej, byłby w stanie dotrzeć na piechotę z Ngoa do Matumaini w ciągu jednego dnia. Ale tamten facet nie był zdrowy. Gdy przyszedł do ośrodka, był już umierający. Może ukradł rower? Może napotkał na swojej drodze jakiegoś miłośniczego Samarytanina, który go podwiózł?

W jaki sposób dostał się do Matumaini? To pytanie było jeszcze ważniejsze. Każdy, kto miał z nim styczność, był narażony na zakażenie wirusem. Czy Hendrik i jego ludzie odtworzyli trasę, którą przebył? Zabili wszystkich w klinice i w sąsiedniej wiosce, żeby zapobiec rozprzestrzenieniu się zarazy, ale co z tymi, których uciekinier spotkał po drodze? Harvath zanotował w pamięci, żeby przekazać to pytanie Velli i jego ludziom z Solarium na Malcie.

Z powrotem skupił uwagę na transmisji. Z głośników co chwilę dobiegał okrzyk „Czysto!”, kiedy członkowie grupy rozpoznania zabezpieczali kolejne pomieszczenia w głównym budynku kliniki w Ngoa. Wszystkie były puste. Nie tylko nie zastali tam ludzi, ale odkryli też, że wszystkie wnętrza były ogołoczone z mebli i innych sprzętów. Została tylko farba na ścianach i oprawy oświetleniowe. Harvath domyślał się, że podobnie jak w Matumaini ten budynek też został odkażony. Zważywszy na fakt, że była to wylęgarnia nowego gatunku afrykańskiej gorączki krwotocznej, każdy zakamarek musiał wręcz ociekać wybielaczem.

Z planu budynku wynikało, że znajdowały się tam dwa oddziały szpitalne – prawdopodobnie męski i żeński – wspólne toalety, prysznic i kilka gabinetów zabiegowych. Nie było to jednak miejsce, w którym

przewodzone badania nad wirusem. Za to w głębi kompleksu komandosi znaleźli właściwe laboratorium, a raczej to, co z niego zostało. Budynek był doszczętnie spalony i zachowały się jedynie osmalone ściany dużej chłodni.

– To nie mogło być laboratorium poziomu czwartego – stwierdziła pułkownik White. – Byłoby dużo większe.

Poziom czwarty był najwyższym stopniem zabezpieczeń przed skażeniem biologicznym, zarezerwowanym dla najbardziej niebezpiecznych i zabójczych drobnoustrojów, z jakimi mogli mieć do czynienia badacze.

Harvath zauważył coś na monitorze wyświetlającym obraz z kamery na hełmie jednego z członków grupy i poprosił McColluma, aby kazał koordynatorom w MacDill zawrócić komandosa w miejsce, w którym przed chwilą był.

– Co tam widzisz? – zapytał generał.

– Te zagłębienia w ziemi – odparł Harvath, po czym spojrzał na pułkownik White i zapytał: – A jeżeli to było mobilne laboratorium?

– Takie w przyczepie, jakimi podobno dysponowali Irakijczycy? Nie wyobrażam sobie, jak mogłoby się poruszać po tamtejszych drogach – odparła White, kreśląc palcami cudzysłów w powietrzu przy ostatnim słowie. – I niech Bóg ma ich w swojej opiece, gdyby się przewróciło.

– Ale to możliwe.

– Potrzebne są kombinezony ciśnieniowe, filtry powietrza, prysznice i komora sterylizacyjna UV. Zbudowanie mobilnego laboratorium to mnóstwo pracy, że nie wspomnę o pieniądzach.

Coś podpowiadało Harvathowi, że koszty nie stanowiły problemu dla Damiena i jego Komisji Plenarnej.

– Ale to możliwe – powtórzył.

– Zważywszy na fakt, że wysłaliśmy w kontenerach do Afganistanu kilka zaawansowanych technologicznie laboratoriów inżynierskich, wszystko jest możliwe.

Członkowie grupy rozpoznawczej spędzili w kombinezonach ochronnych tyle czasu, że znajdowali się na granicy udaru cieplnego. Musieli zakończyć akcję i wycofać się do dżungli, gdzie czekały przygotowane wcześniej natryski dekontaminacyjne. Harvath zobaczył już dostatecznie dużo. Nalot na laboratorium w Ngoa okazał się klapą. Kiedy pułkownik White potoczyła wzrokiem po zebranych i zapytała, czy chcieliby sprawdzić coś jeszcze, wszyscy pokręcili głowami. Generał McCollum zawiadomił

koordynatorów w bazie MacDill, że grupa może opuścić ośrodek i przystąpić do odkażania.

Gdy komandosi wycofali się z powrotem do dżungli, prezydent Porter rozpoczął dyskusję.

– I co teraz? – zapytał, po czym przeprosił zebranych, sięgnął po chusteczkę i wydmuchał nos. – Czy ktoś ma jakieś pomysły?

Harvath odchrząknął i spojrzał na Sheilę White.

– Zna pani mój raport z Konga?

– Przeczytałam go w całości.

Przeniósł wzrok na generała McColluma, który kiwnął głową i powiedział:

– Ja tak samo.

Harvath nie miał wątpliwości, że Lydia Ryan, Bob McGee i prezydent też zapoznali się z jego raportem, co oznaczało, że wszyscy zebrani są na bieżąco. Wiedział również, że dotarły do nich informacje o pacjentach, którzy wykrywali się w Chicago, Houston i Detroit. Był to jeden z powodów, dla których pułkownik White zdecydowała się przyspieszyć operację w Ngoa. Harvath podzielił się z uczestnikami spotkania najnowszymi informacjami na temat pacjentów i ich podróży, które zdobył Nicholas. Potem wyłożył swoją teorię związaną z pielgrzymką do Mekki i sposobem, w jaki wirus mógł zostać wprowadzony do obiegu.

– Czy mamy w ogóle jakieś procedury postępowania w takich przypadkach jak ten? – zapytał prezydent i znów sięgnął po chusteczkę.

– Tym zajmują się władze federalne, nie wojsko – odparł McCollum.

– Centrum do spraw Zapobiegania i Kontroli Chorób, Narodowy Instytut Zdrowia i Federalna Agencja Zarządzania Kryzysowego – dodała White. – Wszystkie działania koordynuje Departament Bezpieczeństwa Krajowego.

Ze względów ostrożności White nie została poinformowana, że wszystkie te agencje były podejrzane i Biały Dom celowo nie brał ich pod uwagę.

– Wyobraźmy sobie, że coś zaczyna się dziać, a Departament Bezpieczeństwa nie jest w stanie podjąć działań w dostatecznie krótkim czasie – odezwał się dyrektor CIA, wpatrując się w panią pułkownik. – Jak wtedy wygląda rozwój wypadków?

– Dlaczego Departament Bezpieczeństwa, a tym bardziej Departament Zdrowia i Agencja Zarządzania Kryzysowego, miałyby nie zareagować na czas?



– Proszę odpowiedzieć na moje pytanie.  
– Czy to jakieś ćwiczenia?  
– Nie – wtrącił prezydent. – To nie są ćwiczenia. Proszę odpowiedzieć.  
– Musielibyśmy dowiedzieć się jak najwięcej o tej odmianie wirusa. Potrzebowalibyśmy próbek. Należałoby je pobrać od wszystkich chorych w Stanach, ale ponieważ źródło epidemii znajduje się w Kongu, chciałabym również dostać próbki stamtąd. Byłoby idealnie, gdyby udało się odzyskać próbki pobrane od pacjenta zero w Matumaini i tego dowódcy rebeliantów. Trzeba by też było zbadać pracownika kliniki i jego syna, którzy wieźli ten materiał na lotnisko i byli przy tym, jak dowódca rebeliantów rozbił próbkę. Tyle na początek.

Prezydent Porter spojrzał na Harvatha.

– Co z tych rzeczy jest wykonalne, jeśli chodzi o Kongo?  
– Zakładając, że rebelianci nadal są tam, gdzie ich zostawiliśmy, mógłbym podać współrzędne ludziom z grupy rozpoznania, żeby pobrali próbki z ciała komendanta. Chociaż po tygodniu w dżungli może być już oczyszczone do kości.

– Zaryzykujemy – odparła pułkownik White.

– A reszta? – zapytał Porter.

– Kiedy wyjeżdżaliśmy z Buni, Leonce i Pepsy powiedzieli, że zamierzają tam zostać. Do swojej rodzinnej wioski nie mają po co wracać.

– Moglibyśmy ich odszukać?

– Znam kogoś, kto się tym zajmie – powiedział Harvath, mając na myśli Jambo.

– W takim razie zostaje tylko wydobyć próbki pacjenta zero z laboratorium WHO w Kinszasie – podsumowała White. – Kto mógłby to zrobić?

W Kinszasie została Jessica Decker, ale Harvath nie wierzył ani przez chwilę, że byłaby skłonna do współpracy, a tym bardziej, że zdołałaby dokonać tego w pojedynkę. Ale mógł liczyć na kogoś innego.

– Mamy na miejscu zespół doświadczonych ludzi, których możemy wykorzystać – powiedział.

– Drużyna A? – upewnił się Carlton, który miał na myśli Asha i jego towarzyszy z SAS.

Harvath przytaknął kiwnięciem głowy.

– Ale czy ci ludzie wiedzą, jak obchodzić się z próbkami? – zapytała White. – Jak zapakować je do transportu? Czy w ogóle potrafią je znaleźć w

siedzibie WHO?

Wszystkie pytania były trafne, a odpowiedź na każde z nich brzmiała przecząco. Ash i jego ludzie nie mieli odpowiedniego doświadczenia w tego typu operacjach. Harvath pokręcił głową.

– Pani pułkownik – odezwał się prezydent. – Jak szybko mógłby dołączyć do nich ktoś z grupy rozpoznania, kto mógłby nimi pokierować?

– Mogę go wysłać w tej chwili, ale wszystko zależy od tego, kiedy dotrze do Kinszasy.

– A wasza Drużyna A? – Porter spojrział na Harvatha.

– Odpowiedź brzmi tak samo.

– A co z próbkami od tych trzech pacjentów, którzy zmarli w Stanach? – zapytała Lydia Ryan.

– W normalnych okolicznościach powiedziałabym, że to nie stanowi problemu – odparła White. – Nasza współpraca z Centrum do spraw Zapobiegania i Kontroli Chorób układa się dobrze i w sytuacji takiej jak ta oczekiwaliby od nas wszelkiej możliwej pomocy. Ale zaczęliśmy tę dyskusję od pytania dyrektora McGee o działania, jakie podjąłby mój instytut, gdyby oni nie mogli zareagować.

Bob McGee spojrział na prezydenta, a potem przeniósł wzrok na Sheilę White.

– Proszę zwrócić się do nich o udostępnienie tych próbek, tak jak zwykle robi się w sytuacjach tego typu. Gdyby się opierali, proszę nas zawiadomić, a my się tym zajmiemy.

– Jeżeli to jakiś atak terrorystyczny, dlaczego ich o tym nie poinformujemy? – zapytała pułkownik White.

– W grę wchodzi dodatkowe kwestie bezpieczeństwa narodowego – wyjaśnił McCollum, zamykając swoją teczkę z dokumentami.

Carlton i Ryan zdążyli wtajemniczyć generała we wszystkie aspekty sprawy, zanim pułkownik White dotarła do Białego Domu, więc teraz jego odpowiedź ograniczyła się do tego krótkiego zdania. Sheila White była naukowcem o wysokich kwalifikacjach, ale również żołnierzem, i znała swoje miejsce w hierarchii.

– Rozumiem – odparła.

Prezydent podziękował za przybycie dwójce oficerów, poczekał, aż opuszczą pokój dowodzenia i poprosił resztę zebranych o naświetlenie sytuacji w kraju. Carlton i McGee przedstawili mu krótkie podsumowanie, akcentując najważniejsze kwestie i odpowiadając na pytania, które

pojawiły się w trakcie. Nie uszło ich uwadze, że z każdą odpowiedzią głowa państwa wygląda coraz gorzej.

– Dobrze się pan czuje, panie prezydencie? – zapytał Stary.

– Nic mi nie jest – odparł Porter i zakasłał. – A co z tymi literami RG, które Damien zapisał na marginesie dokumentu dotyczącego Stanów Zjednoczonych? Wiecie już, co oznaczają?

– Jeszcze nie – powiedział McGee. – Wciąż nad tym pracujemy.

– No to się pośpieszcie. Za dwie godziny oczekuję nowych wiadomości, a przez nowe wiadomości rozumiem postępy. Czy to jasne?

Wszyscy zebrani przy stole konferencyjnym pokiwali głowami i kiedy prezydent wstał, a inni poszli za jego przykładem, Harvath postanowił zaryzykować poruszenie jeszcze jednej kwestii.

– Panie prezydencie, ostatnia sprawa, jeśli można – zaczął.

Porter nie wyglądał na zadowolonego, ale przyzwalająco skinął głową.

– Wiem, że kiedy po raz pierwszy pojawiła się ta propozycja, odłożył pan na później wszelkie rozmowy o aresztowaniu Damiena.

– Mówisz raczej o wzięciu go w obroty – uściślił Porter.

– Zgadza się.

– Wiesz, dlaczego odłożyłem to na później?

– Chyba się domyślam.

– Więc pozwól, że ci to wyjaśnię – odparł prezydent. – Pierre Damien jest obywatelem amerykańskim i przebywa obecnie na terenie Stanów Zjednoczonych. Jest również obywatelem Kanady, która należy do ważnych sojuszników naszego kraju. A poza tym jest dyplomata, i to na stanowisku podsekretarza generalnego ONZ. To bogaty i wpływowy człowiek, który ma wielu bogatych i wpływowych przyjaciół.

– Rozumiem, ale...

Prezydent uciszył go gestem dłoni.

– Nie przerywaj mi.

Porter nigdy wcześniej go nie zbeształ i Harvath natychmiast pożałował, że nie ugryzł się w język.

– Czasami bywamy zmuszeni pójść na łatwiznę w krytycznej sytuacji albo nagiąć zasady w imię wyższej konieczności, ale sytuacja staje się o wiele bardziej skomplikowana, jeżeli stosujemy takie doraźne środki wobec obywatela Stanów Zjednoczonych. A kiedy dzieje się to na amerykańskiej ziemi, sprawy komplikują się jeszcze bardziej. – Porter przerwał na chwilę, żeby zaczerpnąć tchu, i potoczył wzrokiem po zebranych, zanim znów

zwrócił się do Harvatha. – Kiedy próbujesz oskarżyć kogoś takiego, to jakbyś budował mur i brakowało ci cegieł. Owszem, doszło do rzezi w klinice i w wiosce położonej w rejonie Afryki, o którym większość Amerykanów nigdy nie słyszała. Masz rację, to straszne, ale możesz powiązać to z Damienem jedynie na podstawie zeznań pewnego najemnika, którego torturowałeś, a potem przetrzymałeś na Malcie bez żadnego upoważnienia. Tylko tyle. To wszystko, co masz na niego. Czyli to jest wszystko, co ja na niego mam. To jest wszystko, co mój prokurator generalny mógłby wykorzystać. Nie ma znaczenia, kogo widziano w jego domu. Damien, podobnie jak każdy obywatel, ma zagwarantowaną wolność zgromadzeń. Czy podoba mi się jego antyamerykańska propaganda? Bynajmniej, ale ma również prawo do wolności słowa, podobnie jak szereg innych praw wynikających z konstytucji, której przysięgałem bronić. Zatem jeśli mnie pytasz, czy możesz aresztować obywatela amerykańskiego na amerykańskiej ziemi pod zarzutem zbrodni, którą rzekomo zorganizował na terenie Demokratycznej Republiki Konga, i na podstawie zeznań jakiegoś cudzoziemca, którego przesłuchałeś bez upoważnienia i stosując brutalne środki, moja odpowiedź nie tylko brzmi nie, ale za cholerę nie. Czy teraz moje stanowisko jest dla ciebie jasne?

– Tak, panie prezydencie.

Paul Porter po raz ostatni potoczył wzrokiem po zebranych, a gdy wszyscy skłonili się przed nim, wyszedł z pokoju dowodzenia. Zapanowało niezręczne milczenie, które wreszcie przerwał McGee.

– Poszło nieźle – odezwał się. Carlton pokręcił głową.

– Nigdy nie zadawaj pytania, na które nie znasz już odpowiedzi.

Harvath nie chciał okazywać swojemu szefowi braku szacunku, ale nie mógł się powstrzymać.

– To pytanie musiało paść – powiedział.

– Wcale nie musiało, w każdym razie nie bezpośrednio. Nie muszę ci tego tłumaczyć. To jest prezydent Stanów Zjednoczonych. Nie ma nic przeciwko drobnym odstępstwom od protokołu, ale pewne kwestie należy poruszać bardzo delikatnie. A pewnych kwestii zdecydowanie nie należy przedstawiać mu wprost.

Harvath zerknął na Lydię Ryan, która czasami zdawała się rozumieć go lepiej niż obaj ich szefowie.

– A więc wszystko sprowadza się do cegieł, tak?

– Co?

– Prezydent powiedział ci, że masz za mało cegieł – wyjaśniła Ryan. – On chce, żebyś zbudował najgrubszy i najwyższy mur, jaki potrafisz. Coś, wobec czego Damien będzie bezradny. Nie słyszałam, żeby prezydent kazał ci przestać. Powiedział ci tylko, że w tej chwili nie możesz przygwoździć Pierre’a Damiena żadną ze swoich cegieł.

Czy o to chodziło? Czy właśnie to Paul Porter chciał mu zakomunikować? Nie zabronił im dalej działać. Po prostu nakreślił wyraźną granicę, której na razie nie wolno im przekraczać.

Przeszli do omówienia strategii i przez kilka kolejnych minut rozdzielali między sobą kolejne zadania. Na koniec poruszyli temat Izraelczyków i Bena Mordechaia, postanowili skontaktować się ze sobą ponownie za godzinę i wspólnie wyszli z pokoju dowodzenia. Kiedy byli w połowie schodów, zadzwieczyła komórka Harvatha, informując o nadejściu kilku wiadomości tekstowych. Wszystkie pochodziły od Nicholasa, który prosił go o pilny kontakt. Przy wyjściu z zachodniego skrzydła jego komórka znowu ożyła, tym razem wygrywając dźwięki Atomic Dog George’a Clintona. Stary spojrzał na niego pytająco.

– To Nicholas – wyjaśnił Harvath.

– Odbierz.

## Rozdział 38

Wiadomości nie były pomyślne.

– Zgłoszono sześć nowych przypadków zachorowań – oznajmił Nicholas.

– Gdzie?

– San Francisco, Cedar Rapids, Atlanta, Filadelfia, Nowy Jork i Waszyngton. Waszyngton? Harvath nie powinien być tym zaskoczony. W Dystrykcie Kolumbii i w Wirginii Północnej mieszkały liczne społeczności muzułmańskie. Nie spodziewał się tylko, że epidemia będzie rozprzestrzeniać się tak szybko, a tym bardziej, że z dnia na dzień dotrze aż pod same jego drzwi. Ale to się już stało i teraz musieli stawić temu czoła.

– Czy media już coś zwęszyły? – zapytał.

– Tak. A w ciągu ostatnich dwóch godzin ministerstwa zdrowia jedenastu krajów nawiązały kontakt z Centrum do spraw Zapobiegania i Kontroli Chorób. Usiłują zapanować nad przepływem informacji, żeby zapobiec panice.

„Powodzenia”, pomyślał Harvath. Z doświadczenia wiedział, że ludzkość w głównej mierze dzieli się na trzy odrębne grupy – owce, psy pasterskie i wilki. I jeżeli czegoś się nauczył przez całe dorosłe życie, polując na wilki i broniąc owiec, to tego, że owce działają w dwóch trybach – leniwego wypasu i panicznej ucieczki. Teraz, kiedy rozniosła się wieść, że śmiertelny wirus wyostał się na wolność, trudno było cokolwiek przewidzieć. Wkrótce mógł zapanować kompletny chaos.

– Czego jeszcze się dowiedziałeś? – zapytał, przygotowując się na kolejne złe wiadomości.

– Koncerny farmaceutyczne, których udziałowcem jest Damien, wyglądają całkiem niegroźnie. Jeden produkuje leki na demencję, a drugi specjalizuje się w środkach antykoncepcyjnych.

„I bądź tu mądry”, pomyślał Harvath.

– Ale sądzę, że miałeś rację z tymi kongijskimi muzułmanami – ciągnął Nicholas. – Natrafiłem na ślad trzydziestoosobowej grupy, która przyleciała

do Arabii Saudyjskiej i wróciła tym samym wyczarterowanym samolotem.  
Wreszcie dobre wieści.

– Masz jakieś zdjęcia paszportowe albo nagrania z kamer?

– Wszystko przesłałem do Solarium. Vella osobiście skonfrontuje to z Hendrikiem.

Chociaż nie mogli dzięki temu poczynić żadnych postępów, przynajmniej teoria Harvatha znalazła potwierdzenie.

– Coś jeszcze?

– Wtyczka Mordechaia nawiązała kontakt.

– Ta kobieta, która przyleciała z Damienem?

– Tak – potwierdził Nicholas. – Sądzi, że zdobyła jego hasło.

– To jeszcze lepsza wiadomość.

– A to dopiero początek. Urządzenie przechwytyjące namierzyło więcej obiektów, z których jeden udało się zidentyfikować.

– I co to jest?

– Laptop należący do Lindy Landon z Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego.

– Przejrzałeś to, co przechwycała?

– Nikt tego nie widział, nawet Mordechai. Bez dostępu do zabezpieczonego łącza jego wtyczka nie może niczego przesłać. Ale dzisiaj Damien zabiera ją na lunch do restauracji La Niçoise w Winchester i tam Mordechai ma odebrać od niej kartę pamięci.

Było to trochę zaskakujące, że Izraelczycy, którzy dysponowali tyloma rozwiązaniami technologicznymi, nie wyposażyli jej w coś, co pozwoliłoby na zakodowanie i przesłanie danych. Ale z drugiej strony świadczyło to o powadze całej operacji. I tak ryzykowali bardzo wiele, dając jej urządzenie namierzające. Harvath wolał sobie nie wyobrażać, co zrobiłby Damien albo jego współpracownicy, gdyby coś odkryli. Musiał również pamiętać, że pierwotnie miejscem operacji Bentziego było centrum Genewy, gdzie dyskretne przekazanie karty w drodze do pracy albo do sklepu nie stanowiło problemu. Teraz Helena Pestova była odcięta od świata w prowincjonalnej posiadłości. Nie mogła mieć pewności, czy tamtejsze wi-fi jest bezpieczne. Damien przyjmował w Clifton wiele bogatych i niezwykle wpływowych osobistości. Być może zainstalował aparaturę, dzięki której mógł inwigilować wszystko, co jego goście wysyłali i odbierali.

Wyjazd do restauracji był dobrym manewrem. Przekazanie danych miało się odbyć w nieskomplikowany i staromodny sposób, zgodny z arkanami

sztuki szpiegowskiej. Jednak Harvathowi było nie w smak, że zajmie to kilka godzin, podczas gdy liczyła się każda sekunda.

– Gdzie jest teraz Mordechai? – zapytał.

– Nadal w domku nad kanałem. Ludzie, którzy go pilnują, zaraz będą się zmieniać.

– Kto będzie z nim teraz?

– Sloane Ashby i Chase Palmer.

Harvath zawiesił połączenie i zamienił z Carltonem kilka słów, po czym wrócił do rozmowy z Nicholasem.

– Może chciałbyś wyrwać się na chwilę ze swojej jaskini?

– To zależy – odparł karzeł. – A co proponujesz?

– Lunch. Ja stawiam.

Szary mercedes sprinter Nicholasa był istnym ośrodkiem dowodzenia na kółkach. Furgonetka miała ukrytą w dachu antenę satelitarną, a jej wnętrze wypełniała masa sprzętu elektronicznego. Dzięki specjalnym dźwigniom właściciel samochodu mógł osobiście go prowadzić.

Dojechali do centrum Winchester na długo przed porą lunchu i zaparkowali po przeciwnej stronie ulicy w połowie drogi z La Niçoise do najbliższego skrzyżowania. Z napisu na markizie wynikało, że restauracja specjalizuje się w kuchni francuskiej i śródziemnomorskiej – Nicholas przepadał za obiema. Harvath wysiadł z mercedesa i wrócił piętnaście minut później, trzymając papierową torbę z nadrukiem tajskiego baru.

– Co to jest, do cholery? – obruszył się karzeł.

– Phat Si Io.

– Nie tknę tego.

Harvath odstawił pudełko z zasmażanym makaronem sojowym na deskę rozdzielczą.

– I to ma być wszystko? – zapytał Nicholas. – A gdzie duszone grzybki? Gdzie pasztet szampański? Gdzie ślimaki po burgundzku?

– Chyba o nich zapomnieli – odparł Harvath, zaglądając do papierowej torby z jedzeniem.

Nicholas z rezygnacją pokręcił głową.

– Stoimy kilkanaście metrów od francuskiej restauracji, a ty musiałeś krążyć po okolicy w poszukiwaniu kuchni orientalnej.

– Kto nie lubi tajskiego jedzenia?

– Nie rób ze mnie durnia. I tak ci nie dorównam.



– To właśnie w tobie uwielbiam. – Harvath się roześmiał. – Nigdy się nie wywyższasz.

Przyjaciel zgromił go wzrokiem.

– Nabijasz się z mojego wzrostu?

– Może – odparł Harvath i wręczył mu styropianowe pudełko. – Wyśmienity burger z bizona, rarytas. Z karmelizowaną cebulą i niebieskim serem. Teraz lepiej?

Mina Nicholasasa złagodniała i na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Nie jest to udziec jagnięcy – powiedział, unosząc wieczko pudełka i spojrzał z uznaniem na kanapkę. – Ale ujdzie. Przyniosłeś coś dla moich chłopców?

Harvath obrócił głowę i spojrzał w głąb furgonetki, gdzie dwa potężne owczarki stały z uniesionymi głowami, wietrząc zapach gorącego jedzenia.

– Przykro mi, ale przyjmowali tylko gotówkę i pojawił się pewien mały...

– Lepiej już nie kończ – przerwał mu karzeł z uśmiechem.

– Masz szczęście, że znalazłem miejsce, gdzie mogłem ci kupić burgera.

– Dzięki.

Przez chwilę jedli w milczeniu, aż wreszcie Harvath odezwał się między kolejnymi łykami.

– W tajskim barze był telewizor. Mówili w wiadomościach o kolejnym pacjencie, który wykrwawił się w klinice w Georgetown.

– Nie uda im się tego powstrzymać.

– Epidemii czy wycieku informacji?

Nicholas wbił zęby w kanapkę, zbywając pytanie wymownym milczeniem. Harvath nie miał wątpliwości, że dziennikarze w całym kraju węszą po szpitalach i wykorzystują swoich informatorów, usiłując natrafić na ślad innych przypadków zachorowań. W tej chwili władze mogły oficjalnie ogłosić jedynie to, że wszyscy pacjenci, u których do tej pory wystąpiły objawy, ulegli zakażeniu za granicą.

Kiedy Harvath sięgał po butelkę wody, rozległ się sygnał komórki Nicholasa. Karzeł chwycił telefon, wpisał hasło i odczytał wiadomość. Potem otworzył załącznik i obrócił wyświetlacz w stronę Harvatha.

– To jest twój uciekinier z laboratorium w Ngoa.

Harvath spojrzał na załącznik. Był to skan paszportu, prawdopodobnie wykonany przez Saudyjczyków podczas kontroli na lotnisku. Mężczyzna nazywał się Yusuf Mukulu i miał dwadzieścia siedem lat.

– Kto to przysłał? – zapytał.

– Vella. Hendrik potwierdził, że Mukulu jest człowiekiem, który uciekł i trafił do Matumaini.

Harvath czuł się dziwnie, patrząc na twarz ze zdjęcia, zwłaszcza że należała do kogoś, kogo pułkownik White nazwała pacjentem zero. Pół biedy, gdyby mieli do czynienia z jednym pacjentem zero, a nie trzydziestoma.

– Co się stało z pozostałymi pielgrzymami, którzy razem z nim podróżowali do Mekki?

Nicholas obrócił telefon z powrotem do siebie i przewinął do końca krótką wiadomość.

– Według Hendrika wszyscy umarli w Ngoa, a personel spalił i zakopał ciała – odparł Nicholas, po czym odłożył komórkę na konsolę i zajął się z powrotem kanapką.

Harvath sięgnął po swój telefon, żeby sprawdzić, czy nie ma jakichś wiadomości od Asha. Brytyjczycy dostali się do Kinszasy specjalnie wycarterowanym samolotem. Drugi samolot został wysłany do Buni, po jednego z członków Grupy Rozpoznania Badawczego i Taktycznego, który miał nadzorować operację. Na razie to wszystko.

– Jeśli nie zdołamy tego opanować... Jeśli ta zaraza wymknie się spod kontroli, to co zamierzasz zrobić? – odezwał się Nicholas po chwili milczenia.

– Nic takiego się nie stanie.

– Zgoda, ale założmy, że sprawy potoczyłyby się inaczej i nic nie dałoby się zrobić. Masz jakiś plan? Co byś zrobił? Gdzie byś się schronił?

– Mój przyjaciel z wojska ma dom na Alasce – odparł Harvath. – To miejsce kompletnie odcięte od świata i trudno się do niego dostać, ale właśnie tam próbowałbym dotrzeć. Jego właściciel to zapobiegliwy facet. Na wszelki wypadek zgromadził tam mnóstwo zapasów, których wystarczy na kilka lat.

– Jeden z tych, co szykują się na apokalipsę?

– Po prostu myśli strategicznie. Zdaje sobie sprawę, że w niektórych sytuacjach może zabraknąć jedzenia w sklepach. Wie również, że w razie wielkiej katastrofy władze nie będą w stanie otoczyć wszystkich opieką. Dość już widziałeś, odkąd mieszkasz w Waszyngtonie. W rządzie jest kilku porządnych ludzi, ale generalnie wszyscy na górze troszczą się tylko o siebie. Każdy z nich ma jakieś bezpieczne miejsce zaopatrzone w żywność,

w którym może się schronić, gdyby świat zaczął się walić. Są dobrze przygotowani i wydali na to miliardy dolarów. A ty i ja? Niezbyt. Jesteśmy zdani wyłącznie na siebie. Dlatego moim wyjściem awaryjnym jest Alaska.

– Ale najpierw musiałbyś się tam dostać – zauważył Nicholas. – To kawał drogi stąd.

– O to też zadbałem. A jaki ty masz plan?

Karzeł spojrział na swoje psy, a potem znów na Harvatha.

– Nie wiem. Do tej pory tak naprawdę nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Nie sądziłem, że to konieczne. Chyba wybrałbym jakieś najbezpieczniejsze miejsce.

– A co potem?

– Potem musielibyśmy wszyscy jakoś się tam dostać.

– Masz na myśli siebie, psy i Ninę? – upewnił się Harvath, wspominając o kobiecie Nicholasa.

– Zgadza się.

– Jeśli mogę być z tobą szczerzy, to główniany plan.

– Wiem – odparł karzeł – ale nic innego nie przychodzi mi do głowy.

– W takim razie musimy wymyślić dla was coś innego.

– Póki co Alaska brzmi całkiem nieźle.

– Nie martw się – pocieszył go Harvath. – Nie dojdzie do tego.

– Ale gdyby doszło?

– Wtedy zabiorę was ze sobą.

Nicholas uśmiechnął się, czując ulgę na myśl, że może liczyć na swojego przyjaciela, jednego z niewielu, jakich w życiu miał. Harvath zamierzał jeszcze zażartować, że będą musieli zafarbować mu włosy na pomarańczowo, żeby nie zgubił się w kopnym śniegu na Alasce, ale w tym momencie odezwał się jego telefon. Dzwonił Chase Palmer.

– Co się dzieje?

– Uważajcie – powiedział Palmer. – Damien i ta kobieta już tu są.

## Rozdział 39

Kiedy przed restauracją La Niçoise zatrzymały się dwa czarne suburbany, najpierw wysiedli z nich ochroniarze. Wszyscy byli postawnymi mężczyznami o wysportowanych sylwetkach, dobrze wyszkolonymi i bez wątpienia doświadczeniymi. Najpierw powoli zlustrowali wzdłuż i wszerz cały kwartał, po czym jeden z nich otworzył tylne drzwi samochodu, z których wyłonił się Pierre Damien, a za nim Helena. Miliarder ujął swoją towarzyszkę pod ramię i obydwójce weszli do restauracji. Właściciel wybiegł im na powitanie. Damien wymienił z nim uścisk dłoni, zapytał o zdrowie rodziny i wręczył mu skórzaną torbę z dwiema idealnie schłodzonymi butelkami Domaine de la Romanée-Conti Montrachet rocznik siedemdziesiąty ósmy. Każda butelka tego wina była warta pięćdziesiąt tysięcy dolarów i właściciel restauracji, również enofil, dobrze o tym wiedział.

– Kiedy podasz nam kieliszki, przynieś trzeci dla siebie – rzekł Damien, klepiąc go po ramieniu.

– O mój Boże! – zawołał podekscytowany restaurator. – Dziękuję bardzo. To niezwykle uprzejme z pańskiej strony. Proszę za mną. Zaprowadzę państwa do stolika.

Damien przedstawił mu Helenę, a kiedy zajęli miejsce przy stoliku, właściciel pobiegł na zaplecze, żeby przynieść gościom swoje prywatne kieliszki.

Restauracja mieściła się w małym ceglanyim budynku. Na stołach leżały świeżo wyprasowane lniane obrusy, a malowidła na ścianach przedstawiały krajobrazy znad Morza Śródziemnego i z południa Francji. Z ukrytych głośników sączyły się niczym ciepła kawa z mlekiem dźwięki skrzypiec Stéphane'a Grapelliego. Gdyby Helena zamknęła oczy, mogłaby sobie wyobrazić, że jest we Francji. Tylko jedno ją przed tym powstrzymywało – widok niespotykanej atrakcyjnej młodej kobiety, która siedziała z Bentzim przy stoliku na drugim końcu sali.

„Co to za jedna?”, zastanawiała się Helena. „Czy to agentka Mosadu? Czy kolejna z jego wtyczek? I co ona tu robi? Czy Bentzi próbuje w ten sposób dać mi coś do zrozumienia? Czy już wprowadził kogoś innego na moje miejsce? Ale Bentzi przecież jeszcze nie wie, że zamierzam go zostawić”.

– Wszystko w porządku, moja droga? – zapytał Damien, przerywając jej gorączkowe rozmyślenia.

Uśmiechnęła się do niego.

– Przez tę muzykę i zapachy z kuchni rozmarzyłam się na chwilę, że naprawdę jesteśmy we Francji.

– Zaczekaj, aż dodamy do tych wrażeń Montrachet.

– Ale dwie butelki? Będziesz musiał nieść mnie do domu. Miliarder wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Zawsze uważałem, że z butelkami wina jest jak z piersiami. Trzy to zbyt wiele, a jedna nigdy nie wystarcza.

– Pierre! – Helena oblała się rumieńcem. – Nie jesteśmy tu sami.

– Nie dbam o to – odparł, sięgając do jej dłoni, i uśmiechnął się jeszcze szerzej, kiedy ich palce się splotły. – Stałaś się dla mnie bardzo ważna.

– Jestem pewna, że powtarzasz to tym wszystkim kobietom, które zabierasz do Ameryki swoim prywatnym odrzutowcem.

– Mówię poważnie.

– Ja też.

– Jesteś pierwszą kobietą, która niczego ode mnie nie chce.

– Czyżby? – zapytała, gładząc czubkiem palca wnętrze jego dłoni.

– Z wyjątkiem tego.

– Myślę, że właśnie dlatego zabrałeś dwie butelki. Chcesz mnie upić, żeby mnie potem wykorzystać, kiedy wrócimy do domu.

Damien lekko ścisnął jej dłoń i przytrzymał przez chwilę.

– Czy zauważyłaś, z którego roku jest to wino? Helena pokręciła głową.

Miliarder rozejrzał się, żeby przywołać restauratora, ale on już szedł w ich stronę. Ustawił na stoliku trzy kieliszki, po czym zaprezentował Montrachet Damienowi, a gdy ten przyzwalająco skinął głową, wyjął korkociąg i zaczął ostrożnie otwierać butelkę. W ciągu tak długiego leżakowania mogło zajść wiele niekorzystnych zmian, jednak okazało się, że korek wygląda idealnie. Damien obejrzał go uważnie i nie zauważywszy nawet najdrobniejszej skazy, zachęcił właściciela restauracji, aby pierwszy skosztował wina. Mężczyzna długo rozkoszował się kolorem i aromatem

szlachetnego trunku, a gdy wypił pierwszy łyk, zastygł na chwilę w bezruchu z zamkniętymi oczami.

– Absolutnie wyśmienite – oznajmił wreszcie, po czym napełnił kieliszki Heleny i Damiena.

Damien ocenił temperaturę butelki, dotykając ją lekko dłonią. Doskonałe białe wina burgundzkie należy spożywać podobnie jak wina czerwone. Nie podaje się ich w kubelku z lodem. Ich bukiet jest najbardziej intensywny w temperaturze od piętnastu do osiemnastu stopni Celsjusza. Montrachet było warte swojej ceny i nie potrzebowało żadnych dodatkowych zabiegów.

Za namową Damiena restaurator nalał sobie pełny kieliszek. Zaproponował im dania, po czym przeprosił gości i wstał od stolika. Miliarder spojrział na Helenę i obrócił butelkę etykietą w jej stronę.

– Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty ósmy.

– W tym roku się urodziłam.

– Wiem. To dlatego wybrałam je na dzisiejszy lunch – rzekł, sięgając po kieliszek, i wzniosł toast. – Za umiar we wszystkim z wyjątkiem miłości.

Helena stuknęła w jego kieliszek swoim. Była tak oszołomiona, że odjęło jej mowę. Czy Damien chciał w ten sposób dać jej do zrozumienia, co do niej czuje?

Wypiła łyk wina, próbując zyskać na czasie, żeby pozbierać myśli.

– Mam coś dla ciebie – powiedział.

Sięgnął do torby na wino i z bocznej kieszeni wyjął aksamitne pudełko na biżuterię wielkości talerzyka deserowego. Podniósł wieczko i pokazał jej zawartość. W środku spoczywał najwspanialszy naszyjnik z diamentów, jaki w życiu widziała. Musiał kosztować setki tysięcy dolarów.

– Mogę?

Nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. Zdołała jedynie kiwnąć głową. Damien wstał, okrążył stół i stojąc za plecami Heleny, ułożył naszyjnik na miękkiej kaszmirowej tkaninie golfa, który miała na sobie, aby największy z diamentów spoczywał między jej piersiami. Odgarnęła włosy, odsłaniając kark, żeby mógł zapiąć sprzączkę. Po chwili znów usiadł naprzeciwko niej i posłał jej kolejny uśmiech.

– Nie wiem, co powiedzieć – wykrztusiła.

– Nie musisz nic mówić.

– To po niego pojechałeś dziś rano? – zapytała, dotykając naszyjnika. – Żeby mi go kupić?

– Tak.

– Nie rozumiem. Dlaczego?

– Czy musi być jakiś powód?

– Pierre, przecież ten naszyjnik jest cudowny. Nie każdej kobiecie ofiaruje się taką biżuterię.

– Nie każdej – powiedział. – Ale ty jesteś dla mnie wyjątkowa. Uśmiechnęła się i spojrzała na niego z czułością.

– Proszę, nie rób mi tego.

– Czego?

– Tego – odparła i jedną dłonią wciąż dotykając naszyjnika, drugą sięgnęła po kieliszek. – Podróże, klejnoty, drogie wino. Nie chcę się do tego przyzwyczajać.

– A nie mogłabyś?

– Jestem twoja, Pierre. Nie musisz robić tego wszystkiego.

– To mi sprawia przyjemność.

– Cieszę się, ale nie komplikuj tego wszystkiego. Proszę. Damien wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę.

– Kiedy umarła moja żona, cierpiałem tak bardzo, jak nigdy przedtem. Obiecałem sobie, że jeśli to przetrwam, nigdy więcej nie dopuszczę, żeby przydarzyło mi się coś podobnego. A potem poznałem ciebie i wszystko się zmieniło.

– Już się upiłeś – powiedziała, puszczając do niego oczko.

– Masz doskonałe poczucie humoru, wiesz? – odparł z uśmiechem. – Wszystko w tobie jest doskonałe.

– Naprawdę się upiłeś, bo mnie daleko jest do doskonałości.

– Dla mnie jesteś idealna. I obydwójce idealnie pasujemy do siebie. Przyjrzała mu się badawczo.

– Pierre, czy ty mi się oświadczasz? Damien parsknął śmiechem.

– Prawdę mówiąc, sam nie wiem. Wiem tylko, że nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

Helena sięgnęła nad stolikiem i chwyciła jego rękę.

– Obiecuj, że nigdy mnie nie opuścisz – dodał, ściskając jej dłoń.

Również zacisnęła palce na jego dłoni. Jego prośba wydała się jej zdumiewająco tkliwa.

– Nigdzie się nie wybieram – odpowiedziała.

Siedzieli naprzeciwko siebie niczym dwoje zadurzonych nastolatków, patrząc sobie w oczy i śmiejąc się. Damien dolał wina do kieliszków i

zamówił przekąskę. Kiedy skończyli sałatkę i czekali na główne danie, Helena przerwała milczenie.

– Muszę ci coś wyznać.

Spiął się odruchowo. Nagle poczuł ukłucie bólu, którego nie doświadczał od dziesiątek lat i którego miał nadzieję już nigdy nie doświadczyć.

– Co takiego? – zapytał.

– Kiedy ci powiedziałam, że nigdzie się nie wybieram, nie byłam z tobą do końca szczerą.

– Nie?

– Otóż muszę iść do toalety.

Zrozumiał dowcip dopiero po ułamku sekundy i zatroskany wyraz na jego twarzy zamienił się w uśmiech. Helena podeszła do niego, przeczesała palcami jego włosy i pocałowała go.

– Dziękuję ci za to – powiedziała. – Za wszystko. Za naszyjnik i w ogóle.

Uniósł głowę i uśmiechnął się do niej, a potem patrzył za nią, dopóki nie znikła za drzwiami damskiej toalety. Była niesamowitą istotą. Podjął właściwą decyzję, zabierając ją ze sobą. Czuł to całym sercem.

Ochroniarze tylko powiedli wzrokiem za Heleną. Nie mieli powodu, by podążać za nią do toalety. Przede wszystkim mieli czuwać nad bezpieczeństwem Damiena, nie jej.

Naszyjnik był niewiarygodnie piękny. Helena miała ochotę przejrzeć się w lustrze, ale odłożyła to na później. Zamknęła za sobą drzwi kabiny, wyjęła komórkę i przystąpiła do działania. W jej smartfonie było tyle aplikacji, że dopiero po chwili znalazła tę, której potrzebowała. Ale o to właśnie chodziło. Gdyby Damien albo któryś z jego ludzi grzebał w jej telefonie, a przypuszczalnie nie obyło się bez tego, nie znalazłby niczego niezwykłego. Nawet aplikacje giełdowe nie wyglądały podejrzanie.

Kiedyś zwróciła uwagę na artykuł w jednej z gazet finansowych Damiena i od niechcienia wyraziła swoją opinię, mówiąc, co pewne wschodnioeuropejskie państwo mogłoby zrobić, gdyby Rosja odcięła mu dostawę gazu ziemnego. Na koniec powiedziała, jak jej zdaniem wpłynęłoby to na światowy rynek paliwowy. Zrobiło to na nim wrażenie. Kiedy zapytał, jak doszła do tak uczonych wniosków, nie przepuściła okazji, żeby się z nim podroczyć, i wyjaśniła, że przez jakiś czas spotykała się z pewnym brytyjskim bankierem. Myśl o innym mężczyźnie w jej pobliżu doprowadziła go do szaleństwa i sprawiła, że zapragnął jej jeszcze



bardziej. Helena nie musiała robić nic więcej. Tylko nakryła do stołu, a to on rzucił się na nią łapczywie i nie mógł się nasycić.

Otworzyła odpowiednią aplikację i wprowadziła dyspozycje. To mogło być najmądrzejsze posunięcie w jej życiu albo największa głupota, jaką kiedykolwiek popełniła. Miała się o tym wkrótce przekonać i dodawała sobie otuchy myślą, że nawet gdyby sprawy przybrały niepomyślny obrót, nie byłyby gorsze od tego, co już przeszła i co uczyniło ją silniejszą.

Zamknęła aplikację i schowała telefon do torebki, z której wyjęła szminekę i paczkę chusteczek higienicznych. Odkręciła drugie dno tuby ze sztyftem, wyciągnęła ze schowka małą kartę pamięci i przytrzymała ją zębami. Potem odkleiła pasek folii samoprzylepnej, który służył do zamykania paczki chusteczek, umieściła na nim kartę, i przykleiła go z tyłu szafki pod umywalką. Domyślała się, że blondyneczka Bentziego będzie musiała trochę się namęczyć, zanim znajdzie przesyłkę, ale nie obchodziło jej to. Zdobyła to przeklęte hasło Damiena. Kiedy Izraelczycy je dostaną, dadzą jej akta Enocha, a ona po prostu zniknie. Pewnego dnia zemści się na człowieku, który odpowiadał za to, że została uprowadzona ze swojego kraju, a jej życie zamieniło się w niewyobrażalny koszmar. Zawsze istniało prawdopodobieństwo, że Mosad spróbuje ją wykiwać, ale Bentziego o to nie podejrzewała. Znała go na tyle, żeby wiedzieć, że dotrzyma obietnicy. Był człowiekiem honoru i tylko to się dla niej liczyło.

Stojąc przed lustrem, nałożyła pomadkę na usta i poprawiła fryzurę. Naszyjnik prezentował się oszałamiająco. Kiedyś mogłaby poszukać na niego kupca w jakimś kraju Ameryki Środkowej albo Południowej. Nie było pośpiechu. Akurat czasu jej nie brakowało. Uśmiechając się do swojego odbicia, postanowiła przekazać Bentziem wiadomość i przycisnęła do lustra uszminekowane usta, zostawiając na szkle ślad pocałunku. Wiedziała, że jej zniknięcie wytrąci go z równowagi. Nikt nie porzucał służby w Mosadzie bez zezwolenia. Ale Bentziem chodziło o coś więcej. Mógł to potraktować osobiście, poczuć się znieważony, jak gdyby ktoś, komu udzielił gościny, odszedł bez słowa podziękowania.

Jego problem polegał na tym, że zawsze uważał się za jej wybawcę. Na początku ona również tak go postrzegała. Do tego stopnia, że się w nim zakochała. Ale gdy czas mijał, a on powierzał jej kolejne zadania – dając jasno do zrozumienia, jakich rzeczy od niej oczekuje w ramach poświęceń dla Izraela – jej uczucia do niego się zmieniły. Zamieniła jedną niewolę na drugą. Kiedy była niewolnicą seksualną, bito ją i grożono jej śmiercią. Jako

agentka Bentziego była maltretowana psychicznie i zastraszana perspektywą więzienia. Kiedyś żyła rozpaczliwą nadzieją, że gangsterzy wreszcie przestaną się nad nią pastwić i puszczą ją wolno, a pracując dla Mosadu, zaczęła liczyć na to samo. A potem zdała sobie w końcu sprawę, że sama musi zadbać o swoje uwolnienie.

Jeżeli jej zniknięcie doprowadzi Bentziego do furii, będzie to wyłącznie jego problem. Dzięki niej zyskiwał coś, czego nie dało się przeliczyć na żadne pieniądze. Ale ona była już gotowa do ucieczki. Wszystko sobie poukładała i każdy element czekał na swoim miejscu. Mordechai dobrze ją wyszkolił, a teraz pilnie odrobiła ostatnie zadanie. Zadbała, żeby każdy trop zniknął w ciemności albo urywał się w ślepej uliczce. Izraelczycy mogą poświęcić dwadzieścia lat na poszukiwania, ale nigdy jej nie znajdą.

Mając na uwadze to, co dla nich zrobiła i co wiedziała, miała nadzieję, że nie będą jej szukać. Przynajmniej tyle byli jej winni. Przynajmniej mogliby zostawić ją w spokoju. Mogliby znaleźć wiele innych dziewcząt, młodszych i w gorszej sytuacji. Zastąpienie jej nie stanowiło problemu.

Helena przyglądała golf i wyszła z toalety. Teraz musiała jeszcze przez jakiś czas dbać, żeby Damien czuł się szczęśliwy. Gdy tylko dostanie to, czego jej trzeba, będzie mogła zacząć nowe życie. A kiedy zacznie nowe życie, będzie liczyło się tylko to, czego potrzebowała.

## Rozdział 40

Ben Mordechai zapłacił rachunek, kiedy Sloane Ashby była w toalecie. Po jej powrocie obydwójce wyszli z restauracji.

Zachowanie Heleny i Damiena sprawiało mu ból. Była w nim naprawdę zakochana, a on sprawiał wrażenie, jakby stracił dla niej głowę. Żadna aktorka nie potrafiłaby tego zagrać. Nawet z drugiego końca sali naszyjnik wyglądał olśniewająco i Mordechai nie tylko zaczął się zastanawiać, w którym momencie stracił panowanie nad swoją operacją, ale zadał sobie pytanie, kiedy Helena wymknęła mu się spod kontroli. Co gorsza, nadciągał front niżowy i chociaż dzień był słoneczny, czuł w dłoniach rychłą zmianę pogody. Kiedy wyszli na zewnątrz, chłodny podmuch wiatru zasypał chodnik uschniętymi liśćmi. Mordechai postawił kołnierz i przyśpieszył kroku w drodze do samochodu.

Ashby nie odzywała się wiele i rozmawiała z nim jedynie podczas posiłku, kiedy udawali dwoje znajomych z pracy, którzy wybrali się na lunch. Gdy ochroniarze Damiena lustrowali salę, przyglądali się Bentziemmu odrobinę dłużej niż wszystkim innym. On też przyjrzał im się dokładnie, zwracając uwagę na krój i materiał ich garniturów, ich fryzury, a nawet oczy i rysy twarzy. Wszyscy byli dobrze zbudowani, mieli powyżej metra osiemdziesięciu wzrostu i wyglądali na Europejczyków. Najprawdopodobniej pochodzili z Europy Zachodniej, a na pewno nie byli Słowianami ani Żydami. Jednak świat zmieniał się tak szybko, że Bentziemmu było coraz trudniej określać takie szczegóły. Nie uszło jego uwadze, że byli zdyscyplinowani, a ich ruchy zdradzały wojskową przeszłość. Damien miał tyle pieniędzy, że mógł sobie pozwolić na wynajęcie byłych żołnierzy, którzy wachali proch na niejednej wojnie. Z takimi ludźmi nie warto było zadzierać i nie należało ich lekceważyć.

– Jest naprawdę śliczna – odezwała się Ashby, kiedy zbliżali się do samochodu.

– O kim mówisz? – zapytał Mordechai wyrwany z zadumy.

– O Helenie.

Pokiwał głową, nie wiedząc, jak zareagować. Znajdował się w dosyć niezręcznej sytuacji. Nie był więźniem – Lydia Ryan postawiła sprawę jasno – ale musiał pozostać do ich dyspozycji. Gdyby nie zgodził się na pełną współpracę, zostałby deportowany wraz z grupką innych agentów Mosadu, działających przy ambasadzie izraelskiej, o których wiedziała CIA. Nie miał innego wyjścia.

Liczył, że teraz, kiedy dostał to, czego potrzebował, będzie mógł się rozstać z Amerykanami. Jednak uzgodnił z nimi, że zanim przekażą mu kartę, sami skopiują jej zawartość.

Kiedy wsiedli do samochodu, Ashby wyjęła swój smartfon i otworzyła galerię, w której znajdowało się zdjęcie przedstawiające ślad uszminkowanych ust, odcisnięty na lustrze.

– Myślę, że zostawiła to dla ciebie – powiedziała, wręczając mu telefon, i przekreśliła kluczyk w stacyjce.

Mordechai milczał przez całą drogę. Kierowali się na północ, w stronę oddalonego o parę minut jazdy centrum handlowego Rutherford Crossing. Mieściło się tam kilka supermarketów, a do obiektu przylegał sporych rozmiarów parking.

W Winchester zostały dwa zespoły, które miały nadal obserwować Damiana. Kiedy Ashby zaparkowała przed sklepem z artykułami budowlanymi, Nicholas i Harvath już na nią czekali. Dwie minuty później przyjechał Chase Palmer.

– Mam iść z tobą? – zapytała Ashby.

– Tylko pan Mordechai – odparł Harvath. – Ty i Chase zaczekajcie tutaj.

Agentka skinęła głową i wręczyła mu kartę pamięci, którą znalazła w damskiej toalecie restauracji La Niçoise.

– Lubisz psy? – zapytał Harvath, kładąc rękę na klamce, kiedy wraz z Bentzim podeszli do furgonetki.

– W zasadzie nie mam problemów z... O Boże! – krzyknął Izraelczyk na widok potężnych owczarków siedzących w środku. Potem uniósł głowę i kiedy zobaczył Nicholasa, dodał: – O ty sukin...

– To brzmi jak poważne bluźnierstwo – przerwał mu karzeł z uśmiechem.

– To ty?

– We własnej osobie.

– A więc dlatego nie mogliśmy cię znaleźć. Ukrywasz się u Amerykanów.

– Przede wszystkim nie wiedziałem, że Mosad mnie szuka. A po drugie...

– Akurat, nie wiedziałeś – obruszył się Bentzi. – To ty dałeś cynk władzom Emiratów o naszym zamachu na Al-Mabhouha.

Harvath spojrzał na przyjaciela.

– Wy się znacie?

– Tylko ze słyszenia.

– Al-Mabhouh? Czy to ten założyciel zbrojnego skrzydła Hamasu? Ten, którego zlikwidowaliście w Dubaju?

– Współzałożyciel – sprostował Mordechai.

– Mniejsza o to. Wsiadaj do samochodu.

Izraelczyk wykonał polecenie i zajął miejsce w jednym z foteli naprzeciwko regału ze sprzętem elektronicznym. Nie przypadł do gustu Argosowi i Draco. Oba psy zaczęły warczeć, gdy tylko znalazł się w środku. Nicholas kazał im być cicho, ale nie posłuchały go i z ich gardeł nadal wydobywał się stłumiony bulgot. Harvath pierwszy raz widział coś takiego. Nicholas powtórzył komendę i dopiero wtedy owczarki umilkły.

– Z pomocą czy bez – wyjaśnił karzeł – wywiad Emiratów i tak by odkrył, co się stało.

– A więc przyznajesz, że to wyciekło od ciebie. – Mordechai kipiał ze złości.

– Nie miałem z tym nic wspólnego. Ale zważywszy, jak wielką porażką to było dla Mosadu, mogę zrozumieć, że potrzebujecie kozła ofiarnego.

Izraelczyk wymierzył palec w Nicholasa i zwrócił się do Harvatha.

– On jest niebezpiecznym przestępcą ściganym przez więcej krajów, niż zdołałbym zliczyć. Ameryka nie powinna zapewniać temu człowiekowi bezpiecznej przystani.

– Bezpieczna przystań to nie wszystko. Otrzymałem ułaskawienie od samego prezydenta.

Mordechai nawet na niego nie spojrzał.

– Jak wasze władze mogły się w ogóle zgodzić na udzielenie schronienia człowiekowi, który jawnie sprzedaje kradzione informacje wywiadowcze?

– Nie wiem – odparł Nicholas. – Ale możemy zapytać pewnego amerykańskiego analityka wywiadu, który dwieście pięćdziesiąt kilometrów stąd odsiaduje dożywocie za szpiegowanie dla Izraela. Pamiętasz go? To ten facet, któremu wasz rząd oficjalnie przyznał obywatelstwo izraelskie. Niech no tylko przypomnę sobie jego nazwisko.

– Jonathan Pollard – wtrącił Harvath.

– Zgadza się. Pollard.

– To zupełnie coś innego! – krzyknął Bentzi, obracając się w stronę Nicholasa. Psy znów zaczęły warczeć. Harvath miał tego dość.

– Słuchajcie, możecie to sobie wyjaśnić po lekcjach na boisku – powiedział. – Ale teraz chcę się dowiedzieć, co jest na tej karcie.

Uciszył gestem Nicholasa, który chciał coś powiedzieć, i wręczył mu kartę.

Argos i Drako musiały wyczuć jego nastrój, bo ucichły.

– Ile ci to zajmie?

– Bułka z masłem – odpowiedział karzeł, patrząc na Mordechaia. – Nie potrwa to długo.

Niezależnie od walki kogutów, która się wywiązała, Harvath po to zabrał ze sobą Nicholasa i jego laboratorium na kółkach, żeby jak najszybciej uzyskać dostęp do zaszyfrowanych danych. Ze względu na zawodową uprzejmość zaprosił Bentziego do furgonetki. Chciał, żeby był obecny, kiedy Nicholas dobierze się do zawartości karty. Była to zarówno oznaka szacunku, jak i przejaw zwykłej przyzwoitości.

Nicholas wsunął kartę do czytnika, tymczasem Harvath wyjął z chłodziarki butelkę wody mineralnej i podał Bentziemu.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

Izraelczyk zginał i rozprostowywał palce. Widać było, że dokucza mu silny ból dłoni. Harvath wziął od niego butelkę, otworzył ją i podał mu z powrotem.

– Dziękuję.

– Ejn be-ad ma – odpowiedział. – Nie ma za co. Mordechai się uśmiechnął.

– Mówisz po hebrajsku.

– Trochę.

– Byłeś w Izraelu?

– Raz czy dwa – skłamał Harvath. Był tam wiele razy.

– W interesach czy na wczasach?

– Pan mnie przesłuchuje, panie Mordechai?

– Proszę, mów mi Bentzi.

– W takim razie to próba werbunku.

– To zależy. – Mordechai mrugnął do niego porozumiewawczo. – Da się ciebie zwerbować?

– Nie ma szans – wtrącił Nicholas znad klawiatury. Izraelczyk przysunął się do Harvatha.

– Chybabym oszalał, gdybym musiał z nim pracować – wyszeptał.

– On się zmienił.

Mordechai parsknął śmiechem.

– Nawet najmniejsze lamparty nie gubią cętek.

– Uwierz mi, ten swoje pogubił. A jeśli mogę ci coś doradzić, nie nabijaj się z jego wzrostu.

– Taki drażliwy?

Harvath wskazał na Argosa i Drako.

– A ci dwaj jeszcze dzisiaj nic nie jedli.

– Słyszałem wiele historii o tych bestiach.

– Wszystkie prawdziwe. Bentzi pokręcił głową.

– Karłowatość pierwotna – mówił nadal, ścisząc głos. – Powinien już nie żyć.

– My też, a jednak żyjemy.

Izraelczyk przytaknął, dając mu do zrozumienia, że zgadza się z jego konkluzją.

– Co się stanie z Damienem? – odezwał się, zmieniając temat.

– To zależy od tego, co znajdą wasi spece w Tel Awiwie, kiedy dobiorą się do kopii jego twardego dysku.

Mordechai wypił łyk wody, po czym zacisnął i rozprostował palce drugiej dłoni.

– Artretyzm? – zapytał Harvath.

– Pamiętka po Mahmudzie Al-Mabhouhu.

– Co ci się stało? Połamałeś sobie ręce na jego głowie, kiedy pomagałeś mu wsiąść do radiowozu?

Harvath spodziewał się, że jego uwaga wywoła uśmiech, ale nic takiego nie nastąpiło.

– Wiele lat temu jednym z członków Knesetu był pewien człowiek – odpowiedział Mordechai z poważną miną. – Cieszył się popularnością w Izraelu, zwłaszcza jeśli chodziło o jego poglądy na Strefę Gazy i Zachodni Brzeg. Był przyzwoity i uczciwy. Zaskarbił sobie nawet sympatię większości Palestyńczyków. Nie tylko był poważnym kandydatem na stanowisko premiera, ale miał szansę na osiągnięcie czegoś o wiele ważniejszego – pokoju.

W Izraelu jak dotąd nie zapanował pokój, więc Harvath domyślił się, że dążenia wspomnianego polityka musiały natrafić na jakąś przeszkodę.

– Człowiek ten miał dwie córki – ciągnął Izraelczyk. – Piękne dziewczyny. Młode, głupie i piękne dziewczyny. Lubiły bawić się w klubach i nie stroniły od narkotyków. Należały do elity i mogły robić, co im się podoba. Wiele razy zwracano ojcu uwagę na ich zachowanie, ale on zyskiwał na ich popularności tak samo, jak one wykorzystywały jego status. Typowy przykład błędnego koła. Zamiast przystopować, choćby odrobinę, żeby skupić się na własnej rodzinie, upomniał tylko swoje córki i znów zajął się własną karierą.

Harvath zauważył, że taki sam mechanizm obowiązuje w przypadku rodzin wielu amerykańskich polityków. W kulturze opętanej liczbą polubień, udostępnień i obserwujących polityka stała się formą rywalizacji w mediach społecznościowych, w której człowiek pokroju Abrahama Lincolna nigdy by się nie wybił bez maski Guya Fawkesa.

– Jak to zwykle bywa w przypadku dzieci, które nie znają żadnych zakazów, dziewczęta ciągle sprawdzały, jak daleko mogą się posunąć. Gdzie leży granica, po której przekroczeniu rodzice opuszczą przysłowiowy szlaban? Na matkę, popularną w Izraelu gwiazdę telewizyjną, która stawiała pierwsze kroki jako piosenkarka, nie można było liczyć. To ona dawała córkom zły przykład. Alkohol, narkotyki i plotki o romansach nie z jednym, ale z dwoma kolegami naraz. Ich rodzina była katastrofą. A potem sprawy przybrały naprawdę zły obrót. Kiedy ojciec był skoncentrowany na nadchodzącej kampanii, a matka nagrywała nową płytę, dziewczyny zostały kompletnie bez nadzoru. Wpadły w jeszcze gorsze towarzystwo i zaczęły eksperymentować z coraz mocniejszymi narkotykami w poszukiwaniu silniejszych wrażeń. Pewnej nocy rozbiły bmw ojca na drzewie. Coś takiego powinno wszystkim otworzyć oczy, prawda?

Harvath przytaknął.

– Nic podobnego – odparł Mordechai. – Ich rodzice, popijając whisky z lodem, obłudnie zganili je za ekstrawagancki styl życia. Jak można było się spodziewać, dziewczyny odpowiedziały atakiem. Według późniejszych relacji sąsiadów, to była bitwa o epickim rozmachu. Próbując wygzekwować władzę rodzicielską, ich ojciec w akcie desperacji postanowił wykorzystać ciężką artylerię. Stosując zagranie, które mogłoby zrobić wrażenie co najwyżej na jakimś kiepskim urzędniku, oznajmił swoim córkom, że zamraza im fundusze.



– I to wszystko? – zapytał zdziwiony Harvath. – Nie zakazał im wychodzenia z domu? Nie zesłał do jakiegoś kibucu na przymusowe roboty? Tylko zamroził im konta?

– Nawet nie zabrał im kluczyków do samochodu.

– Więc w zasadzie dziewczyny nadal mogły bywać w klubach, tylko od tej pory musiały zdać się na tych, którzy fundowali im rozrywki.

Mordechai przytaknął.

– Zgadnij, kto był do tego skłonny?

Harvath spojrział na jego napięte dłonie i domyślił się odpowiedzi.

– Hamas?

Izraelczyk znów pokiwał głową.

– Ta dwójka otumanionych prochami i zapatrzonych w siebie dzieciaków stworzyła im znakomitą okazję do storpedowania planów pokojowych, które były im bardzo nie w smak. W szeregach Hamasu działa pewien podstępny typek. Informacje na jego temat, które posiadamy, pochodzą z drugiej albo trzeciej ręki, ale z wszystkich wynika, że jest to zniewieściały frankofil, który nadał swojej operacji kryptonim Colette. Znasz Truffauta?

– Chodzi ci o François Truffauta? – zapytał Harvath. – Tego francuskiego reżysera?

– Tak, o niego. Otóż ten typek z Hamasu nazwał swoją operację, inspirując się tytułem jednego z filmów Truffauta, Antoine i Colette. Jest to bezbarwna opowieść o miłości dwójki paryskich nastolatków. Nazwę Colette nadał również słynnej palestyńskiej agencji modelek. Niestety w Izraelu nie brakuje rozpuszczonych dzieciaków, które buntują się przeciwko rodzicom. Nasze dwie księżniczki nie były wyjątkiem. Kiedy tatuś zakręcił kranik z forszą, zaczęły szukać innych sposobów na finansowanie swoich rozrywek. Ponieważ ich apetyt na odlot urósł do niebezpiecznych rozmiarów, wykształciły w sobie również niebezpieczną tolerancję na ryzyko w pogoni za zaspokojeniem tego apetytu. Pewnej nocy podczas jednej z takich pogoni opuściły teren Izraela i zapędziły się do Strefy Gazy.

Mina Harvatha musiała być na tyle wymowna, że Mordechai posłał mu pełne smutku spojrzenie i zwiesił głowę.

– Tam zaprzyjaźniły się z dwoma niesłychanie przystojnymi chłopcami, których podstawiał ów palestyński frankofil. Chłopcy zapewnili im dostęp do narkotyków i chociaż wcale nie nalegali, obie siostry zaciągnęły ich do łóżka, żeby wykorzystać okazję do dobrej zabawy. Wreszcie pewnej nocy, kiedy już zdobyli ich zaufanie i uzależnili je od siebie, powiedzieli im, że

muszą wyskoczyć do Gazy po większą partię narkotyków i potrzebują ich pomocy. Przekonali dziewczyny, że ich uroda, nazwisko i wydekoltowane bluzki ułatwią im przejście przez izraelski posterunek graniczny w drodze powrotnej.

Zdumiewające, jak wiele osób w pogoni za przyjemnością całkowicie traci zdrowy rozsądek i daje się nabrać na takie tanie zagrywki. Działo to Harvathowi na nerwy, ale jeszcze bardziej drażnił go fakt, że ojciec dziewcząt nie zdołał ich ustrzec przed niebezpieczeństwem. „Jaki z niego mężczyzna, skoro nie ochronił swoich dzieci przed wilkami?”, pomyślał. Nie obchodziło go, jakie ów człowiek miał aspiracje wobec Izraela. Jeżeli nie potrafił zadbać o swoją rodzinę, jak, do cholery, można było się po nim spodziewać, że zadba o swój naród?

Na moment Harvath wczuł się w jego sytuację. Czy nie tego właśnie się obawiał? Że nie zdoła ochronić własnej rodziny, kiedy będzie się znajdował na drugim końcu świata, próbując ratować swój kraj przed kolejnym zagrożeniem albo atakiem terrorystycznym?

– Ale kiedy przyjechali do Gazy – opowiadał dalej Mordechai – okazało się, że nie czeka na nich transport narkotyków. To była zasadzka. Ludzie Mahmuda Al- Mabhouha skazali dziewczyny na niewyobrażalne męki, filmując wszystko, a potem porzucili ich zhańbione i zmasakrowane ciała na drodze pod Nablusem.

– Ich ojciec musiał być wściekły.

– Z początku nie chciał tego przyjąć do wiadomości. Potem przeżył szok, a na koniec przyszła furia. Al-Mabhouh i Hamas dopięli swego. Wojna trwała nadal. Największy orędownik pokoju, z jakim obie strony zetknęły się w ciągu ostatnich dziesięcioleci, teraz skupił się wyłącznie na zemście.

– I w tym momencie wkroczyłeś do akcji – wtrącił Harvath. – Zgadza się?

– Hamas dopuścił się niewybaczalnej zbrodni, za którą mógł zapłacić tylko krwią. Nawet ugodowcy z Knesetu domagali się zemsty. A w tym czasie służyłem w Szin Bet, w wydziale operacji specjalnych.

– Yamas – powiedział Harvath.

– Zgadza się. Naszym zadaniem było namierzanie i eliminowanie terrorystów w Izraelu, Strefie Gazy i na Zachodnim Brzegu Jordanu. Słyszeliśmy z tego, że potrafiliśmy ich dopaść wszędzie i o każdej porze. Przeprowadzaliśmy nawet zamachy w biały dzień. Nigdzie nie byli bezpieczni. Rok zajęło nam odnalezienie wszystkich odpowiedzialnych za

to morderstwo. Potem przez kolejne trzy miesiące przygotowaliśmy się do ich likwidacji. Udały się wszystkie akcje oprócz mojej.

– Nie dopadłeś swojego celu?

– Zabiliśmy go, ale z powodu błędnych informacji mój zespół zamiast pójść w prawo, poszedł w lewo. Trzej moi towarzysze zginęli, a ja dostałem się do niewoli. Al-Mabhouh osobiście nadzorował moje tortury. Wyłamali mi ze stawów wszystkie palce, a kiedy kości zaczynały się zrastać, powtarzali wszystko od początku. Tego bólu nie da się porównać z niczym, czego w życiu zaznałem. Na domiar złego nie mogłem używać rąk do jedzenia i innych niezbędnych czynności, co było dodatkowym upokorzeniem.

Harvath swego czasu nasłuchiwał się opowieści o sadystycznych torturach, jakim poddawano jeńców wojennych, mimo to historia Bentziego zrobiła na nim wrażenie.

– Jak długo byłeś w niewoli?

– Minęło siedem miesięcy, zanim mnie odbili.

– Trochę to trwało.

– Z początku nie byli nawet pewni, czy przeżyłem. Ale kiedy okazało się, że tak, trudzili się dzień i noc, żeby mnie uwolnić. Izrael nigdy nie spisał mnie na straty.

Izraelczycy byli niezwykle lojalni wobec swoich wojowników. Świadczyło to o charakterze tego narodu i zawsze budziło podziw Harvatha. Była to jedna z wielu cech, które wyjaśniały bliskie pokrewieństwo między Ameryką i Izraelem. Było to jedyne państwo demokratyczne na Bliskim Wschodzie i wyznawało wiele wartości drogich Amerykanom.

Teraz, kiedy Harvath dowiedział się, jakiej udręki doświadczył Mordechai w niewoli i że wszystkiemu winien był Al-Mabhouh, stało się dla niego jasne, dlaczego Izraelczyk pałał taką niechęcią do Nicholasa. Już miał zapytać swojego przyjaciela, jak mu idzie z kartą pamięci, gdy karzeł uniósł wzrok znad klawiatury.

– Chyba mamy problem – powiedział.

## Rozdział 41

– Chwileczkę. – Mordechai pochylił się, żeby spojrzeć na monitor. – Czyżby wszystko usunęła?

– Ile informacji możesz z tego odzyskać? – zapytał Harvath.

– Niewiele – odparł karzeł.

– Dlaczego miałbym wam ufać? – powiedział Izraelczyk.

– Nie musisz. – Nicholas podał mu kartę, którą wyjął z czytnika. – Twój spece w Tel Awiwie powiedzą ci to samo. Wyczyściła dane za pomocą jakiejś zaawansowanej technologii, ale każdy informatyk potwierdzi to, co ci mówię.

– Dlaczego usunęła wszystko, co przechwyciła wcześniej, i dała nam tylko najświeższy zapis?

– Sam mi to wyjaśnij. Ta karta ma tak dużą pojemność, że mogłaby na niej gromadzić takie informacje latami. Nie musiała regularnie zwalniać pamięci.

Harvath spojrział na Bentziego.

– Powiedziałaś, że jej misja trwała dłużej, niż powinna. Mieliście obawy, że zakochała się w Damienie i nie chce tego ciągnąć dalej, więc obiecaliście, że wystawicie jej szefa gangu stręczycieli. Ale jeśli Helena ma inny plan? Jeśli nie chce, żebyście dostali wszystkie dane, które przechwyciła?

Mordechai był na tyle inteligentny, by zdawać sobie sprawę, że tak naprawdę nie można poznać drugiego człowieka, ale wydawało mu się, że zna Helenę. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że jest zdolna do działania na dwa fronty. A powinno. Może była aż tak dobrą aktorką. Może wystawiła wszystkich do wiatru – nawet jego.

Miał wiele do przemyślenia, ale teraz najważniejsze było przekazanie informatykom Mosadu danych z karty pamięci.

– Będę potrzebował mojego laptopa – powiedział, a Nicholas wyjął z szafki jego własność i wręczył mu ją. – Mam nadzieję, że nie marnowałeś czasu na przeglądanie zawartości – dodał. – Nic w nim nie ma.

– Nawet go nie włączyłem – odparł karzeł i podał mu karteczkę, na której zapisał hasło dostępu do sieci wi-fi.

Mordechai wątpił w jego zapewnienie.

– Ten laptop to jednorazówka, podobnie jak strony i adresy e-mailowe, których będę używał.

– Najlepsza metoda. Nie spodziewałbym się niczego innego.

Nicholas mówił prawdę. Wiedział, że ma do czynienia z zawodowcem. Chociaż takim agentom jak Mordechai zdarzały się potknięcia, w jego przypadku było to mało prawdopodobne. Gdyby Nicholas znalazł coś w tym komputerze, byłoby to tak podejrzane, że uznaliby to za pułapkę. Co więcej, Mordechai i jego zwierzchnicy z Mosadu byli na tyle zorientowani, aby wiedzieć, że Stany Zjednoczone posuwały się do przesady w kwestii kontroli osobistych urządzeń elektronicznych – służby graniczne żądały nawet od wracających do kraju obywateli udostępnienia haseł do ich poufnych danych, w razie odmowy grożąc więzieniem. Były to praktyki, z którymi prezydent Porter obiecał zrobić porządek.

Wykorzystując cyfrowe zabezpieczenia, Izraelczyk przygotował do wysłania dane z karty, którą dostarczyła im Helena. Zawartość miała trafić za pośrednictwem fikcyjnej strony internetowej na specjalny serwer, który utworzył dział techniczny Mosadu we współpracy z Jednostką 8200 – podlegającą izraelskiemu ministerstwu obrony agencją, która zajmowała się kontrolą systemów łączności i wywiadem elektronicznym.

Kiedy wszystko było gotowe, rozpoczął transmisję. Gdyby znaleźli na twardym dysku Damiena to, co mieli nadzieję znaleźć, mogliby poznać zasięg jego planów i podjąć odpowiednie kroki, aby go powstrzymać. Jednak nie wiedział, co zrobić, gdyby się okazało, że ich nadzieje były płonne. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że miliarder zmutował wirusa afrykańskiej gorączki krwotocznej, zamieniając go w niewyobrażalnie zabójczą broń. Wykorzystanie tej broni do osiągnięcia obłąkańczego celu, który zakładał zmniejszenie liczby mieszkańców Ziemi z siedmiu miliardów do pięciuset milionów, byłoby równoznaczne z najstraszniejszą plagą w dziejach ludzkości.

Najbardziej nie dawało mu spokoju to, że chociaż był całkowicie szczery wobec swoich nowych amerykańskich sojuszników, oni najwyraźniej coś przed nim ukrywali. Jakby na potwierdzenie jego obaw Nicholas skinął na swojego przyjaciela – i tylko na niego – żeby pokazać mu coś na monitorze.

Gdy tylko Harvath to zobaczył, wezwał do furgonetki dwójkę swoich podwładnych.

– Ile gotówki masz przy sobie? – zwrócił się do Palmera.

– Około dwóch stówek. A co?

– A karty kredytowe?

– Mam.

– Wypłać wszystko. – Harvath otworzył w swoim smartfonie stronę internetową i przesłał Palmerowi link. – I kup jak najwięcej rzeczy z tej listy.

– Sto artykułów, które znikają z półek w sytuacjach kryzysowych? Co się dzieje?

– Później ci wyjaśnię. Zaczynij od marketu budowlanego, potem zrób zakupy w Targecie obok. Zatankuj do pełna i zawieź to wszystko do mojego domu.

Izraelczyk spojrział na niego badawczym wzrokiem.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Wirus się rozprzestrzenia – wyjaśnił Harvath, po czym zwrócił się do Ashby, wskazując ręką sklep z artykułami zoologicznymi. – Nicholas ci powie, czego potrzebuje dla psów. Kup to, zatankuj do pełna i zawieź pana Mordechaia do mnie. Później do was dołączę.

– Do ciebie? Jesteś pewien?

– Absolutnie. A teraz do roboty. Mordechai wskazał na swój laptop.

– Jeszcze nie dostałem odpowiedzi.

– Zalogujesz się do mojej sieci, kiedy dotrzemy na miejsce. A teraz w drogę.

Nicholas wysłał do Ashby wiadomość z listą zakupów, a potem usiadł za kierownicą i uruchomił silnik.

– Na ile wiarygodne są te liczby, które dostałeś? – zapytał Harvath, sadowiąc się obok niego w fotelu pasażera.

– To dane z Atlanty, prosto z Giełdy Informacji Epidemiologicznych. Są jak najbardziej aktualne i uzupełniane na bieżąco.

Harvath zaklął pod nosem. Wirus pojawił się w kolejnych jedenastu miastach.

– Jest coś jeszcze – dodał Nicholas, kierując się w stronę wyjazdu z parkingu. – Te litery, które Damien zapisał na marginesie. Wiem, co oznacza skrót RG.

– Wiesz? Skąd?

– Znalazłem je wśród danych, które przechwyciła Helena. Kiedy Linda Landon była u Damiena, gdzie się logowała. RG to baza danych Federalnej Agencji Zarządzania Kryzysowego nazywana Rejestrem Głównym.

– Nigdy o tym nie słyszałem – odparł Harvath. – Wiesz, co to jest?

– Znam tylko plotki. Podobno rejestr powstał w latach osiemdziesiątych w ramach planu ciągłości działania administracji w sytuacjach kryzysowych. Jest to ściśle tajna lista zawierająca ponad dziesięć milionów nazwisk obywateli amerykańskich. Ludzie ci są uznawani za potencjalne zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego i w pewnych okolicznościach podlegają obserwacji, przesłuchaniu, a nawet aresztowaniu.

– Co trzeba zrobić, żeby znaleźć się na tej liście?

– Ogólnie rzecz biorąc, nie zgadza się z rządem.

– Na przykład być przeciwko wojnie? – dociekał Harvath.

– Albo przeciwko powszechnej służbie zdrowia. To całkowicie apolityczna lista. Nie jest ważne, na kogo głosowałeś. Liczy się tylko to, że w taki czy inny sposób zagrażasz władzy.

– A więc wystarczy, że wziąłbym udział w wiecu pacyfistycznych feministek albo Partii Herbacianej?

– Z tego, co czytałem, musiałbyś zrobić coś więcej, chociaż nie byłbym zaskoczony, gdyby istniały również listy demonstrantów. Żeby trafić do Rejestru Głównego, trzeba odgrywać bardziej aktywną rolę w jakimś ruchu. Według mnie założenie jest takie, że władze chcą wiedzieć, gdzie szukać delikwenta, gdyby w kraju zrobiło się niespokojnie, żeby się upewnić, czy nie dolewa oliwy do ognia.

– A gdyby to robił? – zapytał Harvath tonem pełnym zgorznienia.

– Zostałby uciszony.

– W jaki sposób?

Nicholas wzruszył ramionami.

– To nie ja układałem ten plan, ale sądzę, że się domyślasz. Pewnych ludzi trzeba przycisnąć mocniej niż innych. Jeżeli dzieje się coś naprawdę poważnego i dochodzi do wprowadzenia stanu wojennego, podstawowe prawa jednostki przestają obowiązywać, więc ktoś taki ląduje w celi i koniec.

– Tylko że nie nazwalibyśmy tego stanem wojennym – zaproponował Harvath. – Użylibyśmy określenia „zagrożenie bezpieczeństwa narodowego”.

– Tak jest. W obliczu zagrożenia bezpieczeństwa narodowego można nie oglądać się na Kongres, a Biały Dom zyskuje ogromny zakres nadzwyczajnych uprawnień. W takich okolicznościach rząd może rekwirować mienie obywateli i artykuły żywnościowe, ingerować w działalność firm prywatnych, zająć wszystkie środki transportu i łączności, a to dopiero początek. To naprawdę zdumiewające, jak szybko demokratyczne państwo może przestać być demokratyczne.

– Ale czasami, w naprawdę krytycznej sytuacji, pewne środki są nieodzowne.

– Nie przeczę – odparł Nicholas. – Mówię tylko, jakie są fakty. Dochodzi do skoncentrowania ogromnej władzy w jednym miejscu. A zważywszy na to, co wiemy o Damienie i kogo widzieliśmy w jego posiadłości, myślę, że mamy niemały powód do zmartwień.

– Nie pozwól, żeby kryzys poszedł na marne – skwitował Harvath ze śmiertelną powagą, cytując byłego szefa personelu Białego Domu.

– No właśnie. Wszystko wskazuje na to, że Rejestr Główny jest niczym więcej jak listą wrogów. Obejmuje ludzi o najróżniejszych poglądach, których łączy tylko jedno, mianowicie sprzeciw wobec polityki rządu federalnego. Ta lista istnieje tylko po to, żeby ułatwić władzom tłumienie przejawów nieposłuszeństwa. Mniejsza o pierwszą poprawkę, ale jeżeli taki sprzeciw jest uzasadniony? Jeżeli niektóre z tych opinii mają jakąś wartość, zwłaszcza w obliczu zagrożenia?

Harvath zetknął się z porównaniem rządu federalnego do postaci z Gwiezdných Wojen, Jabby. Siedzi taki w Waszyngtonie, opycha się i rozrasta do potężnych rozmiarów. Na każdego, kto sugeruje mu przejście na dietę albo w jakiś sposób mu zagraża, nasyła łowców nagród pokroju Boby Fetta pod postacią niezliczonych agencji federalnych, które już nie służą obywatelom, lecz są nieodłącznym elementem Jabby i dbają tylko o własną skórę.

Wzmianka Nicholasa o wartości pewnych głosów sprzeciwu nie dawała mu spokoju. Przypomniął sobie, że już w latach siedemdziesiątych senator Frank Church zaczął bić na alarm, kiedy rząd Stanów Zjednoczonych dążył do uzyskania nieograniczonej możliwości inwigilacji. Ogromne uszy Ameryki miały nieocenioną wartość, kiedy były skierowane w stronę reszty świata, ale senator ostrzegał, że może nadejść taki dzień, kiedy zwrócą się do wewnątrz i zaczną podsłuchiwać własnych obywateli. I właśnie do czegoś takiego doszło w następstwie zamachów jedenastego września.



Church najbardziej obawiał się tego, że pod pretekstem ochrony Amerykanów rząd federalny zacznie sięgać po coraz bardziej inwazyjne środki, pozwalające na gromadzenie, przetwarzanie i przechowywanie danych osobowych i prywatnej korespondencji. Porównał to do przekroczenia Rubikonu i ostrzegł, że jeśli – nawet za kilka pokoleń – rząd Stanów Zjednoczonych zacznie się skłaniać w stronę tyranii, niemożliwe będzie stworzenie jakiegokolwiek formy oporu, ponieważ agencje federalne będą wszystko widzieć i słyszeć, i dowiedzą się o wszystkim, zanim to jeszcze nastąpi.

– A więc do czego potrzebny jest Damienowi Rejestr Główny? – zapytał Harvath.

– Żeby odpowiedzieć na to pytanie, musimy się dowiedzieć, kto jest na tej liście – odparł Nicholas.

## Rozdział 42

Harvath zadzwonił do Lary, żeby ją uprzedzić, że w domu zaczną pojawiać się goście. Kiedy sam tam dotarł, na podjeździe stał już samochód Carltona.

Dom, wraz z przylegającym do niego terenem, Harvath otrzymał w dzierżawę od poprzedniego prezydenta jako wyraz wdzięczności za zasługi dla kraju. W zamian za symboliczny czynsz, który wynosił dolara rocznie, musiał tylko dbać o utrzymanie posesji w stanie licującym z jej zabytkowym charakterem. Bishop's Gate – przysadzisty, lecz wytworny kamienny kościół z plebanią – stał nad Potomakiem nieopodal historycznej posiadłości Jerzego Waszyngtona, Mount Vernon. Podczas wojny o niepodległość zajmował go anglikański pastor, który jako zdeklarowany lojalista wspierał brytyjskich szpiegów i udzielał im schronienia, skutkiem czego armia kolonialna zaatakowała kościół i zamieniła go w ruinę. W takim stanie posesja pozostawała do końca XIX wieku, kiedy przejęła ją Marynarka Stanów Zjednoczonych. Po remoncie założyła tam tajny ośrodek szkoleniowy służb wywiadowczych. Ostatecznie budynek okazał się za ciasny i został zamieniony w magazyn odtajnionych dokumentów, a potem zdegradowany do roli pustostanu.

Chociaż Bishop's Gate nie był tak ekskluzywny jak inne nieruchomości należące do marynarki, znajdował się w wyjątkowym miejscu i posiadał dostęp do wody. Jednak to jego przeszłość tak naprawdę podbiła serce Harvatha. Gdy po raz pierwszy zapuścił się na poddasze plebanii, znalazł tam pięknie rzeźbioną drewnianą tabliczkę. Widniało na niej motto anglikańskich misjonarzy: *Transiens adiuva nos* – „Wyruszam za morze, by nieść pomoc”. Miał wrażenie, jakby było przeznaczone specjalnie dla niego. W chwili, kiedy je zobaczył, nie miał już wątpliwości, że odnalazł swoje miejsce.

Kosztowało go to trochę pracy, ale po remoncie jego nowy dom prezentował się wspaniale. Przywracanie różnych przedmiotów do stanu używalności stało się wymarłą sztuką, lecz Harvath miał wprawne ręce i umiał posługiwać się narzędziami. Kiedy Lara odwiedzała go ze swoim

synem, Markiem, Harvath z przyjemnością wynajdywał prace, które wykonywali we dwóch. Podarował mu nawet własny miniaturowy zestaw narzędzi, którym sam posługiwał się w dzieciństwie. Z wielką radością patrzył, jak Marca rozpieszczały dumą i satysfakcją, kiedy udawało im się razem czegoś dokonać. Polubił tego dzieciaka.

Harvath i Nicholas przeszli pod zawieszoną w holu tabliczką z mottem anglikańskich misjonarzy i ruszyli w stronę kuchni, z której dobiegał odgłos rozmowy. Argos i Draco pobiegły przodem. Nicholas często bywał w Bishop's Gate i psy znały tam każdy zakamarek. Traktowały to miejsce jak swój drugi dom.

Carlton siedział przy stole i popijał kawę, a Lara stała oparta o blat kuchenny z kubkiem w rękę. Harvath pocałował ją na powitanie i zerknął w stronę stojącego na jednym z palników garnka, w którym coś cicho bulgotało.

– Nieźle pachnie – powiedział.

– Arroz de carreteiro. Twój ulubiony.

Rodzice Lary byli znakomitymi kucharzami i zaszczepili w niej zamiłowanie do gotowania. Arroz de carreteiro, co z grubsza można by przetłumaczyć jako „ryż po furmańsku”, był popularną na południu Brazylii potrawą przyrządzaną z drobno pokrojonego mięsa, ryżu, pomidorów i cebuli z dodatkiem ziół. Danie nadawało się idealnie na tę porę roku.

Harvath chwycił dzbanek z kawą i spojrzał na Nicholasa, który pokiwał głową. Napełnił jeden kubek dla niego, a potem drugi kubek dla siebie, i zaproponował Carltonowi, żeby przeszli do gabinetu. Było to jedno z jego ulubionych pomieszczeń. Przechowywał w nim swój ogromny księgozbiór, który zajmował sięgające od podłogi do sufitu regały. Oprócz nich znajdowały się tam zabytkowe biurko, sporych rozmiarów kominek, skórzana sofa i dwa wygodne fotele. Harvath ruchem ręki zachęcił gości, aby usiedli, i włączył pilotem telewizor.

– Słyszałeś o nowych zachorowaniach? – zwrócił się do szefa. Stary pokiwał głową.

– Ale nie to jest najgorsze – odparł.

– Dlaczego? Co się dzieje?

– Wszyscy ci, którzy się wykrwawili, byli w Arabii Saudyjskiej na pielgrzymce. Zła wiadomość jest taka, że ze szpitalnych oddziałów ratunkowych i przychodni, a także od lekarzy rodzinnych w różnych miastach napływają teraz zgłoszenia o wzroście liczby pacjentów, którzy

nie opuszczali kraju, ale wykazują objawy typowe dla wczesnego stadium afrykańskiej gorączki krwotocznej.

– Jasny szlag – mruknął Harvath.

Jego instynkt, który kazał mu posłać Palmera na zakupy, okazał się nieomylny. Choć zawsze miał dobrze zaopatrzoną spiżarnię i w sytuacji kryzysowej byłby w stanie przez dłuższy czas zapewnić wyżywienie kilku osobom, nikt przy zdrowych zmysłach nie zmarnowałby ostatniej okazji na uzupełnienie zapasów, zanim dojdzie do oblężenia sklepów. Wystarczyło zapytać każdego, kto mieszkał na terenach spustoszonych przez huragan, czy przed nadejściem kataklizmu: lepiej wybrać się na zakupy dwie minuty wcześniej, czy dwie minuty później.

– Jest jeszcze coś – dodał Stary. – Niech to zostanie między nami: prezydent Porter dostał gorączki. W ramach wzmożonych środków ostrożności przewieziono go na obserwację do szpitala Marynarki Wojennej w Bethesda.

– Powiedział, że jest tylko przeziębiony – zauważył Harvath. – Czy miał styczność z kimś, kto ostatnio podróżował na Bliski Wschód?

– Jest prezydentem. Ma styczność z wieloma ludźmi.

– Nie wyłączając nas.

Carlton zrozumiał aluzję. Nie chodziło o to, że Porter mógł zarazić się od nich, ale że oni mogli zarazić się od niego.

– Tym bardziej musimy się śpieszyć – powiedział. – Mamy mnóstwo do zrobienia. Na początek chciałbym się dowiedzieć, jak poszło w Winchester.

Harvath zdał mu szczegółowy raport, a Nicholas wtrącał swoje uwagi, kiedy było to potrzebne. W pewnym momencie Stary im przerwał.

– Jak myślicie, co ta kobieta usunęła z karty pamięci? – zapytał.

– Gdybym miał zgadywać – odparł Nicholas – powiedziałbym, że hasła dostępu.

Damien nie jest głupi i podejrzewam, że często je zmienia.

– Ale jej zadanie polegało na przechwyceniu jego haseł. Dlaczego nie przekazała ich Mordechaiowi, kiedy je zdobyła?

– Przypuszczam, że od dawna miała dostęp do komputera Damiena, ale ilekroć zmieniał hasło, musiała zaczynać wszystko od nowa.

– Ale po co? – zastanawiał się Carlton. – Mosadowi zależało tylko na hasle. Nikt nie kazał jej grzebać w jego laptopie.

Nicholas uniósł ręce w obronnym geście.

– Jestem tylko prostym hakerem. Nie czuję się na siłach, żeby zgłębiać motywy ludzkiego postępowania.

– Gówno prawda, Nick. Przestań się wygłupiać. Czemu twoim zdaniem sama próbowała się dostać do jego twardego dysku?

– Przychodzi mi na myśl tylko jedna odpowiedź. Pieniądze.

Stary wolno pokiwał głową. Podobało mu się to wyjaśnienie. Było proste, a co ważniejsze, miało sens.

– Dobrze, załóżmy, że chodziło jej o pieniądze. Jaki to ma związek z dostępem do komputera Damiena?

– Odpowiem ci na to pytanie, kiedy poznam zawartość jego twardego dysku.

– Ale zanim to nastąpi, może chociaż podzielisz się swoimi domysłami?

Karzeł wzruszył ramionami.

– W osobistych plikach kogoś takiego jak Damien są pewnie tysiące rzeczy, na których dałoby się zarobić. Można by je wykorzystać, żeby zaszantażować jego albo inne wpływowe osoby. Na przykład raporty jego spółek farmaceutycznych na temat leków, które wkrótce mają wejść na rynek. Albo jakieś informacje o tempie wydobywania, albo kontraktach jego spółek naftowych.

– Jasne – odparł Stary. – Ale skoro Helena wiedziała, że Damien planuje coś wielkiego, co zmieni całkowicie obraz świata, czy zawracałaby sobie głowę jakimś nowym specyfikiem na alzheimera, odwiertami w Kurdystanie czy zdjęciami z jakiejś wysepki, gdzie opalają się nago podrzędni członkowie brytyjskiego dworu?

– Nie.

– Dlaczego?

– Przede wszystkim gdyby w jego laptopie znajdowało się coś kompromitującego, natrafiłaby na to już za pierwszym podejściem. Wobec tego pozostaje wątek finansowy i tutaj masz rację. Jeżeli Damien zamierza postawić świat na głowie, informacje o jakimś cudownym leku na demencję albo złożach ropy nie mają żadnej wartości.

– Pod jednym warunkiem – odezwał się Harvath. Nicholas i Carlton spojrzeli na niego.

– Jakim? – zapytał Stary.

– Że jej celem nie jest wyciągnięcie korzyści z katastrofy.

– To znaczy?

– Przypuśćmy, że Izraelczycy mają rację, ale tylko częściowo – ciągnął Harvath.

– Przypuśćmy, że Helena chce z nimi zerwać, ale to nie Pierre Damien jest jej przepustką na wolność. On tylko nieświadomie dał jej klucz do wyjścia awaryjnego.

– Czyli co? – drążył Carlton. – Wyczyściła jego konta bankowe?

– Nie, zbyt łatwo mogłaby wpaść. Zakładam, że jest dużo sprytniejsza.

– Gdyby była sprytniejsza, już dawno przestałaby służyć za przynętę Mosadu. Harvath pokręcił głową.

– Damien jest niebezpiecznym szaleńcem, ale nie można mu odmówić inteligencji. To przedsiębiorczy biznesmen, który jest w posiadaniu najcenniejszej tajemnicy wszech czasów. Wie, kiedy nastąpi koniec świata. Czemu, na Boga, miałby tego nie wykorzystać?

Stary szeroko otworzył oczy.

– Masz na myśli krótką sprzedaż akcji?

– Giełda daje mu ogromne możliwości, natomiast Helena musiałaby wiedzieć, gdzie ulokować inwestycje i kiedy się wycofać, zanim wszystko runie. Przypuszczalnie dlatego potrzebowała dostępu do komputera Damiena. Próbuje wykorzystać krach.

– Dobry sposób na zabezpieczenie odwrotu, jeżeli zamierza odejść z Mosadu i zapaść się pod ziemię.

– O wilku mowa – powiedział Harvath, kiedy rozległ się dźwięk alarmu i na ekranie telewizora pokazał się obraz z kamery zainstalowanej na podjeździe. – Przyjechała Sloane z Mordechaiem.

– Co z nim robimy?

– Myślę, że powinniśmy wtajemniczyć go we wszystko, co wiemy.

– We wszystko? Harvath przytaknął.

– Żadnych tajemnic.

## Rozdział 43

Trzymając kubek z herbatą, Mordechai przysunął się bliżej ognia, który Harvath rozpałił w kominku. Przy akompaniamencie skwierczenia i trzaskania płonących polan wysłuchał najnowszych wiadomości. Kiedy relacja dobiegła końca, przyszła mu na myśl tylko jedna odpowiedź.

– Dziękuję – powiedział.

– Proszę bardzo – odparł Harvath. – Chcielibyśmy tylko, żebyś nie przekazywał swoim kolegom, że prezydent Porter jest w szpitalu. Jeśli to się rozniesie, wybuchnie panika.

– Co do paniki, jest parę innych powodów do obaw.

– Owszem, ale nie chcemy pogarszać sytuacji.

– Rozumiem – zgodził się Izraelczyk. – Kiedy prezydent nie jest w stanie wypełniać swoich obowiązków, kto zajmuje jego miejsce? Wiceprezydent, tak?

– Zgadza się.

– A gdyby wiceprezydent zachorował?

– Wtedy zastępuje go przewodniczący Izby Reprezentantów. Po nim przejmuje urząd przewodniczący ad interim Senatu.

– A następnymi w kolejce są członkowie gabinetu – dodał Carlton. – Od sekretarza stanu aż do sekretarza bezpieczeństwa krajowego.

– Podwładną tego ostatniego jest Linda Landon – zauważył Mordechai.

Harvath uruchomił laptop i otworzył stronę internetową z linią sukcesji prezydenckiej, którą pokazał Bentziemu.

– Ale kiedy urząd obejmuje wiceprezydent – powiedział – sekretarz bezpieczeństwa krajowego znajduje się na samym końcu, na siedemnastym miejscu. Musiałby zachorować nie tylko on, ale również kilka innych osób w departamencie, żeby Landon mogła w ogóle liczyć na zajęcie jego pozycji.

Mordechai wzruszył ramionami.

– Chyba że wirus będzie się rozprzestrzeniał dostatecznie szybko.

Wydawało się to zbyt szalone, aby mogło być prawdziwe. Zarazić wszystkich na wyższych szczeblach hierarchii, żeby dostać się do Białego Domu? Ale coś w tym było. Spiskowcy dokonujący przewrotów pałacowych w różnych epokach posługiwali się trucizną, więc czemu nie wykorzystać wirusa? Czy to dlatego Damien obracał się w gronie tych wszystkich urzędników średniego szczebla? Czyżby chodziło o coś więcej niż zapewnienie wpływów? Czy był to sposób na przejęcie całkowitej kontroli nad rządem federalnym? Wszystko zależało od tego, w jaki sposób zamierzał uchronić swoich wspólników przed afrykańską gorączką krwotoczną. Gdyby zdołali się tego dowiedzieć, może udałoby się im rozpracować spisek.

Harvath spojrzał na swojego szefa.

– Mamy w Departamencie Bezpieczeństwa kogoś, komu możemy zaufać?

– Jedną, może dwie osoby, ale to zależy, co miałyby dla nas zrobić. Wypytać o Landon jej kolegów w biurze czy coś w tym rodzaju?

– Nie. Gdyby sprawa się wydała, Landon mogłaby zaalarmować Damiena, co już braliśmy pod uwagę. W tej chwili bardziej interesują mnie jej zwierzchnicy. Chciałbym się dowiedzieć, czy któryś z nich nie zachorował.

Stary zastanawiał się przez krótką chwilę.

– Jest ktoś, kogo mogę o to zapytać.

– To dobrze. Zadzwoń do niego – powiedział Harvath i zwrócił się do Mordechaia: – Czego potrzebujesz?

Izraelczyk postukał palcem w obudowę laptopa, który zabrał ze sobą do gabinetu.

– Dostępu do sieci.

– Nie ma sprawy. Czegoś jeszcze?

– Chciałbym też odzyskać telefon, żeby zadzwonić do swoich ludzi i zdać im relację.

Kiedy Carlton przyzwalająco skinął głową, Harvath zadzwonił do Sloane i kazał jej przynieść komórkę Bentziego. Potem utworzył punkt dostępu odizolowany od jego komputerów i podał gościowi hasło. W tym czasie Stary wyszedł z gabinetu, żeby zadzwonić do swojego zaufanego informatora w Departamencie Bezpieczeństwa.

– Jakie zadanie masz dla mnie? – odezwał się Nicholas.



– Ile potrzebujesz czasu, żeby dostać się do Rejestru Głównego i przedstawić mi jego zawartość w ogólnym zarysie?

Karzeł spojrzął na swój zegarek i uruchomił stoper.

– Przekonajmy się.

Zsunął się z kanapy, zagwizdał na psy i z kubkiem kawy w ręku ruszył w stronę wyjścia. Pracowało mu się lepiej, kiedy nikogo nie było w pobliżu, a w swojej furgonetce miał wszystko, czego potrzebował. Teraz jedyną osobą bez przydzielonego zadania pozostawał Harvath. Co nie oznaczało, że nie miał nic do roboty. Czekąco go ogromne wyzwanie, musiał jednak zacząć od wizyty w kuchni.

Posłał Ashby do swojego gabinetu, gdzie miała dotrzymać towarzystwa Mordechaiowi i dyskretnie włączyć dyktafon w swoim smartfonie, kiedy Izraelczyk będzie rozmawiał przez komórkę. Harvath nie znał aż tak dobrze hebrajskiego, żeby to później przetłumaczyć, ale przypuszczał, że Nicholas znajdzie odpowiedni program, który im w tym pomoże. Kiedy wydał Ashby dyspozycje, poszedł porozmawiać z Larą.

Lara wpatrywała się w telewizor. Podobnie jak on była uzależniona od serwisów informacyjnych. Zresztą tego dnia wszyscy siedzieli przed telewizorami, chłonąc najnowsze doniesienia i zastanawiając się, czy aktualny rozwój wydarzeń będzie miał na nich jakiś wpływ. Harvath wiedział, że to nie ominie nikogo.

– Niedobrze – odezwała się Lara, wskazując głową na ekran.

– Wiem. Musimy porozmawiać.

Wytrzeła dłonie w ręcznik i naląła sobie kawy do kubka, a potem wymownym gestem uniosła pokrywkę dzbanka, spoglądając na Harvatha.

– Poproszę – powiedział, kiwając głową.

Postawiła przed nim kubek i usiadła obok przy kuchennym stole.

– Jest bardzo źle? – zapytała.

– Bardzo.

– Jakim cudem znalazłeś się w samym środku tego wszystkiego? W odpowiedzi tylko się uśmiechnął.

– Martwię się o Marca – ciągnęła Lara. – I o moich rodziców.

– Ja też. Właśnie o tym chciałbym z tobą porozmawiać. Przygotowałem dla was bezpieczne miejsce, w którym wszyscy będziecie mogli się schronić.

– Gdzie?

– Na Alasce.

– Na Alasce? – powtórzyła.

– Jeden z moich przyjaciół ma tam domek rybacki, na kompletnym odludziu. To twardy facet, służyliśmy razem w SEALs, a jego żona też nie w ciemną bitę. Znają się na rzeczy. Będziecie tam bezpieczni.

– A ty?

– Niestety muszę tu zostać, ale nic mi się nie stanie. Włożę Nicholasa do plecaka i napełnię kieszenie bekonem, żeby psy trzymały się blisko mnie.

Lara zmusiła się do uśmiechu, ale nie odrywała wzroku od podłogi. Ujął ją dłonią pod brodę i uniósł jej głowę, żeby na niego spojrzała. Jej oczy były wilgotne. Nigdy wcześniej przy nim nie płakała.

– Nic mi się nie stanie – powtórzył.

– Czy to musisz być ty? – zapytała, a on przytaknął. – Dlaczego?

– Wiesz dlaczego.

Odwróciła się od niego, ale delikatnie przyciągnął ją do siebie z powrotem.

– Wszystko będzie dobrze.

– Wyjedź z nami.

– Nie mogę.

– Możesz. Porter ma do dyspozycji cały rząd, naukowców i wojsko. Po prostu wyjedźmy stąd, zostawmy to wszystko.

Wziął ją w ramiona i przytulił mocniej niż kiedykolwiek wcześniej. Trwali tak przez kilka minut, na tyle długo, żeby ich oddechy zgrały się w jeden rytm. W końcu uwolniła się z jego objęć, a potem z całej siły uderzyła go w klatkę piersiową. Była policjantką i wiedziała, jak zadać cios, żeby zabolalo.

– Pieprz się – powiedziała, patrząc na niego z wściekłością. Harvath stęknął przeciągle.

– Pieprz się – odparł kpiącym tonem. – Tego jeszcze nie przerabialiśmy. To po brazylijsku czy po portugalsku?

Na twarzy Lary pojawił się uśmiech. Tym razem nie był wymuszony.

– Musisz zrozumieć, że robię to dla was. Dla ciebie i dla Marca – wyjaśnił. – I dla twoich rodziców.

Słowa te wydawały się puste, kiedy przybierały kształt w jego głowie, ale wypowiadając je, zdał sobie sprawę, że mówi poważnie.

– Nikt inny sobie z tym nie poradzi – ciągnął. – Nie w tej chwili. Zostaliśmy tylko my. Nicholas, ja, Reed, Sloane i Chase. Spójrz – dodał, wskazując na ekran telewizora. – Zaczynają umierać ludzie, a mnie dobija

to, że nie mogłem im pomóc. Teraz pozostaje mi tylko chronić wszystkich innych.

– Nie możesz ochronić wszystkich.

– Ale mogę spróbować. Muszę.

Gładząc go po policzku, nachyliła się i przywarła ustami do jego warg.

– Też cię kocham – powiedziała.

Harvath przyciągnął ją do siebie i odwzajemnił jej pocałunek. Zamknął oczy i chłonał ją całą – jej dotyk, smak jej ust, jej zapach. Próbował zatrzymać w pamięci każdą jej cząstkę, stworzyć jej wierny obraz, który zawsze będzie mógł przywołać, ilekroć za nią zatęskni. Pragnął, żeby ta chwila trwała bez końca, ale koniec nastąpił, kiedy Carlton bezszelestnie wszedł do kuchni i chrząknął.

Harvath wyswobodził się z objęć Lary i spojrzał w jego stronę.

– Właśnie skończyłem rozmowę z moim informatorem w Departamencie Bezpieczeństwa – oznajmił Stary. – Nie jest dobrze.

## Rozdział 44

– Chyba żartujesz. – Harvath nie krył zdumienia. – Cały zarząd? Dyrekcja i szefowie agencji przynależnych?

– Nie jest pewien, czy wszyscy, ale wielu już choruje – odparł Stary. – I to nie tylko w Departamencie Bezpieczeństwa.

– Niech zgadnę. A więc również Departament Zdrowia, Urząd Zarządzania Kadrami, Departament Transportu, Agencja do spraw Rozwoju Międzynarodowego, Departament Skarbu, Federalna Komisja Łączności i Departament Sprawiedliwości. Coś przeoczyłem?

Carlton wymienił kilka innych agencji.

– Departament Stanu, Departament Obrony, Zasobów Wewnętrznych, Rolnictwa, Handlu i Usług, Pracy, Budownictwa Mieszkaniowego i Urbanizacji, Departament Energii, Spraw Weteranów, FBI... To już sięga wszędzie.

– Wszystkie te agencje straciły kadrę kierowniczą?

– Niektóre tak, a niektóre nie, ale wszystkie zaczynają zgłaszać ubytki kadrowe na różnych szczeblach hierarchii. Właśnie kazałem Nickowi przygotować wykaz.

Harvath wstał od stołu.

– Nicholas powinien teraz skupić się na uzyskaniu dostępu do Rejestru Głównego. Niech Sloane zajmie się tym wykazem.

Wolałby nie wrabiać Ashby, ale mogła pracować nad wykazem, siedząc w jego gabinecie z Carltonem i kątem oka obserwując Mordechaia.

– Powiedz swoim rodzicom, żeby się spakowali – zwrócił się do Lary. – Niech zabiorą ciepłe ubrania, a także rzeczy dla ciebie i Marca. Na Logan będzie czekał na nich samolot. Czy jest ktoś, kto mógłby ich zawieźć na lotnisko?

– Zadzwonię do kogoś z policji.

– Świetnie.

Lara chciała jeszcze coś dodać, ale zanim zdołała dobrać odpowiednie słowa, Harvath wyszedł już z kuchni i skierował się w stronę swojego

gabinetu. Gdy tylko przekroczył próg, napotkał spojrzenie Mordechaia.

– Macie coś?

Izraelczyk pokręcił głową.

– Hasło do laptopa nie działa. Wygląda na to, że Nicholas miał rację. Damien prawdopodobnie zdążył je zmienić, od czasu kiedy Helena je przechwyciła.

– Co w takim razie nam pozostaje?

– Oczywiście musimy porozmawiać z Heleną.

Oczywiście, pomyślał Harvath. Tylko że dzieliła ich od niej godzina jazdy.

– A co z hasłem do komórki?

– Przynajmniej tutaj mamy dobre wieści. Sądzymy, że kiedy Damien spotkał się z Lindą Landon, dał jej zastrzeżony telefon komórkowy. Gdy go skonfigurował, włączył swój i urządzenie Heleny przechwyciło hasło.

– A wasi technicy w Tel Awiwie dobrali się do kopii zawartości jego komórki? Mordechai przytaknął.

– Hasła do tego telefonu, w przeciwieństwie do laptopa, Damien nie zmienił.

– I co tam znaleźli?

Izraelczyk obrócił swojego laptopa, żeby wszyscy mogli zobaczyć monitor. Widniała na nim mapa świata z pulsującymi czerwonymi punkcikami, rozmieszczonymi w różnych krajach.

– Te telefony stanowią część małej i bardzo dobrze zabezpieczonej sieci.

– Możesz zrobić powiększenie samych Stanów?

Bentzi wykonał polecenie i wskazał dwie czerwone kropki – jedną w pobliżu Winchester w Wirginii, a drugą w Waszyngtonie.

– Damien i Linda Landon – odezwał się Harvath.

– Twój ludzie nie powinni mieć problemu z potwierdzeniem tego, ale najprawdopodobniej to ich szukamy.

– A pozostałe punkty?

– Gdybym miał robić zakłady – odparł Mordechai – obstawiałbym, że to telefony pozostałych członków Komisji Plenarnej.

Harvath spojrzał na swojego szefa, który już zastanawiał się nad aspektami prawnymi i rozważał konsekwencje dyplomatyczne.

– Dobra wiadomość jest taka – oznajmił wolno Carlton – że CIA ma swoich ludzi w każdym z tych krajów. Ale jest też zła wiadomość, mianowicie wszystkie te kraje są sojusznikami Stanów Zjednoczonych.

– I co w związku z tym?

– Co innego, gdyby chodziło o likwidację jakiegoś dżihadysty albo przyskrzynienie sponsora terrorystów. Tutaj obowiązują zupełnie inne zasady gry. Mówimy o obywatelach sprzymierzonego państwa, o dyplomatach, którzy zajmują wysoką pozycję w ONZ.

Wszystko rozbijało się o te same argumenty, które przedstawił prezydent w odpowiedzi na propozycję aresztowania Damiena.

– Przekażmy te dane Lydii Ryan i niech agencja zadecyduje, co z tym robić – zasugerował Harvath. – Przynajmniej pomoże im to w ustaleniu tożsamości członków Komisji Plenarnej.

– Też chcielibyśmy wziąć w tym udział – wtrącił Mordechai.

Harvath nie był tym zaskoczony i nie miał nic przeciwko. Im więcej rąk na pokładzie, tym lepiej. Gnębiło go jednak to, że nie wiedział, co dalej. Prezydent przebywał w Bethesdzie, a wirus zaczynał zbierać coraz większe żniwo, potrzebowali więc jakiegoś przełomu, i to na większą skalę. Kusiło go, żeby zignorować zakaz Portera i czym prędzej dobrać się Damienowi do skóry. A także Lindzie Landon. Nie mieli czasu, żeby siedzieć beczynnym i czekać w nadziei, że nastąpi cud i sytuacja obróci się na ich korzyść.

Tuż przed powrotem do domu Harvath dostał wiadomość od Asha. Brytyjczycy wylądowali w Kinszasie, gdzie dołączył do nich członek Grupy Rozpoznania Badawczego i Taktycznego, którego przydzieliła im pułkownik White. Przygotowywali się już do akcji w miejscowym laboratorium WHO, z którego mieli odzyskać próbki pobrane od Yusufa Mukulu, tajemniczego muzułmanina, który dotarł do Matumaini i tam zmarł.

Komandosi z grupy rozpoznania, korzystając ze współrzędnych dostarczonych przez Harvatha, szukali w dżungli szczątek dowódcy rebeliantów, podczas gdy ich koledzy spotkali się w Buni z Jambo, żeby podjąć próbę odnalezienia Leonce'a i jego syna i pobrać od nich próbki, które pozwoliłyby potwierdzić, że wszystkie przypadki zachorowań są ze sobą powiązane.

Ale nawet gdyby udało się je zdobyć, należałoby je przesłać do analizy w Stanach, a trudno było przewidzieć, jak do tego czasu zmieni się sytuacja. Wojskowy Instytut Badań Medycznych nad Chorobami Zakaźnymi badał już próbki, które udostępniło mu Centrum do spraw Zapobiegania i Kontroli Chorób. W rzeczywistości, inaczej niż na filmach,

wyprodukowanie szczepionki zajmowało wiele czasu. Naukowcy obserwowali niektóre wirusy od wielu lat i wciąż nie udało się stworzyć skutecznej szczepionki przeciwko nim. Choć Harvath zazwyczaj był optymistą, nie robił sobie wielkich nadziei, że wojskowym mikrobiologom uda się dostatecznie szybko znaleźć jakieś rozwiązanie.

– Czy możemy porozmawiać o Rejestrze Głównym? – odezwał się Mordechai, wyrывая go z zadumy. – Czy wszyscy jesteśmy zgodni, że to do niego odnosi się skrót RG w notatkach Damiena?

Harvath pokiwał głową.

– Zważywszy na to, gdzie logowała się Landon, nie mamy już wątpliwości.

– W Tel Awiwie nikt nie wierzył, że ten rejestr naprawdę istnieje. Sądzieli, że to tylko teoria spiskowa.

– No to byli w błędzie – włączył się do rozmowy Nicholas, który wrócił do biura ze swoim laptopem i dwoma potężnymi owczarkami.

– Już skończyłeś? – Harvath spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Zgadniesz, kto nie zmienia swoich haseł tak często jak Damien? – zapytał karzeł, wdrapując się na sofę.

– Linda Landon.

Nicholas odpowiedział mu uśmiechem i usadowiwszy się wygodnie, włączył swój komputer.

– Nadal nie pojmuję, czemu ma służyć ta lista – powiedział Izraelczyk. – Stany Zjednoczone prowadzą spis swoich dysydentów? Czy to nie stoi w sprzeczności z waszymi wartościami konstytucyjnymi?

Harvath nie miał pewności, czy to nie zawoalowany przytyk.

– Konstytucja powinna służyć jako narzędzie do kontroli rządu. Zwolennicy silniejszej władzy uskarżają się na nią, gdyż ich zdaniem wyszczególnia, czego rząd nie może robić, zamiast określać, co rząd powinien robić. Ojcowie założyciele byli za ograniczeniem władzy, zwłaszcza na szczeblu federalnym, ale z biegiem lat rząd się rozrósł, zamieniając się w samodzielny żywy organizm, którego głównym celem jest przetrwanie. I tak oto dochodzimy do Rejestru Głównego. Skupia on rozproszone informacje z kręgów gospodarki, wymiaru sprawiedliwości i służb porządkowych i łączy je w spójną bazę danych. Główny nacisk kładzie się na te dane, które pozwalają władzom natychmiast wytropić daną osobę, jeśli zajdzie potrzeba. W latach osiemdziesiątych były to zapisy operacji bankowych, a obecnie wykorzystuje się kontakty na portalach

społecznościowych i usługi lokalizacyjne sieci komórkowych. Pomimo zapewnień typu „nigdy tego nie wykorzystamy, ale lepiej coś mieć i tego nie potrzebować, niż potrzebować i nie mieć”, rząd utworzył kilka różnych baz danych, które jawnie naruszają wartości konstytucyjne naszego kraju. Rejestr Główny narusza je w sposób najbardziej podstępny.

– Jak to wygląda w praktyce?

– Jeżeli kraj znajdzie się w niebezpieczeństwie, można wykorzystać zasoby Rejestru Głównego. Obywatele są w nim zaszeregowani według stopnia zagrożenia, jakie mogą stwarzać. Przy każdym nazwisku znajdują się zalecenia, od tajnej obserwacji po aresztowanie. Obywatele kwalifikujący się do aresztowania są oznaczeni odpowiednim kolorem w zależności od tego, czy ryzyko, że będą stawiać opór podczas aresztowania, jest wysokie, czy niskie. – Harvath zawiesił głos, gdy dostrzegł, że Nicholas nie odrywa wzroku od jego oczu. – O co chodzi?

– Twoje nazwisko jest na tej liście.

– Z jakiego powodu? Karzeł wzruszył ramionami.

– Nie ma żadnych uzasadnień, ale ktoś uważa, że w sytuacji kryzysowej poważnie zagrażasz bezpieczeństwu narodowemu.

– To niedorzeczne.

– Czyżby? Ilu senatorów wkurzyłeś? Ilu kongresmanów? Ile szych z wywiadu? Nie twierdzą, że nie miałeś racji. Mówię tylko, że przez lata podpadłeś wielu ludziom. Najwyraźniej ktoś potraktował to bardzo osobiście.

– Więc usuń mnie z tej listy.

– Próbowałem.

– To spróbuj jeszcze raz.

– Nie dam rady – odparł Nicholas.

– Dlaczego?

– Bo system oflagował twoje akta i odciął mi dostęp. Harvath spojrzał zaskoczony na przyjaciela.

– Co to oznacza?

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz?

Nicholas był rozdrażniony i zakłopotany jednocześnie.

– Musiałem przypadkiem coś uruchomić, jakbym wdepnął w gniazdo szerszeni.

– Co to było?



– Nie mam pojęcia, ale te szerszenie znalazły się na rzeczy. Czegoś takiego w życiu nie widziałem. Opadły mnie ze wszystkich stron i nie tylko chciały przechwycić moje informacje, ale próbowały zapędzić mnie w pułapkę, żebym nie mógł się wydostać.

– Z bazy danych? – upewnił się Harvath. – Czemu po prostu nie wyrwałeś wtyczki z gniazdka?

– Mówisz poważnie?

– Oczywiście, że nie, ale rozumiesz, co chcę powiedzieć?

– Za to ty nie rozumiesz, co ja chcę powiedzieć – odparł Nicholas. – Nigdy wcześniej nie zetknąłem się z czymś tak wyrafinowanym. Takich rzeczy nie stosował żaden bank ani wojsko, ani tym bardziej rząd.

Był wyraźnie zaniepokojony i Harvath nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widział go w takim stanie.

– Wyluzuj – powiedział. – Wszystko będzie dobrze.

– Mam nadzieję.

– Masz nadzieję? – powtórzył Harvath. – Ale usunąłeś swój identyfikator, zanim się tam włamałeś, prawda?

– Zawsze to robię. Za to użyłem cudzego.

Nicholas miał paskudny zwyczaj dobierania sobie kamuflaży do swoich ataków hakerskich. Teraz to Carlton się ożywił.

– Czyjego tym razem? – zapytał.

– Wicedyrektora rosyjskiej FSB.

Po chwili zastanowienia Stary pokiwał głową, wydymając wargi.

– Dla mnie to żaden problem.

– Dopóki ktoś nie powiąże tego z nami – odezwał się Harvath, patrząc na Nicholasa, który zbył jego uwagę milczeniem. – Bo nikt nie wpadnie na twój trop, prawda?

– W normalnych okolicznościach powiedziałbym, że nie. Ale to, na co tam natrafiłem, nie było normalne. Nie wiem, co powiedzieć.

Harvath spojrział na zegarek i zadał sobie pytanie, czy nie jest za wcześnie na drinka. Zaczynała go boleć głowa, a to przypomniało mu, że znów powinien zmierzyć sobie temperaturę i przesłać wynik lekarzowi. Spośród wszystkich głupot, o których musiał pamiętać, ta jedna przechodziła ludzkie pojęcie, ale Stary był w tej kwestii nieustępliwy.

Przeprosił swoich gości, po czym opuścił gabinet i pobiegł na górę do łazienki. Wyjął termometr z szuflady, do której odłożył go rano, zdjął osłonę i wsunął końcówkę do ust. Trzymał ją, dopóki nie rozległ się

elektroniczny sygnał. Zauważył, że w stosunku do ostatniego pomiaru jego temperatura nieco wzrosła, o niewiele ponad jeden stopień. Interesujące. Ale zmiana była tak nieznaczna, że nie zamierzał się tym przejmować. Wyciągnął komórkę z kieszeni i wysłał wiadomość lekarzowi, a potem schował termometr do szuflady. Po wymianie SMS-ów z Benem Beamanem wrócił na dół.

Kiedy wszedł do gabinetu, Mordechai stał pod przeciwległą ścianą i rozmawiał przez telefon po hebrajsku. Harvath zerknął na Sloane, która dyskretnie skinęła głową w stronę swojego smartfona, leżącego obok niej. Nagrywała rozmowę. Znakomicie. Polubił Mordechaia, ale w tej branży nie należało nikomu ufać.

Izraelczyk oddalił komórkę od ucha i zwrócił się do Harvatha:

– Siedemdziesiąt pięć przypadków w Izraelu, a liczba wciąż rośnie. Dziewięć osób wykrwawiło się na śmierć, istnieją podejrzenia, że na Zachodnim Brzegu i w Strefie Gazy może być dwa albo trzy razy więcej chorych.

Carlton, który siedział na sofie obok Nicholasa, oderwał wzrok od monitora swojego laptopa.

– Teraz to jest już wszędzie. W Indonezji, Australii i Nowej Zelandii. W Indiach, Pakistanie i Bangladeszu. W Brazylii, Argentynie i Paragwaju.

– Mówi się o wstrzymaniu lotów pasażerskich – dodał Nicholas.

„Na to jest już chyba trochę za późno”, pomyślał Harvath, siadając w fotelu naprzeciwko Starego.

– Chcielibyśmy pomówić w cztery oczy – powiedział, zerkając w stronę Nicholasa, który przytaknął, po czym odłożył swój laptop, zsunął się z kanapy i ruszył w stronę wyjścia. Kiedy zniknął za drzwiami, Harvath nachylił się w stronę szefa. – Mam nagrany samolot na dziś wieczór z lotniska Reagana. Chciałbym, żebyś się nim zabrał.

– Ja? – zapytał Stary. – Dlaczego miałbym to zrobić?

Harvath kochał Reeda Carltona jak własnego ojca i z tego powodu ich relacje służbowe często się zacierały.

– Wysłałam Larę i jej rodzinę w bezpieczne miejsce. Chcę, żebyś poleciał z nimi i zadbał, żeby nic im się nie stało.

Carlton parsknął śmiechem.

– A więc miałbym zostać ochroniarzem? – zapytał, ale nie doczekał się odpowiedzi. – A dokąd ich wysyłasz? Do tej chatki rybackiej na Alasce?

Harvath powinien być przygotowany na coś takiego, mimo to na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia.

– W porządku – uspokoił go Stary. – Nikomu nie zdradzę, gdzie mieści się twoja tajna kryjówka.

– Tylko że chyba nie jest już tajna. Carlton uśmiechnął się przebiegle.

– Po prostu kiedyś tam byłem.

– Kiedy?

– Zanim cię zatrudniliśmy, przeprowadziliśmy dokładny wywiad. Jon i Anya wystawili ci referencje. Nigdy ci o tym nie powiedzieli, co? To dobrze, można na nich polegać. Jeszcze bardziej ich lubię.

„Cały Stary”, pomyślał Harvath. Zawsze przynajmniej pięć kroków przed wszystkimi.

– Świetnie – powiedział. – Dopilnuję, żeby mieli na pokładzie twojego ulubionego burbona.

– Zaraz, zaraz. – Carlton uniósł dłoń. – Nie wybieram się na Alaskę. Właściwie nigdzie się nie wybieram.

– Ale, szefie...

– Żadnych ale. Tutaj mam zbyt wiele do zrobienia.

– Racja, ale możesz wydawać dyspozycje z samolotu albo nawet z Alaski. Dom Jona to najprawdziwsze centrum dowodzenia.

Na twarzy Starego pojawił się uśmiech.

– Jeżeli masz coś do powiedzenia, może byś to z siebie wydusił?

Harvath wprost uwielbiał Reeda Carltona. I chociaż starał się nad tym nie rozmyślać, już ubolewał nad dniem, w którym Starego w końcu zabraknie. Jego szef był nie tylko skarbem narodowym Ameryki, ale prawdziwą gwiazdą branży szpiegowskiej. W świecie wydelikaconych i nierozgarniętych mężczyzn, którzy utknęli na etapie dojrzewania, był nie tylko wzorem męskości, ale prawdziwym patriotą gotowym do poświęceń dla dobra narodu.

– W pierwszej kolejności choroba atakuje małe dzieci i starców – oznajmił Harvath, nie owijając w bawełnę.

– Uważasz mnie za starca?

– Oczywiście, że nie. Nawet przez myśl by mi to nie przeszło. Ale młodzieniaszkiem też nie jesteś.

– Nie jestem młodzieniaszkiem. – Carlton zaśmiał się, rozbawiony staraniami Harvatha, który usiłował złagodzić wydzwięk swojej poprzedniej uwagi.

– Wszystkie koszty biorę na siebie. Możesz zabrać Marca na łososie. Wiem, że z tobą będzie bezpieczny, bo jeśli przypęta się jakiś niedźwiedź, na twój widok od razu weźmie nogi za pas. Wszyscy na tym skorzystają.

– Anya potrafi przyrządzić najlepszy na świecie grillowany stek.

– No i proszę. – Harvath poczuł nadzieję, że uda mu się dopiąć swego. – Nawet nie musisz się pakować. Powiedz, czego potrzebujesz, i prześlę listę Jonowi. Wszystko będzie tam na ciebie czekać.

– Wszystko – odparł Carlton – oprócz Joey.

Nagle Harvath stracił cały rezon. Czuł się tak, jakby dostał cios w serce. Dziesięć lat przed tym, jak zaczął pracować w Carlton Group, Joey, czyli Josephine, żona Starego, przeszła ciężki udar, którego następstwem była demencja. Od tamtego czasu jej stan stopniowo się pogarszał. Obecnie Joey przebywała w ekskluzywnym domu opieki na północy Wirginii, niedaleko miejsca zamieszkania Carltona, który nie zamierzał jej opuszczać. Harvath poczuł do niego jeszcze większy podziw.

– A gdyby dla niej też znalazło się miejsce w samolocie?

– Nie wiem, czy kiedyś ci to mówiłem, Scot, ale dobry z ciebie człowiek. Chciałbym polecieć z nimi, ale nie mogę. A ponieważ nie jesteśmy w stanie wyrwać Joey z korzeniami i zabrać jej na Alaskę, zostawmy wszystko tak, jak jest. Dobrze?

Nie, nic nie było dobrze. Harvathowi zależało, żeby jego szef znalazł się w tym samolocie.

Stary położył mu dłoń na ramieniu.

– To nie jest pierwsza ostra jazda w moim życiu. Gdyby Bóg chciał zabrać mnie do siebie, zrobiłby to już dawno temu.

Harvath nie był tym zachwycony, ale rozumiał jego stanowisko. Uśmiechnął się w odpowiedzi. Carlton był uosobieniem prawości. Na dobre i na złe, taką przysięgę złożył swojej żonie, a jako człowiek honoru zawsze dotrzymywał słowa. Harvath podziwiał go za to bezgranicznie.

– Musimy porozmawiać o czymś jeszcze. – Stary wskazał na swój laptop. – Zanim Nick wpadł w pułapkę, próbując się dostać do twoich akt, udało mu się pomyszkować trochę po Rejestrze Głównym. Zrobił kilka zrzutów ekranu. Natknął się na nową listę, która powstała niewiele ponad miesiąc temu. Powinieneś ją zobaczyć.

– Kto na niej jest?

– Nick ci pokaże – odparł Stary i w tej samej chwili do gabinetu wrócił karzeł z kubkiem parującej kawy, który postawił na brzegu stolika, po czym

wdrapał się na sofę. – Pokaż Scotowi ten ostatni zrzut, który widziałem.

Kiedy Nicholas wstukał hasło i obrócił laptop monitorem w jego stronę, Harvath wytrzeszczył oczy ze zdumienia na widok pierwszego z nazwisk.

– Przecież to prezes Sądu Najwyższego! – wykrzyknął.

– Czytaj dalej – poradził mu Carlton.

– Następni czterej to senatorzy, a potem kilku kongresmanów. Co oni, do cholery, robią na tej liście?

– Też się nad tym zastanawiam.

– Myślałem, że Rejestr Główny obejmuje tylko zwyczajnych obywateli – powiedział Harvath. – Dlaczego wszyscy ci ludzie tam trafili i dlaczego właśnie teraz?

– Ktoś, może Damien albo Linda Landon, uznał ich za zagrożenie.

W klasyfikacji wszyscy mają kod złoty, tak samo jak ty.

– Ale czemu akurat sam prezes spośród dziewięciu sędziów Sądu Najwyższego? Zgadzam się, że jest szczerzy do bólu w kwestii ograniczenia kompetencji rządu, ale co z pozostałymi sędziami, którzy w większości przypadków głosują tak samo jak on? Dlaczego ich nie ma na tej liście?

– I dlaczego są tylko niektórzy senatorowie i kongresmani? – dodał Stary, odpowiadając pytaniem na jego pytania. – Trzeba przyznać, że ci też są szczerzy do bólu, ale inni tak samo nie przebiegają w słowach.

„To wszystko nie trzyma się kupy”, pomyślał Harvath. „Co, do cholery, knują Damien i Landon?”

– Musimy ich ostrzec – powiedział. – Powinni się dowiedzieć o tej liście i o tym, że na niej figurują.

– A co potem?

– Potem mogą sami zdecydować, co z tym robić. Ale przynajmniej niech wiedzą, że coś się święci.

– Kto ich zawiadomi? – zapytał Carlton. – Ty? Może ja? A nawet gdybyśmy zdołali do nich dotrzeć, dlaczego mieliby nam wierzyć?

Carlton miał rację. Co więcej, żaden z senatorów i kongresmanów nie byłby zachwycony, dowiedziawszy się, że trafił do Rejestru Głównego. Wszyscy mogliby to potraktować jako wielką zniewagę i zapalać żądzą odwetu. Chcieliby dotrzeć do źródła spisku i wtedy nic by ich nie powstrzymało przed wykorzystaniem kontaktów w Departamencie Bezpieczeństwa Krajowego i innych agencjach. To było ryzykowne zagranie i gdyby Damien o czymś się dowiedział, mógłby przyspieszyć to, co planował.

– A gdyby McGee do nich zadzwonił?  
– Jako dyrektor CIA? Harvath pokiwał głową.  
– Niech im powie, że to kwestia bezpieczeństwa narodowego i że nikomu nie mogą pisać ani słowa.

– Dobrze. – Stary zamyślił się na chwilę. – Przekażmy mu tę informację.

– Zajmę się tym – wtrącił Nicholas, który zamknął swojego laptopa i zsunął się z sofy, żeby wrócić do furgonetki.

Rozległ się dźwięk alarmu i Harvath zobaczył na ekranie telewizora samochód Palmera, wjeżdżający na teren posesji. Wstał z fotela, żeby zająć się wyładowywaniem zapasów.

– Potrzebujesz pomocy? – odezwał się Carlton.

– Nie, dzięki. Wprowadź Mordechaia w temat, kiedy skończy rozmowę.

– Wyszedł na korytarz i ruszył szybkim krokiem za Nicholasem. – Zaczekaj.

Karzeł przystanął i obrócił głowę.

– Co jest?

– Zamówiłem prywatny samolot na dziś wieczór. Uważam, że powinieneś wsadzić do niego Ninę. Zrozumiem, jeżeli sam też polecisz. Możesz zabrać psy.

– Na Alaskę? – upewnił się karzeł, a Harvath w odpowiedzi kiwnął głową. – A jeżeli odmówię?

– To będziesz musiał trzymać się mnie.

– Zaryzykuję taki układ.

Nicholas już dawno mógł dać nogę, troszcząc się wyłącznie o własną skórę. Niezależnie od tego, co sądził Mordechai czy ktokolwiek inny, Harvath wierzył, że niektóre lamparty mogą pozbyć się cętek. Przekonał się o tym naocznie.

– Zadzwoń do Niny i każ jej się spakować – powiedział. – Wyślemy po nią kogoś.

Karzeł wyciągnął do niego małą dłoń.

– Dziękuję. Będę czuł się lepiej, wiedząc, że jest bezpieczna.

Odprowadzając go wzrokiem, Harvath poczuł na barkach ciężar całego świata. Teraz, kiedy wybuchła zaraza, nikt nie był bezpieczny. Mogli się ukryć na kompletnym pustkowiu, ale czy to oznaczało, że nic im nie grozi? Dla Harvatha bezpieczeństwo było pustym słowem, które sprawiało jedynie, że ludzie czuli się lepiej. Tymczasem jemu nie zależało na zabezpieczeniu się przed wirusem. Chciał go powstrzymać.

W jego głowie przewijały się różne plany działania, konkurując ze sobą, żeby przyciągnąć jego uwagę. Żaden z nich nie był dobry. Wszystkie wiązały się z niebezpieczeństwem i pogwałceniem prawa. Można było je podzielić tylko na dwie kategorie – złe i gorsze – a prezydent nie wyraziłby zgody na realizację żadnego z nich. Ale prezydent przebywał obecnie w szpitalu, a fala tsunami nieuchronnie zbliżała się do brzegu. W takiej sytuacji Harvath mógł przyjąć tylko jeden kierunek działania.

# Rozdział 45

CLIFTON, WIRGINIA

Pierre Damien stał na brzegu basenu w całej chwale swojej nagości.

– Bardzo pięknie – zawyrokowała Helena. – A czy teraz mógłbyś się odwrócić tyłem do jury? Zobaczmy, co zazwyczaj wypełnia tył twoich spodni.

Miliarder uśmiechnął się i skoczył do podświetlanego basenu, wzbijając wielką fontannę wody. Jego muskularne ramiona wynurzały się rytmicznie niczym płetwy rekina, kiedy płynął w stronę przepięknej nagiej kobiety, która stała na drugim końcu. Zbliżając się do niej, z każdym ruchem czuł, jak ogarnia go coraz większe podniecenie. Nie mógł doczekać się chwili, w której się nią nasyci.

Helena wylegiwała się w płytkiej wodzie, która ledwie zakrywała jej piersi. Ich wspólny czas dobiegał końca. Pierre był cudowny i czuła, że będzie za nim tęsknić, ale obiecała sobie zachować miłe wspomnienia i przywoływać je, ilekroć spojrzy na wyciąg ze swojego konta. Damien zatrzymał się tuż przed nią i wstał. Spośród wszystkich głównianych zadań, jakie powierzał jej Mosad, to przynajmniej było do pewnego stopnia przyjemne.

Przyciągnęła go do siebie i się uśmiechnęła. Był w doskonałej formie. Nie zdążył zbyt wiele wypić. Wciąż był podchmielony po lunchu, ale tylko nieznacznie. Chciał się z nią kochać i czuła, że wkrótce to zrobią. Prawdopodobnie dwa razy.

Traktował ją bardzo dobrze, ale nie zmieniało to faktu, że był potworem. Zamierzał zgotować ludzkości piekło. Jednak Helenie było to obojętne. Dawno temu przestała się przejmować. Przekonała się, że życie jest okrutne i jeżeli podsuwa jej jakąś szansę, powinna po nią sięgać. Mogła ją wykorzystać albo zaprzepaścić.

Gdy tylko przejrzała zamierzenia Damiena, podjęła decyzję. Postanowiła przetrwać kataklizm u jego boku. Wiedziała nie tylko, do czego to wszystko zmierza, ale również jaką drogą, i odpowiednio się do tego przygotowała.



Sprzedawała swoje ciało przez tyle czasu, że tych kilka miesięcy nie robiło jej różnicy. Stawką było przetrwanie, jak zawsze. Damienowi zależało na niej, więc zamierzała obrócić to na swoją korzyść.

Kiedy się całowali, trzymał ją w ramionach i mocno przyciskał do siebie. Czowała ciepło na całym ciele, nawet kiedy przywierając do niego, wynurzyła się z wody i owionęło ją rześkie jesienne powietrze. Na chwilę oderwała usta od jego warg.

– Altana przy basenie czy domek dla gości? – zapytała z frywolnym uśmiechem na twarzy.

– Tutaj. – Damien położył ją na brzegu basenu. – Pod gołym niebem.

Takiego chciała go zapamiętać – namiętnego, silnego i czulego. Zawsze okazywał jej życzliwość i szacunek. Traktował ją jak damę. Spotkała w życiu wielu mężczyzn, ale żaden z nich nie był taki jak on. Wiedziała, że nigdy tego nie zapomni. Teraz, trzymając go w objęciach, starała się utrwalić to wszystko w pamięci – ten basen, dom, chłodny powiew na jej wilgotnej skórze i dobiegający z głośników na tarasie głos Wilhelmenii Fernandez, śpiewającej arię z La Wally. Nie chciała zapomnieć żadnego szczegółu. Pragnęła zawsze pamiętać, jak dobrze ją traktował i jak wiele przyjemności sprawiła jej ta misja. Tak naprawdę nie czuła, że wypełnia misję, i oddawała mu się ze szczerą ochotą.

Żałowała tylko, że Damien nigdy jej nie pozna – nie dowie się, kim naprawdę jest i jak kiedyś wyglądało jej życie. Nie żeby miało to znaczenie. Gdyby nie jej przeszłość, gdyby nie Mosad, ich drogi nigdy by się nie przecięły. Liczyło się tylko to, że Bentzi i jego ludzie chcieli dostać się do niego. Bentziemmu zależało tylko na tym. Był gotów zrobić wszystko, co konieczne, włącznie z wykorzystaniem jej, żeby osiągnąć to, czego oczekiwał od niego Izrael. I to właśnie dlatego zatrzymała hasła Damiena dla siebie. Było jej obojętne, czy Mosad uzyska dostęp do zaszyfrowanych danych, których kopia trafiła do Tel Awiwu. To nie była jej wojna. Bentzi wykorzystał ją wiele razy. A ona, planując swoje odejście, znalazła sposób, który nie tylko pozwalał jej wyciągnąć z tej sytuacji korzyści dla siebie, ale przy okazji odegrać się na Mosadzie i na wszystkich innych. Była prostolinijną, poczciwą młodą kobietą, która miała przed sobą całe życie. Izraelczycy mogli postąpić właściwie, powinni byli postąpić właściwie. Ale tego nie zrobili. Zamiast zwrócić jej wolność i odesłać ją do domu, trzymali ją w szachu. Jej zniewolenie przybrało bardziej wyrafinowaną formę, ale było to wszystko, co dla niej zrobili.

Pewnego dnia mogliby zacząć ją ścigać, nawet gdyby Izrael przetrwał to wszystko. Istniała taka ewentualność. Za to nie ulegało wątpliwości, że w końcu dopadną Damiena. Chociaż Bentzi nie powiedział tego wprost, domyślała się, że zamierzają go zamordować. Był to najważniejszy powód, dla którego nie mogła tkwić u jego boku w nieskończoność. Tacy ludzie jak Pierre Damien nie byli w stanie zapaść się pod ziemię. Za to ona mogła zniknąć bez śladu. Jak to w życiu, wszystko sprowadzało się do pieniędzy.

Na początku udało się jej wejść w posiadanie szyfru do jego sejfów w Genewie, a wkrótce potem zdobyła hasło do jego laptopa. Damien przechowywał wszystko w swoim komputerze. Wiele plików również było chronionych hasłami, ale jej cierpliwość została nagrodzona. Czowała się tak, jakby trzymała w ręku klucze do pałacu, w którym każda z komnat skrywała jakieś tajemnicze przejście albo skrzynię pełną skarbów. Najważniejsza informacja, jaką zdobyła, dotyczyła sposobu na uodpornienie się na chorobę, która miała spustoszyć ziemię. Spodziewała się, że gdy tylko przetrwa chaos będący bezpośrednim następstwem zagłady, przez resztę życia będzie mogła robić, czego tylko zapragnie.

Potajemnie skontaktowała się z rodzicami i wyjaśniła im, co powinni zrobić. Ojciec, jak zawsze uparty i ograniczony, nie chciał jej uwierzyć i stwierdził, że to wszystko spisek, za który odpowiadają Żydzi. Nie potrafiła przezwyciężyć jego zaciekłości. Ubłagała matkę, żeby posłuchała jej rad i spróbowała przekonać ojca. Jeśli nie udałoby się go uratować, byłaby to jego wina, a nie Izraela.

Kiedy już zatroszczyła się o zdrowie swoich bliskich i własne, zaczęła szukać innych informacji. Wiedząc, że nastąpi krach na rynku papierów wartościowych, Damien poczynił szereg przygotowań, żeby wyciągnąć korzyści z katastrofy. Niektóre okazały się tak skomplikowane, że od razu odpuściła sobie ich analizę. Inne były całkiem proste i na tych skupiła swoją uwagę. Ale podobnie jak hasła dostępu, wiele jego strategii inwestycyjnych wciąż ulegało zmianom. Sprawiało to, że bardzo trudno było je zrozumieć.

Helena udała się do pewnej spółki maklerskiej z Zurychu, która miała swój oddział w Genewie. Zakładając konto, otrzymała dostęp do firmowej aplikacji, dzięki której mogła na bieżąco śledzić sytuację na rynku giełdowym, dokonywać transakcji i zarządzać środkami na swoim rachunku. Miała wrażenie, jakby przez cały czas nosiła w torebce albo w kieszeni miniaturowego szwajcarskiego bankiera. Ale najbardziej

intrygujący spośród plików zapisanych na laptopie Damiena był jego dziennik. Zaczął go prowadzić krótko po śmierci swojej żony, kiedy była to dla niego forma terapii, i od tamtego czasu stale go uzupełniał. Głęboki wgląd w jego psychikę, który umożliwiały te zapiski, był zarówno fascynującym, jak i niepokojącym doświadczeniem. Najbardziej intrygowała ją przemiana pogrążonego w rozpacz wdowca w człowieka, który postanowił doprowadzić do największej zagłady w dziejach ludzkości. A w miarę jak zbliżał się moment tej przerażającej katastrofy, wzrastało jego przekonanie o słuszności własnych racji. Najnowsze wpisy sprawiały wrażenie, jakby wiedział, że jego dzienniki będą lekturą dla przyszłych pokoleń. Znajdował się w przełomowym momencie i ze spokojem przedstawiał swoje racje, tłumacząc, jakie kroki należy podjąć i dlaczego. Z jego słów przebijały jednocześnie niepospolita inteligencja i obłąd.

Gdyby wszystko poszło po jego myśli, Damien zapisałby się w historii ze względu na swoje makabryczne oddanie dla sprawy eugeniki – jego przeświadczenie, że gdyby nie „przesadna dobroć” cywilizacji Zachodu, wiele „mniej wartościowych” jednostek i ras mogłoby bez przeszkód wymrzeć, przynosząc ulgę naszej planecie, której zasoby są ograniczone.

Treść tych dzienników zupełnie nie przystawała do osobowości człowieka, z którym tak często dzieliła łóżko. Nigdy nie słyszała, żeby powiedział złe słowo na temat jakiejś grupy etnicznej czy klasy społecznej. W gruncie rzeczy zawsze wydawał się gotów nieść pomoc ludziom w potrzebie. Ten niepokojący kontrast sprawiał, że miała wrażenie, jakby autorem zapisków pozostawał ktoś zupełnie inny. Jednak było w nich coś, co go zdradzało – jego zamiłowanie do ptaków.

Obeznana z ptasimi motywami, którymi się otaczał – od złoconej armatury w kształcie łabędzi na pokładzie prywatnego odrzutowca po oryginalne grafiki Audubona, zdobiące jego apartament w Genewie – Helena nie była zaskoczona nawiązaniem do ptaków w dzienniku Damiena. Jednak zaintrygował ją sposób, w jaki je wykorzystywał. Każdy etap planu, który stworzył, nosił nazwę innego gatunku ptaka. Patronem fazy kongijskiej był kruk, a amerykańskiej koliber. I właśnie wątek kolibra zaniepokoił ją najbardziej.

Damien darzył tego ptaka uwielbieniem, lecz jednocześnie przyznawał – chlubiąc się swoją erudycją – że nawiązuje do pewnego wydarzenia, które miało miejsce w 1934 roku. Miał na myśli „noc długich noży”, czyli

trzydniową masakrę, podczas której SS i Gestapo wymordowały setki i aresztowały tysiące przeciwników politycznych Hitlera, aby umocnić jego władzę. Ich akcja nosiła kryptonim Operacja „Koliber” i taką samą nazwę Damien nadał swojemu przedsięwzięciu prawie sto lat później. Helena wiedziała, czemu tamtego wieczoru uraczył swoich gości winem z rocznika 1934. W kubie na śmieci znalazła pustą butelkę. Damien przywiązywał ogromną wagę do dat. Dlatego też na ich wspólny lunch zabrał Montrachet z 1978 roku. Traktował wino jako przepustkę do historii. Tej dobrej i tej złej.

Kiedy skończyli się kochać, założyli grube białe szlafroki, które czekały na nich na fotelach. Helena wyjęła z kieszeni komórkę, żeby zrobić mu zdjęcie, ale Damien poczuł wilczy apetyt i ruszył pośpiesznie w stronę domu.

Na stoliku w bawialni czekał już przygotowany półmisek jego ulubionych wędlin i butelka czerwonego wina. Damien sięgnął po nią i obrócił etykietą w jej stronę.

– Romanée-Conti rocznik czterdziesty piąty.

– Ostatni rok drugiej wojny światowej – odparła.

– A także rok założenia Organizacji Narodów Zjednoczonych. Z pięćdziesięciu jeden krajów członkowskich rozrosła się do stu dziewięćdziesięciu trzech. – Miliarder napełnił oba kieliszki i kiedy nacieszył zmysły kolorem i aromatem szlachetnego trunku, wzniósł toast, który jednocześnie był dewizą ONZ. – Za pokój i bezpieczeństwo.

Stuknęła się z nim kieliszkiem i powtórzyła jego słowa. Skosztowała łyk wina, które urzekło ją niepospolitym smakiem, a potem odstawiła kieliszek i sięgnęła po talerze. Jeffery przygotował wspaniały wybór zimnych przekąsek – pasztetów, szynki, suszonych kiełbas, salami i serów. Obok leżały również trzy rodzaje pieczywa, marynowane warzywa, musztarda, pasta z oliwek, orzechy i owoce. Gdy Helena przygotowywała porcje dla nich obojga, Damien włączył telewizor. Prawie wszystkie stacje transmitowały relacje na żywo sprzed różnych szpitali w całym kraju.

– Co się dzieje? – zapytała.

– Nie mam pojęcia – odparł Damien.

Okazał się równie doskonałym kłamcą jak ona. Kiedy podała mu talerz z przekąskami i usiadła obok niego na kanapie, podwijając boso stopy pod siebie, zwiększył głośność.

– ...wirus, którego urzędnicy Departamentu Zdrowia porównują do wirusa ebola. – mówił reporter. – Dziś wieczorem przeprowadzimy serię sprawozdań z różnych miast na terenie kraju. Zaczniemy od stolicy.

Siedząc obok siebie, patrzyli, jak dziennikarze rozsiani po całej Ameryce próbują sklecić sensacyjną historię ze strzępków informacji, które zaczynały napływać coraz szerszym strumieniem. Po chwili Damien wyciszył telewizor i sięgnął po butelkę, żeby dolać sobie wina.

– A więc wygląda na to, że to jednak nie kometa – odezwała się.

– Bądź spokojna – odparł z uśmiechem. – Nic nam nie grozi.

Już otwierała usta, żeby to skomentować, kiedy w drzwiach stanął Jeffery i oznajmił, że chce zamienić ze swoim pryncypałem kilka zdań. Nalegał na rozmowę w cztery oczy, chociaż Damien przywołał go skinieniem dłoni, więc miliarder wstał z kanapy i ruszył w stronę wyjścia. Gdy tylko wyszedł na korytarz, lokaj zaczął mówić do niego i sięgnął po klamkę, żeby zamknąć drzwi. W tym momencie Helena zauważyła w jego drugiej ręce jakiś przedmiot i serce podjechało jej do gardła. Jeffery trzymał jej ładowarkę do komórki, którą rozmontował na czynniki pierwsze.

# Rozdział 46

## BISHOP'S GATE

Pod budynkiem dawnego kościoła stała niewielka piwniczka, którą Harvath zaadaptował, żeby przechowywać w niej broń i wyposażenie. Wraz z Palmerem przeniósł połowę nowych zapasów do domu, a resztę znieśli na dół. Właśnie zastanawiali się, co gdzie ułożyć, kiedy na schodach rozległy się czyjeś kroki. Harvath stanął w drzwiach i zobaczył Ashby, za którą szedł Mordechai.

– Myślę, że powinieneś to usłyszeć – powiedziała agentka.

Izraelczyk ominął ją, trzymając w wyciągniętej ręce komórkę. Podał ją Harvathowi, który widząc na wyświetlaczu przygotowany plik wideo, wcisnął odtwarzanie.

Rozległ się odgłos szamotaniny. Potem dał się słyszeć brzęk tłuczonego szkła i głos kobiety, która krzyczała: „Pierre! Przestań! Nie mam pojęcia, o czym mówisz!”.

– To Helena? – zapytał Harvath, spoglądając na Bentziego. Izraelczyk pokiwał głową.

– Ma w swojej komórce aplikację alarmową. Po uruchomieniu nagrywa kilkusekundowy film, a potem łączy go wraz ze współrzędnymi GPS do e-maila z wezwaniem pomocy.

– Tu nie było obrazu. Tylko dźwięk.

– Pewnie miała telefon w torebce albo w kieszeni. Rzecz w tym, że wolno jej było użyć tej aplikacji jedynie w obliczu zagrożenia życia. Grozi jej poważne niebezpieczeństwo. Musimy ją stamtąd wydostać.

Chociaż Harvath zdążył już podjąć decyzję w sprawie Damiena, przed przystąpieniem do działania chciał jeszcze uporządkować inne kwestie. Jednak wiadomość alarmowa od Heleny oznaczała zmianę priorytetów. Zdawał sobie sprawę, że gdy tylko Damien dowie się, kim naprawdę jest jego kochanka i jak dokładnie został rozpracowany jego plan, nie będzie zwlekał z atakiem. Musieli działać, i to szybko.

– Zawiadomię Carltona, a ty przygotuj sprzęt dla pana Mordechaia i zanieś wszystko na podjazd razem z moim zestawem – rozkazał Palmerowi, a potem zwrócił się do Ashby: – Zbierz wszystko, czego wy dwoje będziecie potrzebować, i dorzuc do reszty. Noktowizory, tłumiki i całe wyposażenie. Macie być gotowi za pięć minut.

– Robi się – odpowiedziała, a Palmer pokazał mu uniesiony kciuk.

– Pojedziemy samochodem? – zawołał za nim Bentzi, kiedy szybkim krokiem wspinali się po schodach. – Dojazd zajmie nam co najmniej godzinę.

– Bez obaw. Będziemy tam szybciej.

Wiedział, jak ogromne znaczenie ma czas. Musieli liczyć się z każdą sekundą, i to nie tylko dlatego, że trzeba było dopaść Damiena. Chodziło również o Helenę. Harvath ledwie dwukrotnie w swojej karierze wezwał kawalerię, jak to się zwykło określać. W obu przypadkach zrobił to niechętnie i zbyt długo zwlekał. Jeśli wzywało się pomoc, oznaczało to, że operacja jest spalona, niczego już nie da się naprawić i trzeba jak najszybciej się ewakuować. Ciężko było to zaakceptować. Kiedy zdecydował się na to po raz pierwszy, pomoc przybyła szybko i wyszedł z opresji bez szwanku. Jednak za drugim razem omal nie stracił życia. Dobrze znał to uczucie, kiedy człowiek nie ma pewności, czy nadejdzie odsiecz, czy pozostaje już tylko przygotować się na śmierć.

Mimo to miał wiele zastrzeżeń co do lojalności Heleny, zwłaszcza w świetle bardzo okrojonego materiału, który przekazała na karcie pamięci. Zdawał sobie sprawę, że mogą wpakować się w jakąś zasadzkę. Była to ewentualność, którą musieli brać pod uwagę.

Dotarłszy do szczytu schodów, wyjął komórkę i wybrał numer Lydii Ryan.

– Dostaliśmy maila od Nicholasa i już nad tym pracujemy – oznajmiła Ryan, gdy tylko odebrała połączenie.

– Nie w tej sprawie dzwonię. Potrzebujemy helikoptera. Agentka Mordechaia jest spalona, a jeżeli Damien zacznie uciekać, już go nie znajdziemy.

– Chcesz ratować Helenę czy dopaść Damiena?

– Jedno i drugie.

– Prezydent o tym wie?

– To sprawa niecierpiąca zwłoki. Biorę to na siebie. Ryan wiedziała, że nie ma sensu polemizować.

– Nie mam teraz żadnego wolnego helikoptera.

– Dlaczego?

– Wszystkim politykom z listy, z którymi dyrektor McGee zdołał się skontaktować, zaproponowaliśmy ochronę. Zabieramy ich wraz z rodzinami na Farmę. Bez zgody dyrektora nikt nie ma tam wstępu.

Ewakuacja zagrożonych senatorów i kongresmanów na Farmę, jak nazywano tajny ośrodek szkoleniowy CIA w Camp Peary, była sprytnym posunięciem. Jednak fakt, że wszystkie helikoptery należące do agencji były zajęte, stanowił poważny problem.

– Musisz coś dla mnie znaleźć – powiedział Harvath. – Nieważne co. Daj mi znać, kiedy ci się uda.

– Do kogo jeszcze możesz zadzwonić? – zapytał Mordechai, kiedy Harvath się rozłączył.

– Ona coś dla nas znajdzie. Nie martw się.

– Ale musimy dostać się do Heleny. Nie mamy ani chwili do stracenia.

– Rozumiem. Znajdź Nicholasa i wprowadź go w temat. Powiedz mu, że będziemy potrzebowali Orła.

– Orła?

– Tak nazwaliśmy naszego drona. Uznaliśmy, że nazwa Wolność brzmi zbyt ironicznie. I pośpiesz się, bo nawet bez helikoptera za pięć minut ruszamy w drogę. Kiedy Izraelczyk odszedł w stronę wyjścia, Harvath skierował się prosto do swojego gabinetu. Nie było tam nikogo, więc udał się do kuchni. Zastał tam Carltona, który siedział z kubkiem świeżo zaparzonej kawy w ręku i wpatrywał się w telewizor.

– Każda stacja o tym trąbi – odezwał się. – Zaczynają łączyć ze sobą wszystkie przypadki.

– Mamy poważniejszy problem. Agentka Mordechaia jest spalona. Właśnie wysłała sygnał alarmowy.

– To oznacza, że Damien zapadnie się pod ziemię.

– Nie, jeżeli zdążymy go wcześniej dopaść – odparł Harvath. – Poprosiłem Ryan o helikopter, ale wszystkie biorą udział w ewakuacji polityków z Rejestru Głównego. Obiecała poszukać nam czegoś innego.

– A co zamierzasz robić w międzyczasie?

– W międzyczasie chciałbym, żebyś został tu z Larą. Jeśli nie wrócę na czas, zawieź ją na lotnisko i wsadź do samolotu. Beaman zna wszystkie szczegóły.

Carlton spojrział na zegarek.



– Coś jeszcze?

– Weź stąd wszystko, czego potrzebujesz, wodę, żywność, paliwo, cokolwiek uznasz za konieczne, a potem jedź do Josephine.

– A co ty zrobisz?

– Jeszcze nie wiem. Wszystko zależy od tego, jak pójdzie z Damienem. Gdzie jest Lara?

– Pakuje się.

Mijając Starego, Harvath położył dłoń na jego ramieniu, a potem ruszył w stronę schodów. Znalazł Larę w sypialni.

– Muszę jechać – oznajmił, stając w drzwiach.

– Wrócisz tu jeszcze?

– Nie wiem. Reed zadba, żebyś dostała się na lotnisko, gdybym nie wrócił na czas.

– Więc to pożegnanie?

– Póki co tak – odparł, wchodząc do pokoju. Helena wyszła mu naprzeciw i wzięła go w objęcia.

– Wróć do mnie.

– Wrócę – odparł, po czym pocałował ją pośpiesznie i wyszedł.

Przed domem zastał Ashby, Palmera i Mordechaia, czekających obok sterty przygotowanego ekwipunku. Przejrzał wszystko, żeby się upewnić, że niczego nie brakuje. Ponieważ w drodze zamierzał przeprowadzić kilka rozmów telefonicznych i zająć się planowaniem operacji, funkcję kierowcy postanowił powierzyć Palmerowi.

– Będiesz prowadził – zwrócił się do niego. – Załadujmy wszystko do twojego samochodu.

– A więc jednak nie lecimy? – odezwał się Mordechai z wyraźną nutą frustracji w głosie.

– To najlepsze, co w tej chwili...

– Posiadłość Damiena jest pod obserwacją. Nie możesz tam posłać tych ludzi? Harvath skinął na Ashby i Palmera, dając im znak, żeby rozpoczęli załadunek, i odciągnął Izraelczyka na stronę.

– Ci ludzie nie są przygotowani do takich operacji. Ich zadaniem jest inwigilacja. Jeżeli spróbują tam wkroczyć, nie tylko sami zginą, ale narażą życie Heleny. Pomóż mi pakować rzeczy, bo marnujemy czas.

Kiedy załadowali cały ekwipunek i wyjechali z posesji, szybko okazało się, że droga jest koszmarnie zatłoczona. Ogarnięci paniką ludzie usiłowali dostać się do swoich domów. Palmer zjechał na pobocze, które jednak

szybko zamieniło się w dodatkowy pas ruchu. Wszystkie samochody poruszały się w żółtym tempie.

– Zabierz nas stąd – rozkazał Harvath.

– Mamy jechać bocznymi drogami? – zapytał Palmer.

– Nie obchodzi mnie, którądy pojedziemy. Wynośmy się z tej cholernej autostrady.

Harvath był podminowany i z każdą chwilą ogarniało go coraz większe napięcie. Nie musiał się odwracać w stronę Mordechaia. Mógł sobie wyobrazić, co przeżywa. Kiedy w końcu udało im się dotrzeć do najbliższego zjazdu, rozległ się dzwonek jego komórki.

– Powiedz, że masz dla mnie dobrą wiadomość – powiedział, odebrawszy połączenie.

– Gdzie jesteście? – zapytała Ryan.

Harvath odczytał wskazania GPS-a, dla potwierdzenia spojrzał na stojący przy drodze znacznik odległości, i podał jej współrzędne.

– Mam dla was transport. Przy szpitalu w Reston jest lądowisko. Helikopter może tam dolecieć w dziesięć minut.

– Wysyłaj go – odparł Harvath, po czym zwrócił się do Palmera i podał mu nowy cel podróży.

Kiedy dojechali do szpitala, niebieski MD 600N już na nich czekał z pracującym wirnikiem. Maszyna wyglądała jak wydłużona wersja wojskowego śmigłowca szturmowego Little Bird. Helikopter posiadał silnik turbowalowy i zaawansowany układ napędowy, który pozwalał mu latać wysoko, szybko i bezgłośnie, a właśnie te trzy cechy były najbardziej pożądane podczas tej operacji.

Kiedy reszta zespołu w pośpiechu lądowała na pokład swój sprzęt, Palmer zaparkował swojego SUV-a i biegiem wrócił na lądowisko. Wskoczył do helikoptera, który w tej samej chwili oderwał się od ziemi. Harvath siedział z przodu i wpatrywał się w ekran tableta, który podał mu pilot. Łącze satelitarne umożliwiało mu dostęp do kilku różnych serwisów kartograficznych, dzięki którym mógł wybrać najlepsze miejsce do lądowania. Nie chciał za bardzo zbliżyć się do posiadłości Damiana, żeby nie ryzykować, że ktoś ich usłyszy. Wybrał duże pastwisko na pobliskiej farmie i podał pilotowi współrzędne. Korzystając z zestawu słuchawkowego, polecił Ashby, żeby wyjęła z plecaka telefon satelitarny i skontaktowała się z zespołem obserwacyjnym, który znajdował się w

Clifton. Chciał, żeby jeden z ludzi został na posterunku i obserwował teren, a drugi zabrał ich samochodem z miejsca lądowania.

Dwadzieścia minut później pilot obniżył pułap do wysokości koron drzew i włączył reflektor, żeby sprawdzić, czy na ziemi nie ma żadnych przeszkód. Kiedy płozy śmigłowca dotknęły trawiastego gruntu, wyłączył silnik i zaczął pomagać przy rozładunku. Sto metrów dalej czekał już samochód. Palmer dał kierowcy znak latarką i z mroku wyłonił się czarny SUV.

Harvath wręczył pilotowi krótkofalówkę i upewniwszy się, że działa bez zarzutu, chwycił swój plecak i ruszył w stronę samochodu, w którym jego towarzysze po raz ostatni sprawdzali swój sprzęt. Zauważył, że Mordechai z trudem zaciska obolałe palce na zamku glocka, usiłując go przeładować.

– Dasz sobie radę? – zapytał.

– Nic mi nie jest – warknął w odpowiedzi Izraelczyk.

Był wyraźnie skrępowany swoją niedołążnością, ale wręczył pistolet Harvathowi, który wprowadził nabój do komory i oddał mu broń.

– Toda – powiedział. – Dziękuję.

– Ejn be-an ma.

Kiedy zespół kończył przygotowania, Harvath poprosił obserwatora, który po nich przyjechał, o najnowsze informacje i omówił z nim przebieg natarcia. Jak twierdził agent, nic się nie zmieniło od czasu, gdy Damien i towarzysząca mu kobieta wrócili z lunchu wraz ze swoimi ochroniarzami. Wjazdu pilnowało dwóch ludzi, którzy siedzieli w budce przy bramie. Nic więcej nie udało mu się zauważyć. Ani główna rezydencja, ani żaden z pozostałych budynków nie były widoczne z ulicy.

Droga dojazdowa biegła prawie równolegle wzdłuż granicy z sąsiednią posiadłością. Harvath wyjął przecinak do prętów, który zabrał na wypadek, gdyby musieli sforsować jakąś bramę. Kiedy Ashby zmontowała drona, po raz ostatni upewnił się, czy wszyscy są gotowi, a potem dał jej znak. Agentka oddaliła się od SUV-a, wykonała zamach ręką i wypuściła miniaturowy samolot w powietrze.

– Orzeł wystartował – zameldowała przez radio.

Operując dźwigienkami na konsoli zdalnego sterowania, Palmer zatoczył dronem krąg nad pastwiskiem, sprawdzając jego reakcje, a także obraz z wmontowanej kamery.

– Moonracer – powiedział do mikrofonu, używając kryptonimu radiowego Nicholasa. – Orzeł jest gotowy i czeka na ciebie.

– Przyjąłem – odparł Nicholas, który siedział w swojej furgonetce, zaparkowanej przed Bishop's Gate. Nacisnął kilka klawiszy i poruszył joystickiem zamontowanym przed monitorem. – Moonracer przejął Orła. Możecie ruszać.

Harvath odprowadził wzrokiem drona, który wreszcie znikł na tle nocnego nieba, lecąc w kierunku posiadłości Damiena. Gdy stracił go z oczu, wydał rozkaz odjazdu. Wsiadając do samochodu, pomodlił się w duchu, żeby zdążyli na czas. Coś mu jednak podpowiadało, że nie tylko okażą się zbyt powolni, ale jeszcze wszyscy będą musieli za to zapłacić.

## Rozdział 47

Zaniepokojenie Harvatha wzrosło, kiedy odebrał pierwszy meldunek od Nicholasa. Obraz z kamery termowizyjnej drona świadczył o tym, że Damien znacznie zredukował liczbę ochroniarzy. Tamtego wieczoru, kiedy odbył się bankiet, posiadłości pilnowało dwunastu mężczyzn. Teraz udało się wypatrzeć tylko pięciu. Istniała możliwość, że na czas wizyty gości miliarder ściągnął dodatkowych ludzi. Tak czy inaczej, nie podobało się to Harvathowi. Dostęp do rezydencji wydawał się zbyt łatwy. Gdzieś musiało się ukrywać więcej ochroniarzy.

Jadąc gruntową drogą, przystanęli tylko na chwilę, żeby wysadzić Palmera, który znikł wśród drzew. Nieopodal znajdowało się wzniesienie, z którego rozciągał się widok na rezydencję i otaczające ją budynki. Miejsce to nadawało się doskonale na stanowisko strzeleckie, z którego mógł osłaniać swoich towarzyszy. Czarny SUV ruszył dalej i zatrzymał się dopiero na końcu traktu. Resztę drogi Harvath, Ashby i Mordechai musieli pokonać na piechotę.

Po wyjściu z samochodu Harvath skontaktował się z Nicholasem i zapytał go o sytuację. Nic się nie zmieniło. Idąc pod osłoną drzew, dotarli do skraju posiadłości, gdzie przystanęli, żeby zaczekać, aż Palmer dotrze na swoją pozycję. Jego zadanie było trudniejsze, gdyż miał do pokonania spory odcinek na otwartym terenie. Gdyby ktoś go tam wypatrzył, byłoby po nim. Jednak Nicholas robił wszystko, co w jego mocy, żeby do tego nie doszło. Zastosowanie drona całkowicie zmieniało układ sił. Unosił się bezgłośnie nad głowami przeciwników, którzy nie zdawali sobie sprawy z jego obecności, a nawet gdyby byli tego świadomi, musieliby sporo się natrudzić, żeby w ogóle go zauważyć.

W końcu Palmer zajął pozycję, dzierżąc karabin snajperski wyposażony w celownik termowizyjny o dalekim zasięgu i tłumik dźwięku. Kiedy o tym zameldował, operacja weszła w kolejną fazę.

Harvath dał ręką znak swoim towarzyszom, żeby podążali za nim. Wszyscy mieli gogle noktowizyjne i pistolety maszynowe Heckler & Koch

z tłumikami – Harvath i Ashby byli uzbrojeni w MP7, a Mordechai w MP5. Nie wychodząc z lasu, posuwali się przed siebie po ściółce z połamanych gałązek i opadłych liści. Harvath szedł powoli, stawiając rozważnie każdy krok. Po części był to efekt wyszkolenia, ale zachował również świeże wspomnienie prymitywnej pułapki zastawionej przez kongijskich rebeliantów, której omal nie zdetonował. Miał oczy szeroko otwarte, a wszystkie jego zmysły były wyczulone.

Gdy znaleźli się na wysokości zabudowań gospodarczych, zatrzymał się i szeptem poprosił przez radio o kolejny raport z rozpoznania. Nicholas odparł, że zauważył jakiś ruch na tyłach rezydencji. Dwaj uzbrojeni mężczyźni pakowali coś do samochodu. Ale reszta terenu była czysta.

Znow ruszyli przed siebie. Harvath postanowił wejść na teren posiadłości w tym właśnie miejscu, żeby ominąć zagrody dla żywego inwentarza. Nie chciał wystraszyć zwierząt, które mogłyby narobić hałasu i zaalarmować strażników. Wyłonili się spośród drzew, szybko pokonali niewielki skrawek otwartego terenu i przywarli plecami do blaszanej ściany jednej z przybudówek. Sto metrów przed nimi wznosiła się rezydencja. W żadnym z okien nie paliło się światło. Za nim stał pawilon gościnny, również pogrążony w ciemności.

Harvath wypatrzył kolejne miejsce, za którym mogli się ukryć, i posłał przodem Ashby, a za nią Mordechaia. Kiedy Ashby dała mu znak, że już go ubezpiecza, dołączył do nich. Przemieszczając się między kolejnymi osłonami, zbliżyli się do rezydencji na tyle, że słyszeli odgłosy dobiegające z tyłu budynku, gdzie znajdowali się ochroniarze. W międzyczasie Nicholas zameldował, że dołączyli do nich dwaj kolejni. Ładowali zapasy do samochodu, korzystając z tunelu, którego wylot mieścił się w zboczu wzgórza za domem.

Trzydzieści metrów przed sobą Harvath zobaczył stos porzuconych palet. Stały za tylnym narożnikiem domu, więc nie tylko mogli się za nimi ukryć, ale również obserwować stamtąd rozwój wydarzeń. Jedyne problem tkwił w tym, że gdyby doszło do strzelaniny, drewniane palety nie zapewniłyby im żadnej osłony przed pociskami. Niestety nie mieli wyboru. Harvath omiół wzrokiem okolicę i dał znak Ashby, która pobiegła przed siebie. Chwilę później posłał za nią Mordechaia. Gdy obydwaj byli już na miejscu, pobiegł w ślad za nimi.

Znalazłszy się za osłoną, położył się na brzuchu, próbując dojrzeć przez szczeliny między deskami, co dzieje się przy samochodzie. Widział tylko

opony, fragment podwozia i smugę światła, padającego z otwartych drzwi. Właśnie obracał się na lewy bok, żeby wystawić głowę zza palet, kiedy z głębi tunelu dobiegł przeraźliwy krzyk kobiety. Mordechai próbował zerwać się na równe nogi, ale Ashby była szybsza. Chwyciła go mocno i szarpnęła z powrotem w dół.

– Puść mnie – wyszeptał. – Musimy działać, natychmiast.

Ashby przyłożyła palec do ust, dając mu znak, żeby był cicho. Harvath odczekał, aż Izraelczyk się uspokoi, a potem przetoczył się na lewy bok i wyjrzał zza osłony. Obok wejścia do tunelu zobaczył wysoką stertę kartonowych pudeł. Nie miał pojęcia, co znajduje się w środku. Chciał się przesunąć jeszcze trochę w lewo, gdy za plecami usłyszał męski głos.

– Stać!

Obejrzał się przez ramię i zdążył jeszcze zobaczyć, jak głowa mężczyzny – jednego z ochroniarzy Damiena – eksploduje trafiona pociskiem karabinowym, który posłał Chase Palmer. Wszystko dookoła pokryło się bryzgami krwi, kawałkami mózgu i odłamkami kości. Był to wręcz idealny wstęp do strzelaniny.

Krzyk strażnika przyciągnął uwagę jego kolegów przy samochodzie, którzy sięgnęli po zawieszane na paskach pistolety maszynowe i zaczęli je unosić. Ale Harvath i Ashby byli szybsi. Otworzyli ogień jednocześnie, a ich strzały zlały się w jedną sekwencję, w której po jednym stłumionym trzasku nastąpiły szybko dwa kolejne. Każdy z ochroniarzy ugodzony jednym pociskiem w głowę i dwoma w klatkę piersiową zwałił się na ziemię.

– Ruchy, ruchy, ruchy – rozkazał Harvath, zrywając się do biegu, i cała trójka popędziła w stronę samochodu.

W drzwiach tunelu pojawił się kolejny strażnik, ale zasypali go gradem kul. Kiedy znaleźli się przy samochodzie, Mordechai nie ukrył się za nim jak dwójka jego towarzyszy, tylko pobiegł dalej. Harvath krzyknął za nim, kładąc mu wracać, ale na próżno. Szarżując w stronę wejścia do tunelu, Izraelczyk odrobinę zoczył z kursu, dzięki czemu ominęła go seria pocisków, które ze świstem przeleciały obok niego. Kiedy strzelec, który je posłał, znów wychynął za framugi, Bentzi już na niego czekał i powalił go dwoma strzałami w głowę. Nie był jednak przygotowany na spotkanie z jego kolegą. Poruszał się zbyt szybko, więc nie był w stanie zachować równowagi i skutecznie operować bronią. Próbował wykonać półobrót, ale zatoczył się i runął na ziemię. Leżąc, stał się łatwym celem dla drugiego

ochroniarza, który skierował w jego stronę wylot lufy i już zaczynał zaciskać palec na spuście. W tej samej chwili Harvath wychylił się zza samochodu i strzelił dwa razy, trafiając mężczyznę w głowę i w pierś. Potem wybiegł zza osłony i pomógł Izraelczykowi wstać, podczas gdy Ashby ubezpieczała ich, trzymając na muszce wylot tunelu.

– Nic ci nie jest?

Bentzi pokręcił głową, podnosząc się z ziemi.

– Nie rób tak więcej – upomniał go Harvath. – Trzymaj się planu.

Zanim Mordechai zdążył odpowiedzieć, w słuchawkach rozległ się głos Nicholasa.

– Zaraz będziecie mieli towarzystwo. Dwaj ludzie jadą do was otwartą dwumiejscową terenówką od strony bramy.

Harvath nie był tym zaskoczony. Strażnicy musieli usłyszeć odgłos wystrzałów albo ktoś wezwał posiłki.

– Widzisz ich? – zapytał przez radio Palmera.

– Nie, jeszcze nie. Czekam w gotowości – odparł snajper, a po kilku sekundach dodał: – Dwa cele w polu widzenia.

– Zlikwiduj oba.

Robiąc wydech, Palmer nacisnął spust, a potem nakierował siatkę celownika na głowę drugiego ochroniarza i oddał kolejny strzał. Kiedy zobaczył, że rozpędzony pojazd zbacza z kursu i uderza w drzewo, złożył meldunek.

– Czysto – powiedział do mikrofonu. – Możecie działać.

– Wchodzimy – rozkazał Harvath.

Tunel miał łukowate sklepienie i był wybrukowany kostką ułożoną w jodełkę. Na ścianach wisiały latarnie gazowe, które wypełniały wnętrze słabym światłem. Na środku stał wózek, porzucony zapewne przez jednego z ochroniarzy, którzy zginęli przy wejściu. Stały na nim trzy kartony wojskowych racji żywnościowych, a pod nimi dwie skrzynki francuskiego wina. Ludzie Damiena albo szabrowali jego zapasy, albo przygotowywali go do wyjazdu. Tak czy inaczej, ktoś postanowił szybko się ewakuować.

Harvath nie cierpiał tuneli. Pod wieloma względami były to śmiertelne pułapki, między innymi dlatego, że nie zapewniały żadnej osłony, a za sprawą rykoszetów nawet niecelne strzały stanowiły zagrożenie. Dlatego biegł ile sił w nogach, popędzając swoich towarzyszy. Na końcu korytarza znajdowała się klatka schodowa z drzwiami po obu stronach. Te po prawej miały solidny zamek, ale były lekko uchylone. Harvath przywołał Ashby do



siebie, a Mordechaiowi kazał stanąć z boku i osłaniać tyły na wypadek, gdyby ktoś pojawił się w tunelu. Przywierając plecami do ceglanej ściany, odliczył do trzech i pchnął drzwi czubkiem buta, otwierając je na oścież. Potem obydwójce wpadli do środka, trzymając broń gotową do strzału.

Znaleźli się w podłużnym magazynie zastawionym regałami, które sięgały od podłogi do sufitu. Oprócz wina i wojskowych racji żywnościowych znajdowały się tam również wielkie puszkę z warzywami, owocami, zupą i gulaszem. Zauważyli też zapasy kawy, środków czystości, papieru toaletowego i mydła. Kilka rzędów półek wypełniały baterie, żarówki, latarki i laski ze światłem chemicznym, a jeszcze więcej miejsca zajmowały witaminy, leki i środki opatrunkowe, siewory i butelki z wodą. Mieli wrażenie, jakby trafili do jakiejś hurtowni. Ostrożnie sprawdzili przejścia między regałami i zajrzeli do dwóch dużych chłodni. Było tam mnóstwo jedzenia, ale nie natrafili na żadnych ludzi. Skądkolwiek dobiegał krzyk, nie tutaj znajdowało się jego źródło.

Harvath właśnie miał zawiadomić Mordechaia, że wychodzą z magazynu, kiedy usłyszał coś, co brzmiało jak odgłos taranowanych drzwi, po którym rozległ się huk wystrzałów.

„Psiakrew”, pomyślał. Ten kowboj znów zaczął szarżować w pojedynkę.

Wraz z Ashby rzucił się biegiem w stronę wyjścia z magazynu, żeby dołączyć do Izraelczyka, który sforsował drzwi naprzeciwko z takim impetem, że prawie wyrwał je z zawiasów. Odgłos wystrzałów, który odbijał się echem od ceglanych ścian tunelu, był ogłuszający. Harvath przywarł plecami do ściany. Widział z tego miejsca tylko skrawek pomieszczenia, ale to mu wystarczyło. Zauważył, że Mordechai został trafiony i kryje się przed ostrzałem za solidnym stołem warsztatowym. Strzały padały bez przerwy, jeden po drugim. Ten, kto prowadził ogień, nie zamierzał przestać, dopóki nie zabije Izraelczyka.

Harvath sięgnął do jednej z kieszonek w swojej kamizelce taktycznej, wyjął z niej granat błyskowo-hukowy i uniósł go, pokazując Ashby, która od razu domyśliła się, jaki jest jego plan. Gdy tylko skinęła głową, wyrwał zawleczkę i wrzucił granat przez wyważone drzwi. Po paru sekundach wewnątrz zalał oślepiający blask białego światła, któremu towarzyszył potężny grzmot. Harvath wpadł do środka pierwszy i gdy tylko zobaczył przeciwnika, nacisnął spust. Dwa pociski trafiły mężczyznę w tułów w okolicy mostka. Dwa kolejne ugodziły go w twarz tuż pod nosem, a ostatni

przewiercił jego czoło. Ochroniarz wypuścił broń, która upadła na podłogę z metalicznym szczękiem, a potem sam osunął się na posadzkę.

Harvath i Ashby, nie zwracając uwagi na Mordechaia, ruszyli dalej przed siebie, żeby sprawdzić wszystkie zakamarki. W pomieszczeniu znajdował się staromodny kocioł, mnóstwo rur i wiele innych sprzętów, za którymi można było się ukryć. Obok pieca znaleźli Helenę. Leżała nago na starym materacu, przykuta kajdankami do haka w ścianie. Została tak ciężko pobita, że opuchlizna zakrywała jej oczy. Na podłodze przy materacu leżała lutownica, a ciało Heleny pokrywały liczne ślady oparzeń.

Kiedy zlustrowali resztę pomieszczenia, Ashby podbiegła do Heleny, żeby udzielić jej pomocy, tymczasem Harvath zajął się Mordechaiem.

- Jak z tobą? – zapytał, podnosząc rannego do pozycji siedzącej.
- Znaleźliście Helenę?
- Znaleźliśmy. Żyje i Sloane przy niej jest.
- Muszę ją zobaczyć.
- Za chwilę. Mocno dostałeś?
- Nie mogę ruszać lewą ręką.

Harvath wezwał przez radio Palmera i rozdarł koszulę Izraelczyka, żeby zbadać rany. Potem rozpakował opatrunek i przycisnął go do ramienia Bentziego, który skrzywił się z bólu.

– Dostałeś dwa razy i masz złamany obojczyk – wyjaśnił. – Przyciśnij tutaj drugą ręką. Wiem, że boli, ale musimy powstrzymać krwawienie.

Kiedy w drzwiach stanął Palmer, Harvath kazał mu zamienić karabin snajperski na mniejszy MP5 Mordechaia. Musieli sprawdzić resztę domu i dopaść Damiena, jeżeli jeszcze tam był.

Harvath upewnił się ponownie, czy w komorze glocka tkwi nabój, i wręczył pistolet Bentziem.

– Jeżeli zobaczysz w tych drzwiach kogoś innego niż my, zabij go – powiedział i wraz z Palmerem ruszył w stronę schodów.

## Rozdział 48

Harvath i Palmer zajrzeli do każdego zakamarka. W całym domu nikogo nie było. Pusta była również altana przy basenie, pawilon dla gości i pozostałe z okolicznych budynków. Damien i reszta jego ochroniarzy zdążyli uciec. Tylko dokąd?

Przeszukali ciała zabitych – wszyscy mieli niebieskie paszporty ONZ, z których wynikało, że są cudzoziemcami. Nie znaleźli przy nich niczego – nawet w ich komórkach – co pozwalałoby się domyślić, gdzie jest Damien. W samochodzie również nie było żadnych tropów – ani skrawka papieru z zapisanym adresem, ani mapy z zakreślonym punktem docelowym, ani zaprogramowanego na cel podróży GPS-a.

Harvath przyniósł z magazynu pudełko światełek, które wręczył Palmerowi, i kazał mu oznaczyć lądowisko dla helikoptera. Potem skontaktował się przez radio z pilotem i wrócił do kotłowni. Mordechai siedział na podłodze obok Heleny i próbował dodawać jej otuchy. Obydwoje wyglądali okropnie. Ashby zawiesiła bezwładną rękę Izraelczyka na temblaku, a dla Heleny znalazła stary kombinezon malarski, który pomogła jej założyć.

– Helikopter jest już w drodze – oznajmił Harvath. – Zabierzemy was stąd. Ashby odciągnęła go na stronę.

– Ludzie Damiena nie tylko ją pobili i torturowali – powiedziała. – Jestem pewna, że również ją zgwałcili.

„Bydlaki”, pomyślał Harvath, kręcąc głową.

– Może mówić? – zapytał.

– Nie rozmawiałam z nią, ale sądzę, że jest w szoku. Może mieć również złamaną szczękę.

– Ale może wiedzieć, gdzie szukać Damiena.

– Zapytaj ją o to, ale wątpię, żebyś czegoś się dowiedział. Musisz dać jej trochę czasu.

– Żebyśmy jeszcze go mieli – odparł Harvath.

Podszedł do Heleny i wyjaśnił łagodnym tonem, że chciałby się dowiedzieć, co zaszło w rezydencji i gdzie może być Damien. Helena nic nie odpowiedziała. Mordechai próbował przemawiać do niej delikatnie, ale zamknęła oczy. Harvath dał za wygraną.

Wyszedł na zewnątrz i pomógł Palmerowi w zbieraniu ciał. Dwumiejscowy pojazd terenowy wciąż był na chodzie, więc ułożyli na nim zwłoki niczym stertę drewnianych bali i ukryli go w jednym budynków gospodarczych. Kiedy wracali do rezydencji, usłyszeli silnik nadlatującego helikoptera. Osłabiony Mordechai wsparł się na ramieniu Palmera. Harvath uznał, że po tym, co się stało z Heleną, lepiej będzie, jeżeli zajmie się nią Sloane. Chociaż obydwójce poruszali się powoli, przynajmniej byli w stanie chodzić.

Nicholas zameldował, że kamera termowizyjna nie wychwyciła żadnych dodatkowych źródeł ciepła na terenie posiadłości i mogą się bezpiecznie ewakuować. Zadbął również, żeby dron nie wszedł na kurs kolizyjny z helikopterem. Kiedy helikopter wylądował, Harvath obserwował teren z bronią gotową do strzału, dopóki wszyscy nie znaleźli się na pokładzie, a potem dołączył do nich. Dronem mieli zająć się agenci z zespołu inwigilacyjnego.

Pilot szybko poderwał maszynę, wszedł w ostry skręt i wykonał kilka uników na wypadek, gdyby gdzieś w ciemności czyhał na niego strzelec uzbrojony w karabin lub, co gorsza, w granatnik. Dało się zauważyć, że gwałtowne manewry sprawiają ból Helenie i Mordechaiowi, ale żadne z nich nawet nie pisnęło. Gdy tylko zostawili za sobą teren posiadłości, pilot przyśpieszył, kierując się prosto w stronę szpitala w Reston.

Spoglądając w dół, Harvath zauważył, że drogi nadal są koszmarnie zakorkowane. Musiał podjąć kilka decyzji. Pierwsza dotyczyła Mordechaia i Heleny. Nie mogli trafić do zwykłego szpitala. Nie z jego ranami postrzałowymi i jej urazami, zwłaszcza kiedy wszędzie przybywało zarażonych wirusem. Istniało tylko jedno wyjście. Poprosił Ashby o telefon satelitarny i zadzwonił do Lydii Ryan.

– Niech tak będzie – odparł, kiedy przedstawił jej sytuację i wysłuchał odpowiedzi. – Przekażesz to pilotowi?

Kiedy Ryan odpowiedziała twierdząco, Harvath podziękował jej i z powrotem założył słuchawki.

– Jaki jest plan? – zapytała Ashby, kiedy oddawał jej telefon.

– Wysadzimy ciebie i Chase’a w Reston, żebyście przesiedli się do jego samochodu. Pilot podrzuci mnie do domu, a potem zabierze Helenę i pana Mordechaia na Farmę, gdzie zajmie się nimi lekarz. Lydia Ryan już tam jest i na nich czeka.

– Masz dla nas jakieś dyspozycje?

– Skoro będziecie w Reston, możecie wstąpić do biura – powiedział Harvath. – Weźcie prysznic, zmieńcie ubranie i zacznijcie się zastanawiać, jak, do cholery, mamy znaleźć Damiena.

– Tak jest.

Kiedy helikopter wylądował na trawniku przed Bishop’s Gate, Harvath zabrał swój bagaż i wyskoczył z kabiny. Zostało mu akurat tyle czasu, żeby zanieść cały sprzęt do domu, wziąć szybki prysznic i coś zjeść. Obawiał się o bezpieczeństwo Lary w drodze na lotnisko i chciał ją tam zawieźć osobiście.

Lara i Stary siedzieli w kuchni i oglądali wiadomości. Przed nimi stały dwa talerze arroz de carreteiro, ale żadne z nich nie jadło.

– Co się dzieje? – zapytał Harvath.

– Ktoś puścił farbę – odparł Carlton. – Teraz cały świat już wie, że prezydent jest na obserwacji w Bethesdzie.

– Mówią, że jest chory? Dostaliśmy jakieś poufne informacje?

– Oficjalnie bagatelizują sprawę.

– A nieoficjalnie?

Stary nie odpowiedział. Harvath spojrzał mu w oczy.

– Prezydent zachorował na gorączkę krwotoczną? – zapytał, a Carlton w odpowiedzi pokiwał głową. – Mój Boże. Ile mu zostało?

– Tego nikt nie potrafi określić. Sam wiesz, jak szybko się to rozwija. To może być kwestia godzin albo dni.

– Albo może się z tego wylizać.

– Lepiej przygotujmy się na mniej optymistyczny scenariusz.

– A wiceprezydent?

– Mówi się już o dwudziestej piątej poprawce. Niedługo wygłosi orędzie do narodu.

– Niedobrze – stwierdził Harvath.

– Domyślasz się, gdzie może być Damien? – zapytał Stary, zmieniając temat.

– Nie mam pojęcia. Jego ludzie torturowali Helenę. Nie wiem, co im powiedziała, ale to musiało wystarczyć, żeby spłoszyć Damiena. A skoro już o nim mowa, obserwujemy jego samolot, prawda?

Carlton przytaknął.

– Przydzieliłem również ogony jego pilotom.

– Dobrze. Powiedziałem naszym ludziom, którzy obserwowali jego posiadłość, żeby zostali w Clifton na wypadek, gdyby ktoś się pojawił. Damien stracił wielu ludzi i gdybym był na jego miejscu, chciałbym się dowiedzieć, co się stało.

– Jeżeli wystraszył się na tyle, żeby dać nogę, uzna, że jego ochroniarze padli ofiarą tego, przed czym ucieka. On tam nie wróci. Powinniśmy zwolnić tych ludzi. Niech wracają do domu i zajmą się swoimi rodzinami.

– A co z pracownikami farmy? Ktoś musi dbać o posiadłość i doglądać zwierząt.

Jeżeli się pojawią, któryś z nich może mieć pojęcie, gdzie szukać Damiena.

– Jeżeli się pojawią. – Stary wskazał na ekran telewizora. – Ale nie sądzę, żeby w najbliższym czasie ktoś tam przyszedł do pracy.

Harvath był odmiennego zdania, zwłaszcza jeśli chodziło o osobę odpowiedzialną za opiekę nad zwierzętami. Ktoś taki nie porzuciłby tak łatwo swoich obowiązków. Prawdopodobnie zajmował się tym jeden z miejscowych, ktoś z pobliskiego miasteczka. Harvath zanotował w pamięci, żeby powiedzieć o tym Nicholasowi.

Kiedy Lara podała mu pełny talerz, podziękował jej i usiadł przy stole, nie odrywając wzroku od telewizora. Chociaż reporterzy nie posiadali jeszcze wszystkich informacji, wiedzieli dostatecznie dużo. Jadł w milczeniu, słuchając najnowszych relacji, a kiedy skończył, pobiegł na górę.

Stojąc pod prysznicem, przestawił do oporu regulator temperatury na zimną wodę i stał pod lodowatym strumieniem, tak długo, jak mógł. Potem wyszedł z kabiny i sięgnął po ręcznik. Wiadomość o chorobie prezydenta sprawiła, że czuł ucisk w żołądku. Ledwie zdołał wmusić w siebie kolację.

Ubrany w dzinsy i koszulę wrócił do kuchni, gdzie Lara czekała już na niego z torbą podróżną. Rozejrzał się dookoła, ale nigdzie nie zauważył Starego.

– Gdzie Reed?

– Powiedział, że teraz, kiedy już wróciłeś, musi jechać.

Harvath wyjrzał przez okno na podjazd, na którym stał mercedes Nicholasa, ale samochód Carltona znikł.

– Powiedział, że zrozumiesz – dodała Lara. Nie mylił się. Harvath rozumiał go doskonale.

– Wziął jakieś zapasy?

– Nie. Powiedział, że o to będzie martwił się później.

Tego nie rozumiał. Stary był uparty i unosił się dumą, ale mimo wszystko powinien był się zaopatrzyć. Sytuacja stawała się coraz poważniejsza. Harvath to czuł. Cieszył się, że wysyła Larę i jej bliskich w bezpieczne miejsce.

– Gotowa do drogi? – zapytał.

– Czy gotowa? Tak. Czy chcę wyjeżdżać? Nie. Przyciągnął ją do siebie.

– Wszystko będzie dobrze – uspokoił ją. – Jon i Anya zaopiekują się wami.

– Nie potrzebujemy opieki. Uśmiechnął się.

– Dołączę do was najszybciej, jak będę mógł.

Próbowała też się uśmiechnąć, ale jej usta wygięły się w wymuszonym grymasie.

– Hej – powiedział, ujmując ją pod brodę. – Nikomu z nas nic się nie stanie.

Obiecuję ci.

Uniosła głowę i pomyślał, że chce go pocałować, ale ona wtuliła twarz w jego ramię. Trwali tak przez kilka chwil i Harvath zastanawiał się, czy Lara płacze. Kiedy w końcu rozluźniła uścisk, szybko odwróciła się od niego, żeby nie zobaczyć jej twarzy.

– Chcę się pożegnać z Nicholasem – powiedziała, idąc w stronę drzwi.

– Zaniosę twój bagaż do samochodu.

Zbliżając się do wyjścia, Harvath o czymś sobie przypomniał. Obrócił się i pobiegł w stronę gabinetu. Czekał tam dziecinny zestaw narzędzi stolarskich, prezent dla Marca, który zamierzał przekazać mu przez Larę podczas ich jesiennego urlopu. Wrócił do holu z zestawem, wsunął go do torby i otworzył drzwi.

Nicholas w otoczeniu psów stał przed swoją furgonetką i rozmawiał z Larą, która w pewnym momencie pochyliła się i uścisnęła go, a potem podrapała oba potężne owczarki za uszami. Harvath nie chciał przerywać im pożegnania i odczekał chwilę, zanim przestąpił próg i ruszył w stronę samochodu.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Lara odwróciła się do niego i posłała mu uśmiech. Miała wilgotne oczy.

– W porządku.

– Co z Niną? – zwrócił się do Nicholasa.

– Jest już w drodze. Powinna dotrzeć na lotnisko mniej więcej w tym samym czasie co wy.

– Uścisknę ją od ciebie – obiecała Lara.

– Dzięki – odparł karzeł, a potem wskazał kciukiem za siebie w stronę wnętrza furgonetki i dodał: – Muszę wracać do pracy.

Wymienili jeszcze jeden uścisk i Lara skierowała kroki w stronę SUV-a. W międzyczasie Harvath dodał kolejny punkt do listy zdań Nicholasa – śledzenie pracowników farmy w Clifton.

Kierując się w stronę wyjazdu z posesji, wybrał w nawigacji funkcję omijania korków i ustawił radio na stację WMAL. Słynny waszyngtoński prezenter, Larry O'Connor, spokojnie analizował sytuację, ale na koniec swojego wywodu zadał jedno wstrząsające pytanie: „Jeżeli przed wirusem nie udało się uchronić prezydenta Stanów Zjednoczonych, jak ktokolwiek może czuć się bezpieczny?”.

Odpowiedź na to pytanie była prosta – nikt nie był bezpieczny. Panika w błyskawicznym tempie ogarniała Stany Zjednoczone, a wraz z nimi resztę świata.



# Rozdział 49

OBECNIE

Kiedy Harvath pożegnał się z Larą i upewnił się, że bezpiecznie dotarła na pokład samolotu, ogarnęło go uczucie ulgi. Pozostało mu tylko jeszcze jedno, ostatnie zmartwienie.

Idąc przez halę centrum obsługi pasażerów, wyjął komórkę i ponownie otworzył wiadomość od Nicholasa, którą odebrał na pasie startowym, a potem wybrał jego numer.

– Jesteś tego pewien? – zapytał, kiedy karzeł odebrał.

– Na sto procent.

– Ile mam czasu?

– Może kilka godzin. A może kilka dni. Co zamierzasz zrobić?

– A co ty byś zrobił?

– Uporządkowałbym swoje sprawy i miałbym nadzieję, że koniec będzie bezbolesny.

Harvath zaśmiał się, wyobrażając sobie ekipę agentów Departamentu Bezpieczeństwa, którzy przychodzą go aresztować.

– Bardzo zabawne. A wydawało mi się, że byłeś pełen podziwu dla tych, którzy prowadzą tę bazę danych. Uznałeś nawet ich metody za wyrafinowane. Skąd wiesz, że nikt nas nie wrabia?

– Bo chociaż są dobrzy, ja jestem lepszy.

– Mimo to wdepnąłeś w ich pułapkę – odparł Harvath, przeciskając się przez tłum w stronę wyjścia.

– To już się nie powtórzy, możesz mi wierzyć.

– A skąd masz pewność, że nie wykryli twojego skryptu?

– Bo to by przypominało łapanie balonu w ciemności za pomocą dwóch zyletek – wyjaśnił Nicholas. – Jest tak zaprogramowany, że uruchamia się, dopiero kiedy ktoś wchodzi do rejestru głównego. Bez obaw, nie znajdą go. Informacje, które ściągamy z ich serwera, są czyste.

Harvath wciąż nie mógł uwierzyć, że plan Damiena wszedł w życie.

– Kto to zatwierdził? – spytał. – Linda Landon nie mogła tak szybko awansować.

Czy się mylę?

– Nie musiała tego robić osobiście. Wystarczyło, że kogoś przekonała. Takiej możliwości Harvath nie brał pod uwagę.

– Czy Nina dotarła do samolotu? – zapytał Nicholas, zmieniając temat.

– Nie widziałem jej, ale na parkingu rozgrywają się dantejskie sceny. A co z pracownikami farmy w Clifton? Masz jakiś trop?

– Kosztowało mnie to wiele zachodu, ale udało mi się dodzwonić do miejscowego weterynarza, a ten podał mi kontakt do zarządcy farmy, który mieszka dwie wioski dalej.

– Co im powiedziałeś?

– Że mam paszę dla zwierząt, którą zamówił Damien, i nie wiem, czy dostarczyć ją do Clifton, czy w to drugie miejsce.

– Jakie miejsce?

– Otóż to – odparł Nicholas. – Żaden z nich nie miał pojęcia o żadnej innej posiadłości Damiena oprócz jego domów za granicą.

– A sprzątaczką albo ogrodnik?

– Zarządca powiedział, że jego żona sprząta rezydencję, a jego pracownicy zajmują się posiadłością.

– A więc to ślepa uliczka.

– Na to wygląda – potwierdził karzeł. – Jaki masz plan? Mam na ciebie czekać, czy wynosić się stąd, zanim przyjadą cię zwinąć?

To było dobre pytanie.

Harvath nie zamierzał dopuścić, aby aresztowali go agenci Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Pozostawało mu zejście do podziemia. A to oznaczało, że nie mógł wrócić do domu, nie mógł pojawić się w firmie i musiał unikać kontaktu z przyjaciółmi i znajomymi. Musiał również pozbyć się kart płatniczych i kredytowych, wszystkich urządzeń elektronicznych i samochodu. Nie miał pojęcia, jak długo to potrwa, ale był przygotowany na poważne utrudnienia.

Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, żeby obrócić się na pięcie i dołączyć do Lary. Samolot właśnie wrócił z Bostonu, skąd zabrał jej rodziców i Marca. Harvath mógł ściągnąć na lotnisko Nicholasa, zaczekać na niego i Ninę, a potem wraz z nimi uciec na Alaskę. Jego matka była już w drodze do Anchorage. Wszyscy spotkaliby się na miejscu, żeby zaszyć się w dziczy. Trudno było o prostsze rozwiązanie. Miał szczerą ochotę

porzucić to wszystko i pozwolić, żeby wypaliło się do cna. Może właśnie tego potrzebowało to miasto – wielkiego oczyszczenia.

Może był to jedyny sposób na usunięcie całego szlamu, żeby wszystko znów zaczęło funkcjonować normalnie.

Po wszystkim mógłby wrócić i pomóc w odbudowie. A może nie miałby na to ochoty. Może zostałby wraz z resztą na Alasce. Jeszcze nigdy nie wybiegał myślami tak daleko w przyszłość. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że sprawy mogą przybrać tak fatalny obrót.

Ale nawet biorąc to pod rozwagę, wiedział, że mimo wszystko powinien zostać tutaj – w ogniu walki. Do tego był stworzony. Tutaj było jego miejsce. Poczucie obowiązku nie pozwalało mu na odwrót. W takich sytuacjach, kiedy waliło się wszystko dookoła, mógł poznać swoją wartość i przekonać się, ile warki są otaczający go ludzie. Łatwizna skończyła się wczoraj.

Harvath podjął decyzję. Teraz musiał zdecydować, jaki będzie jego następny krok. Czy mu się to podobało, czy nie, Departament Bezpieczeństwa zamierzał go aresztować. W tym momencie nie miało znaczenia, kto umieścił go na tej liście – liczyło się tylko to, że na niej figuruje. I chociaż Nicholas twierdził, że zostało mu kilka godzin, a może nawet kilka dni, Harvath musiał założyć, że nie będą się ociagać z jego aresztowaniem. Jeżeli go dopadną, nie będą się z nim cackać. Nie miał co liczyć, że uda mu się z nimi dogadać. Będą przygotowani na opór z jego strony, dlatego zastosują przytłaczającą siłę. Tylko co potem? Co zamierzali z nim zrobić? Wywieźć go gdzieś i zamknąć do czasu, aż zarazi się wirusem? Czy może mieli w planach coś jeszcze gorszego? Nie zamierzał tego sprawdzać.

- Pozamykaj wszystko i zwijaj się stamtąd – powiedział do telefonu.
- Załatwione. Dokąd pojedziemy?
- Tam, gdzie Departament Bezpieczeństwa nas nie dosięgnie.
- Czyli gdzie?
- Do Camp Peary.

W zwyczajny dzień przejazd z lotniska Reagana do Camp Peary zajmował dwie godziny. Ale ten dzień nie był zwyczajny. Pod żadnym względem.

Wychodząc z centrum obsługi pasażerów, Harvath zauważył Lee Gregory'ego, jednego z najlepszych agentów Carlton Group, który prowadził Ninę przez rwący potok samochodów i ludzi, który zalewał

parking. Lee był roslym twardym facetem i miał spore doświadczenie. Stary wybrał człowieka, którego nic nie powstrzymałoby przed wykonaniem tego zadania. Harvath zamienił z nim kilka słów, podziękował mu i pożegnał się z Niną. Gregory miał własną rodzinę i na pewno śpieszył się do domu.

Harvath wyszedł z parkingu i wrócił do swojego tahoe, który czekał zaparkowany na poboczu. W Tappahannock, mniej więcej w połowie drogi do Camp Peary, stał przy autostradzie niewielki bar, w którym umówił się z Nicholasem. W tamtej okolicy, w pobliżu jednego z doków nad rzeką, zamierzał porzucić swój samochód. Mogli kontynuować podróż furgonetką. Zawierała zbyt wiele cennego sprzętu, żeby się jej pozbywać. Na koniec rozmowy telefonicznej z Nicholasem poprosił go, żeby przyczepił do frontowych drzwi jego domu karteczkę z wiadomością: „Spotkajmy się na łodzi”. Nie był pewien, czy zmyli w ten sposób pościg, ale gra była warta świeczki.

Kiedy znów włączył stację WMAL, trwało już przemówienie wiceprezydenta:

„...wasze modlitwy za prezydenta Portera, w którego powrót do zdrowia niezłomnie wierzymy. Tego wieczoru na mocy ustępu trzeciego dwudziestej piątej poprawki do konstytucji Stanów Zjednoczonych prezydent Porter złożył na ręce przewodniczącego ad interim Senatu oraz przewodniczącego Izby Reprezentantów pisemne oświadczenie o swojej tymczasowej niezdolności do sprawowania urzędu. Dopóki taki stan będzie się utrzymywał, pozostanę na stanowisku pełniącego obowiązki prezydenta Stanów Zjednoczonych. Aby zapewnić wsparcie władzom stanowym i federalnym na mocy przysługujących mi uprawnień, ogłaszam stan zagrożenia bezpieczeństwa narodowego.

Wspólnie z Departamentem Zdrowia i Opieki Społecznej oraz Centrum do spraw Zapobiegania i Kontroli Chorób zwracam się do wszystkich obywateli z prośbą o współpracę w ciągu kilku najbliższych dni. Wszystkie koncerty, imprezy sportowe i inne zgromadzenia publiczne zostają tymczasowo odwołane. Szkoły zostaną zamknięte i prosimy również kościoły o tymczasowe zawieszenie nabożeństw. Pozostańcie w domach, jeżeli nie musicie nigdzie wychodzić. Tylko spowolnienie epidemii rokuje nadzieję na powstrzymanie jej rozwoju.

Odbyłem rozmowy z gubernatorami wszystkich stanów, którzy zmobilizują siły Gwardii Narodowej, żeby utrzymać porządek oraz zapewnić pomoc i opiekę tym, którzy jej potrzebują.

Nasi specjaliści pracują przez całą dobę i utrzymują kontakt ze swoimi kolegami na całym świecie. Najlepsi naukowcy i lekarze od Pekinu po Baltimore robią wszystko, co w ich mocy, żeby powstrzymać wirusa.

W tym trudnym okresie możecie również pomóc, pozostając w domach i wypełniając polecenia lokalnych władz. Proszę, bądźcie świadomi, że służby medyczne są teraz przeciążone, więc nie wzywajcie pogotowia ani nie wybierajcie się do szpitali, o ile nie zachodzi sytuacja zagrożenia życia. Każda chwila, jaką lekarze poświęcają lżejszym przypadkom, to czas odebrany pacjentom, którzy doznali ciężkich obrażeń albo zawałów serca. To dla nas wszystkich trudne chwile, lecz Ameryka już stawała w obliczu takich prób. Zawsze wychodziliśmy z nich zwycięsko i teraz również tego dokonamy. Jestem o tym przekonany, gdyż...”.

Rozległ się dzwonek przypisany do numeru Carltona i Harvath ściszył radio.

– Musisz zawrócić – powiedział Stary.

– Zawrócić?

– Tak. Jedź do domu.

Harvath nie wierzył własnym uszom. Do domu?

– Posłuchaj – ciągnął Carlton. – To nie jest rewolucja. To pieprzony zamach stanu.

– Ale wiceprezydent właśnie...

– To orędzie nagrano kilka godzin temu. Wdrożono już plan ciągłości działania rządu i cała ekipa została ewakuowana do Mount Weather.

Harvath wiele słyszał o Kryzysowym Centrum Operacyjnym w Mount Weather. Położone w masywie Pasma Błękitnego około osiemdziesięciu kilometrów od Waszyngtonu było jedną z kryjówek dla przedstawicieli władz amerykańskich na wypadek zagrożenia bezpieczeństwa narodowego. Po zamachach z jedenastego września przeniesiono tam najważniejszych członków rządu i kongresu, żeby zapewnić nieprzerwane działanie administracji państwowej. Mieściła się tam również baza operacyjna Federalnej Agencji Zarządzania Kryzysowego z modułem kontrolnym systemu ostrzegania, który pozwalał na przerwanie transmisji telewizyjnych i radiowych w całym kraju w celu nadawania wiadomości alarmowych.

Zarządzany przez Departament Bezpieczeństwa Krajowego obiekt przypominał niewielki kampus uniwersytecki, leżący na terenie o powierzchni ponad półtora kilometra kwadratowego, otoczony wysokim ogrodzeniem i zasiekami z drutu kolczastego. Pod ziemią znajdował się

obszerny kompleks schronów ze wzmocnionego betonu, który mógł przetrwać serię ataków jądrowych. Był wyposażony w filtry powietrza, ujęcie wody i własną elektrownię, a zgromadzone w nim zapasy żywności i leków wystarczyłyby, aby utrzymać przy życiu setki osób przez kilka lat.

Jednak najbardziej interesujące było to, że Mount Weather dzieliło od rezydencji Damiena niespełna dwadzieścia pięć kilometrów. Mógłby to być niespotykany zbieg okoliczności, ale Harvath nie wierzył w takie rzeczy. W jego branży wiara w przypadki nie sprzyjała długiemu życiu.

– Wiceprezydent dostał gorączki podczas ewakuacji – dodał Carlton. – Wiem ze swojego źródła, że zwymiotował dwa razy, zanim helikopter wylądował.

– Gdzie teraz jest?

– Poddano go kwarantannie w ambulatorium w Mount Weather.

– A więc władzę przejął przewodniczący Izby Reprezentantów?

– On też jest chory, podobnie jak przewodniczący ad interim Senatu. Trafili do szpitala w Waszyngtonie razem z sekretarzem stanu.

Harvath zaniemówił z wrażenia. Przypomniał sobie, co powiedział Mordechai o szybkości rozprzestrzeniania się wirusa, kiedy rozmawiali o sukcesji prezydenckiej.

– W takim razie kto teraz sprawuje urząd? – zapytał.

– Dennis Fleming, sekretarz skarbu – odparł Stary. – O ile nie rozchorował się w ciągu ostatnich pięciu minut.

– Nie do wiary.

– A zgadnij, kto zarządza Mount Weather.

– Linda Landon – powiedział Harvath, który bardzo chciał się mylić, ale wiedział, że ma rację.

– Zgadza się.

– Ale jaki to wszystko ma związek z tym, że mam zawrócić i jechać do domu?

– Dyrektorowi McGee udało się przekonać wszystkich polityków z listy VIP-ów do ewakuacji na Farmę. To znaczy wszystkich oprócz sędziego Leashta.

Harvath nie był zaskoczony, że ktoś taki jak Cameron Leascht nie chciał się ukrywać w Camp Peary. Jego charakter nakazywał mu trwać na posterunku i walczyć. Tylko że to nie był proces sądowy. Tutaj stawką było życie. Mimo to Harvath wciąż nie rozumiał, jaki ma to związek z nim.

– Gdzie jest teraz sędzia? – zapytał.

– Zgarnęli go czterdzieści pięć minut temu.

– Skąd o tym wiesz?

– Pani Leascht zadzwoniła do Boba McGee. Przyjechali po niego ludzie w kombinezonach ochronnych. Kiedy się opierał, powiedzieli, że zabierają go na obowiązkową obserwację, ponieważ wczoraj udzielał wywiadu dziennikarzowi, który okazał się zarażony. Tłumaczyli, że takie są procedury w stanie zagrożenia epidemiologicznego, i pokazali mu oświadczenie podpisane przez wiceprezydenta.

– Więc nie tracą czasu.

– Nie – odparł Stary. – I dlatego chcę, żebyś wrócił do domu.

– A kiedy się zjawia, żeby mnie aresztować? Co wtedy?

– Przede wszystkim nie stawiaj oporu. Po sędziego przyjechali uzbrojeni po zęby.

– To by im nie wystarczyło, gdyby zapukali do moich drzwi.

– Nie wygłupiaj się. Też będą odpowiednio przygotowani. Wiedzą, na co cię stać.

– Ale dlaczego miałbym dać się zgarnąć?

– Bo musimy uwolnić sędziego Leashta.

– Z całym szacunkiem – odparł Harvath. – Sędzia miał okazję się ewakuować.

Czemu teraz mamy się narażać?

– Bo liczy się symbol. Jako prezes Sądu Najwyższego Leascht jest najważniejszym przedstawicielem wymiaru sprawiedliwości w kraju. Ludzie go znają, szanują go i cieszy się większym poważaniem niż sekretarz skarbu oraz wszyscy kongresmani i senatorowie razem wzięci. To ktoś, za kim stanie naród.

– Wciąż myślisz, że to zamach stanu? Bo ja odnoszę wrażenie, jakbyśmy wkraczali w fazę rewolucji.

– Skoro nie potrafimy jej powstrzymać, musimy znaleźć sposób na odzyskanie władzy w kraju. Bez względu na to, co się stanie, naród potrzebuje Leashta.

Po raz kolejny Carlton udowodnił, że potrafi wybiegać myślami kilka kroków naprzód.

– A więc zostanę aresztowany – powiedział Harvath, próbując pogodzić się z tą perspektywą. – I co potem? Mam zaplanować ucieczkę z więzienia?

– Nie – odparł Stary. – Mam lepszy pomysł.

## Rozdział 50

Gdy kilka godzin później agenci Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego zapukali do jego drzwi, wszystko przebiegło dokładnie tak, jak opisała to żona sędziego, Virginia Leascht. Agenci byli uprzejmi, ale stanowczy. Na wypadek, gdyby miał jakieś wątpliwości co do powagi ich wizyty, przybyli z odpowiednim wsparciem. Byli doskonale uzbrojeni i towarzyszyły im dwa transportery opancerzone, a w ciemności kryli się co najmniej dwaj snajperzy, których Harvath wprawdzie nie widział, ale wyczuwał ich obecność.

„Miałby z nimi niezłą przeprawę. Naprawdę niezłą”, pomyślał. Ale Carlton postawił sprawę jasno – żadnego oporu.

Ich zagrywka była bardzo przekonująca. Zbadali mu nawet ciśnienie, zmierzili temperaturę i pobrali próbkę krwi. Domyślił się, że postępują tak z dwóch powodów. Po pierwsze, chcieli nakłonić go do współdziałania – jesteśmy przedstawicielami władz i przybywamy z pomocą. Po drugie, odgrywali przedstawienie dla ewentualnych świadków – pewnie jest chory i to dlatego go zabierają.

Wykorzystanie kryzysu epidemiologicznego do wyeliminowania ludzi, którzy mogli okazać się niewygodni, było sprytnym posunięciem. Z pewnością bardziej wyrafinowanym niż rozwiązanie problemu za pomocą strzału w tył głowy. Przynajmniej pod tym względem nie można było odmówić im stylu. Zabrali ze sobą nawet ambulans, tym samym udzielając odpowiedzi na jedno z jego najbardziej uporczywych pytań – czy był odporny na wirusa? Nie zadawałoby sobie tyle trudu, gdyby nie był. To samo dotyczyło sędziego Leashta oraz członków kongresu, którzy pojawili się na nowej liście w Rejestrze Głównym. Nie miałyby sensu angażowanie takich środków w przypadku osób, które i tak najprawdopodobniej czekała śmierć w trakcie największej pandemii w dziejach ludzkości.

Ale skoro ludzie, którzy figurowali na liście, byli odporni, jak do tego doszło? I dlaczego akurat oni, a nie prezydent i wielu innych dygnitarzy? Harvath poruszył tę kwestię w rozmowie z Carltonem, dzieląc się także



podejrzeniem, że Pierre Damien mógł się schronić w Mount Weather. Stary robił wszystko, co w jego mocy, żeby wyjaśnić obie te sprawy.

Gdyby miał złudzenia co do tego, że ambulans jest czymś więcej niż tylko częścią maskarady, pozbyłby się ich, gdy po opuszczeniu Bishop's Gate konwój skierował się na autostradę prowadzącą do Mount Vernon i dojechał do parkingu przy Grist Mill, gdzie czekał helikopter. Wcześniej Harvath zastanawiał się, jak agenci zamierzają przedrzeć się przez zakorkowane drogi do punktu przerzutowego. Teraz poznał odpowiedź.

W trakcie pobieżnego badania zapytał jednego z agentów, dokąd zamierzają go zabrać.

– Do Fort A.P. Hill – odparł mężczyzna.

– Dlaczego tam?

– Szpitale są przepełnione. Założono tam centrum opieki zdrowotnej.

„Centrum opieki zdrowotnej, psiakrew”, pomyślał Harvath. To był zwykły ośrodek dla internowanych.

Chociaż informator Carltona w Departamencie Bezpieczeństwa nie miał pojęcia o Rejestrze Głównym, dowiedział się, że Federalna Agencja Zarządzania Kryzysowego posiada listę obywateli, którzy mogą być zarażeni wirusem, i zamierza ich wysłać do szpitala polowego w Fort A.P. Hill, oddalonego o sto dwadzieścia kilometrów od Waszyngtonu. Mieli tam dotrzeć pociągiem, który odjedzie z dworca Union Station, kiedy uzbiera się pierwsza grupa.

Agenci wyprowadzili Harvatha z karetki i przekazali go swoim kolegom z helikoptera, którzy również nosili kombinezony ochronne. Kiedy maszyna oderwała się od ziemi, spojrział w dół na konwój, który już wyjeżdżał z parkingu, żeby zgarnąć następną osobę z listy. Zaczął się zastanawiać, ile podobnych zespołów wykonuje takie same zadania we wszystkich stanach na terenie całego kraju? Ile jeszcze założono podobnych centrów opieki zdrowotnej?

Wszystkie ulice i drogi szybkiego ruchu prowadzące do Waszyngtonu były szczelnie zapchane samochodami, którymi ludzie usiłowali wydostać się z miasta albo dotrzeć do swoich domów. Z tej wysokości dało się zauważyć, że w kilku miejscach wybuchły pożary. Było ich zbyt wiele, by uznać je za dzieło przypadku. Pozory cywilizacji szybko zniknęły. Zaczynały się grabieże.

Helikopter wylądował na placu przed Union Station. Okolice dworca była wyłączona z ruchu i otoczona barierkami, przez które próbowały się

przedrzeć tysiące zdesperowanych ludzi. Byli wśród nich starcy i rodziny z małymi dziećmi. Kilku młodzieńcom udało się przewrócić jedną z barierek i teraz pomagali przedostać się na drugą stronę jakiemś mężczyźnie na wózku inwalidzkim. Policja i ochrona kolei były bezsilne. Tłum był jak beczka prochu i lont już się dopalał.

Czterej umundurowani funkcjonariusze Departamentu Bezpieczeństwa w grubych kamizelkach kuloodpornych, maseczkach ochronnych i rękawiczkach lateksowych podeszli do helikoptera. Gdy Harvath wysiadł, odeszli z nim poza obręb wirnika i kazali mu rozłożyć ręce, żeby go przeszukać.

– Gdzie pańskie papiery? – zapytał jeden z nich, przekrzykując hałas silnika. Harvath w milczeniu spojrzał na niego, dając do zrozumienia, że nie ma pojęcia, o co mu chodzi. Agent podbiegł z powrotem do helikoptera, który już zaczynał startować, i uderzył otwartą dłońią w drzwi po stronie drugiego pilota. Po chwili wrócił z plikiem dokumentów, skinął głową swoim kolegom i wszyscy ruszyli w stronę wejścia. Służby porządkowe wpuszczały właśnie do środka grupę cywili, ale na teren dworca mogli się dostać tylko ci, którzy mieli wykupione albo zarezerwowane bilety na pociąg. W holu za długim rozkładanym stołem siedziało kilku kolejnych agentów, również w maseczkach i rękawiczkach.

– Scot Thomas Harvath – powiedział szef eskorty i przekazał dokumenty jednemu z ludzi za stołem. – Jedno „t” w imieniu.

Korpulentny agent o rumianej cerze przyjął papiery i wymierzył w głowę Harvatha termometr laserowy.

– Trzydzieści siedem stopni – odczytał wynik, nawet nie patrząc mu w oczy.

Jego temperatura znów się obniżyła. Podczas poprzedniego pomiaru Harvath nie był zaskoczony, że nieco wzrosła, zważywszy na to, jak dużo wcześniej się ruszał.

– Jakież objawy? – zwrócił się do niego rumiany agent.

– Objawy czego? – spytał Harvath.

– Bóle mięśni i głowy, dreszcze, wymioty albo biegunka?

– Nie, nic mi nie dolega. Co się w ogóle dzieje?

– Miał pan kontakt z zarażoną osobą. Zostanie pan przewieziony na obserwację do ośrodka opieki zdrowotnej.

– Co to za ośrodek?

– Nie wiem – odparł agent.

– Na jak długo?

– Nie wiem.

– A wie pan przynajmniej, od kogo mogłem się zarazić? Korpulentny mężczyzna przewertował jego dokumenty.

– Wygląda na to, że od kogoś w pracy.

– Od kogo?

– Nie wiem.

– Ale skoro ktoś w mojej firmie jest chory, to znaczy, że cały personel też pojedzie do tego ośrodka?

– Nie wiem – powtórzył agent.

Zapisał kilka słów w jego papierach i sięgnął do stojącego na posadzce pudełka, z którego wyjął dużą okrągłą przypinkę z niebieskim kwadratem pośrodku.

– Proszę to przypiąć.

– Co to jest? – zapytał Harvath. – Tylko nie mów mi znów, że nie wiesz.

– Taki cwaniak z ciebie, co? – odparł agent i wreszcie spojrzął mu w oczy. Harvath uśmiechnął się do niego.

– Nie wiem.

– Zabrać go stąd! – krzyknął mężczyzna. – Następny!

Harvath i jego eskorta zdążyli przejść zaledwie kilka metrów, gdy korpulentny agent zaczął wołać za nimi, każąc im się zatrzymać. Kiedy ich dogonił, już zdążył się zasapać.

– Dałem panu złą przypinkę – powiedział, wskazując na duże kółko z niebieskim kwadratem w środku. – Proszę mi ją zwrócić.

Harvath odpiął znaczek i oddał go agentowi, który z rozmachem wcisnął mu do ręki inną plakietkę i oddalił się kołyszącym krokiem. Zamiast niebieskiego kwadratu widniała na niej złota gwiazda.

– Co to oznacza? – zwrócił się Harvath do jednego z ludzi, którzy do eskortowali.

– Proszę to przypiąć i przestać zadawać pytania.

Gdy tylko wykonał polecenie, agenci skręcili w lewo i poprowadzili go w stronę zupełnie innej części dworca.

# Rozdział 51

Sala dworcowego klubu Acela została zamieniona w prowizoryczny areszt. Pomieszczenie nie miało okien, było za to wyposażone w sanitariaty, a wszystkich wejść pilnowali uzbrojeni po zęby agenci ubrani na czarno podobnie jak ci, którzy zjawili się w jego domu. Harvath przyjrzał się im, ale nie rozpoznał żadnego.

Tak jak w przypadku wszystkich agencji federalnych, personel Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego był mieszaniną ludzi dobrych, złych i nijakich. Nie ulegało wątpliwości, że nie wiedzą, czym jest Rejestr Główny i nie zdają sobie sprawy, co mają z nim wspólnego. Fakt, że wciąż trwali na swoich posterunkach, podczas gdy dookoła szalał wirus, świadczył tylko o ich ofiarności i profesjonalizmie.

Po dopełnieniu formalności agent za stołem recepcyjnym powiedział Harvathowi, żeby częstował się jedzeniem i wodą albo kawą. Poinformował go również, że kiedy pociąg będzie gotowy do odjazdu, zostanie ogłoszony komunikat. Harvath zapytał, kiedy to może nastąpić, lecz odpowiedź brzmiała oczywiście „Nie wiem”.

Nalał sobie kawy do kubka i wolnym krokiem wszedł do sali, którą wypełniali ludzie o różnych kolorach skóry i w różnym wieku. Wszyscy nosili takie same przypinki ze złotą gwiazdą. Zauważył kilka kobiet, ale wśród zebranych dominowali mężczyźni. Niektórzy rozmawiali ze sobą i sprawiali wrażenie znajomych, inni woleli trzymać się na uboczu. Do tych ostatnich należał Cameron Leascht, który siedział w głębi pomieszczenia i czytał gazetę.

– Sędzia Leascht? – zapytał Harvath, podchodząc do niego.

Mężczyzna opuścił na chwilę gazetę, by przyjrzeć się nieznajomemu, po czym wrócił do lektury. Harvath usiadł obok niego.

– Przysyła mnie dyrektor McGee – dodał, a wtedy sędzia powoli obrócił głowę w jego stronę. – Pańska żona zadzwoniła do niego, kiedy pana zabrali.

– Doprawdy?

– Tak.

– A jaką mam pewność, że nie jest pan częścią tego wszystkiego? – zapytał Leascht, wskazując głową w stronę sali.

– Żadnej. Będzie pan musiał mi zaufać.

– A dlaczego miałbym panu ufać?

– Z dwóch powodów – odparł Harvath. – Po pierwsze, to moi ludzie odkryli listę w Rejestrze Głównym, przed którą ostrzegwał pana dyrektor McGee. A po drugie, pani Leascht czeka niedaleko, a ja zamierzam pana stąd zabrać.

Jego słowa w końcu przyciągnęły uwagę sędziego.

– Dokąd?

– Tam, gdzie powinien pan być udać się od razu. Do Camp Peary. Prezes Sądu Najwyższego odłożył gazetę.

– Jaki mamy plan?

Harvath milczał przez chwilę.

– Wciąż jeszcze nad nim pracujemy – odezwał się wreszcie. – Ale kiedy powiem, że pora na nas, proszę trzymać się blisko mnie i robić wszystko, co każe.

Leascht zaczął się śmiać.

– O co chodzi?

– Przez kilka ostatnich godzin robiłem sobie wyrzuty, że nie posłuchałem Boba McGee, i modliłem się, żeby ktoś mnie stąd wyciągnął. Ale kiedy sobie wyobrażałem, jak wpada tutaj kawaleria, nie spodziewałem się usłyszeć: „Wciąż jeszcze pracujemy nad planem”.

Harvath natychmiast zapałał sympatią do sędziego.

– A co chciałby pan usłyszeć?

– Nie wiem. Coś w filmowym stylu, jak Navy SEALs, przybywamy z odsieczą.

Tym razem to Harvath parsknął śmiechem, a gdy Leascht spojrział na niego zdumiony, mrugnął do niego porozumiewawczo.

– Jest pan z SEALs?

– I przybywam z odsieczą. Swoją drogą filmy o Navy SEALs są pełne nieścisłości.

– Co z nimi nie tak?

– Przed wszystkim komandosi w rzeczywistości są bardziej przystojni niż na filmach.

Sędzia uśmiechnął się, a Harvath poczuł ulgę, widząc, że zdołał trafić w jego poczucie humoru. Uwalnianie sparaliżowanego strachem zakładnika było koszmarnie trudne. Gdyby prezes Sądu Najwyższego zachował hart ducha, a wraz z nim dobry humor, mogłoby to obrócić sytuację na ich korzyść.

Leascht nic nie jadł, więc Harvath przygotował mu kilka kanapek, a kiedy wrócił do niego z talerzem i dwiema butelkami wody, zrelacjonował mu wszystko, czego zdołał się dowiedzieć do tej pory.

– Salus populi suprema lex esto – powiedział sędzia. – To z Cyclerona. Dobro ludu winno być najwyższym prawem.

– Inter arma enim silent leges – odparł Harvath, powtarzając znaną sentencję łacińską. – W czasie wojny milkną prawa.

Leascht pokręcił głową.

– W czasie wojny prawa pozostają nieme. Milczenie często daje początek przemocy. Jak powiedział Dietrich Bonhoeffer, milczenie w obliczu zła jest złem samo w sobie. Brak słów jest słowem. Brak czynów jest czynem.

Harvath chciał mu odpowiedzieć, ale umieszczony pod sufitem głośnik zatrzeszczał i rozległ się komunikat, informujący „Złote Gwiazdy” o odjeździe ich pociągu.

– Przyszedł czas na czyn – powiedział, spoglądając na sędziego.

Idąc wzdłuż peronu, Harvath rozglądał się we wszystkie strony, starając się zapamiętać pozycje strażników i pasażerów. Niektórzy politycy zdawali się nie przejmować tym, co może ich czekać, i nadal uprzejmię gawędzili. Inni powłóczyli nogami, podświadomie pogodzeni ze swoim losem.

Liczył kolejne słupy, na których opierało się zadaszanie. Byli na właściwym peronie, więc wszystko powinno się zacząć lada chwila. Kiedy zauważył wyznaczony słup, zaczął zwalniać. Zgiął się wóół, jakby rozboleł go brzuch.

– Nic panu nie jest? – zapytał sędzia.

– Proszę się przygotować i trzymać się blisko mnie. Ruszamy na mój znak. Leascht przytaknął skinieniem głowy.

Zbliżając się do słupa, Harvath zebrał się w sobie. W każdej innej sytuacji wiedziałby, że ma wszystko pod kontrolą. Wystarczyłoby pozbyć się skrupułów i celnie strzelać. Ale nie tutaj. Ci agenci nie byli jego wrogami. To byli przyzwoici ludzie, którzy tylko wypełniali swoją powinność. Co innego Linda Landon. Nie zawahałby się, gdyby miał ją na

muszce. Zabiłby ją i Pierre'a Damiena bez zmruczenia oka, ale żaden z tych agentów nie zasługiwał na śmierć. Miał nadzieję, że oni mają do niego taki sam stosunek.

Kiedy dotarli do słupa, Harvath zatrzymał się i zaczął udawać atak nudności. Oparł się o kosz na śmieci, pchnął klapę zasłaniającą otwór i nachylił się, jakby miał wymiotować. Leascht położył dłoń na jego plecach w pokrzepiającym geście. Gdy tylko jego palce obmacały wewnętrzną ściankę kosza, Harvath zaklął. Gdzie reszta? Dwa granaty dymne miały mu wystarczyć do uwolnienia prezesa Sądu Najwyższego? Potrzebował czegoś więcej. Przesunął rękę niżej i odkrył, że broń, o którą poprosił, również tam jest. Pistolet wraz z czterema zapasowymi magazynkami leżał pod warstwą gazet, ukryty w styropianowym pudełku na jedzenie. Wsunął magazynki do kieszeni i przeładował broń. Idąc przez peron, naliczył co najmniej sześciu agentów w mundurach i czterech w pełnym rynsztunku bojowym.

– Gotów? – zapytał, spoglądając na sędziego, który odpowiedział skinieniem głowy.

Wyciągnął zawlecзки i rzucił oba granaty dymne w przeciwnych kierunkach, a potem zeskoczył z peronu na tory. Leascht podązał tuż za nim. Był dużo starszy od Harvatha, ale poruszał się wystarczająco szybko. Dostali się na sąsiedni peron i wpadli do stojącego przy nim pociągu. Harvath otworzył drzwi po przeciwnej stronie, pomógł sędziemu zejść na dół i pobiegli dalej. Wśród łoskotu przetaczających się składów słyszeli krzyki. Dobiegały gdzieś z tyłu i narastały z każdą chwilą.

Przecięli dwa kolejne perony i znów znaleźli się w pociągu, ale tym razem zamiast przedostać się na drugą stronę, zaczęli przechodzić przez wagony, poruszając się równoległe do torowiska. Harvath zdjął kurtkę, którą wrzucił do kosza, i kazał sędziemu zrobić to samo, po czym wyłożył koszulę na spodnie, żeby ukryć wsuniętą za pasek broń.

Otwierając drzwi kolejnego wagonu, zaskoczył dwóch strażników kolejowych, którzy robili obchód. Obaj wyciągnęli pistolety równie szybko jak on.

– Rzuć broń! – krzyknął jeden z nich. – W tej chwili rzuć broń!

– Jestem agentem federalnym – odparł Harvath. – Przestańcie do mnie mierzyć.

– Pokaż odznakę – zażądał drugi strażnik.

– Ja mogę posłużyć za jego odznakę – odezwał się sędzia, wystawiając głowę zza ramienia Harvatha. – Jestem Cameron Leascht.

– Prezes Sądu Najwyższego? – upewnił się pierwszy ze strażników.

– Tak.

– Nie powiedzieli nam, kogo szukają – odparł mężczyzna, opuszczając pistolet. – Podali tylko rysopis.

– Bo nie chcą, żebyście wiedzieli – wyjaśnił Harvath i również opuścił broń. Drugi strażnik poszedł za jego przykładem.

– Co tu się dzieje, do cholery? – zapytał.

Harvath udzielił mu tak szczerej odpowiedzi, na jaką mógł sobie pozwolić.

– Ktoś z rządu chce dokonać zamachu na życie sędziego Leashta. Muszę go stąd wyprowadzić, ale agenci Departamentu Bezpieczeństwa depczą nam po piętach. Moglibyście nam pomóc?

Strażnicy wymienili między sobą spojrzenia.

– To wszystko śmierdzi na kilometr – powiedział jeden z nich. – Wpychają ludzi do pociągów, żeby ich wywieźć nie wiadomo dokąd. Od początku mi się to nie podobało. Co możemy dla was zrobić?

– Wezwać ich przez radio i odciągnąć na drugą stronę dworca.

– Da się zrobić.

– Dzięki. – Harvath ruszył dalej przed siebie, prowadząc za sobą Leashta. – Dajcie nam pół minuty na dotarcie do końca pociągu.

Kiedy dobiegli do ostatniego wagonu, zatrzymał się na chwilę, żeby sędzia mógł złapać oddech.

– Kiedy wyjdziemy na zewnątrz, proszę schylić nisko głowę i trzymać się blisko mnie, dobrze? – odezwał się, wyglądając przez jedno z okien.

Okolica była czysta i liczył, że tak pozostanie. Udało im się dogadać z tamtymi dwoma strażnikami, ale nie liczył, że drugi raz tak samo dopisze im szczęście. Tylko głupiec mógłby się łudzić, że w Waszyngtonie nie obowiązuje prawo Murphy’ego.

– Idziemy – rozkazał.

Wychodząc z pociągu, zauważyli dwóch agentów biegnących w kierunku, który wskazali im strażnicy kolejni. Leascht zgodnie z instrukcją opuścił nisko głowę i żwawo przebierał nogami. Ilekroć Harvath nabierał przekonania, że mają przed sobą wolną drogę, zauważał jakąś umundurowaną postać i musiał zmieniać kierunek. Za wszelką cenę chciał uniknąć starcia, ale zaczynało się to wydawać niemożliwe. Mimo to w końcu znaleźli wyjście.



Między kamiennymi łukami dworcowej fasady od strony Union Station Drive Northeast znajdowały się wysokie na dwie kondygnacje szklane tafle. Harvath wyjął pistolet, wycelował w górną część jednej z nich i kilka razy nacisnął spust. Huk wystrzałów i brzęk tłuczonego szkła wywołał panikę wśród zgromadzonego na zewnątrz tłumu. Runęły barierki i ludzie rozpiezchli się na wszystkie strony. Harvath pociągnął za sobą sędziego i obaj wypadli z budynku dworca na chodnik. Przebiegli na drugą stronę ulicy, przeskoczyli przez kamienną balustradę i rzucili się pędem wzdłuż opadającej w dół ulicy, by kilkadziesiąt metrów dalej skręcić w F Street. Biegając wzdłuż gmachu Komisji Papierów Wartościowych i Giełd, Harvath widział już przed sobą skrzyżowanie z 2nd Street, przy którym miał na nich czekać Chase Palmer. Nie był jednak pewien, czy Leascht, który dyszał ciężko i sprawiał wrażenie obolałego, zdoła tam dotrzeć.

- Wszystko w porządku? – zapytał.
- Nic mi nie jest. Biegnijmy. Harvath zwolnił.
- Powiedziałem, że nic mi nie jest – powtórzył sędzia.
- Ale to długi odcinek.
- Tym bardziej powinniśmy się sprężyć – odparł Leascht i przyśpieszył.

Na skrzyżowaniu skręcili w lewo i dostrzegli samochód Palmera, stojący w umówionym miejscu, przy wyjeździe z parkingu po przeciwnej stronie ulicy. Usłyszeli dobiegające z oddali wycie syren. Zostało im jeszcze piętnaście metrów do celu, gdy Palmer wyskoczył zza kierownicy z karabinkiem w ręku i przyłożył kolbę do ramienia. Harvath nie musiał oglądać się za siebie, żeby wiedzieć, co będzie jego celem. Słyszał wycie syreny za plecami i kątem oka widział niebieskie błyski w przeszklonej ścianie budynku po lewej.

– Szybko! – krzyknął, odciągając sędziego ze środka jezdni w stronę chodnika.

Gdy tylko zeszli z linii strzału, Palmer zaczął naciskać spust. Dwa pociski trafiły w blok silnika i przednią lewą oponę fordą crown victoria. Siedzący za kierownicą agent natychmiast wrzucił wsteczny i wycofał się na pełnym gazie.

Zyskali dzięki temu trochę czasu, ale i tak nie mieli go zbyt wiele. Gdy wszyscy wskoczyli do SUV-a, Palmer wycofał na niewielki parking, z którego wyjechał na równoległą 3rd Street. Skręcając ostro w prawo, zahaczył dwa zaparkowane przy krawężniku samochody.

– Dokąd jedziesz? – zapytał Harvath, kiedy pędząc na południe, przecięli skrzyżowanie z E Street.

– Musieli zmienić punkt ewakuacyjny. W pierwszym ktoś się na nich natknął.

– W takim razie będziemy musieli odbić w bok. Za następnym skrzyżowaniem zaczyna się droga jednokierunkowa, dla nas pod prąd.

– Jasne – odparł Palmer, jeszcze mocniej dociskając gaz. Na skrzyżowaniu z D Street zahamował gwałtownie i ostro skręcił w prawo, cudem unikając kraksy. – Słyszę odgłos syren, ale nie wiem, z której strony dobiega – znów się odezwał, klucząc między samochodami na ruchliwej drodze.

– Nie przejmuj się tym – odparł Harvath, kiedy minęli budynek Heritage Foundation i skrzyżowanie z Massachusetts Avenue. – Ja będę wypatrywał gliniarzy, a ty skup się na prowadzeniu. Za tym parkiem skręć w lewo w Louisiana Avenue.

Palmer wykonał jego polecenie. Kiedy przecięli 1st Street, Harvath zauważył kilka radiowozów z migającymi kogutami, które pędziły od wschodu Constitution Avenue, żeby zajechać im drogę.

– Teraz ich widzę – powiedział. – Są na ósmej.

– Będzie gorąco.

Wjechali na skrzyżowanie z taką prędkością, że SUV Palmera wpadł w lekki poślizg i otarł się bokiem o trzy samochody. Agenci Departamentu Bezpieczeństwa siedzieli im teraz na ogonie.

– W lewo – rozkazał Harvath, kiedy zbliżali się do skrzyżowania.

Palmer skręcił w 3rd Street, ale nawet nie zdążyli dojechać do pierwszej przecznicy, gdy okazało się, że wszystkie pasy przed nimi są zakorkowane.

– W prawo! Dawaj w prawo! – krzyknął Harvath. – Przez park.

Park National Mall ciągnął się przez trzy kilometry od stopni Kapitolu po pomnik Waszyngtona. W pięciu różnych miejscach przecinały go poprzeczne arterie, ale oddalając się od 3rd Street, Palmer nie zwolnił przed żadnym ze skrzyżowań. Trzy razy cudem uniknęli poważnego wypadku, nie mówiąc o niezliczonych stłuczkach, ale zostawili pościg daleko w tyle. Sięgając po radio, Harvath spojrzął na prędkościomierz. Gnali ponad sto czterdzieści na godzinę.

– Zbliżamy się – powiedział do krótkofalówki.

– Przyjęłam – odparła Sloane Ashby. – Jesteśmy gotowi.

Przebiegli w pełnym pędzie dwa kolejne skrzyżowania, minęli obelisk Waszyngtona i Pomnik II Wojny Światowej, i jadąc wzdłuż sadzawki lustrzanej, zobaczyli przed sobą Mauzoleum Lincolna. Kiedy znaleźli się na jego wysokości, Palmer skręcił ostro w lewo w stronę Potomaku. Pod mostem Darlington Memorial czekał na nich szybki ponton desantowy ze sztywnym dnem. Zorganizował go dla nich generał McCollum, jeden z nielicznych oficerów, do których Carlton miał pełne zaufanie. Jedenastometrową łódź hybrydową napędzały dwa potężne diesle, a jej załoga składała się z trzech żołnierzy jednostki do zadań specjalnych. Na pokładzie czekała już pani Leascht oraz Sloane Ashby, która zabrała ją z domu i przywiozła do punktu ewakuacji.

Od pomnika Johna Ericssona, gdzie porzucili samochód, Harvath, Palmer i sędzia pobiegli w stronę mostu. Wyposażeni w noktowizory komandosi z załogi wypatrzyli ich i zaprowadzili do ukrytej w ciemności łodzi. Od strony parku dało się słyszeć stłumione zawrozczenie syren, ale nie stanowiło to już dla nich problemu. Gdy tylko wszyscy znaleźli się na pokładzie, ponton odbił od brzegu i rozpląnął się w mroku.

# Rozdział 52

## CAMP PEARY

CIA nie mogła wysłać po nich helikoptera. Straciła dwóch pilotów z powodu epidemii i nie miała w odwodzie nikogo, kto wylądowałby na dachu budynku w centrum miasta i czekał, nie wiedząc, kiedy Harvath zjawi się z sędzią Leaschem. To dlatego Stary zwrócił się do generała McColluma.

McCollum miał do dyspozycji maszyny i pilotów, ale ze względu na zagrożenie zamachem stanu nie chciał, żeby wojskowy helikopter latał nad miastem. Za bardzo rzucał się w oczy i stwarzał zbyt duże ryzyko. Dlatego McCollum znalazł kompromisowe rozwiązanie. Pierwszą fazę ewakuacji miała przeprowadzić załoga pontonu desantowego. Kiedy wszystko się powiodło i jednostka płynęła w dół rzeki, generał wysłał helikopter. Na miejsce przesiadki wybrał bazę wojskową Anacostia-Bolling, położoną nad Potomakiem na wysokości portu lotniczego Reagan National. Łódź dobiła do brzegu w momencie, gdy black hawk siadał na lądowisku.

Kiedy dolecieli do bazy CIA, Lydia Ryan czekała już na Harvatha.

– Mamy to! – powiedziała, przekrzykując łoskot wirnika. – Helena podała Mordechaiowi hasła, które przechwyciła. Ukryła je w chmurze. Gdy tylko dostali je informatycy Mosadu, uzyskali dostęp do kopii twardego dysku Damiana. Zdążyli przesłać nam wszystko, kiedy jeszcze działał Internet.

Harvath przystanął i spojrzał na nią.

– Internet nie działa? Od kiedy? Dlaczego? Ryan wskazała głową w stronę samochodu.

– Wyjaśnię ci wszystko w drodze.

Harvath zamienił się w słuch i przerywał jej tylko sporadycznie, kiedy potrzebował bardziej szczegółowych informacji. To, co odkryli ludzie Ryan, zrobiło na nim ogromne wrażenie. Za to fakt, że Departament Bezpieczeństwa oskarżył media społecznościowe o organizowanie aktów

grabieży, żeby znaleźć pretekst do zablokowania Internetu, nie zaskoczył go ani trochę. A w praktyce dostęp do sieci nie został zablokowany w całości, tylko ograniczony do kilku kluczowych stron rządowych, co pozwalało na kontrolę przepływu informacji. Departament Bezpieczeństwa przejął również nadzór nad stacjami radiowymi i telewizyjnymi, zarzucając im szerzenie niebezpiecznych plotek, które wywołują panikę i chaos.

Jednak najbardziej wstrząsnęły Harvathem informacje dotyczące wirusa, a konkretnie tego, kto jest na niego uodporniony, a kto nie. Ryan wyjaśniła mu, w jaki sposób Damien i jego Komisja Plenarna, wywierając naciski na Światową Organizację Zdrowia, zdołali wpłynąć na skład szczepionki przeciwko grypie.

– Istnieje ogólnosiwiatowa sieć naukowców, którzy prowadzą badania nad grypą. Światowa Organizacja Zdrowia bierze pod uwagę ich opinie, kiedy w lutym każdego roku podczas konferencji w Genewie ogłasza swoje zalecenia co do nowej szczepionki przeciw grypie sezonowej dla półkuli północnej – mówiła Ryan. – Nadzoruje również produkcję substancji zwanej wysoko wydajnymi reasortantami, czyli mieszanki genów pochodzących z różnych wirusów grypy. Trafia ona do koncernów farmaceutycznych, które na jej bazie produkują swoje szczepionki. Ale tym razem w jej skład weszły nie tylko wirusy grypy. Damien i jego wspólnicy znaleźli sposób, żeby wzbogacić ją o geny afrykańskiej gorączki krwotocznej.

– Więc jeśli zaszczepisz się przeciw grypie, jesteś odporna? – zapytał Harvath. Ryan przytaknęła.

– Ale tylko jeżeli przyjmiesz specjalną wersję, której dystrybucja jest ograniczona do Ameryki i Europy Zachodniej. Damien bardzo dokładnie zaplanował, kogo chce pozostawić przy życiu. Na przykład w Stanach, gdzie żyje ponad trzysta milionów ludzi, rocznie produkuje się tylko około stu pięćdziesięciu milionów szczepionek przeciw grypie. Ale w tym roku zwiększono produkcję. Jak być może pamiętasz, wszyscy lekarze i przedstawiciele organizacji zdrowotnych trąbili o szczepieniach. Nawet w telewizji śniadaniowej powtarzano opinie, że ten rok będzie jednym z najgorszych. A wszystkim kierowała Światowa Organizacja Zdrowia.

– Wygląda na to, że Piknik Grypowy w Carlton Group mimo wszystko nie był takim głupim pomysłem – zauważył Harvath. – Przyjąłem szczepionkę w biurze. Ale Departament Bezpieczeństwa o tym nie wiedział.

– Powiem ci trzy słowa – odparła Ryan. – Cyfrowa kartoteka medyczna. To było logiczne, zważywszy na fakt, że wszędzie można się włamać.

– A prezydent, wiceprezydent i cała reszta? – zapytał Harvath. – Żaden z nich się nie szczepił?

– Dostali zeszłoroczną wersję szczepionki, która nie zapewniła im odporności na afrykańską gorączkę krwotoczną.

– Ale jak to możliwe? Jak można dopilnować, kto dostanie którą szczepionkę, mając do czynienia z tyloma ludźmi?

– Przed chwilą sam odpowiedziałeś na to pytanie. Piknik Grypowy – wyjaśniła Ryan. – Człowiek Damiena w Narodowym Instytucie Zdrowia wymyślił kampanię propagandową, w ramach której przedstawiciele najwyższych władz mieli świecić przykładem. Dygnitarze podwijali rękawy przed kamerami i uśmiechali się do obiektywów, przyjmując zastrzyk, i zachęcali w ten sposób personel agencji federalnych do udziału w piknikach, gdzie można było dostać za darmo właściwą szczepionkę.

– A co z tobą? A dyrektor McGee?

– Obydwoje musieliśmy podróżować, więc zaszczepiliśmy się jeszcze wcześniej. Bob jako szef agencji musiał pozować do zdjęć, ale to wszystko było wyreżyserowane. Jesteśmy pewni, że nic nam nie grozi. Wszyscy, którzy figurują na tej nowej liście z Rejestru Głównego, włącznie z sędzią Leaschtem, zostali zaszczepieni przez swoich lekarzy. Leascht brał udział w kampanii antygrypowej, ale tylko użyczył swojego wizerunku, żeby zachęcić pracowników wymiaru sprawiedliwości do szczepień. Unikając całej tej szopki, przyjęli właściwą wersję szczepionki, zamiast podstawionej zeszłorocznej. A skoro o tym mowa, Carlton skontaktował się z Benem Beamanem, który potwierdził, że cały personel Matumaini oraz mieszkańcy sąsiedniej wioski byli zaszczepieni. CARE wysłała im tegoroczną amerykańską wersję szczepionki.

To wyjaśniało, dlaczego Leonce i Pepsy przeżyli kontakt z wirusem, który zaatakował dowódcę rebeliantów.

– A więc wszyscy przetrwaliby epidemię, gdyby nie Jan Hendrik i jego ludzie, którzy ich wymordowali – stwierdził Harvath. – I co zrobimy teraz?

– Dyrektor McGee chce przekazać te informacje bezpośrednio sekretarzowi skarbu – odparła Ryan. – Nie potrafię się przemóc, żeby nazywać Dennisa Fleminga prezydentem.

– Masz jakieś wieści o Porterze?

– Wiemy tylko tyle, że wciąż walczy.

- Sekretarz skarbu przebywa w Mount Weather wraz z całą resztą rządu?
- upewnił się Harvath.
- Tak. McGee poleci tam helikopterem, ale najpierw zjawi się tutaj. Chce zabrać ze sobą sędziego Leashta i ciebie, a także Mordechaia. Zamierza skontaktować się z premierem Izraela i przekazać słuchawkę Flemingowi.
- O Boże. Izrael nie dostał odpowiednich szczepionek, prawda?
- Nie, nie dostał.
- Czy pułkownik White jest na bieżąco z sytuacją? Trzeba poinformować ludzi, którzy zaszczepili się przeciwko grypie, że nic im nie grozi. Ci, którzy tego nie zrobili, powinni zostać w domach, a może wtedy uda się zapobiec rozprzestrzenianiu zarazy.
- McGee uważa, że musimy zacząć od Lindy Landon i przekazać kierownictwo Departamentu Bezpieczeństwa komuś zaufanemu – odparła Ryan. – Potem zajmiemy się całą resztą.
- A co z Damienem? Czy mamy pewność, że ukrył się w Mount Weather?
- W tej chwili nasi agenci dyskretnie rozglądają się po całym kompleksie.
- Kiedy McGee tu będzie?
- Jest już w powietrzu i powinien tu dotrzeć za dwadzieścia minut. Zostało niewiele czasu, ale chciałabym ci pokazać, co przysłali nam Izraelczycy.

## Rozdział 53

Ben Mordechai cierpiał z powodu odniesionych ran i nie chciał opuszczać Heleny, ale zdawał sobie sprawę, jak ważny jest jego udział w spotkaniu w Mount Weather. Wiedział, jak wiele może pomóc, jeżeli tam poleci, żeby udzielić odpowiedzi na ważne pytania i reprezentować interesy Izraela.

Kiedy helikopter dyrektora CIA wylądował w Camp Peary, Harvath, Mordechai i Leascht już czekali w pobliżu lądowiska. Drugi pilot pomógł im wejść na pokład i dopilnował, żeby zapięli pasy, po czym wrócił na swoje miejsce i maszyna oderwała się od ziemi.

Podczas gdy Sikorsky pędził w kierunku Mount Weather, McGee wyjaśnił pasażerom, jak wyobraża sobie przebieg spotkania. Chciał, aby we wszystkich kwestiach bezwzględnie przestrzegali dyscypliny. Mieli dążyć tylko do jednego celu. Los całej reszty świata był już przesądzony i Bobowi McGee zależało wyłącznie na ocaleniu Stanów Zjednoczonych.

W Kryzysowym Centrum Operacyjnym w Mount Weather agenci Secret Service zaprowadzili ich okreśłą drogą do podziemnego kompleksu. Pełniący obowiązki prezydenta Dennis Fleming został uprzedzony, że dyrektorowi CIA zależy, aby o ich spotkaniu wiedziało jak najmniej osób.

Zanim Harvath i reszta zjawili się na miejscu, agenci przeszukali dokładnie cały obiekt, ale nigdzie nie natrafili na ślad Pierre'a Damiana. Teraz zaś zaprowadzili ich do prowizorycznego pokoju dowodzenia. Chwilę później na dużym monitorze wiszącym na końcu stołu konferencyjnego pojawiła się twarz Fleminga.

– Dobry wieczór, panie prezydencie – powitali go chórem zebrani.

– Możecie nazywać mnie sekretarzem. Jak dla mnie Paul Porter nadal jest prezydentem.

Fleming nie wyglądał najlepiej. Nikt nie musiał go pytać, czy brał udział w rządowej kampanii antygrypowej. Stał na czele Departamentu Skarbu i jako dobry szef postanowił dać przykład swoim podwładnym. Nagrodą za taką postawę okazała się afrykańska gorączka krwotoczna. To było porażająco niesprawiedliwe. Nie dało się przewidzieć, ile czasu mu jeszcze



zostało, ale nie zgodził się na porzucenie swoich obowiązków tylko dlatego, że został poddany kwarantannie. Zbyt wiele miał do zrobienia.

McGee przedstawił mu sytuację w ogólnym zarysie, akcentując najważniejsze kwestie i wdając się w szczegóły tylko wtedy, gdy Fleming zadawał pytania. Sekretarz skarbu wysłuchał sprawozdania, a potem sięgnął po telefon.

– Zarządzam posiedzenie gabinetu i Rady Bezpieczeństwa Narodowego – powiedział do słuchawki. – W tej chwili. Proszę znaleźć Lindę Landon i kazać jej czekać. Wezwę ją, kiedy będę gotowy.

Po niespełna pięciu minutach wszyscy członkowie rządu dotarli do sali i zajęli swoje miejsca. Każdy z zebranych znał sędziego Leashta i wchodząc, wymienił z nim uścisk dłoni. Ci, którzy znali Harvatha, witali go skinieniem głowy. Nikt nie znał Mordechaia.

Fleming nie chciał tracić czasu, dlatego natychmiast oddał głos Bobowi McGee. Dyrektor CIA nawiązał połączenie wideo z premierem Izraela, a gdy jego twarz pojawiła się w osobnym oknie na monitorze, rozpoczął taką samą relację, jaką wcześniej złożył Flemingowi. Zebrani byli wstrząśnięci, zwłaszcza ci, którzy brali udział w akcji szczepień dla członków rządu. Każdy z nich czuł się tak, jakby właśnie usłyszał wyrok śmierci. Wszyscy chcieli wiedzieć, czy istnieje jakieś lekarstwo. Czy właściwa szczepionka miała działanie wsteczne i mogłaby powstrzymać rozwój epidemii, gdyby teraz ludzie zaczęli ją przyjmować? Niestety nikt nie znał jeszcze odpowiedzi na te pytania.

Pełniący obowiązki sekretarza stanu, który uczestniczył w rządowym programie antygrypowym, ale nie doświadczył jeszcze żadnych objawów choroby, przedstawił taką samą propozycję, jaką Harvath złożył Lydii Ryan. W Izraelu przebywało wielu Amerykanów i Europejczyków, którzy przyjechali tam, zanim rozpętała się epidemia. Ci, którzy byli zaszczepieni przeciwko grypie, mogliby teraz okazać się bardzo pomocni dla lokalnych władz. Premier Izraela przyznał mu rację i zwrócił się do kogoś, kto stał poza kadrem, polecając mu ogłoszenie komunikatu w telewizji i radiu. Po krótkiej wymianie zdań na temat Pierre'a Damiena i informacji uzyskanych przez wywiad izraelski McGee przedstawił Mordechaia, który odpowiedział na kilka trudnych pytań. Potem dyrektor CIA nakierował rozmowę z powrotem na Stany Zjednoczone i najpilniejsze zadania. Zebrani skupili uwagę na Lindzie Landon, zastanawiając się, jak najlepiej ją podejść. Kiedy osiągnęli porozumienie, Fleming wezwał ją do sali.

Harvath prowadził oddział szturmowy w górę stromego zbocza, które porastały sosny i świerki. Towarzyszyli mu Ashby i Palmer oraz kilku ludzi z Carlton Group, których dyrektor CIA przerzucił helikopterem do Mount Weather. Nie było jeszcze wiadomo, jak głęboko sięga spisek, dlatego ani Fleming, ani McGee nie chcieli korzystać z pomocy żadnej z agencji federalnych. Wiedzieli jedynie, że Landon nie udzieliła Damienowi schronienia w Kryzysowym Centrum Operacyjnym. Damien zdawał sobie sprawę, że może dojść do nieprzewidzianych wypadków i przygotował się na taką sytuację. Na swoją kryjówkę wybrał drewniany dom, stojący na końcu nieuczęszczanej drogi. Był na tyle zapobiegliwy, że nie wspomniał o nim nawet Lindzie Landon.

Harvath spodziewał się, że Landon szybko pęknie, i miał rację. Kiedy weszła do sali i zobaczyła sędziego Leashta, wyraz jej twarzy nie pozostawiał wątpliwości. Była winna. I chociaż Damien nie zdradził przed nią lokalizacji swojej kryjówki, zostawił jej telefon komórkowy, za pomocą którego mieli się porozumiewać, korzystając z zakodowanej linii. Kiedy do niej zadzwonił, połączenie trwało krótko, ale to wystarczyło, żeby go namierzyć.

Sekretarz Fleming nigdy wcześniej nie spotkał się z Harvathem, ale znał jego reputację. Kiedyś uczestniczył w odprawie, podczas której omawiano jego dokonania w Pakistanie. Wiedział, że prezydent Porter ma o nim bardzo wysokie mniemanie, dlatego udzielił mu błogosławieństwa, powierzając dowództwo zespołu, który miał ująć Damiena.

– Jak to powinno wyglądać? – zapytał. – Powinienem udzielić panu szczegółowej instrukcji? Co wolno, a czego nie wolno?

– Najlepiej będzie, jeżeli pozwoli mi pan robić to, do czego zostałem wyszkolony.

– Wie pan, czego oczekuję, prawda?

– Tak jest.

– Więc proszę to zrobić – zakończył rozmowę Fleming, tym samym spuszczać Harvatha ze smyczy.

Zbliżał się świt. Do wschodu słońca pozostała godzina. Wtedy powinno być już po wszystkim. Damien był diabłem wcielonym, gorszym od Stalina, Hitlera, Mao czy Pol Pota. Był gorszy niż oni wszyscy razem wzięci, ale nawet to porównanie nie oddawało całego koszmaru, jaki zgotował ludzkości.

Ile matek i ojców w tym momencie rozpaczało nad stratą swoich dzieci, zabitych przez straszliwą epidemię, którą rozpętał? Ile dzieci straciło rodziców, ilu mężczyzn straciło żony? Z cierpieniem ocalałych mogło się równać jedynie poczucie winy, które ich gnębiło. Chociaż nie mieli pojęcia o odrażającym spisku Damiena, przetrwanie było dla nich makabrycznym darem losu. Harvath nie mógł się doczekać chwili, w której każe mu za to wszystko zapłacić.

Na pierwszą pułapkę natknęli się w odległości około kilometra od domu. Przywiązana do zawleczonego granatu linka była rozpięta na wysokości klatki piersiowej, żeby leśne zwierzęta mogły pod nią przechodzić. Harvath pokazał ją swoim towarzyszom i ruszyli dalej. Po drodze wypatrzył jeszcze dwie takie same pułapki. Kiedy dostrzegł majaczący między drzewami kontur budynku, zatrzymał się. Wiedział, że ochroniarze Damiena też są wyposażeni w noktowizory. Musieli zachować ostrożność.

Dał swoim ludziom sygnał do zajęcia pozycji, po czym zdjął z ramienia zawieszony na pasku karabinek z tłumikiem, położył się na ziemi i zaczął powoli się czołgać. Pośpiech był niewskazany. Mieli mnóstwo czasu. Pokonanie ostatnich piętnastu metrów zajęło mu dwadzieścia minut. Zatrzymał się na skraju lasu, skąd miał doskonały widok na tyły domu.

W żadnym z okien nie paliło się światło. Przed budynkiem siedział opatulony w kurtkę mężczyzna w goglach noktowizyjnych i z pistoletem maszynowym spoczywającym na udach. Trwał w bezruchu i mogłoby się wydawać, że śpi.

Nagle obrócił głowę w prawo, jakby coś usłyszał. Harvathowi przemknęło przez myśl, że jakiś odgłos mógł zdradzić Ashby i jej grupę, która zakradała się z tamtej strony. „Nawet nie wstawaj, to tylko szop”, powiedział bezgłośnie.

Ale wartownik wyczuł, że coś czai się w ciemności, i nie tylko wstał z krzesła, ale zawiadomił swoich kolegów przez radio. Harvath zaklął w duchu. Patrzył, jak mężczyzna idzie prosto w stronę miejsca, gdzie między drzewami ukrywała się część oddziału pod dowództwem Ashby. Co tam Kongo czy Waszyngton – prawo Murphy’ego obowiązywało nawet w górach Pasma Błękitnego.

Harvath modlił się w duchu, żeby ochroniarz dał sobie spokój i sięgnął po krótkofalówkę, by odwołać alarm. Jego nadzieje okazały się jednak płonne, bo mężczyzna zbliżył się do linii drzew i zauważył sylwetki intruzów. Uniósł broń tak szybko, że Harvath nawet nie zdążył zareagować.

Ale nie musiał. Ashby była przygotowana na taki obrót sprawy i pocisk z jej wytłumionego karabinka przewiercił głowę wartownika na wylot.

Harvath zerwał się na równe nogi i wydał rozkaz do szturmu. Miał kilka metrów przewagi nad swoimi ludźmi, którzy niczym zjawy wyłonili się spomiędzy drzew po drugiej stronie domu. Obrócił się i nacisnął spust, kładąc trupem jednego ze strażników, który wyszedł zza rogu. Usłyszał dobiegające z prawej strony odgłosy stłumionych wystrzałów, kiedy Palmer wyeliminował kolejnego strażnika. Trzech mieli z głowy. Z tego, co Helena powiedziała Mordechajowi, wynikało, że prawdopodobnie czeka ich przeprawa z co najmniej trzema kolejnymi, jeśli nie liczyć Damiena oraz jego asystenta i lokaja, Jefferey'ego.

Harvath podbiegł do przeszklonych rozsuwanych drzwi z tyłu budynku. Złapał gałkę i otworzył je jednym szarpnięciem, a wtedy w głębi domu rozległ się piskliwy sygnał alarmu. Prawo Murphy'ego zadziałało po raz kolejny.

Przestąpił próg i kiedy znalazł się w salonie, poczuł stęchliznę typową dla pomieszczeń, których dawno nikt nie używał. W powietrzu unosiła się nieświeża woń kawy, przez którą przebijał się odór truchła, prawdopodobnie jakiejś myszy, gnijącej za jedną ze ścian.

Harvath szybkim krokiem ruszył tam, gdzie spodziewał się znaleźć Damiena. Na końcu korytarza zobaczył drzwi, za którymi, jak przypuszczał, mieściła się sypialnia. Kierując się w ich stronę, przystanął tylko, żeby zajrzeć do garderoby i małej toalety. Pokryta dywanem podłoga w niektórych miejscach skrzypiała pod jego butami. Zatrzymał się tuż przed drzwiami, stanął pod ścianą i zaczął nasłuchiwać. Ponieważ do jego uszu nie dotarł żaden dźwięk, sięgnął do klamki. Ale zanim zdążył ją chwycić, ktoś otworzył drzwi od środka i Harvath stanął twarzą w twarz z jednym z ochroniarzy Damiena.

Przystawił wylot tłumika do jego podbródka i nacisnął spust. Ubrany w samą bieliznę mężczyzna, który prawdopodobnie wybierał się do łazienki, runął martwy na ziemię z rozerwaną czaszką. Jego kolega, którego hałas wyrwał ze snu, sięgał właśnie po broń. Harvath zastrzelił również jego i wyszedł z pokoju. Gestem dłoni kazał zawrócić Palmerowi i Ashby, którzy szli korytarzem w jego stronę. Kiedy wszyscy troje minęli kuchnię i natrafili na schody, dał im znak, żeby szli za nim na górę.

Drewniane stopnie skrzypiały jeszcze głośniejsze niż podłoga, ale niezrażony stawiał kolejne kroki. Kiedy dotarł na piętro, po prawej stronie

zobaczył drzwi. Pchnął je i jego oczom ukazał się niewielki pokój urządzony jak biuro, w którym stały plastikowe kufry i sprzęt elektroniczny. Odsunął się na bok, wpuszczając do środka Palmera, żeby dokładnie skontrolował całe wnętrze, a sam ruszył dalej w głąb wąskiego korytarza. Po lewej napotkał kolejne drzwi, za którymi znajdowała się mała garderoba. Zostały jeszcze dwa pomieszczenia i w jednym z nich musiał ukrywać się Damien.

Pierwsze z nich okazało się pokojem gościnnym. Stało w nim łóżko, które wyglądało tak, jakby ktoś niedawno z niego wstał. Harvath miał właśnie przywołać Ashby, gdy nagle coś przysłoniło całe jego pole widzenia. Zza uchylonych drzwi wypadł ktoś, kto stał w środku przyciśnięty plecami do ściany, i teraz rzucił się na niego. Nieomal wskoczył mu na głowę. Harvathowi nie pozostawało nic innego, jak odpowiedzieć na jego atak. Było zbyt ciasno, aby mógł obrócić broń pod odpowiednim kątem i oddać strzał, więc zadał cios głową, wbijając gogle noktowizyjne w oczy napastnika. Mężczyzna zatoczył się do tyłu z zakrwawioną twarzą, ale zamiast dać za wygraną, przypuścił kolejny atak. Jednak tym razem Harvath miał wystarczająco dużo miejsca i powalił go dwoma strzałami w głowę.

Potem podszedł do ostatnich drzwi i zaczął nasłuchiwać. W środku panowała cisza, ale to nie uspiło jego czujności. Przed dwoma poprzednimi starciami też nie ostrzegł go żaden odgłos. Dał znak swoim towarzyszom i przekręcił gałkę. Drzwi były zamknięte na klucz, więc cofnął się i staranował je kopnięciem, a potem cała trójka wpadła do środka.

W pokoju nie było nikogo. Ashby zajrzała pod łóżko, które też wyglądało, jakby ktoś niedawno z niego wstał, a Palmer skontrolował wnętrze szafy, tymczasem Harvath ruszył w stronę łazienki. Tam przez szczelinę w niedomkniętych drzwiach zauważył mężczyznę, w którym rozpoznał Jeffery'ego. Lokaj Damiena przystawiał sobie do ust lufę strzelby.

Harvath cofnął się i oddał kilka strzałów przez zamknięte drzwi, a kiedy Jeffery wrzasnął z bólu i upuścił broń na podłogę, wpadł do łazienki i kopnął strzelbę w kąt. Ten człowiek nie mógł wymknąć mu się z rąk, popełniając samobójstwo. Nie zamierzał pozwolić mu na ten luksus. Wszystkie pociski trafiły lokaja poniżej pasa, w tym jeden w pachwinę. Przycisnął rozgrzany wylot tłumika do rany i mężczyzna krzyknął jeszcze głośniej.

– To za Helenę – powiedział Harvath. – A teraz mi powiesz, gdzie jest Damien.

# Rozdział 54

BIRD CAY, BAHAMY DWA DNI PÓŹNIEJ

Harvath zeskoczył z otwartej rampy samolotu transportowego C-17 Globemaster, otworzył spadochron i poszybował przez ciepłą tropikalną noc w stronę pogrążonego w mroku oceanu. Tuż nad wodą wypiął się z uprząży, po czym wylądował z pluskiem i odpłynął na bok, żeby nie zaplątać się w linki, które wraz z jedwabną czaszą zaczęły wolno opadać na dno. Chwycił kołyszący się na falach worek wodoszczelny i zaczął płynąć w kierunku brzegu oddalonej o trzydzieści dwie mile morskie na północny zachód od Nassau wyspiarskiej kryjówki Damiena. W latach czterdziestych zagospodarował tę wyspę jej ówczesny właściciel, Francis Francis, brytyjski sportowiec i dziedzic fortuny Standard Oil. Był on nie tylko znakomitym golfistą amatorem oraz członkiem brytyjskiej reprezentacji lekkoatletycznej i szermierczej, ale również sławnym lotnikiem, który przyczynił się do wynalezienia fotela wyrzucanego. Za jego czasów wyspę odwiedzały zamożne i wpływowe osobistości. Francis gościł tam między innymi Marlenę Dietrich, Gretę Garbo, Noëla Cowarda, Rocka Hudsona, Davida Nivena i księcia Windsoru, a nawet króla Belgii, Leopolda III.

Pierre Damien nie kontynuował tej tradycji gościnności i starał się zachować w tajemnicy fakt, że jest właścicielem wyspy na Bahamach. Nawet Mosad o tym nie wiedział. Dopiero Jeffery zdradził tę informację, choć nie dobrowolnie. Z tym człowiekiem było coś nie tak. Chociaż bardzo cierpiał, kiedy Harvath go przesłuchiwał, sprawiał wrażenie, jakby czerpał z tego przyjemność. Miał zaburzoną psychikę i to poważnie, ale przez to jego charakter musiał swego czasu przypaść do gustu Damienowi. Podobny do Renfielda demoniczny Jeffery był bezgranicznie oddany zarówno jemu, jak i jego sprawie. Pasowali do siebie jak diabli.

Jeffery nie tylko torturował Helenę, ale po ucieczce Damiena pozwolił, aby padła ofiarą zbiorowego gwałtu. Podobnie jak jego pracodawca, był wcieleniem zła. Został w Wirginii, żeby czuwać nad łącznością i doprowadzić do końca szaleńczy plan Damiena, gdyby Linda Landon albo

inni jego wspólnicy nie wypełnili swoich zobowiązań. Ochroniarze, których Harvath i jego ludzie zabili w Clifton, byli w trakcie pakowania zapasów, żeby uzupełnić zaopatrzenie kryjówki awaryjnej.

Jak twierdził Jeffery, jedynym środkiem łączności z Damienem było zakodowane łącze satelitarne. Jednak dla Harvatha nie miało to znaczenia. Nie zamierzał wymieniać z Damienem e-maili. Chciał rozmówić się z nim twarzą w twarz.

Kiedy wyszedł na brzeg po wschodniej stronie wyspy, ruszył w głąb lądu ścieżką między skałami, uważając, żeby nie zostawić śladów na piasku. Dotarłszy do zarośli, otworzył worek wodoszczelny i wyjął z niego swój ekwipunek. Chociaż tym razem nie czekała go wspinaczka w trudnym terenie, nie zamierzał dużo dźwigać. Zabrał tylko pistolet H&K Compact Tactical z tłumikiem i zaprojektowany dla żołnierzy jednostek specjalnych nóż shinbu. Kiedy skończył sznurować buty, przeprowadził ostatnią próbę łączności.

– Moonracer, tu Wiking. Jak mnie słyszysz?

– Słyszę cię idealnie – odparł Nicholas.

– Jaka jest aktualna pozycja celu?

Nicholas opisał mu to, co widział na zdjęciach satelitarnych, i Harvath zaznaczył na mapie miejsca, w których znajdowali się ludzie. Potem zakończył połączenie. Nadszedł czas działania.

Idąc drogą od strony plaży, dotarł do rozwidlenia i skręcił na zachód, w stronę domów dla gości, których białe ściany jaśniały po drugiej stronie wąskiej wyspy. Były oddalone o pół kilometra od głównej rezydencji i to tam Damien mógł zakwaterować swoich ochroniarzy, z którymi tu przyleciał. Jednak Nicholas nie zauważył nikogo w tamtej okolicy. Harvath zboczył z głównego traktu i zakradł się do kompleksu budynków gospodarczych. Zajrzał do nich po kolei, lecz ani w garażu, ani w warsztacie, ani w magazynie nie napotkał żadnych ludzi. Kolejny budynek wyglądał na dom dozorca. Drzwi nie były zamknięte na klucz i Harvath bezszelestnie wśliznął się do środka. Na ociekaczu przy zlewie stały umyte naczynia, a wpadająca przez otwarte okna morska bryza wydymała firanki. Na drzwiach lodówki wisiał harmonogram prac na terenie posiadłości, a także lista zatytułowana „Plany żywieniowe pana Damiena”. Z bronią gotową do strzału Harvath skierował kroki w stronę sypialni. Dobrze naoliwione zawiasy nie wydały najdrobniejszego skrzypnięcia, kiedy



zginając palec na spuście, uchylił drzwi. W łóżku leżało dwoje starszych ludzi pogrążonych we śnie. Nie wyglądali na uzbrojonych zbirów.

Harvath opuścił pistolet, zamknął za sobą drzwi sypialni i wyszedł z domu. Ruszył dalej w kierunku plaży, gdzie zakradł się do dużego hangaru, wypełnionego różnego rodzaju łodziami. Zamocowany pod sufitem podnośnik pozwalał na umieszczenie każdej z pływających zabawek na platformie, która po wąskich szynach zjeżdżała w dół pochylni, umożliwiając zwodowanie motorówki, jachtu żaglowego albo nawet jaskrawożółtej miniaturowej łodzi podwodnej. Upewniwszy się, że w hangarze nikogo nie ma, Harvath podszedł do pierwszego z domków gościnnych. Szum fal rozbijających się o brzeg zagłuszał jego kroki. Tutaj również ktoś zostawił otwarte okna, żeby wpuścić do środka świeżą morską bryzę. Budynek był podzielony na dwie części, a każda z nich miała osobne wejście od strony plaży. Zaglądając do środka przez pierwsze z okien, Harvath dostrzegł zarys postaci leżącej nieruchomo w łóżku. Po chwili przekonał się, że w sąsiednim pomieszczeniu również ktoś śpi. Obszedł budynek i bezszelestnie otworzył pierwsze drzwi.

Natychmiast rozpoznał śpiącego mężczyznę. Był to jeden z ludzi Jana Hendrika, którzy wymordowali cały personel i pacjentów Matumaini oraz mieszkańców sąsiedniej wioski. Mierząc do niego z pistoletu, kopnął brzeg łóżka, a kiedy najemnik otworzył oczy, Harvath przyłożył palec do ust, dając mu znak, żeby milczał.

– Jestem jednym z tych, którzy w Buni porwali twojego szefa – wyszeptał. – Chciałbym ci uświadomić, że wszyscy ci ludzie, których zabiłeś na zlecenie Damiena, byli odporni na wirusa.

Wyraz zaskoczenia w oczach mężczyzny szybko ustąpił miejsca czemuś innemu. Kiedy otwierał usta do krzyku, Harvath strzelił mu dwa razy w głowę. Potem szybko przeszedł do sąsiedniej sypialni, gdzie zastał drugiego z podwładnych Hendrika. Postąpił z nim podobnie, budząc go i uświadamiając mu, dlaczego zaraz zginie.

Przeszedł do następnego domku, który jednak okazał się pusty. Nie znalazł również nikogo w pobliskiej toalecie i łaźni z prysznicami. Za to w trzecim budynku spali dwaj inni najemnicy, których błyskawicznie zlikwidował. Zajrzał do ostatniego z domków, ale nie było w nim nikogo. Domyślał się, gdzie znajdzie pozostałych. Wymienił magazynek i skierował się w stronę oddalonej o pół kilometra rezydencji. W połowie drogi stał

jeszcze jeden pusty budynek gospodarczy, którego wewnątrz dokładnie zbadał, zanim ruszył dalej.

Ze stojącej na cyplu okazałej rezydencji roztaczał się wspaniały widok na ocean. Do głównej części budynku, która miała dwie kondygnacje, przylegały dwa równoległe parterowe skrzydła, tworząc kształt litery U. Dom został wzniesiony z wapiennych bloków, pochodzących z lokalnego kamieniołomu, i podobnie jak domki dla gości, miał białe ściany. Wyłożony kamiennymi płytami dziedziniec otaczały arkady, a na środku znajdował się imponujący basen. Cała posiadłość urzekła swoją prostotą i wytwornością, przywołując wspomnienia dawno minionych czasów.

Jednak Harvatha najbardziej interesowały zewnętrzne schody prowadzące na taras przed sypialnią, z którego mógł się dostać na dach. Ale żeby dostać się Damienowi do skóry, musiał najpierw uporać się z resztą jego ochroniarzy. Dwaj z nich krążyli wokół domu, patrolując okolicę. To właśnie od nich postanowił zacząć.

Jego tłumik marki Knight's Armament Company spisywał się znakomicie, ale teraz nie mógł dopuścić, aby zdradził go choćby najłżejszy dźwięk, rozchodzący się w otwartej przestrzeni. Dlatego schował pistolet do kabury i sięgnął po shinbu.

Wzorowany na japońskim tanto nóż miał długie na ponad dwadzieścia trzy centymetry ostrze z wysokowęglowej stali, którego zakrzywiony kształt i spiczaste zakończenie czyniły z niego broń idealną do zadawania cięć i głębokich pchnięć. Był produkowany przez firmę Columbia River, a zaprojektował go ekspert w dziedzinie walki wręcz, James Williams, z myślą o komandosach, którzy sięgali po niego, kiedy nie mogli użyć broni palnej – czyli w takich sytuacjach jak ta.

Harvath ukrył się w arkadach dziedzińca i kiedy pierwszy z wartowników przechodził w pobliżu, zaatakował go od tyłu. Zasłonił mu usta lewą dłonią, odciągając jego głowę do tyłu, a drugą ręką zadał cios. Ostrze zatopiło się w klatce piersiowej mężczyzny, przeszywając oba płuca i przebijając serce. Harvath podtrzymał go jeszcze przez chwilę, a gdy ochroniarz przestał się szamotać, odciągnął jego ciało na bok i położył w niewidocznym miejscu. Potem wytarł nóż o ubranie trupa i znów zaczął się za filarem. Drugi ochroniarz pojawił się po kilku minutach, ale tym razem coś poszło nie tak. Zamiast przejść obok, mężczyzna zatrzymał się dokładnie naprzeciwko kamiennego łuku. Czyżby coś zauważył? Czy jakimś cudem odkrył jego obecność?

Stał tak blisko, że Harvath słyszał jego oddech. Ale gdy po chwili zapadła cisza, uświadomił sobie, że wartownik nie poszedł dalej. Wstrzymał oddech, bo szykował się do ataku. Harvath rzucił się w lewo i wyskoczył zza kolumny, ale nie zobaczył przed sobą nikogo. Domyślił się, że jego przeciwnik musiał pójść w przeciwnym kierunku. Wykonał szybki obrót i zamachnął się nożem, kierując ostrze tam, skąd przed chwilą wyskoczył, i całym ciałem podążając za ciosem.

Ochroniarz rzeczywiście okrążył kolumnę z drugiej strony i ostrze shinbu ugodziło go w podbrzusze. Harvath nie tracił ani chwili. Wbił nóż do końca i pociągnął go do góry, ale jego przeciwnik skontrolował cięcie, uderzając go w rękę karabinem. Potem zamachnął się z całej siły, mierząc kolbą w głowę Harvatha, który zdążył zrobić unik. Uchylił się na tyle, że metalowe okucie tylko otarło boleśnie jego kość policzkową. W tym momencie zobaczył, że wartownik obraca broń w rękach, żeby oddać strzał. Zostało mu tylko jedno wyjście. Wyszarpnął shinbu z brzucha mężczyzny i wyprowadził cios, trafiając go w szyję pod prawym uchem. Potem szybkim cięciem zakończył walkę. Dwóch już z głowy, dwóch jeszcze zostało.

Jeden z wartowników pilnował głównego wejścia do rezydencji, a drugi siedział przed przeszklonymi drzwiami od strony basenu. Teraz Harvath już nie musiał się przejmować, czy któryś z nich usłyszy odgłos wytłumionych strzałów. Wiedział, że jeśli do tego dojdzie, pozostały przy życiu ochroniarz nie będzie miał kogo wezwać na pomoc. Postanowił zacząć od tego przy drzwiach frontowych. Skradając się wzdłuż południowego skrzydła, wykorzystał jako osłonę ozdobny pas wysokiej trawy, który otaczał budynek. Kiedy zbliżył się do wejścia na tyle, by oddać celny strzał, nacisnął spust. Ugodzony dwoma pociskami w klatkę piersiową mężczyzna pochylił się do przodu, ale trzeci pocisk, który trafił go w głowę, odrzucił jego ciało do tyłu, sprawiając, że zsunęło się z krzesła. Teraz został jeszcze tamten przy basenie.

Ostatni z ochroniarzy stał dokładnie w tym miejscu, w którym Nicholas zobaczył go na zdjęciu satelitarnym. Popełniał również najgorszy grzech, jakiego można się dopuścić podczas pełnienia warty. Palił papierosa. Harvath wyczuł swąd dymu na długo przed tym, jak go zauważył. Ukryty w ciemności odczekał, aż mężczyzna zaciągnie się głęboko, i wtedy strzelił mu dwa razy w głowę, która eksplodowała, obryzgując krwią i kawałkami mózgu szybę pobliskich drzwi. Teraz został mu już tylko Damien.

Chociaż pierwotnie Harvath zamierzał dostać się do rezydencji zewnętrznymi schodami przez taras, teraz zmienił plan. W sypialni było zbyt wiele okien i gdyby miliarder nie spał, istniało zbyt duże ryzyko, że mógłby go zauważyć. Dlatego zamiast iść tamtą drogą, wrócił do drzwi frontowych, odsunął na bok ciało zabitego wartownika i wśliznął się do środka.

Wnętrze domu wyglądało tak, jak sobie wyobrażał. Wszystko, od marmurowej posadzki poprzez kinkiety i zieloną tapetę z motywem liści palmowych aż po przestronną klatkę schodową, sprawiało wrażenie, jakby czas zatrzymał się tutaj w latach czterdziestych ubiegłego wieku. Wydawało mu się, że zaraz zobaczy Humphreya Bogarta albo Lauren Bacall, którzy przemierzają dom w poszukiwaniu kolejnej butelki ginu, żeby przyrządzić więcej martini.

Stawiając ostrożnie kroki na schodach, Harvath wszedł na górę. Piętro było urządzone w takim samym stylu. Minął kilka pustych pokoi i trzymając broń gotową do strzału, pchnął uchylone drzwi sypialni. Nie tylko nie zastał tam nikogo, ale zauważył, że łóżko jest starannie posłane. „Gdzie on się, do cholery, podziewa?” pomyślał. „Kogo ochraniaли ludzie Hendrika?”

Zajrzał do łazienki, po czym wrócił na korytarz i skontrolował resztę pomieszczeń na piętrze. Potem zszedł na dół i zlustrował dokładnie całe południowe skrzydło. Mieściły się tam biblioteka, pokój do ćwiczeń, salka bilardowa, bar i sauna, ale nigdzie nie było Damiena. Skierował się z powrotem do głównej części budynku, gdzie przez salon i bawialnię przeszedł do jadalni. Znalazł go w sąsiednim pomieszczeniu. Pierre Damien siedział w pokoju słonecznym, przylegającym do kuchni. W przeszklonych ścianach brakowało kilku szyb, które prawdopodobnie kazał usunąć, żeby móc się rozkoszować zapachem i szumem oceanu. Był zwrócony plecami do drzwi, ale wyczuł obecność Harvatha.

– Niektórzy z was, Żydów, są bardziej przebiegli, niż przypuszczałem – odezwał się. – Zastanawiałem się, czy w ogóle tu traficie.

Miliarder trzymał na kolanach rozłożoną gazetę, a na stoliku po jego prawej stronie stał kieliszek i butelka wina.

- Trzymaj ręce na widoku – rozkazał Harvath, okrążając fotel.
- Ilu was przysłał Mosad? Tylko ciebie?
- Tylko mnie. Ale nie jestem z Mosadu.
- Nie?

Stojąc naprzeciwko Damiena, Harvath zauważył, że każdy szczegół jego wyglądu jest dopracowany do perfekcji, od starannie wypielęgnowanych paznokci i włosów po czystą piżamę i śnieżnobiały szlafrok.

– Jesteś obywatelem amerykańskim – powiedział. – Stany Zjednoczone nie dopuszczają, żeby dopadli cię Izraelczycy.

– A więc Ameryka wysłała cię tu, żebyś mnie zabił?

– To zależy.

– Od czego?

– Czy będziesz współpracował. Zaczniemy od tego, że po raz ostatni cię poproszę, żebyś trzymał ręce w widocznym miejscu.

Damien oparł ręce na podłokietnikach fotela, ale wskazał głową w stronę kieliszka.

– Mogę?

– Za chwilę.

Miliarder spojrział na Harvatha, próbując go rozgryźć. Zastanawiał się, czy jego gość ma jakąś słabość, którą mógłby wykorzystać, ale było mu trudno wyczytać cokolwiek z jego twarzy.

– Czego chcą ode mnie Stany Zjednoczone?

– Przyznania się do winy.

Damien uśmiechnął się, a po chwili zaczął się śmiać.

– Teraz już wiem, że przyszedłeś mnie zabić – powiedział.

– Skąd ta pewność?

– Bo widzę, że w ogóle nie znasz podstaw negocjacji.

Harvath wycelował w butelkę Château Cheval Blanc rocznik czterdziesty siódmy i nacisnął spust.

– Jak już powiedziałem – odezwał się – Stany Zjednoczone oczekują od ciebie pełnych i wyczerpujących zeznań.

Strzał wytrącił Damiena z równowagi, jednak miliarder starał się nie pokazać tego po sobie.

– A co dostanę w zamian? – zapytał, powolnym ruchem strząsając z rękawa odłamki szkła.

– To zależy od tego, jak rzetelnie będziesz współpracował.

– Liczę na jakieś wskazówki z twojej strony.

– W niczym nie muszę ci pomagać – odparł Harvath. – Powiem ci tylko, że tak czy inaczej, wyciągnę z ciebie zeznania. Ty decydujesz, jak bardzo będzie to bolesne.

– A jeżeli zgodzę się na współpracę?

– To Stany Zjednoczone mogą cię potraktować na wiele różnych sposobów jako swojego obywatela.

– Z których żadnego mi nie zdradzisz – rzekł Damien, ale nie doczekał się żadnej reakcji Harvatha, który tylko wbijał w niego wzrok. – Może jesteś lepszym negocjatorem, niż przypuszczałem. To od czego zaczynamy?

Miliarder perorował przez ponad dwie godziny, całkowicie przekonany o jasności swoich wizji i swojej wyższości moralnej. Kilukrotnie usiłował wyjaśnić, że coś takiego jak Stany Zjednoczone nie powinno dłużej istnieć, a koncepcja państwowości jest skończona. Przekonywał Harvatha, że na próżno się trzodzi, a wiatrem w jego żaglach jest ostatnie tchnienie konającego imperium. Taka Ameryka, jaką wszyscy znają, w ciągu kilku tygodni przestanie istnieć. Kiedy to się dokona, a jej los podzielą wszystkie inne państwa, ocaleni będą potrzebowali nowej władzy, która swym zasięgiem obejmie cały świat. Wtedy na scenę wkroczy Organizacja Narodów Zjednoczonych, żeby podjąć się tego zadania, i nasza planeta wejdzie w złoty wiek oświecenia oparty na nowym, lepszym porządku.

Harvath słuchał tego wszystkiego z nieprzeniknioną miną i odzywał się tylko wtedy, gdy Damien odbiegał od tematu i trzeba było skierować jego wywód z powrotem na właściwy tor. Wyłączył małą kamerę cyfrową i włożył ją z powrotem do wodoszczelnego pudełka, które ukrył w kieszeni. Miał to, po co przyszedł.

– I co teraz? – zapytał miliarder. – Dostałeś to, czego chciałeś. Co będzie ze mną?

Harvath przyglądał mu się w milczeniu przez dłuższą chwilę, zanim odpowiedział.

– Masz wybór. Albo wrócisz na proces...

– Jaki proces? – przerwał mu Damien szyderczym tonem. – W Hadze czy urządźcie coś w stylu Norymbergi? A może Żydzi zdołają wykrzesać z siebie tyle energii, żeby doprowadzić do mojej ekstradycji? Czy też Ameryka zamierza mnie postawić przed swoim Sądem Najwyższym? Albo jeszcze lepiej zróbmy to w Kongu, albo u tych dzikusów w Mekce. Można by to transmitować na cały świat, żeby wszyscy mogli się nacieszyć moim procesem, a potem zobaczyć, jak zadyndam.

Harvath czekał cierpliwie na koniec jego wywodu.

– Albo... – odezwał się w końcu.

– Albo co?

- Albo wygnanie.
- Wygnanie? – Damien parsknął śmiechem. – Jak Napoleon na Elbie?
- Tylko że ty nie wybierasz się na Elbę. Miliarder roześmiał się jeszcze głośniej.
- Co za różnica?
- Spodziewałem się, że tak do tego podejdziesz – odparł Harvath, unosząc pistolet i nacisnął spust. – Bez obaw. Twój wspólnicy niedługo do ciebie dołączą.

## Rozdział 55

Sekretarz Fleming zmarł niedługo po tym, jak Harvath przesłał do Mount Weather nagranie z przesłuchania Damiena. Jednak wyroki śmierci, które wydał, nadal pozostawały w mocy. Kiedy sekretarz obrony przejął funkcję pełniącego obowiązki prezydenta, nie był w stanie skontaktować się z Harvathem.

Harvath przemierzał stolicę Europy niczym lodowaty wichur. Był jak śmierć pędząca na siwym koniu, kiedy uderzał bezlitośnie i z wielką furją. Bez względu na to, gdzie ukrywali się członkowie Komisji Plenarnej, odnajdywał ich po kolei i wymierzał sprawiedliwość. Kiedy wykonał ostatnią egzekucję, poleciał z Lizbony na Malte, wyrzucił wszystkich z Solarium i zabił Jana Hendrika. Potem przywłaszczył sobie czyjś zapas jacka daniel'sa i nie trzeźwiał przez trzy dni.

Nie potrafił się zmusić do oglądania wiadomości. Nie potrafił słuchać radia. Nie potrafił myśleć o przyszłości. Przyszłość nie istniała. Na całym świecie epidemia zbierała tak obfite żniwo, że pozostali przy życiu nie nadążali z grzebaniem ciał. Kiedy odwiedził go Vella, żeby z nim porozmawiać, Harvath strzelił do niego. Było to tylko ostrzeżenie. Gdyby chciał go zabić, trafiłby go nawet po pijanemu. Przechodził jeden z najgorszych kryzysów w swoim życiu.

Dwa dni później pojawił się ksiądz. Wydawało się, że wyrósł spod ziemi, kiedy jakimś cudem pokonał cały system zabezpieczeń, żeby dostać się do Solarium.

- O Jezu! – krzyknął Harvath na jego widok.
- Daleko mi do niego.
- Co tu robisz, Peio?
- Przyszedłem cię wybawić.
- Od czego?
- Od ciebie samego.

Harvath zaczął unosić pistolet, ale odłożył go i sięgnął po opróżnioną do połowy butelkę jacka daniel'sa.



- Chcesz porozmawiać? – zapytał Peio.
- Pewnie. Jak mnie tu znalazłeś?
- Pewien mały ptaszek mi powiedział. Harvath parsknął śmiechem.
- Duchownemu nie przystoi żartować ze skromnego wzrostu.

Na twarzy Peio pojawił się uśmiech, ale towarzyszył mu wyraz współczucia. Sam przeżywał kiedyś dokładnie to samo. Zanim został księdzem, był oficerem hiszpańskiego wywiadu. Przeżył koszmar, kiedy podczas zamachu bombowego na pociąg w Madrycie zginęła jego żona. Potem opętany żądzą krwi polował na ludzi odpowiedzialnych za tę tragedię. A kiedy alkohol nie zdołał ukoić jego bólu i poczucia winy, sięgnął po narkotyki. Stoczył się na samo dno, do przedsionka piekieł. Czuł już na karku zimny oddech śmierci, kiedy znalazł go pewien ksiądz i uratował od zguby.

– Może nazwanie Nicholasa małym ptaszkiem rzeczywiście było nie na miejscu.

Spróbuję jeszcze raz. Twój przyjaciel powiedział mi, że potrzebujesz pomocy.

– Nic mi nie jest.

Ksiądz omiółł wzrokiem pogrążony w nieładzie pokój.

– Widzę – powiedział.

– Tracisz tylko czas, padre. Inni potrzebują twojej pomocy bardziej niż ja.

– Być może, ale teraz jestem tutaj. Chciałbyś porozmawiać?

Peio był najbardziej nieustępliwym księdzem, jakiego Harvath znał.

– Jaki jest obecnie bilans ofiar?

– Na Malcie?

– Wszędzie.

– Nie jest dobrze – przyznał duchowny.

– Nie liczyłem na to.

– Ale mam też dobrą wiadomość.

– Naprawdę? Co takiego? Mniejsze korki?

– Epidemia zaczyna zwalniać. Tego Harvath się nie spodziewał.

– W jakim sensie? – zapytał, siadając na łóżku.

– Zdaniem niektórych naukowców, choć nie wszystkich, wirus zżera sam siebie. Wygląda na to, że jest zbyt śmiertelny i zabija zbyt szybko. Zaangażowanie do pomocy ludzi, którzy zostali zaszczepieni, również wiele zmieniło. Nicholas mówi, że to był twój pomysł.

– Ktoś inny na to wpadł.

– Jak na kogoś w twoim stanie taka skromność jest zaiste urzekająca – rzekł Peio i uśmiechnął się, gdy Harvath w odpowiedzi pokazał mu środkowy palec. – Nie poznaję cię, Scot.

– O niczym nie masz pojęcia, ojcze.

– Być może. Ale myślę, że się mylisz – odparł ksiądz i po chwili oczekiwania na odpowiedź, która nie nadeszła, dodał: – Wzięłeś na swoje barki ogromny ciężar, robiąc rzeczy, których od nikogo nie powinno się żądać. Ale zrobiłeś to i dzięki temu zło nie pozostało bezkarne.

Harvath nadal nie odpowiadał. Peio chciał jeszcze coś dodać, ale wybrał milczenie. Znał swojego przyjaciela na tyle dobrze, aby wiedzieć, że nie jest człowiekiem, którego można naciskać. Nalał sobie whisky do kubka i usiadł pod ścianą.

– *Salud* – powiedział, wznosząc toast.

Siedzieli w milczeniu przez co najmniej godzinę, przekazując sobie butelkę, a Harvath przez cały czas unikał wzroku księdza.

– Nie są to warunki, w jakich zazwyczaj spowiadam, ale gdybyś chciał wyznać swoje grzechy, mogę cię wysłuchać – odezwał się wreszcie Peio i zdziwiony reakcją Harvatha, który zaczął się śmiać, zapytał: – O co chodzi?

– Może pewnego dnia, kiedy to wszystko się skończy i będziemy już starcami, usiądziemy razem i wysłuchasz mojej spowiedzi. Ale na razie tłumienie tego wszystkiego w sobie dodaje mi sił.

Peio znał to uczucie nazbyt dobrze.

– Rozumiem – odparł, kiwając głową.

– A tymczasem – powiedział Harvath, rozglądając się dookoła – myślę, że to koniec użalania się nad sobą. Muszę wracać do domu.

Padre Peio uśmiechnął się do niego.

– Mogę ci w tym pomóc.

# Rozdział 56

WIRGINIA

– Dziękuję – powiedział Reed Carlton, wchodząc na werandę domu opieki z kubkiem gorącej kawy, który wręczył Harvathowi. – Dziękuję ci za wszystko.

Słońce wschodziło powoli, odpędzając nocny chłód. Na parkingu stał SUV wypełniony zapasami żywności z farmy Damiena w Clifton, po które Harvath wysłał Palmera i Ashby.

Carlton obiecał pracownikom domu opieki, że jeśli zostaną, żeby zadbać o pensjonariuszy, on zatroszczy się o nich i ich rodziny. Na początek zapytał każdego o szczepienie przeciwko grypie. Okazało się, że wszyscy członkowie personelu i większość ich bliskich są odporni. Tym, którzy nie przyjęli szczepionki, zapewniono komfortowe warunki w oddzielnym skrzydle budynku. Zadbał również o ochronę. Dom opieki zaopatrzony w zapasy leków i żywności był świetnym celem dla szabrowników.

Harvath nalegał, aby jego również dopisać do harmonogramu wart. Po jego powrocie wciąż dochodziło do aktów grabieży, choć zdarzały się o wiele sporadyczniej. Mała grupa zaprawionych w bojach ludzi Starego nadal dokładała starań, żeby odpędzić hałastę, która kręciła się po okolicy.

Harvath dwa razy dziennie rozmawiał z Larą przez telefon satelitarny i za każdym razem mówił jej, jak bardzo ją kocha. Nie wspomniał ani razu o swoim krwawym szlaku w Europie ani o załamaniu, które przeszedł na Malcie. Na razie pewne tajemnice musiały pozostać częścią tego, kim był.

– Jak się czuje prezydent Porter? – zwrócił się do Starego.

– Lekarze mówią, że z tego wyjdzie. Wirus jest zabójczy w około siedemdziesięciu procentach, ale zwalczają go lekami antywirusowymi i eksperymentalnym środkiem przeciwko AIDS. Wygląda na to, że terapia skutkuje.

– Poinformowali o tym inne kraje?

– Oczywiście.

– A co z Bentzim i Heleną? – dopytywał Harvath.

– Oboje wciąż dochodzą do siebie w Camp Peary. Mordechai nie zaszczepił się tak jak ona, więc dostaje leki i jest pod obserwacją. Jak na razie wszystko w porządku.

– Jakież wieści od Jessiki Decker?

– Kinszasa, podobnie jak cała reszta Afryki, przypomina scenę apokalipsy zombie. Bardzo niewiele osób przyjęło właściwą szczepionkę, ale nawet tam epidemia szybko się wypaliła. Twój kumple z SAS-u zabrali Jambo, Leonce'a i Pepsy'ego do Kinszasy, gdzie znaleźli Decker. Z tego, co słyszałem, przeczekują burzę. Nic im nie jest.

Harvath ucieszył się, słysząc dobre wieści. Teraz, kiedy zadbał już o wszystko, mógł wreszcie zadbać o siebie. Wypił łyk kawy i wziął oddech, ale zanim zdążył się odezwać, Stary go uprzedził:

– Musisz się zbierać. Rozmawiałem z generałem McCollumem i samolot już na ciebie czeka.

Siedząc na pokładzie odrzutowej cessny citation, lecącej do Anchorage, Harvath starał się zapomnieć o wszystkim, co się wydarzyło, i skupić się na przyszłości. Nalał sobie pełną szklankę woodford reserve, zakorkował butelkę i rozsiadł się w fotelu. Sącząc burbona, próbował nabrać dystansu do całej sytuacji. Dał z siebie wszystko. Cokolwiek działo się teraz, nie miał na to wpływu. Przypomniawszy sobie, co powtarzała jego matka. „Nie zawsze możesz decydować, w jakiej sytuacji się znajdziesz, ale to od ciebie zależy, jak na nią zareagujesz”. To była mądra maksyma, chociaż wątpił, czy jego matka przewidziała, w jakiej sytuacji znajdzie się jej syn.

A jednak wszyscy zgodnie potwierdzali fakt, że epidemia traci na sile. To była dobra wiadomość. W Stanach Zjednoczonych władze przyjęły strategię obronną. Dokładano wszelkich starań, aby zaopiekować się chorymi, i poddawano ich kwarantannie w nadziei, że wirus w końcu sam się wyniszczy. Jednak w tej chwili Harvathowi zależało tylko na tym, żeby jak najszybciej zobaczyć się z Larą. Zdrzemnął się trochę, lecz nie na tyle długo, by zabić czas. Obejrzał film i znów próbował zasnąć, ale był to próżny wysiłek.

Kiedy cessna wylądowała wreszcie w Anchorage, nie mógł się doczekać przesiadki do hydroplanu, którym miał dolecieć prosto do Lary i Marca. Podziękował pilotom i z torbą w ręku pośpiesznie ruszył do wyjścia.

Zbiegając po schodkach, nagle stanął jak wryty, kiedy ją zobaczył. Stała na płycie lotniska i czekała na niego. Nigdy dotąd nie wyglądała tak

pięknie. Kiedy ruszył w jej stronę, omal nie przewróciły go psy Nicholasa, pędzące w stronę Niny, która również czekała obok Lary.

– Dzieciaki – mruknął karzeł, przeciskając się obok niego. – Nigdy mnie nie słuchają.

Harvath uśmiechnął się i pokonał kilka ostatnich stopni. Gdy znalazł się na dole, Lara podbiegła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję.

– Tak się cieszę, że wróciłeś.

– Ja też – odparł i pocałował ją.

– Dziękuję ci.

– Za co mi dziękujesz? – zapytał, przyglądając się jej badawczo.

– Za to wszystko, co robisz. Choć nie jest mi z tym lekko i niekoniecznie mi się to podoba, dziękuję ci.

Zapragnął jej powiedzieć, jak bardzo przytłacza go brzemień śmierci, jak bardzo żałuje, że nie może ocalić tych, którzy wciąż umierają, ale nie potrafił tego wyrazić. Rozumiała go, chociaż nie do końca. Tak naprawdę nikomu by się to nie udało. Ale ona była wcieleniem tego, co najlepsze w jego życiu, i kochał ją bezgranicznie.

– Chodź do mnie. – Harvath przyciągnął ją mocniej do siebie i znów pocałował.

– Czy masz pojęcie, jak bardzo cię kocham?

Zanim Lara zdążyła odpowiedzieć, rozległ się dzwonek jego komórki.

– Pokaż mi, jak bardzo – powiedziała, a on zerknął na wyświetlacz, przełączył telefon na tryb wyciszony i schował go z powrotem do kieszeni.

– Dobry początek – dodała.

– A co będzie dalej?

– Pewien mały chłopiec nie może się doczekać, aż zabierzesz go na ryby.

– Ja też nie mogę się doczekać.

Harvath objął ramieniem swoją ukochaną i poprowadził ją wraz z resztą przyjaciół w stronę czekającego na nich hydroplanu.

# Podziękowania

Podczas pracy nad każdą z moich książek stawiam sobie za cel, aby dać z siebie wszystko i tym samym stać się lepszym pisarzem. To właśnie dzięki temu moja praca daje mi tyle radości i jest niesamowicie satysfakcjonującym wyzwaniem.

Tworząc tę powieść, starałem się podnieść poprzeczkę jeszcze wyżej, i mam nadzieję, że mi się to udało. Powtórzę wam to, co mówię wszystkim wspaniałym ludziom, których spotykam na swej drodze – to dla was pracuję, dla moich czytelników. Dziękuję wam za wsparcie i świetną reklamę, jaką mi zapewniacie, polecając innym moje książki.

By dopełnić wyrazów wdzięczności i dostarczyć wam dodatkowej lektury, regularnie zamieszczam nowe teksty na mojej stronie BradThor.com. Jeżeli jeszcze tam nie zagląдалиście, zróbcie to koniecznie.

Chciałbym również podziękować księgarzom na całym świecie, dzięki którym moje powieści każdego dnia zyskują nowych czytelników. Nie ma wspanialszego języka niż język literatury. Wzbudzając zainteresowanie wspaniałymi książkami, dzielimy się z ludźmi czymś naprawdę wyjątkowym.

Sean F. przy butelce wyborowej whisky opowiedział mi pewną historię, którą mógłbym uznać za zabawną, gdyby nie była tak niepokojąca. Dzięki niej lepiej zrozumiałem mentalność pewnych ludzi w Waszyngtonie. Bardzo sobie cenię takie inspiracje. Dzięki, Sean.

Rodney Cox po raz kolejny zadbał, żeby nie zabrakło mi bezcennego rozeznania w temacie. Dziękuję ci za wszystko, Rodney, ale przede wszystkim za twój charakter, twoją prawość i ofiarną służbę dla naszego wspaniałego narodu.

Ilekcóż korzystam z pomocy Jamesa Ryana, dziękuję Bogu, że nam go zesłał. Gdybym chciał wyjaśnić dokładnie, jak funkcjonuje jego umysł, nikt by mi nie uwierzył. Poprzestanę na tym, że nasz kraj potrzebuje więcej takich ludzi jak on. Jest dla mnie wzorcem do naśladowania i poczułem się

zaszczycony, kiedy wyraził pozytywną opinię o mojej powieści. Dziękuję ci, James.

Pierwotnie zamierzałem osadzić akcję w Sierra Leone, ale J'ro przekonał mnie do Konga. Wiedza, którą się ze mną podzielił, była fascynująca. J'ro jest uosobieniem doświadczenia i skromności, a współpraca z kimś takim była dla mnie zaszczytem. Dziękuję za pomoc, J'ro.

Doktor Scott F. Hill, Jon Sanchez, Peter Osyff, Jeff Boss, Pete Scobell, Steve Adelman i Robert O'Brien o każdej porze byli gotowi zmierzyć się z moimi pytaniami i udzielali mi odpowiedzi, których potrzebowałem. Wszyscy są wspaniałymi patriotami, którzy przynoszą chlubę naszemu krajowi. Dziękuję wam, panowie, za pomoc w tworzeniu tej książki.

Postaciom Iana McColluma (przewodniczącego Kolegium Połączonych Szefów Sztabów) i pułkownik Sheili White (dyrektor Wojskowego Instytutu Badań Medycznych nad Chorobami Zakaźnymi) nadałem te nazwiska w dowód wdzięczności za dwie bardzo hojne darowizny na cele dobroczynne. Dziękuję wszystkim zaangażowanym i czekam z niecierpliwością na kolejne spotkanie.

Żadnych zasad jest piętnastą z moich powieści, z których wszystkie ukazały się dzięki świetnemu zespołowi wydawnictwa Simon & Schuster wraz z jego imprintami – Atria, Emily Bestler Books i Pocket Books. Nieoceniona Carolyn Reidy, wspaniała Judith Curr i nadzwyczajna Louise Burke dokładają starań, aby moje książki odnosiły coraz większe sukcesy. Jesteście niezrównane i żadne słowa nie wyrażą mojej wdzięczności wobec was.

Słońcem pośrodku mojego wydawniczego wszechświata jest fenomenalna Emily Bestler. Czas mija szybko, kiedy dobrze się bawimy. Wydaliśmy razem piętnaście książek, a przed nami jeszcze wiele ekscytujących przygód. Dziękuję ci za wszystko, Emily.

W tym roku postawiłem poprzeczkę wyżej niż kiedykolwiek dotąd i powiedziałem mojemu znakomitemu specowi od reklamy, Davidowi Brownowi:

„Zobaczmy, czy skoczysz tak wysoko”. I wiecie co? Udało mu się i nawet się przy tym nie zmachał. Davidzie, jesteś wielki. Dziękuję ci.

Cindi Berger, Cara Masline i ekipa agencji PMK nie przestają nas zachwycać rok w rok. Dziękuję wam za każdy z waszych świetnych pomysłów.

Jestem winien podziękowania wszystkim wspaniałym pracownikom Emily Bestler Books i Pocket Books, do których należą Michael Selleck, Megan Reid, Matthew Rossiter, Irene Lipsky, Lisa Keim, Hillary Tisman, Jin Yu i Emily Bamford, a także Gary'emu Urdzie, Johnowi Hardy'emu i Colinowi Shieldsowi z działu sprzedaży, Albertowi Tangowi i całemu działowi grafiki oraz Alowi Madocsowi i działowi produkcji Atrii i Emily Bester Books. Chciałbym również podziękować Chrisowi Lynchowi, Tomowi Spainowi, Sarah Liebermann, Desiree Vecchio, Armandowi Schulzowi i całemu działowi książki mówionej wydawnictwa Simon & Schuster.

Jeżeli natrafiliście w tej powieści na jakieś błędy, biorę za nie całkowitą odpowiedzialność. Jednak nadzwyczajna redaktorka, Lisa Nicholas, zadbała o to, żebym popełnił ich jak najmniej. Witaj na pokładzie, Liso, i wielkie dzięki.

Dedykuję tę książkę mojej fantastycznej agentce, Heide Lange, z Sanford J. Greenburger Associates. Współpracujemy od czasu wydania mojej pierwszej powieści i spodziewam się, że jeszcze wiele przed nami. Dziękuję ci za wszystko, co zrobiłaś dla mnie przez te lata. Jesteś gwiazdą, Heide.

Stephenie Delman i Rachel Mosner z Sanford J. Greenburger Associates tworzą niesłychanie energiczny duet, który służy mi pomocą przez cały rok. Dziękuję wam i waszej ekipie za wszystko, co dla mnie robicie.

Mamy za sobą wspaniały rok w Hollywood i pragnę podziękować za to mojemu serdecznemu przyjacielowi i znakomitemu prawnikowi, Scottowi Schwimmerowi. Po tym, co razem zdziałaliśmy, liczę, że będziemy się widywać dużo częściej.

Yvonne „Seabass” Ralsky przyczyniła się do tego, że był to świetny rok dla nas wszystkich (a nawet zaangażowała swojego męża, który na użytek mojej powieści wyjaśnił mi kilka kwestii dotyczących Waszyngtonu). Dziękuję wam za entuzjazm, fachowość, talent i pomysły. Daliście mi niesamowite przyśpieszenie.

To, co najważniejsze, zawsze zostawiam na koniec. Nie byłbym w stanie robić tego, co robię, bez miłości i wsparcia mojej cudownej żony, Trish, i naszych wspaniałych dzieci. Te niezliczone posiłki, które przyrządzaliście dla mnie, kiedy pisałem, przypominały mi, że jestem wam bliski. Jednak to nic w porównaniu z tym, jak bardzo wszystkich was kocham. Dzięki wam czuję się najbardziej dumnym mężem i ojcem na całej planecie.



Pora, żebym wysłał Scota Harvatha i jego towarzyszy na spotkanie z nowym wyzwaniem. Jeżeli podobała się wam ta powieść, nie uwierzycie, co czeka was przy okazji następnej.

Na tym koniec podziękowań. Przed wami kolejne dobre książki.